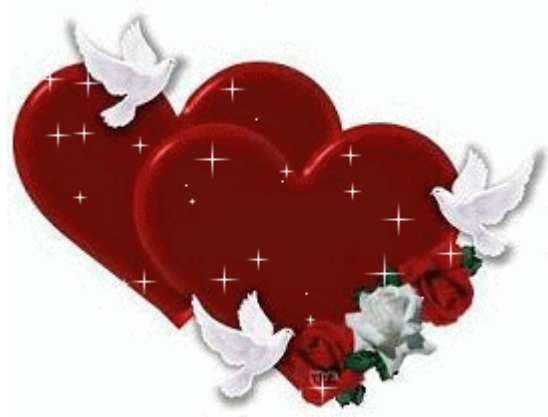




DEBORAH SMITH



Sobie przeznaczeni

Pokaż mi bohatera, a ja napiszę ci tragedię.

F. Scott Fitzgerald

Prolog

Przysięgałam, że wprawię w zakłopotanie Quentina Ricconiego, jeśli tego dnia umrze w moich ramionach tam na szczycie góry w Georgii pod lodowatym zimowym niebem.

- Powellowie nie smuć się tak jak zwykli ludzie - szepnęłam drżącym głosem przy wtórze wichury szalejącej nad górskim wąwozem.

Nadciągała ciężka noc - mróz zabije każdą słabą żyjącą istotę, włącznie z nim.

- Spędzę resztę życia na opowiadaniu każdemu, kogo spotkam, kim byłeś i dlaczego cię kochałam, i dlaczego po twojej śmierci nigdy już nie byłam sobą. I postaram się, żebyś wydawał się o wiele lepszy, niż zamierzałeś kiedykolwiek być w rzeczywistości, mocniejszy i łaskawszy. Ludzie będą plotkować, że chyba musiałeś mnie oczarować swoimi opowieściami i urodą. Będę musiała im powiedzieć, że wcale tak dużo nie mówiłeś ani nie byłeś tak bardzo przystojny. Czy naprawdę chcesz, żebym kłamała?

Oczy miał nadal zamknięte, wargi uchylone, a jego oddech w mroźnym powietrzu zamieniał się w lekką mgiełkę. Uplęnęła co najmniej godzina od chwili, gdy odpowiedział mi na jakieś pytanie. Leżałam przy nim, usiłując go ogrzać. Na twarzy migotało mu światło od ogniska, które rozpałam. Z kominków w miasteczkach i domach, na farmach i w uzdrowiskach w dolinach pod nami unosiły się malownicze dymy. A tu wysoko, gdzie mogli przeżyć tylko najwytrzymalsi, ogień oznaczał życie i najczarniejsze obawy mogły odegnać jedynie obietnice wypowiedane na głos.

- Arthur w ciebie wierzy - powiedziałam. - Teraz ty musisz uwierzyć w niego. Nauczyłeś go, jak być mężczyzną, i on cię nie zawiedzie. - Niebo nad lesistymi grzbietami Appalachów zabarwiło się zimnymi fioletami i barwami złota. Szaroniebieski zmierzch gasnącego zachodu ściągał ostatnie minuty życia Quentina poniżej widnokregu. Modliłam się tylko o jeden niewielki cud. Mój brat, Arthur, wyruszył wiele godzin temu po pomoc.

Przycisnęłam mocniej dłoń do miejsca na klatce piersiowej, nisko i z boku, gdzie Quentina przeszła kula. Gdybyśmy tylko dostali się tutaj o godzinę wcześniej - powiedzą ratownicy. O minutę wcześniej. O sekundę wcześniej. Ludzi zawsze gubiły jedynie krótkie odcinki czasu. Wiedziałam, że pomoc w końcu nadejdzie, ale wówczas już będzie za późno. On nie przeżyje długiej drogi powrotnej z tej góry. Dotknęłam jego warg, usiłując wyczuć choćby cień oddechu, ale bez skutku.

Odchodził wraz z zachodzącym słońcem.

Pewnych wyborów dokonano za nas, zanim się urodziliśmy. Pewne tradycje ujęto w sztywne normy, których mamy przestrzegać, ich szwy zaspawano, ich moc i słabości

wklepano na miejsce. Nie rzucamy swojego cienia, póki nie mamy pewności, kogo kochamy i dokąd należymy. Dopiero wówczas pojmujemy.

Czasami musisz rozbić przygotowaną dla siebie formę albo umrzeć, próbując tego dokonać.

RS

Część I

Rozdział 1

Kiedy byłam dzieckiem, wydawało mi się, że nasza leżąca na uboczu farma znajduje się na końcu ścieżki prowadzącej do magicznej krainy, gdzie przetrwać mogą tylko Powellowie i legendy. Nawet jak na warunki górskie Niedźwiedzia Kotlina była zbyt skalista, by nadawać się pod uprawę, zbyt stroma jak na wyrąb i zbyt odległa na polowania. Z jednego tylko płaskiego kawałka można było zrobić jakiś użytek i była to właśnie nasza dwustuakrowa posesja na szczycie wzgórza górującego nad rozległymi lasami w dolinie potoku. Wstęga naszej wąskiej drogi gruntowej zanurzała się w las i wiła się w nim przez całe pół kilometra, zanim dotarła do brukowanej powiatowej dwupasmowej szosy. Wytrzymałym ozdobnym roślinom udało się wspiąć do naszego gospodarstwa tylko tam, gdzie docierało słońce. W tych miejscach bujnie rozrastały się dzikie stokrotki, powoje, staroświeckie fryzowane róże, które wymknęły się z dawno nieistniejącej altany Powellów, i żółte jak jaskry żonkile, które przywędrowały z rabatek jakiegoś pogromcy. Mieszkałam tu z rodzicami, którzy wiedzieli, że jesteśmy ludźmi szczególnymi. Urodziłam się w dniu, kiedy zaczęło nas dosięgać przeznaczenie.

Pewnego zimnego marcowego ranka w roku 1966 pociąg towarowy Kolei Południowej zakończył swoją długą podróż z Nowego Jorku. Potężne lokomotywy i długi wąż wagonów wynurzyły się z ostatniego porośniętego mchem granitowego tunelu pod starodawnymi Appalachami, po czym, sapiąc, sunęły w górę stromą pochyłością obramowaną olbrzymimi jodłami, rododendronami i jesionami, zanim wjechały na wysoki płaskowyż w pobliżu granicy Georgii z Tennessee.

Patrząc na wschód ponad zapierającym dech widokiem szarych gór, wciąż czekających na nadejście wiosny, inżynierowie przy sprzyjającym wietrze mogli dostrzec dym unoszący się ze stuletniego komina odległego domostwa Powellów. W tym wiejskim domu o pomalowanych na biało ścianach znajdowałam się ja, pięcioletnia, bezpieczna w ramionach swojej matki i nieświadoma, że moja przyszłość wtacza się oto do miasta.

Pociąg zwalniał z całym majestatem przemysłowej mocy i pozdrawiał, gwizdząc, wylęgarnię, tuczarnię i przetwórnę drobiu firmy „Drób Tiberów”, położoną na skraju miasta. Zwolnił jeszcze bardziej pół kilometra dalej na niewielkiej pochyłości, a gwizd stał się jeszcze donośniejszy, gdy wjechał w bardziej cywilizowane okolice Tiberville.

Ładne miejskie uliczki pod baldachimem nagich w zimie drzew lamowały samochody osobowe i pikapy, jakby obchodzono tu jakieś święto. Na dworcu w Tiberville czekało kilkaset osób. Orkiestra z college'u grała *Dixie*.

Na peronie w pierwszych rzędach stał tłum miejskich notabli. Reszta mieszkańców

hrabstwa zgromadziła się poniżej rampy załadowniczej, odesłana wraz z miejskimi psami na zwirowany dworcowy parking. Do tej kasty zaliczali się kontraktowi hodowcy kurcząt, harujący dla Tiberów pracownicy krwawej przetwórni firmy „Drób Tiberów”, o splekanych od roboty rękach, ludzie gór zarabiający na życie w sposób buntowniczy, związany z alkoholem, polowaniem i samochodami, oraz mój ojciec, Tom Powell.

Za osiem dwunasta pociąg zatrzymał się na historycznym dworcu w Tiberville, który przetrwał najazd piromańsko nastawionych żołnierzy Shermana podczas wojny domowej. W wagonie towarowym przyjechała rzeźba przedstawiająca niedźwiedzicę z Georgii.

Patronująca naszemu miastu, sędziwa i ekscentryczna Betty Tiber Habersham, spokrewniona z Powellami jako córka osławionej Bethiny Grace Powell Tiber, zamówiła ją dla Mountain State College.

Rzeźbiarzem był mało znany artysta z Brooklynu, niejaki Richard Ricconi. Nikt w Tiberville ani w hrabstwie Tiber nie miał pojęcia, czego można się było po nim spodziewać, poza panną Betty i moim tatą - miłośnikiem sztuki, który ukuł plan stworzenia rzeźby niedźwiedzicy z tutejszych „pamiątek” (jak to określała panna Betty) czy też rupieci według prostszej terminologii taty. Ten głupi pomysł wziął się z tego, że w jej żyłach płynie krew Powellów - utrzymywali niektórzy Tiberowie i bynajmniej nie chodziło o komplement.

Tiberowie i ich przyjaciele liczyli na klasyczną rzeźbę, taką jak z pięknej pocztówki, rzeźbę, która imponująco będzie się prezentować na wypielegnowanej murawie Mountain State College. A przynajmniej na dzieło sztuki współczesnej, które nie będzie wprawiać w zakłopotanie starszych pań i duchownych. Kiedy więc odsunięto drzwi wagonu towarowego, wszyscy ruszyli do przodu, żeby zobaczyć pierwszą jankeską rzeźbę w Tiberville. Szybko jednak się cofnęli.

Abstrakcyjnie potraktowana czarna niedźwiedzica górowała nad nimi, sięgając krągłym grzbietem dachu wagonu. Miała kolosalne na wpół przezroczyste boki z żelaznych prętów i krótkie, grube nogi ze skręconego metalu zakończone czarnymi żelaznymi łapami i elegancko wygiętymi pazurami. Łeb był szlachetny i masywny, zrobiony z odkutych fragmentów grubego żelaza, połączonych w zdumiewająco zmontowaną gwiazdę spoin powyżej pyska. Dwie czarne dziury w głowie spoglądały na nasz świat, sprawiając wstrząsające wrażenie tajemniczych wszechwiedzących oczu. Rzeźba przypominała nie tyle niedźwiedzicę, ile zartobliwego Wszystkożercę Wszechświata, jakiegoś pogodnego ducha obdarzonego mocą rozśmieszania, irytowania czy oświecania.

Tata pokochał ją od pierwszego wejrzenia. W samym środku na wpół przezroczystej klatki piersiowej na stalowych drutach wisiała bryła stopionego metalu w kształcie serca - kiedyś karburator fordza z roku 1922 należącego do jego dziadka, Oscara Powella. Traktor ten wiernie służył dwóm generacjom w Niedźwiedziej Kotlinie przy oraniu ziemi w ogrodzie i na pastwiskach. Rzeźba niedźwiedzicy, która miała w sobie serce tak miłujące ziemię i lojalne

wobec niedźwiedziej społeczności świata, stała się natychmiast członkiem naszej rodziny.

- Jest po prostu piękna - powiedział głośno tata. Był to jedyny głos, jaki rozległ się w zdumionym tłumie. Ludzie wokół niego spoglądali na olbrzymią rzeźbę w milczeniu, ze zgrozą albo zakłopotaniem. Kierownictwo Mountain State College niemal się dławilo z wściekłości. Rodzina Tiberów założyła tę uczelnię w latach osiemdziesiątych XIX wieku i od tego czasu ufundowała połowę budynków kampusu. Sama Betty Tiber Habersham ufundowała nowy kiosk i betonowe trybuny boiska do bejsbolu. Nie można było zatem odrzucić tego jej okropnego śmietnikowego żartu. Betty przebywała w szpitalu, gdzie powracała do zdrowia po lekkim udarze, ale zawiadomiła, że po południu przyjedzie karetką, by zobaczyć przedmiot swojej dumy i radości.

Wszyscy Tiberowie na peronie spoglądali wilkiem na mojego ojca.

- Tommy, chodź no tutaj - rozkazał John Tiber maksymalnie apodyktycznym tonem prezesa rotarian. - Ty i moja cioteczna babka chyba nie wiedzieliście, że ta przeklęta rzecz będzie tak wyglądała.

Tata wskoczył na peron, uśmiechając się od ucha do ucha. Tłum za jego plecami ryknął gromkim śmiechem. Johna Tibera zabolalo serce z powodu zakwestionowania autorytetu i utraty godności. Jego ojciec, snobistyczny pijaczek Tiber, umarł młodo, a matka po prostu zniknęła. John spędził młodość, kompensując sobie hańbę rodziców, jak potrafił, toteż nie umiał znosić upokorzeń. Teraz, po raz pierwszy w dziejach Tiberville i hrabstwa Tiber, jego rodzina stała się obiektem pośmiewiska, i to publicznego. Od tego momentu pan John, jak go wszyscy nazywali, z całego serca znienawidzi tę rzeźbę i będzie się obawiać wywołanych przez nią następstw.

Tata wpakował ręce do kieszeni wyświechtanej kurtki i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Johnny, rzeźba wygląda tak, jak powinna wyglądać - powiedział do czerwonego jak rak kuzyna. - Ma skłaniać ludzi do zastanowienia się. Składa się z rzeczy dobrych i ze złych, rujnacji i radości, i nadziei, i strat. To życie, Johnny.

- Życie nie składa się z rupieci i nonsensu. - Pan John jeszcze nawet nie trzydziestolatek, a już łysiejący i korpulentny, ubrany w brązowy garnitur ze złotą spinką „Drób Tiberów” chroniącą cienki czarny krawat przed powiewami rzeńskiego marcowego wiatru, był doskonałym przywódcą małomiasteczkowej socjety. Tata mniej więcej w tym samym wieku, biedny jak mysz kościelna, chudy i bardzo zwyczajny, ubrany w swój najlepszy kombinezon i białą koszulę, z wysłużonym brązowym filcowym kapeluszem nasadzonym nonszalancko na kasztanowe włosy, studiował swoją i Betty Tiber Habersham niedźwiedzią szkaradę wzrokiem pełnym szacunku.

- Jest znakomita - oznajmił.

Rozwścieczony pan John zrobił krok w jego stronę, zatrzymał się jednak i zacisnął pięści. Przed walnięciem mojego taty w usta powstrzymało go tylko to, że żywili do siebie

słabość przez całe życie. Ostatecznie byli kuzynami, a to coś znaczyło, nawet jeśli Powellów formalnie już nie uznawano ani nie zapraszano do Tiberów. Przyjaźnili się serdecznie jako chłopcy i byli, każdy na swój sposób, opiekunami społeczności. Jedno słowo taty potrafiło rozstrzygnąć spory między firmą „Drób Tiberów” a kontraktowymi hodowcami kurcząt w hrabstwie.

- Tommy - odezwał się cichym głosem pan John - właśnie cofnąłeś o kolejne sto lat nasze stosunki rodzinne.

- Ta niedźwiedzica ma serce - upierał się tata. - Ma duszę. - Serce i dusza to były jego kryteria krytyki artystycznej, precyzyjny osąd, suma efektów lektury książek z biblioteki, w których wyszukiwał informacje o Picassie i Salvadorze Dali, ostrzeżenia: „Jezus zbawia”, wypisanego na tablicy domowej roboty, ogródka kuchennego obfitującego w krwistoczerwone pomidory zasadzone w pomalowanych na biało oponach. - Teraz to miasto ma prawdziwe dzieło sztuki i ludzie będą się nad nim zastanawiać i dyskutować - mówił dalej tata. - Ono może zmienić nasze życie, sprawić, że świeżym spojrzeniem ogarniemy świat.

- Pochłonoło koło pięciu tysięcy dolarów z oszczędności mojej ciotecznej babki - odparł pan John. - Powinienem był odebrać jej pełnomocnictwo, zanim spieniężyła akcje Coca-Coli i przystąpiła do rozmów z nowojorczykami.

Machnął ręką rampiarzom, żeby zamknęli wagon, i niedźwiedzica zniknęła z widoku, przynajmniej na jakiś czas. Pokaz dobiegł końca. Mieszkańcy Tiberville i hrabstwa Tiber powracali do swojej pracy, swoich domów, swoich wykładów na uczelni, swojego życia, śmiejąc się albo zapluwając z oburzenia. Dla nich życie już nigdy nie będzie takie samo.

Kiedy tego dnia tata wrócił na farmę, wbiegł susami na górę po skrzypiących bielonych schodach, krzycząc:

- Victorio, ta rzeźba wygląda przepięknie! Ona zmieni sposób patrzenia na świat wśród tutejszych ludzi! - Mama leżała w sypialni otulona kołdrami, chroniąc się przed przeciągami, które hulały jak beztroskie duchy w stojącym na wydmuchowie domostwie Powellów.

- Nie wątpię, skoro tak mówisz - powiedziała z oddaniem, przytulając mnie do nagości piersi. Urodziłam się w domu, ponieważ jej religia przeciwna była szpitalom. Nonsensy Nowego Testamentu to nie dla niej.

Tata siadł obok mamy na łóżku z sosnowych desek i z wielką cierpliwością i wszystkimi szczegółami opowiadał jej o drugim dziele sztuki, jakie zobaczył od przyjscia na świat ich córeczki. Pocałował mnie w czoło, mamę w śmiejące się usta, a potem rozmawiali o moim imieniu.

- To musi być imię związane z niedźwiedziem, nawiązujące do dzisiejszego dnia - powiedział. - Chciałbym nazwać naszą dziewczynkę Ursula. Zbadałem to imię. Ursa Major i Ursa Minor, Wielka Niedźwiedzica i Mała Niedźwiedzica, wiesz... gwiazdne konstelacje na niebie. Ursula znaczy niedźwiadek. To powinno uradować niedźwiedziego ducha naszej

rodziny. I byłoby to też imię na cześć Żelaznej Niedźwiedzicy. Tak nazwałem tę rzeźbę. Chciałbym poznać Richarda Ricconiego i pogratulować mu jego dzieła. To człowiek, który wie, że trzeba sięgnąć w głąb siebie i wyciągnąć na wierzch własne kości, by zobaczyć, z czego człowiek jest zrobiony! - Tata pogładził mnie po głowie swoimi zgrubiałymi palcami. Miałam kasztanowe niesforne włosy takie jak on. - Tego zamierzam nauczyć tę małą damę. Żeby była żelazną niedźwiedzicą.

Mama, która potrafiła doszukać się religijnego kośca w dziwacznych pomysłach taty, pokiwała tylko głową z miłością i akceptacją. A ja, niańczona przy jej piersi, byłam zadowolona i nieświadoma odpowiedzialności, którą właśnie mnie obarczono.

Ja i Żelazna Niedźwiedzica zjawiłyśmy się tutaj na dole i niedole.

Quentin Ricconi, oddalony o pięć stanów i półtora tysiąca kilometrów na północ od nas, kulił się obok kaloryfera w zimnym pokoju małego mieszkańca jego rodziców na Brooklynie. Pokój zatłoczony był meblami z pchlich targów i szaf bibliotecznych zapchanych encyklopediami, pismami o sztuce i powieściami. Tuzin mniejszych rzeźb jego ojca stał na stoliku do kawy, na podstawkach lamp i w kątach pokoju - niczym osobliwe metalowe elfy. Gipsowa kopia *Głowy kobiety* Picassa na parapecie spoglądała w dół na ulicę z nędznymi drzewkami, zaśmieconymi schodkami prowadzącymi do mieszkań i sklepami o zakratowanych oknach.

Quentin bazgrał coś gorączkowo w swoim pamiętniku, notatniku z kartkami na sprężynie, gdzie nakleił grecki symbol nieskończoności, fantazyjny obrazek maszyny czasu H.G. Wellsa, fotografię lśniącego kordu piechoty morskiej i wycięte z gazety zdjęcie Muhammada Ali, znanego wówczas jako Cassius Clay. Na górze okładki notatnika wypisał starannie atramentem i drukowanymi literami: *Moje credo*. Nie był zwykłym ośmiolatkiem. Opisał dzieje swojego dotychczasowego życia i niedawne wydarzenia, które miały odmienić mu żywot.

„Przed paroma laty, jak byłem jeszcze dzieckiem, myślałem, że Brooklyn to cały świat". Mama mówi, że dopóki Brooklyn ma biblioteki, JESTEŚMY całym światem. Ona jest bibliotekarką, a więc wie, co mówi. Mówi, że mogę stanąć na plaży na Coney Island i zobaczyć stamtąd Europę, jeśli będę o tym odpowiednio usilnie myśleć. Nasza część Brooklynu jest brzydka, ale reszta miasta jest w porządku.

Papa mówi, że brzydki jest tylko sposób, w jaki patrzymy na rzeczy. Tego nie wiem. Widzę brzydotę na naszej ulicy i to JEST. I będzie się jeszcze pogarszać.

Dzisiaj się dowiedziałem, że papa nie może dłużej z nami mieszkać. Pojedzie do pewnego miasta oddalonego stąd o trzy lub cztery godziny jazdy samochodem, gdzie ktoś, kto kupił jedną z jego rzeźb, ma pusty magazyn. Papa może używać go jako pracowni. Będzie więc miał mnóstwo miejsca na swoje rzeźby. W zamian musi tylko opiekować się tym budynkiem. Nie mamy pieniędzy, żeby wynająć coś takiego w pobliżu.

Papa mówi, że w tym magazynie przechowywano kiedyś piece i materace oraz inne rzeczy. Potem człowiek, który był jego właścicielem, zaczął mieć kłopoty z FBI. Teraz magazyn należy do Wujka Sama i jest opuszczony, jak mówi papa. Nasza sąsiadka z góry, pani Silberstein, powiedziała, że pod podłogą są tam pewno pogrzebani jacyś gangsterzy. A mama mówi, że papie duchy gangsterów nie będą przeszkadzać. Wyrósł obok nich.

Będziemy widywać papę tylko podczas weekendów, dopóki sztuka nie przyniesie mu bogactwa i sławy. On twierdzi, że może się nawet założyć, iż to potrwa najwyżej z rok albo dwa. Ale dla mnie to cała wieczność i nie wiem, co my zrobimy bez niego. Przyłapałem mamę, jak płakała w kuchni, choć ona NIGDY nie płacze. Przysięgała, że to przez ten otwarty worek z cebulą. Udawała, że bije go patykiem. Zabierz to, te cebule - powiedziała. Udałem, że się śmieję.

JA TEŻ NIE BĘDĘ PŁAKAĆ. MAM MAMĘ, O KTÓRĄ MUSZĘ SIĘ TROSZCZYĆ.

Do zeszłego tygodnia papa pracował u pana Gutzmana. GOOTS MAN. Papa nazywa go Goots. Goots jest Niemcem. Ma duży elegancki warsztat, w którym naprawia się karoserię ładnych samochodów. Papa to najlepszy blacharz w całym stanie Nowy Jork - twierdzi Goots, i bardzo żałuje, że od niego odchodzi. Ale jest pewien, że papa wróci, jak tylko skończą się pieniądze. Mama powiedziała Gootsowi, że żyjemy po spartańsku i dużo pieniędzy nie potrzebujemy. Potrzebujemy natomiast wielkiej sztuki i wielkich idei - mówiła.

Goots przez dłuższy czas pozwalał papie używać kąta warsztatu na konstruowanie rzeźb. Czasami papa tam mnie zabierał, a ja mu pomagałem.

- Sprawiamy, że metal do nas przemawia - mówił. - Tłumaczy nam, czym chce być. Jesteśmy jak Bóg. Dajemy mu życie.

Ojcu Aleksandrowi u St. Vincenta (moja szkoła) nie podobałoby się to, co papa powiedział, ale ja nigdy go nie sypnę - ani na spowiedzi, ani nigdzie indziej, nawet gdybym miał smażyć się w piekle. To najlepszy ojciec i największy człowiek na świecie!

Kiedyś zrobił z metalowych schodków coś na kształt dużego skrzydła i Goots wykrzyknął: „Au! Cóż TO jest? Przeszła przez to jakaś straszna burza?! Przejechała ciężarówka?! Co?!” Papa wyjaśniał mu, że ma to przywozić na myśl coś rozbitego, a potem - co to znaczy być rozbitym. Goots potrząsał tylko wielką głową i znów wykrzyknął: „Au!” Potem pojawił się pewien bogaty gość z Heights, żeby odebrać swoje auto, i KUPIŁ tę rzeźbę za dwieście dolarów!

Postawił ją w poczekalni przed swoim gabinetem.

To był doktor od pleców.

Papę i mamę bardzo to podekscytowało, ale potem papa nie sprzedał ani JEDNEJ rzeźby przez długi czas, tak że niemal się poddał. Wiedziałem, że czuł się okropnie. Jest naprawdę małomówny i czasami mnie przeraża: zwłaszcza gdy nie mogę go skłonić, by się

odezwał. Nie żeby mnie bił, tylko jakby chciał skarcić siebie samego. Nawet nie chodzi już teraz z nami w niedzielę do muzeów. Matka obejmuje go cały czas. Ona jest jego lekarzem od serca - mówi pani Silberstein.

Tymczasem w listopadzie zeszłego roku trafiła się klientka, amatorka jego sztuki, no i wszystko się odmieniło. Jakaś pani zapłaciła mu pięć tysięcy dolarów, żeby zrobił dla niej niedźwiedzicę! NIEDŹWIEDZICĘ! Przed paroma tygodniami załadował ją do pociągu i wysłał tej pani. AŻ DO GEORGII. Sprawdziłem na mapie.

Papa powiedział, że ta niedźwiedzica jest szczególna i że czegoś go nauczyła. Można się domyślić, że to niedźwiedzica, i TO Z PEWNOŚCIĄ JEST SZCZEGÓLNE, bo na ogół ludzie nie wiedzą, CZYM mają być rzeźby papy. Matka mówi, że to duch życia, co oznacza jej zdaniem, że papa odnalazł swoje powołanie. Dla mnie niedźwiedzica z tymi wszystkimi widocznymi kośćmi wygląda po prostu jak niedźwiedzica.

Ta rzeźba oznacza, że papa będzie się liczyć - twierdzi mama. Mimo że nigdy nie ukończył szkoły średniej! Ona to najlepiej wie. Poszła na studia! Papa nie przejmował się szkołą, za to uwielbiał czytać, dobrze więc im było razem. Tyle że on nie znosi Kościoła. Wychowywał się w nędznym kościelnym sierocińcu i na ramieniu ma bliznę od pasa, widziałem ją na własne oczy! Niemniej skłonił mnie, bym został ministrantem itede, bo matka tego chciała, a St. Vincent to dobra katolicka szkoła. No i chodzę do niej za darmo, bo zbikowana ciotka matki, Zelda, wszystkie swoje pieniądze przekazała tej szkole. Dano mi nawet imię starego księdza, który uczył tam łaciny.

Rodzina Riconnich próbuje stworzyć coś liczącego się od mniej więcej stu pięćdziesięciu lat i jak dotąd nie bardzo się to udaje. Pradziadek zabił się, gdy pracował wysoko na Brooklyńskim Moście. Dziadek zginął we Francji, budując w czasie drugiej wojny światowej przeprawę przez rzekę dla wojska. Riconni łatwo umierają, nim zdążą się zestarzeć.

Tak więc papa chce tworzyć sztukę, która pozwoli ludziom zapamiętać nasze nazwisko i nasze WSPANIAŁE idee. Musi się spieszyć. W Ameryce nie pozostało wielu nas, Riconnich. Przypuszczam, że jedynie ja, on i matka. A ona z domu nazywała się Dolinski.

Teraz papa wyjeżdża. I to wszystko z powodu jego sztuki. Z powodu tej niedźwiedzicy za pięć tysięcy dolarów. Tej cholerne niedźwiedzicy. To DUŻA, cholerna, sakramencka niedźwiedzica. Spoglądała na mnie z góry w warsztacie Gootsa, jakby wiedziała, że nie jestem taki duży jak ona. Papa twierdzi, że rzeźby do niego mówią. (On nie ma fioła. Mamy na naszej ulicy kilku świrów, znam się więc na tym). Powiada, że niedźwiedzica mu" mówiła, żeby JECHAĆ po TO. Rzucić robotę i zostać prawdziwym rzeźbiarzem, całą gębą.

Mam kłopoty ze zrozumieniem tego, co sobie wyobraża ta niedźwiedzica. To nie w porządku. Martwię się. Ale nie płaczę. Nie! Nie płaczę! Tylko czuję się tak, jakbym rdzewiał od środka.

Pewnego pogodnego kwietniowego ranka Richard Ricconi wrzucił worek z ubraniem na tył swojej starej ciężarówki obok sprzętu do spawania, pudła z garnkami, naczyniami i talerzami, polowego łóżka, śpiwora i skrzynki pełnej książek - kolekcji często wertowanych przez niego dzieł o sztuce i rzeźbie. Był to mężczyzna wysoki, szeroki w barach, z dłońmi o opuchniętych stawach, o ciemnych włosach i błyszczących szarych oczach. Kobiety, które szły obok po zaśmieconym chodniku, niosące prowianty czy pranie albo śpieszące do sklepów z zakratowanymi oknami i obdrapanych domów z ciężkimi zamkami u drzwi wejściowych, posyłały mu zachwycone spojrzenia. Była to zakazana dzielnica i robiła się coraz bardziej zakazana. Ludzie chodzili przyspieszonym krokiem. Gdyby miał inne możliwości albo dosyć pieniędzy, nigdy nie pozostawiłbym tutaj żony Angele i syna Quentina.

Richard żywił uczucie miłości i nienawiści do swoich rzeźb, a one odzwierciedlały jego nierówną walkę z życiem jako takim. Nieustannie rozmontowywał swoje dzieła i zaczynał je od nowa, wiele z nich porzucał ze wstrętem na pół ukończone. Używał metalu ze złomowanych samochodów, z akcesoriów, skorodowanych żelaznych płotów i starych blaszanych dachów, a wszystko to nie chciało nagiąć się do form, które widział w swojej wyobraźni. Jedynie z Żelazną Niedźwiedzicą poszło mu łatwo. Nigdy tego nie zapomniał.

Dopóki nie skończył ładowania swojej starej poobijanej ciężarówki, nie pozwolił sobie na spojrzenie w górę, w okno na trzecim piętrze niewielkiej kamienicy. Wiedział, że go obserwują. Teraz wolno podniósł głowę. Żona i ich synek, tak bardzo do niej podobny, patrzyli z okna w dół na niego. Serce mu się ścisnęło. Pomachali mu, udając, że się uśmiechają.

Angele Dolinski Ricconi uniosła rękę, końce palców przycisnęła do szyby i trzymała go na uwieczni czarnymi pałającymi oczami za okularami w ciemnych oprawkach. Falujące czarne włosy miała wciąż jeszcze w nieładzie, w jaki wprawiły je jego ręce. Sprawiała wrażenie wyższej, choć była średniego wzrostu, i mocniej zbudowanej mimo swojej szczupłej budowy. Richardowi zawsze wydawała się większa niż w rzeczywistości, zawsze przerastała go swoim głębokim szacunkiem dla wiedzy i ideałów.

Angele gardziła litością, rozczulaniem się nad sobą i innymi. Zaznała tego pod dostatkiem w życiu. W dzieciństwie w wypadku samochodowym, w którym zginęła jej matka, zmiażdżyło jej prawą nogę. Ojciec opuścił je wiele lat przedtem. Angele pamiętała bolesne kuracje i lata samotnej rekonwalescencji spędzane w mieszkaniu ekscentrycznej ciotki Zeldy na Manhattanie, gdzie na krzesłach, na kanapach, nawet w kredensie z porcelaną i w szafkach łazienkowych tłoczyły się setki porcelanowych lalek i starodawnych misiów.

Angele dorastała, zagrzebując się w książkach, by w ten sposób uciec z miniaturowego zatłoczonego świata ciotki Zeldy. Kiedy ta umarła, nie zostawiwszy niczego siostrzenicy, przeprowadziła się do Brooklynu, bo tam dostała pracę w imponującej Bibliotece Brooklyńskiej, którą miłowała. Wynajęła pokój w pensjonacie dla katoliczek i wiodła życie

satysfakcjonujące, lecz bardzo samotne.

Pewnego dnia, porządkując półki w bibliotece, spotkała Richarda.

- Panienko, muszę znaleźć książkę z teorii nowoczesnej rzeźby - powiedział niskim głosem. Patrzył na nią przez lukę między książkami. Brudny, muskularny i ubrany w roboczy kombinezon, nie przypominał bywalca bibliotek. Spodobały jej się jednak jego oczy, srebrne i miękkie w wyrazie, a i on sam też wyglądał na człowieka szczerego.

Właśnie miała mu odpowiedzieć, kiedy podszedł strażnik.

- Wynocha! - rozkazał. - Idź się oporządzić, jeśli chcesz się tu kręcić i niepokoić bibliotekarki.

Richard wyprostował się z pełną złości dumą człowieka często lekceważonego. Oczy mu pałały, zacisnął pięści. Strażnik sięgnął po pałkę przy pasie.

- Ja za niego odpowiadam, Charlie - powiedziała szybko Angele. - To mój znajomy. Przyszedł prosto z pracy. Szukamy książki.

Strażnik zmarszczył brwi, przeprosił i odszedł. Richard przypatrywał jej się palącym wzrokiem. Nie była przyzwyczajona do mężczyzn, którzy by tak na nią patrzyli. Nosiła okulary i chodziła o lasce. Jej proste spódniczki i białe bluzki mówiły, że frywolna moda przekreśla poważne cele. Pod wpływem żywej myśli albo jakiegoś ekstrawaganckiego, nagle przywołanego akapitu jej gibkie dłonie wędrowały w podnieceniu ku krótkim ciemnym włosom, jakby pociągnięcie za nie otwierało więcej przestrzeni w mózgu. Stale sprawiała wrażenie rozczochranej. Dotąd wierzyła, że nigdy żaden mężczyzna nie uzna jej za seksowną.

Ten jednak wpatrywał się w nią tak, jakby pragnął ją zjeść żywcem i na dodatek sprawić, żeby Angele się to podobało.

- Dlaczego pani nadstawia karku za mnie? - spytał.

- Przyszedł pan tutaj, żeby znaleźć odpowiedzi na swoje pytania, a moim obowiązkiem jest ich udzielenie. Nikogo nie powinno się zmuszać do opuszczenia biblioteki.

Obszedł wolno regały i zbliżał się do niej powoli, dając jej szansę wycofania się. Nie zrobiła tego.

- Mogę wykorzystać wszystkie odpowiedzi, jakich zechce mi pani udzielić - powiedział. Ani na chwilę nie spuszczała z niego wzroku. Podał jej wyciągnięty z kieszeni szkic na zwiniętej kartce z notesu. Był to projekt jakiejś szaleńczo powykęcanej rzeźby, którą zamierzał zrobić, kiedy będzie miał bardziej odpowiednie miejsce do pracy. - Chcę zobaczyć, czy tylko naśladuję rzeźbę Boccioniego, którą zapamiętałem. Boccioni był rzeźbiarzem, futurystą...

- Jakież to fascynujące! - Przyglądała się rysunkowi, potem jemu, jakby trafiła na brylant. - Ten specyficzny ruch koncentrował się na dwudziestowiecznej technologii, czyż nie? Był to pierwszy istotny krok na drodze ku totalnemu ubóstwieniu ery maszyn.

Zasługiwała na to, by popatrzeć na nią z całkowitą i natychmiastową aprobatą. Dotąd nikt nie pojmował ani nie podzielał jego niezrozumiałej pasji.

- Czy kiedykolwiek pragnęła pani być kimś i nagle sobie uświadomiła, kim? - zapytał.
- Wstrzymała oddech, potem kiwnęła głową. - Mam ochotę na kawę i na kanapkę - dodał obcesowo. - Jeśli ma pani trochę czasu.

- Och, tak. - Tego dnia spotkała się z nim po pracy. Dziesięć lat upłynęło od tamtego czasu i zawsze byli razem. Zawsze będzie wierzyć w niego i we wspólne ideały.

Dziesięć lat później, stojąc pod oknem ich mieszkania, Richard patrzył na nią i myślał: „Lepiej by zrobiła, gdyby za mnie nie wyszła”. Kochał ją, bo ona wierzyła, że zrobiła dobrze, wychodząc za niego.

Gipsowa kopia *Głowy kobiety* Picassa, stojąca na parapecie okna między nią a Quentinem, też na niego spoglądała. Angele dała mu ją na urodziny przed laty. „Głowa, serce, dusza i marzenia - napisała na kartce. - Wszystko twoje. Jesteś jedynym mężczyzną, jakiego znam, który zrozumie ten prezent”.

Podniósł rękę, przywołując na dół Quentina. Oboje z Angele tak się umówili, żeby syn mógł przez chwilę być z nim sam na sam. Quentin zniknął błyskawicznie z okna. Angele nie spuszczała z Richarda wzroku pełnego oddania. Dziesięć lat miłości, małżeństwa i nierealnych marzeń - zderzenia dwóch światów, jego, człowieka z ulicy, i jej, z lepszego towarzystwa.

Quentin wyskoczył z frontowych drzwi czynszówki i biegł w dół po betonowych schodkach, a potem gwałtownie zahamował, starając się usilnie zachować równowagę.

- Papo, jestem gotów - oznajmił zdecydowanym tonem. - Czytałem o rzymskich cesarach. Gdy wyruszali na wojnę, ich dzieci stawały w szeregu i wręczały im prezenty. - Sięgnął pod pulower i wyciągnął paczkę pocztówek, które zrobił z kart kartotekowych. Wszystkie zaadresowane były do pana Quentina Ricconniego i zaopatrzone w znaczki. Po drugiej stronie nakleił tytuły wycięte z gazety. *Satelita Surveyor znajduje spokojny dom na Księżycu. Przeciwnicy wojny mówią: „Sprowadźcie żołnierzy do domu”. Gwiazdne szlaki program TV: Podróże daleko od domu.* - Będziesz więc mógł do mnie pisać. I będą ci przypominać o domu - powiedział, wręczając ojcu pocztówki. Richard wziął je z należytą czcią.

- Są wspaniałe. Po prostu wspaniałe. - Podziwiał je przez chwilę, czekając, aż przestanie ścisnąć go w gardle. - Chodź, siądziemy w aucie i pogadamy jak mężczyzna z mężczyzną.

Wsiedli do szoferki, zatrzasnęli drzwiczki. Richard położył ostrożnie pocztówki na popękany winylowy siedzeniu, po czym zapalił papierosa, wystawiając rękę przez otwarte okno, i obserwował dym unoszący się z niego w chłodnym wiosennym powietrzu.

- Chcę, żebyś wiedział, na których złych facetów masz uważać. Widzisz tego gościa

przy następnym bloku? Tego, co stoi koło starej żółtej furgonetki?

- Tak, ojcze.

- To ćpun. Sprzedaje narkotyki. Jest tu nowy, ale myślę, że nie brakuje tu i innych.

- Nie będę z nim rozmawiał.

- A jeśli cię zagadnie?

- To go zignoruję, tak jak każe mi robić mama, gdy dzieciaki się ze mnie naśmiewają, że chodzę do St. Vincenta. Używam mózgu, a nie pięści. Mam dobrze w głowie, nie muszę więc strzepić sobie gęby. - Wyrecytował sumiennie litanię matki.

- A jeśli ćpun nadal będzie próbował z tobą gadać? Jeśli spróbuje dać ci jakieś narkotyki? Jeśli powie coś, czego nie powinien powiedzieć twojej matce? - Richard patrzył na niego ponurym wzrokiem i czekał. Quentin się wahał, ale nie z braku pewności siebie. Dzieciak był super, doskonale się uczył i dzięki Angele nigdy nie będzie musiał pracować w jakimś warsztacie czy martwić się o pieniądze. Będzie kimś eleganckim, może doktorem albo prawnikiem. Będzie miał tytuł naukowy i literki pisane po nazwisku.

Jeżeli uchowa się w tej dzielnicy. Richard musiał się upewnić, że tak będzie.

Przyglądał się synowi i myślał zatroskany: „Przeze mnie i przez Angele dzieciak jest między młotem a kowadłem. Uczyliśmy go odmiennych rzeczy. Ma mętlik w głowie”. Quentin siedział w milczeniu i wciąż się zastanawiał.

- Nie mów mi tego, co chciałaby usłyszeć twoja matka - rozkazał Richard. - Powiedz to, co chcę usłyszeć ja. Co zrobisz temu ćpunowi, jeśli będzie się ciebie czepiał?

Quentin wypuścił powietrze. Zmrużył oczy i uśmiechnął się.

- To go kopnę w jaja.

- Słusznie. Potem pójdziesz i powiesz o tym Alfonse'owi Espositowi, a on go każe aresztować. - Alfonse, dobry sąsiad, był detektywem w policji nowojorskiej. - To samo odnosi się do każdego, kto będzie podskakiwać tobie albo twojej mamie. Jak Frank Siccone. To sakramencki lichwiarz, a jego dzieci to złodzieje. Nie bierz od nich niczego. *Capice?*

- *Capice.* - Quentin kiwnął głową i Richard zobaczył, że uniósł rękę do brody. Pewno już parę razy pobił go syn Sicconego, Johnny, starszy od niego i silniejszy.

Richard chrząknął.

- Twoja mama chce, żebyś był grzecznym ministrantem, który się nie bije i brzydsko nie mówi. Wiem, że się starasz. Mówisz ładnie, uczysz się, jesteś naprawdę rozgarnięty. Dumny jestem z ciebie. Zachowuj się tak, jak chce mama, zwłaszcza gdy jesteś przy niej. - Richard nachylił się do niego. - Ale kiedy jesteś tu - machnął pokiereszowaną w bójkach, zgrubiałą dłońią w kierunku ulicy - zachowuj się tak jak ja, dobra? Mów jak twój stary, bij się jak twój stary i postaraj się, by ludzie wiedzieli, że nie mogą zadzierać z tobą ani z twoją mamą. Bo te męty tutaj mają w nosie to, że znasz łacinę. Nie obchodzi ich, że jesteś rozgarnięty. Bimbają na to, co robili rzymscy cesarze. I słuchaj, ja wiem, że ci dokuczają z powodu szkolnego

mundurka i krawata, które musisz nosić, i tego wszystkiego. Wykombinowałem to sobie.

- Ach, to po prostu banda tępych kutafonów - zapewniał go Quentin z wielką pogardą.

- Tak mówi pani Silberstein.

- Taak, ale jak pozwolisz im się kiwać, to pewnego dnia cię zabiją.

Quentin wyprostował się z dumą.

- Oni ze mną nie będą zadzierać - oświadczył. - I nie zabiją mnie. I będę się opiekować mamą. Przysięgam.

Richard przyciągnął go do siebie i uściskał z całego serca. Trwali w uścisku przez dłuższą chwilę, potem ojciec pocałował syna w ciemną czuprynę i odsunął na bok.

- Bądź najgorszym łobuzem z całego kwartału, rozumiesz? I najlepszym uczniem. Będziemy się widywać w co drugi weekend. Zamierzam założyć sobie tam telefon, żebyś mógł do mnie dzwonić, gdybyś mnie potrzebował.

- *Capice.*

- Masz. Nie jestem rzymskim cesarzem, ale mam dla ciebie prezent. - Wyciągnął z kieszeni wełnianej kurtki jakiś cienki świecący przedmiot i podał go chłopcu. Quentin cicho gwizdnął. Ostrożnie chwycił długą srebrną rączkę, nacisnął guzik z boku i wysunęło się z niej długie, podobne do sztyletu ostrze.

- Bije na głowę mój najlepszy scyzoryk - szepnął. - Dzięki, papo.

- Powiedz, jak będziesz tego używać.

- Nigdy nie wyciągnę go dla zabawy, bo to nie zabawka. Nigdy nie pokażę ojcu Aleksandrowi. Ani mamie. Nigdy nie pochlastam nim żadnego faceta, o ile pierwszy nie będzie próbował mnie skaleczyć.

Richard pokiwał głową. Quentin wolno złożył śmiercionośne ostrze i wsunął nóż pod kurtkę. Popatrzył na ojca z nieszczęśliwą miną i zaciśniętymi ustami. Nadeszła pora rozstania.

- Musisz wyjechać tak daleko, żeby pracować? - zapytał. - To niemal już w Kanadzie.

- Tak, muszę wyjechać. Dostanę ten magazyn za darmo, jest odpowiednio duży, no i mam pieniądze za rzeźbę tej niedźwiedzicy. Wreszcie będę mógł wystartować. Twój stary nie jest próżniakiem. Żeby nie wiem ile to kosztowało, będziesz kiedyś ze mnie dumny.

- Już jestem dumny. Zmierzył czuprynę synowi.

- Dobry z ciebie dzieciak - burknął. - Teraz rzuć mi ze dwa zdanka po łacinie i, do diabła, zabieraj się stąd na górę. Bądź mężczyzną dla twojej matki, okej?

Quentin wysiadł z auta, zatrzasnął drzwiczki, po czym oparł się o okno od strony pasażera. Zrobił parę głębokich wdechów i Richard zauważył z bólem, że syn stara się opamiętać i nie płakać. „Dzieciakowi nic się nie stanie - prawie modlił się w myślach - jeśli tylko będzie trzymał się linii oddzielającej szlachetne idee i bezlitosne fakty”.

- *Ars longa* - odezwał się w końcu Quentin - *vita brevis*. - Sztuka jest długotrwała,

życie krótkie.

Richard uśmiechnął się szeroko.

- Okej, mądralo. Co to znaczy?

- Chcę, żebyś żył wiecznie - odparł ochryplym głosem Quentin, po czym odwrócił się i odszedł, zanim z oczu trysnęły mu łzy.

Rozdział 2

Kilkudziesięciu studentów Mountain State College (i więcej niż kilku szacownych wychowanków) usiłowało w środku nocy podpalić, pociąć albo obtłuc Żelazną Niedźwiedzicę. Lecz ona nienaruszona i pełna godności stała mocno na czterech łapach na honorowym miejscu kolistego ceglanego patio między rabatką z żonkilami a azaliowym żywopłotem budynku administracyjnego.

Awersja Tiberów do tej rzeźby rosła z każdym rokiem. Niezadowolony pracownik przetwórci Tiberów, wychodząc z drzwi, rzucił panu Johnowi: „Idź pan i wsadź swojego fiuta Żelaznej Niedźwiedzicy”. Farmer, hodowca kurcząt, któremu skrócono wylęg, burknął: „Czy to nie jest podwójna dawka niedźwiedzich jaj?” Słyszano, jak fałszywy i zjadliwy przyjaciel z klubu sportowego powiedział: „Może mój dom nie jest taki elegancki jak dom Tiberów, ale ja przynajmniej widzę różnicę między sztuką a kupą szmelcu”.

Często przesiadywałam w cieniu tej rzeźby, gdy tata zeskrobywał z niej napisy. Uczył mnie, że życie to dzieło sztuki, które tworzymy na prymitywnie spojonych punktach zwrotnych i fantazji pełnej nadziei. Mówił, że każde narodziny, każda śmierć, każda radość i każdy ból serca kształtowały nasz los z rzadkiego powietrza, podczas gdy zajęci byliśmy udawaniem, że to właśnie my kierujemy naszą własną konstrukcją.

- Świat jest pełen pospolitego bogactwa - powiedział, czyszcząc i malując swoją ukochaną niedźwiedzicę. - Za pieniądze niczego nie możesz sobie kupić, jeśli nie jesteś szczęśliwy. Lepiej obchodzić się bez nich.

My się obchodziliśmy.

Tata nie dbał o pieniądze i dopóki mógł zarobić wystarczającą sumę na pokrycie naszych podstawowych potrzeb i na spłaty pożyczki zaciągniętej na budowę kurników, chętnie dzielił się z sąsiadami tym, co mu zostawało. Oni mieli jeszcze mniej niż my. Mama nie potrzebowała pieniędzy ani wygód. Długie, miękkie brązowe włosy zaplatała w warkocze sięgające kolan, nie podmalowywała sobie dużych oczu w kolorze młodych zielonych liści i zawsze pachniała świeżym chlebem kukurydzianym i talkiem - jej jedynymi perfumami. Wychowywała się w rodzinie wędrownych kaznodziei z gorących moczarów południowej Georgii, którzy dotykali węży i uzdrawiali wiarą. Byli to wyznawcy małej fundamentalistycznej sekty chrześcijan ewangelicznych tak rygorystycznie stroniących od nowoczesnego świata, że przy nich ludyści wydawali się tolerancyjni.

Poznała tatę pewnego lata podczas pokazu odrodzenia religijnego, który urządziła jej wędrująca rodzina na podmiejskim terenie przeznaczonym na nabożeństwa pod gołym niebem. W czasie kazania ogarnęło go wzburzenie, gdy rodzice podali jej pudło pełne grzechotników. Mama skończyła właśnie szesnaście lat i w ich oczach nadeszła pora wypróbowania jej wiary. Tata widział, jak wkładała drżącą rękę do pudła. Nawet nie pisnęła, gdy wąż ukąsił ją w palec. Wrzasnął za to tata.

Przedarł się do kazalnicy, chwycił ją w ramiona i pobiegł do okręgowego szpitala, a za nim gnała cała rozwścieczona rodzina. Tak długo odpierał ataki jej morderczych krewnych uzdrawiających wiarą, dopóki oszołomiona mama nie przyznała, że chce, by ją kurował lekarz. Stała się wprawdzie straconą duszą, niemniej chciała żyć. Rodzina z miejsca jej się wyrzekła. Tydzień później poślubiła tatę w budynku sądu i zarządu hrabstwa, ale poprzysięgła, że nigdy więcej jej noga nie postanie w szpitalu. Na tyle, na ile mogła, musiała szanować utracone dziedzictwo.

Nie tylko nie dbała o pieniądze, ale także traktowała podejrzliwie najmniejszą wzmiankę o chciwości, która jest złem i zasługuje na najgorsze demony szatana.

- Potrzyj ten jeden koniec tej jednodolarówki - powiedziała do mnie, kiedy miałam pięć lat. Trzymałam brzeg banknotu z szeroko otwartymi oczami. - Trzymaj mocno! Zamknij oczy.

- Są zamknięte! Trzymam, mam!

- Czujesz, jak coś ciągnie z drugiej strony? - Ciągnęła ona, ale ja, będąc pod urokiem tego przedstawienia, nie zwróciłam na to uwagi.

- Tak! - Byłam jak zahipnotyzowana.

- To szatan!

Upuściłam banknot, popatrzyłam nań ze zgrozą i nie chciałam podnieść go z ziemi.

- Niech go sobie weźmie! Mama z dumą pokiwała głową.

- Im mocniej trzymasz pieniądze, dziecko, tym mocniej on i jego demony ciągną. I będą ciągnąć tak długo, aż ściągną cię ze sobą w ogień piekielny. - Przez wiele lat od tej chwili nie tknęłam pieniędzy. - Nad Tiberami - mówiła - trzeba się litować; zgubi ich żądza pieniędzy i poklasku. Każdego dnia kuszą diabła swoimi pięknymi domami i luksusami. Ich dobre czyny są niczym, prochem - twierdziła mama - bo nie potrafią wyzbyć się grzechu pychy, a żaden dar nie jest bogobojny, jeśli ofiarowuje się go z myślą o nagrodzie.

To prawda, że Tiberowie umieścili na wszystkim, co zbudowali dla miasta, swoje nazwisko, a ściany gabinetu pana Johna w zakładach „Drób Tiberów” obwieszono plakietkami i dyplomami wychwalającymi jego działalność charytatywną. Lecz prawda była również taka: mama wywodziła się z ludzi żyjących w takiej poniewierce, że religia stała się dla nich opiatem kojącym cierpienia. Ja nie czułam się biedna, nic więc z tego mi nie przeszkadzało.

Miałam najcudowniejszy dom w całym wszechświecie. Nasze wiejskie domostwo, stodoła, pastwiska i budynki gospodarcze - wszystko to znajdowało się na końcu szlaku tak starodawnego, że znajdowałam tam groty strzał znacznie starsze od tych, które mógłby pozostawić jakikolwiek Czirokez. Zanim osadnicy zaczęli jak szaleni polować na niedźwiedzie, zimowały one tutaj w trudnej do spenetrowania dolinie potoku i w granitowych pieczarach. Mogłam chować się pod skalnymi zwisami, przycupnąć w wyimaginowanym okryciu z futra zakończonego pazurami, jak władca wszelkiego dzikiego stworzenia.

Włącznie ze mną. Wiele było nieswojonych miejsc, zarówno tam, jak i poza obrębem tych terenów, gdzie dzieci same musiały znaleźć drogę.

W czasach mojego dzieciństwa w Tiberville nie było przedszkola ani żadnego ośrodka dziennej opieki, które mogłyby się pochlubić boiskiem z plastikowymi sprzętami w cukierkowych barwach i o zaokrąglonych kantach. Tata zaczął raz w tygodniu przywozić mnie na boisko domu kultury za przetwórną „Drobie Tiberów”. Tam uszczęśliwiona szalałam z trzydziestoma kilkoma innymi pięciolatkami, narażając życie na metalowych huśtawkach i metalowych zjeżdżalniach o ostrych kantach.

To wspaniałe cotygodniowe wydarzenie, znane pod nazwą Czasu Zabawy Małych Obywateli, zainicjował i sponsorował „Drób Tiberów”, który zapewniał ciasteczka, poncz i indoktrynację. Czas Zabawy Małych Obywateli zaplanowano, żeby rodziny najbardziej odizolowanych farmerów przyciągnąć do cywilizowanego świata miasta, gdzie ich dzieciom można było wpoić przekonanie, że Tiberowie to pracodawcy życzliwi i postępowi.

John Tiber posyłał tam też swoją pięcioletnią córkę Janine. Jak przypuszczam, życzył sobie, by wszyscy wierzyli, że Tiberowie to po prostu zwykli ludzie, choć w rzeczywistości rządzą całym miastem.

Janine знаła już jednak swoje miejsce w świecie. Była księżniczką drobie, a reszta spośród nas tylko dziobiącymi kurczakami.

Ubrana w śliczne sweterki i kostiumy gimnastyczne, z jasnymi włosami ściągniętymi do tyłu w idealny koński ogon, piszcziała, kiedy choćby najmniejszy brudek splamił jej wykończone falbanką skarpetki. Sięgała po wszystko, czego sobie życzyła - po ciastko, miejsce w kolejce do huśtawki albo inną dziecięcą zabawkę. „To moje” - mówiła kategorycznym tonem i odpychała ofiarę z drogi.

Próbowałam jej nie zauważać. Była przecież tylko godną pożałowania, skazaną na zatracenie grzesznicą. Ja byłam od niej lepsza, cnotliwsza. Kiedy panie wręczyły nam paczuszki z galaretkami - moimi najukochańszymi smakołykami - ja swoje rozdałam, ożywiona myślą o ślubach ubóstwa i samopoświęcenia oraz nadzieją, że zrobi to wrażenie na Panu Bogu, który podaruje mi więcej galaretek. Tak się jednak nie stało.

Początkowo Janine wyczuwała, jak mi się wydaje, że jestem kimś, kogo należy zostawić w spokoju. Byłam wysoka i dobrze zbudowana, wyrobiłam sobie mięśnie podczas

godzin spędzanych na pomaganiu rodzicom przy oczyszczaniu kurników. Janine zaś była gruba, mała i sprytna, gdy więc w końcu pewnego dnia ruszyła do ataku na mnie, zdołała chwycić jedyną rzecz, której nikt nie powinien był próbować mi zabrać. Moją książeczkę *Była to noc przed Bożym Narodzeniem*. Niewielką książeczkę w twardej oprawie, zawierającą ten wiersz, dostałam w prezencie od taty na Gwiazdkę. Wiersz umiałam już cały na pamięć, bo od Gwiazdki upłynęło pół roku, ale wszędzie ze sobą nosiłam tę książeczkę.

- To moje - syknęła Janine, po czym porwała moją książkę i uciekła. Goniłam ją aż do drzwi domu kultury, gdzie się schowała. Jej matka, żona pana Johna, Audrey Tiber, należąca do eleganckiego świata Atlanty, zabroniła mi wchodzić do środka.

- Nie, nie - powiedziała słodkim głosem, machając ubrylantowaną dłonią, w której trzymała długiego papierosa - zostań na dziedzińcu. Jesteś zbyt brudna, żeby wchodzić do środka.

- Janine zabrała mi moją książkę, proszę pani - oznajmiłam.

- Jestem pewna, że ci ją odniesie. - Zamknęła drzwi.

Czekałam wytrwale w pobliżu huśtawek, a mój umysł przypominał gotujący się wulkan. Otaczała mnie wrzawa bawiących się i niczego niepodważających dzieci, z których żadne nie zdawało sobie sprawy, że są przyszłymi kontraktowymi hodowcami Tiberów albo robotnikami w ich zakładach. Czekają to również mnie, tak przynajmniej uważali Tiberowie. Ścisnęło mnie w żołądku ze złości i zdenerwowania. Moja książka. Moja ukochana książka. Książki są święte. Tak mówił tata. W końcu Janine wyszła tylnymi drzwiami. Po mojej książce nie było ani śladu.

- Gdzie jest moja książka? - spytałam cicho.

- Ona jest moja - odparła i odeszła.

Oślepiła mnie żądza zemsty. Odciągnęłam, najdalej jak mogłam, ciężką metalową huśtawkę, po czym ją puściłam. Uderzyła Janine w tył głowy, powaliła na ziemię i znokautowała. Podbiegłam i gapiłam się na nią. Przez kilka sekund leżała bez ruchu. Krew zabarwiła jej blond włosy pod końskim ogonem. „Żadne stworzenie się nie poruszało” - pomyślałam zdrtwiała. Nawet ktoś z rodziny Tiberów.

Przyprawiłam Janine o wstrząs i głębokie rozcięcie na głowie, które wymagało dziesięciu szwów. Pani Tiber zakazała mi wstępu na imprezę Czasu Zabawy Małych Obywateli. W atmosferze hysterii i oskarżeń, jakimi mnie obrzucono tamtego popołudnia, zyskałam opinię upartego, bezlitosnego zabijaki, co to nie uroni nawet jednej łzy i na własną rękę wymierza sprawiedliwość, chociaż w rzeczywistości tak się martwiłam, że ledwie mogłam mówić.

Najgorsze ze wszystkiego było jednak to, że pani Tiber upokorzyła mojego ojca, kiedy tam przyjechał.

- Tomie Powell - przemówiła do niego. - Jeśli wiesz, z której strony smarujesz masłem

swoją kromkę chleba, to naucz swoje dziecko przyzwoitego zachowania. Od pracowników firmy mojego męża oczekujemy niewiele, trochę dobrej woli i dobrych manier.

- Proszę pani - odparł skruszonym głosem tata - przykro mi z powodu metody, jaką wybrała moja córka.

- To usprawiedliwienie, a nie przeprosiny!

- Mogę zaoferować tylko nieposmarowaną masłem kromkę swojego chleba, proszę pani.

- Będę zmuszona zerwać z panem kontrakt na hodowlę kurcząt. Zobaczymy, jak się pan poczuje, gdy nie będzie mógł opłacić rachunków i przyjedzie szeryf, żeby zająć pańską farmę!

- Nie widzę potrzeby prowadzenia tego rodzaju rozmowy, pani Tiber - odparował ze spokojem tata, ale pamiętam strapiony wyraz jego oczu i to, jak trzymał w rękach swój przepocony słomiany kapelusz, zupełnie jakby stał przed obliczem sędziego. Wiedziałam, że nigdy, nigdy więcej nie popełnię niczego, co mogłoby go wystawić na łaskę któregoś z Tiberów.

Wracając do domu w jego pikapie, zalałam się łzami.

- Nie zrobiłaś niczego aż tak strasznego - powiedział łagodnym tonem, w ogóle mnie nie rozumiejąc. - Pojedźmy do kampusu i pogadajmy z niedźwiedzicą.

Zawsze gdy miał jakieś kłopoty, ta rzeźba była dla niego inspiracją. Owego dnia pysk niedźwiedzicy pod nasadzonym na łeb garnkiem umazany był okropną fioletową farbą i ktoś powiesił jej z tyłu zdechłą mysz. Tata odrzucił mysz i usiedliśmy na murawie u stóp niedźwiedzicy.

- Jak myślisz, niedźwiedzica się wstydzi, że tak wygląda?

- Nie wiem.

- Ona wie, z czego została zrobiona. Nikt nie zdoła tego zmienić. - Może tata podejrzewał, że widziałam, jak go ponizono. Zapalił papierosa, jednego z tych, które nosił w miękkim skórzanym woreczku w kieszeni koszuli. Palił zadowolony, jakby dzielił się fajką pokoju z rzeźbą. - W środku jest piękna.

Spoglądałam w górę na niezdatny twór. Wyobraziłam sobie, że rzeźba ożywa i kroczy drogą w stronę Grani Tiberów, wielkiego białego domu z kolumnami, gdzie mieszkała Janine. Oczami duszy widziałam, jak ją naraz pożera z chrzęstem i klekotaniem. Po chwili rozkoszowania się tą grzeszną fantazją chwyciłam ojca za rękę.

- Pójdę do piekła - oznajmiłam. Uśmiechnął się.

- Nie, nie pójdziesz. Niedźwiedzica mówi, że jesteś dobra.

- Naprawdę myślisz, że ona może mówić?

- Jasne. Ale mówi również, że w milczeniu jest moc, a także w bezruchu. Moc myślenia po swojemu i kroczenia własną drogą. Niedźwiedzica nie przemawia do nas w taki

sposób, jak myślisz. Przekazuje nam poglądy, w które my nie wierzymy, bo jesteśmy zbyt uparci. Niedźwiedzica nie znosi ignorancji.

Znowu do oczu napłynęły mi łzy. Ukrywałam je przed tatą i spokojnie zwróciłam się do niedźwiedzicy: „Powiedz mi, jak mogę sprawić, żeby ludzie byli z nas dumni”. Odpowiedzi nie otrzymałam, a przynajmniej takiej odpowiedzi, jaką gotowa byłam usłyszeć.

Potem tata zapytał pana Johna o moją książeczkę i okazało się, że matka Janine ją wyrzuciła. Pan John nie zaproponował nawet, że książkę mi odkupi, bo żona go skrzyczała za zmuszanie ich córki do bawienia się z białą hołotą. I wyniosła się do swojej matki, która mieszkała w Atlancie, kiedy odmówił zerwania z tatą kontraktu na hodowlę brojlerów.

- Ja chcę tylko mieć znowu swoją książkę - powiedziałam mamie. - To jest nie w porządku.

Popatrzyła na mnie surowymi zielonymi oczami, zajęta mieszaniem ciasta w drewnianej dzieży. Jej mocne dłonie z niezawodną determinacją urabiały miękkie ciasto, tak samo jak moją duszę.

- Pan Bóg dał ci, dziecko, naukę, co to jest chcieć i potrzebować. Nie straciłaś twojej książeczki... masz ją wciąż w swojej głowie. To nieważne, że Janine Tiber posiada jej ciało - ty zyskałaś jej ducha. Nikt ci go nie może odebrać. Jeśli swoje serce oddasz przedmiotom, to zawsze będziesz się o nie martwić i nienawidzić kogoś, że się nimi bawi.

- Tak, proszę mamy - powiedziałam ponurym głosem. Jej nauki były trudne do przełknięcia. Człowiek musiał być wychowany w absolutnym posłuszeństwie, by wierzyć, że męczeństwo zastępuje sprawiedliwość. Zracjonalizowana akceptacja gnębienia to łagodne rozwiązanie. Ja nie byłam pacyfistką.

Janine Tiber stała się ostrym kawałkiem żwiru, który będzie mnie uwierał, umacniając pokłady niewywarłej zemsty. Wysiłała się, żeby mówić obrzydliwe słowa i robić mi obrzydliwe rzeczy, a ja znosiłam to z przebiegłą cierpliwością mięsożercy pogrążonego w zimowym śnie. Niemniej zrozumiałam, jak niską pozycję zajmuję w świecie takich ludzi jak Janine Tiber. Bywały dni, gdy byłam zdeprimowana i przekonana, że cały świat czuje ode mnie kurze łajno ubóstwa.

Zrobiłam sobie tarczę z kostycznej postawy. Źle zamaskowana włosami sterczącymi na wszystkie strony w pełnych życia niesfornych kędziorach, z poważną twarzą i zaciśniętymi zębami, z niebieskimi oczami zawsze przymrużonymi i zerkającymi z ukosa, układałam w skrytości ducha plany podboju własnego losu. Czerpałam odwagę z faktu, że w oczach każdego biednego dziecka, które stało się ofiarą Janine, byłam małym bohaterem, i to dodawało mi ducha, by kontynuować swoje próby.

Tak zrodziła się moja reputacja jako Powellówny, fakt o niemałych konsekwencjach w hrabstwie Tiber. Rozgłos, jakim od wielu pokoleń cieszyła się moja rodzina, przypominał gumową taśmę. Wystarczyło raz pociągnąć i stare historyjki powracały na ludzkie języki.

Zaczął się od pewnego Walijczyka i muła.

W roku 1847 Erim Powell wysiadł ze statku, który przypląnął z Walii. Wymienił zbiór swoich wierszy na starego muła, po czym wyruszył z wybrzeża Georgii w głąb lądu. Miesiąc później wykorzystał ostatni łut szczęścia i wygrał w karty czterdzieści hektarów ziemi w górach nad Atlantą. W starym kraju zarabiał na życie jako nauczyciel, choć wolał pisywać wiersze. Niemniej marzył o prosperowaniu w amerykańskiej głuszy. O posiadaniu ziemi.

Przyjechał na mule na skrzyżowanie dróg w górach, tam gdzie rodzina Tiberów i ich niewolnicy zbudowali kilka dużych chat i sklep z towarami mieszanymi. Tiberowie byli wykształconymi ziemianami z angielskich Tiberów od dawna zamieszkujących w Karolinie Południowej. Przystąpili już nawet do pieczołowitego wyznaczania ulic i parceli.

Muł upadł i zdechł. Erim pokonał na piechotę ostatnich parę kilometrów do swojej ziemi, podążając szlakiem, który od wieków prowadził niedźwiedzie do ich zimowych gawr. Nie był farmerem, nie martwił się więc tym, że większość jego posiadłości usiana jest pieczarami i znajduje się na niedostępnych zboczach, zarośniętych wawrzynowymi krzewami, albo w niewielkich górskich dolinkach, które każdego lata porasta wysoki kolczasty gąszcz jeżyn.

Niech tam Tiberowie mają swoje cywilizowane miasto. Erim swojemu królestwu nadał nazwę Niedźwiedziej Kotliny. Trudno powiedzieć, czy to los, czy poświęcanie się poezji przywiodły go tutaj, gdzie zapoczątkował naszą amerykańską dynastię.

Do pierwszych prawdziwych kłopotów z Tiberami doszło w rok po przybyciu Erima do hrabstwa Tiber, kiedy uwiódł ich kucharkę. Nazywała się Annie Walker. W jej żyłach płynęła krew w trzech czwartych irlandzka, a w jednej czwartej indiańska, czirokeska. Sztuki kulinarnej nauczyła się od Francuzki z eleganckiego nadbrzeżnego Savannah. Bracia Annie, mieszkający na pograniczu, powstrzymali Tiberów przed powieszeniem Erima, gdy ją poślubił.

Nieustraszeni Erim i Annie zaczęli tworzyć swoje gospodarstwo. On produkował i sprzedawał znamienitą kukurydzianą whisky, napisał kilkadziesiąt epickich poematów, które jakoś nie przetrwały na papierze, potem postawił z bali szkołę i zaczął uczyć każdego, dziecko czy dorosłego, kto chciał się nauczyć czytać i rachować. Mogli tam chodzić wszyscy: biali, czarni, niewolnicy czy ludzie wolni, a nawet kilku Czirokezów mieszanej krwi - takich jak rodzina Annie - którym udało się przetrwać po wycofaniu się wojsk rządowych w latach trzydziestych XIX wieku.

I znowu Tiberowie byli z niego niezadowoleni. Sprowadzili sobie niewolnika o nazwisku Daniel Washington i jego rodzinę. Daniel był zręcznym kowalem, stąd cieszył się pewnym szacunkiem. Niewolnicy łatwo znikali w górach i nigdy ich nie odnajdowano, jak już się przekonali Tiberowie. Chcąc mieć pewność, że Daniel będzie nadal czuć się szczęśliwy, pozwolili mu na założenie własnej kuźni i zatrzymywanie zarobionych pieniędzy.

Po jakimś czasie Daniel kupił ziemię obok farmy Powellów w Niedźwiedziej Kotlinie.

Erim i Annie serdecznie powitali Washingtona, a Erim w tajemnicy uczył jego dzieci czytać. Tiberowie, którzy zapewne podejrzewali Erima o zły wpływ, czym prędzej założyli w mieście prywatną Akademię Tibervilską i pozwolili uczyć się tam dzieciom Daniela - oszałamiający kompromis. Akademię tę przekształcono później w Mountain State College.

Powellowie mieli pięcioro dzieci, z których jedno - jeszcze jako mały chłopiec - gdzieś powędrowało i nigdy się nie odnalazło. Odtąd przez wiele lat Annie i Erim wycinali na pniach drzew we włościach Powellów płynące z serca wezwania, jakby ich utracony syn mógł nadal próbować znaleźć drogę powrotną. W naszym pokoju dziennym do dziś stoi kawałek pnia, który dziadek Joshua wyciął z ostatniego zachowanego dębu. Widnieje na nim napis: „Drogi chłopcze, czekamy”.

Okolo roku 1900 Annie, która była już starą kobietą, bo miała co najmniej siedemdziesiąt lat, też zniknęła. Grupa Czirokezów z Oklahomy ciągnęła przez miasto do Karoliny Północnej w drodze na zjazd w rezerwacie, może więc udała się wraz z nimi, jako że miała tam krewnych. Może też wybrała się na jeden ze swoich długich spacerów połączonych z wycinaniem napisów na pniach drzew i wpadła w jakąś jamę czy spadła z urwiska.

Erim miał złamane serce, ale upierał się, że zna prawdę. Jego żona zamieniła się w niedźwiedzicę. Annie pochodziła z klanu czirokeskiego niedźwiedzia i niedźwiedzie uznawała za święte. Czyż przed laty nie kazała przyrzec jemu i ich dzieciom, że żaden Powell nie będzie na nie nigdy polował? Tak więc na jego oczach przeszła przemianę i zniknęła w gąszczu jeżyn w Niedźwiedziej Kotlinie, skąd, nadal poszukując swojego utraconego syna, pilnowała, żeby wszystkie dzieci Powellów wracały do domu,

Skłonność Erima do snucia opowieści przyczyniła się do tego, że wieść o tym zdarzeniu rozeszła się po całym hrabstwie.

Tiberowie mówili: „Dobra, dobra, wiecie, jak patrzy na sprawy Walijczyk, gdy sobie popije”. Annie, żona czy niedźwiedzica, nigdy nie powróciła. Po śmierci Erima żartobliwą relację z jego opowieści publikował tygodnik „Tiberville Weekly News” w rubryce historycznej noszącej tytuł: *Dawne obyczaje, zwariowane czasy*. Odcinki tych opowiadań zebrano potem wraz z innymi kpiarskimi i niesłychanymi dykteryjkami o Powellach i innych zasiedlających góry rodzinach, które mieszkańcy miasta uważali za osobliwe. W latach trzydziestych Tiberowie wydali je w formie książki. Sprzedają ją nadal miejscowe sklepy. Takiej zniewagi żaden Powell darować nie mógł.

Bethina Grace Powell Tiber była najmłodszą córką Erima i Annie. Powellowie uważali ją za kobietą mocną, rezolutną, piękną i doprowadzoną do rozpacz przez męża Tibera. Ten ją bił i ciągnąc za kasztanowe powellovskie włosy, włóczył przez hol ich dużego domu przy Elm Street, zbudowanego w wiktoriańskim stylu. Tiberowie widzieli w niej przebiegłą intrygantkę, karierowiczkę i nierządnicę. Niezależnie od tego, jaka była prawda, Bethina

Grace okazała się córką swojej matki, ryzykantką poszukującą zagubionej duszy, i to własnej.

W roku 1910 Bethina Grace miała skończone czterdzieści jeden lat, gdy spakowała manatki, wsiadła do pociągu osobowego i wyjechała z miasta. Opuściła swojego męża Tiberę, prezesa Banku Hrabstwa Tiber, i ich na wpół dorosłe dzieci, a wśród nich pannę Betty, która mimo wszystko wspominała ją czule. Tiberowie wynajęli detektywów, żeby wytropili Bethinę Grace. Ci odkryli, że pojechała do Brazylii z pewnym mężczyzną, i to jednym z naszych - Nathanem Washingtonem, najstarszym wnukiem Daniela Washingtona. Oczywiście czarnoskórym.

Nathan i Bethina Grace wychowywali się blisko siebie w Niedźwiedziej Kotlinie, bawili się razem jako dzieci, zapewne byli w sobie zakochani jako nastolatki, ale wiedzieli, że ich miłość nie ma szans. Nathan jako młody człowiek wyjechał na Kubę i został kapitanem statku. Nigdy jednak nie zapomniał o Bethinie, a ona najwyraźniej nie zapomniała o nim.

Wrzawa, jaka wybuchła, gdy rozeszła się wieść o tym skandalu, postawiła na nogi Ku-Klux-Klan i na parę lat ściągnęła nieszczęścia na całe hrabstwo. W Niedźwiedziej Kotlinie zapłonęły krzyże, szkołę zbudowaną przez Erima strawiły płomienie, Washingtonowie stracili nastoletniego syna, którego zlinczował motłoch, a rodzinną tradycją u Tiberów stało się stronienie od Powellów.

Potem Powellom źle się wiodło. Jedyne najtwardsi i najbardziej uparci trwali tu nadal, a reszta nie miała tu po co wracać.

Czas płynął i spośród Tiberów jedynie panna Betty nie winiła nas za to, że jej matka - z domu Powell - uciekła z ciemnoskórym Nathanem Washingtonem. Panna Betty była wysoka, krępa, rumiana i ruda, a jej śmiech przypominał dźwięk klarnetu. Nie wyglądała jak prorok, ale znała głębie ludzkiej niedoli i nie chciała, żeby nieszczęście dosięgło kogokolwiek.

W młodości wiodła życie rozsądne, zwyczajne - jak to w Tiberville. Uczęszczała do Akademii Młodych Kobiet, po studiach odbyła podróż do Anglii, skąd przywiozła doktora Johna Vintona Habershama, angielskiego weterynarza, którego poślubiła podczas długiej morskiej podróży powrotnej. Wspólnie założyli firmę „Drób Tiberów” i mieli dom pełen dzieci.

Niestety w lecie roku 1928 doktor Habersham zmarł na chorobę Heine-Medina wraz z trójką ich córek. Zbolała panna Betty rozpoczęła krucjatę mającą ochronić resztę jej dziatwy i wszystkie dzieci z hrabstwa Tiber. Stała na czele górskiego ochotniczego towarzystwa zdrowotnego i zbudowała w mieście klinikę dla ofiar paraliżu dziecięcego, żeby nie trzeba było tutejszych chorych wozić gdzie indziej na leczenie. Przemierzała pełne kolein wiejskie drogi, rozdając wszystkim rodzinom broszury propagujące higienę i profilaktykę, czytała je tym, którzy byli niepiśmienni. Kazała spuścić wodę z miejscowych sadzawek albo je ogrodzić, utworzyła też filię organizacji zbierającej fundusze na badania nad chorobą Heine-

Medina oraz na pomoc dla jej ofiar.

W świetle jej straty osobistej i desperackiej sytuacji ogólnej cała ta działalność była rozumna. Lecz panna Betty przestała również chodzić do kościoła, zaczęła studiować buddyzm i inne religie Wschodu, sprowadziła z Karoliny Północnej czirokeskiego szamana, żeby porozwieszał ochronne talizmany w całym jej domu, konsultowała się z okultystami i ludźmi odczytującymi przeznaczenie z dłoni, brała udział w najrozmaitszych irytujących obrzędach mających odegnać cykle epidemii śmierci oraz opanować panikę, która w związku z tym szerzyła się w Tiberville i całym hrabstwie. Stała się kłopotliwa dla Tiberów. Zrobiła się śmieszna. „To przez tę krew Powellów w jej żyłach” - mówili.

Do roku 1940, gdy urodził się tata, jej opinia jako dziwaczki stała się pożywką dla lokalnej legendy. Panna Betty święcie wierzyła, że to jej skuteczne połączenie nauki, wiary i stuprocentowej magii ocaliło hrabstwo Tiber przed rozprzestrzenieniem się apokaliptycznej plagi. Ostatecznie hrabstwo miało najniższą zachorowalność na Heine-Medina na całym Południu i choroba ta nie ośmieliła się już zaatakować jej rodziny niemal przez całą generację.

Mimo dezaprobaty reszty Tiberów, którzy życzyli sobie, by ostatnich kilku Powellów zniknęło jak najszybciej z terenu hrabstwa, panna Betty zabierała prócz Johna również mojego tatę na swoje regularne objazdy. I tak on i jego kuzyn dorastali, jeżdżąc razem na przednim siedzeniu zakurzonego cadillaca i pomagając pannie Betty przy zbiorce pieniędzy na walkę z tą chorobą.

Lato roku 1953 było gorące i parne, ziemia jakby skurczyła się od słońca. Psy szukały chłodu pod gankami, jelenie skrywały się w najgłębszych jaskiniach, rabatki kwiatowe schły, małe kurczęta dusiły się tysiącami. Wąły ojciec taty, Joshua, który uczył w średniej szkole angielskiego, i jego młodsi bracia, Davy i Albert, zarazili się chorobą Heine-Medina i wszyscy trzech umarli. Miesiąc później gorączki dostali tata i John Tiber.

Panna Betty i matka taty, Mary, czekały w udręce, czy chłopcy wyzdrowieją, czy też zostaną porażeni paralizem.

Panna Betty przyjechała na farmę i zeszła na sam dół Niedźwiedziej Kotliny. Jako mała dziewczynka bawiła się tam, przedzierając przez laurowy gąszcz wraz ze swoimi kuzynami Powellami i dziećmi Washingtonów z sąsiedztwa, dopóki w ich życiu nie eksplodowała hańba jej matki. Znała legendę o niespokojnym duchu babci Annie.

- Szukam pomocy w świecie duchów - zwierzyła się Mary. - Jeśli babcia Annie rzeczywiście gdzieś się tu błąka, to chcę poprosić ją o opiekę. Mówiono, że zawsze będzie się opiekować naszymi dziećmi. Nie uratowała moich dziewczynek i nie uratowała waszego Davy'ego i Alberta, musiała więc mieć do nas jakąś pretensję. Zamierzam to zbadać.

- No dobrze - odparła ostrożnie Mary, bo obawiała się panny Betty. - Ja przygotowuję trochę mrożonej herbaty, podczas gdy ty będziesz rozmawiać z duchem.

Godzinę później Betty wdrapywała się chwiejnie z powrotem na zbocze, machając rękami i krzycząc. Twarz miała czerwoną z podniecenia, siwiejące włosy zmierzwione. Do jej sukienki i nylonowych pończoch poprzyczepiały się wrzoście i liście, jakby ją namagnesowano.

- Nasi chłopcy będą żyć - zwróciła się do Mary. - Widziałam ducha niedźwiedzicy! Przemówiła do mnie babcia Annie. Tommy i Johnny wyzdrowieją! I wkrótce będzie lekarstwo na tę chorobę! Obiecałam uhonorować niedźwiedzie, zobaczysz! Mary, musimy je sprowadzić z powrotem do Niedźwiedziej Kotliny! Plaga się skończyła, Mary!

Miała rację. Tata i Johnny w ciągu tygodnia powrócili do zdrowia. Istniały jednakże inne rodzaje plag i mój biedny przyszły ojciec, który miał zaledwie trzynaście lat, musiał z nimi żyć. Panna Betty chciała zatrzymać go w szkole, a następnie posłać do college'u, żeby studiował sztuki plastyczne, ale moja dumna babka powiedziała: „Nie”. Był teraz jedynym mężczyzną w rodzinie, musiał więc pracować. Trzeba było popłacić rachunki.

Panna Betty podżyrowała niechętnie pożyczkę bankową, żeby Mary mogła w Niedźwiedziej Kotlinie postawić dwa kurniki i dostać kontrakt na hodowlę brojlerów.

„Drób Tiberów” dostarczał kurczętą, karmę i leki. Farmer zapewniał kurniki i nigdy nie kończącą się wyczerpującą harówkę. Po spłaceniu hipoteki i pokryciu ogólnych wydatków roczny dochód ledwie starczał rodzinie na zapłacenie rachunków. Tata i jego matka, przywiązani do hipoteki i długoterminowego kontraktu na hodowlę brojlerów, stali się parą dodatkowych służących Tiberów.

Wkrótce tata na bocznej ścianie kurnika namalował swoje pierwsze dzieło - niedźwiedzie uwięzione w klatce cyrkowej. Babka je zamalowała, a syna wychłostała, jakby stracił rozum. Ale on znowu namalował niedźwiedzie. Babka ponownie go wychłostała. Nie mógł nic na to poradzić - zbyt wielki był jego smutek i frustracja. Kiedy po raz trzeci namalował niedźwiedzie, babka uświadomiła sobie, że chłopak nie wytrzyma bez upiększania ponurej przyszłości, jaką mu przeznaczono.

W ciągu roku szczepionka Salka i Sabina zaczęła eliminować chorobę Heine-Medina, tak jak obiecywała babcia Annie. Panna Betty rozpoczęła wielką kampanię na rzecz przywrócenia w hrabstwie Tiber niedźwiedzi, niemal całkowicie wybitych przez myśliwych. Przez przeszło dziesięć lat wynajmowała ludzi, żeby chwyтали niedźwiedzie w wyższych partiach gór i wypuszczali je w naszej okolicy - ku zgrozie Tiberów i większości mieszkańców hrabstwa. Tata stał się jej wiernym młodym pomocnikiem, wysypywał kukurydzą nowo przybyłym niedźwiedzim, gdy zimy były ciężkie, i usiłował odpędzić myśliwych, zresztą daremnie. Niedźwiedzie najspokojniej zabijano albo przeganiano, często na skutek dyskretnych poleceń krewnych samej panny Betty, w tym również pana Johna. Z każdym rokiem panna Betty i tata - uporczywie wypełniający swoją misję - odczuwali coraz większe rozgoryczenie i rozpacz.

Potem wpadli na pomysł postawienia rzeźby. W broszurze krajowego biura organizacji zwalczającej chorobę Heine-Medina trafili na niewielki artykuł o darczyńcach z innych części kraju. Jednym z nich był Richard Ricconi. Niedawno ofiarował nowoczesną rzeźbę na aukcję filantropijną. Wykonał ją z aparatów ortopedycznych ofiar tej przerażającej choroby. Rzeźbę opisano w sposób nader mglisty i dyplomatyczny, nie podano również, za ile ją sprzedano i czy w ogóle została sprzedana. Kiedy jednak tata pokazał panie Betty tę broszurę, oboje doznali olśnienia. Ona napisała do Richarda Ricconiego o swoim pomyśle ufundowania rzeźby niedźwiedzicy. Chciała ją postawić na terenie kampusu Mountain State College.

„Pragnę uczcić zwycięstwo nauki i technologii nad ignorancją i strachem - napisała. - Pragnę uczcić naszą jedność z matką naturą i złożyć hołd wielkiej czarnej niedźwiedzicy, która czuwa nad nami wszystkimi. Chcę skłonić ludzi do MYŚLENIA. I chcę, żeby w naszym hrabstwie był przynajmniej jeden niedźwiedź, którego NIGDY nikomu nie uda się zlikwidować”.

Richard Ricconi odpisał podekscytowany: „Czekałem na taką szansę przez całe życie”. Wkrótce tata i panna Betty wysłali mu wagon pełen tutejszego złomu i żelaznych płuc.

- To przez to, że ma w swoich żyłach też krew Powellów - orzekli posepnie jej krewni Tiberowie, kiedy się dowiedzieli, co zrobiła Betty.

Reszta to historia, która czekała, żeby nas dopaść.

Rozdział 3

Matka Quentina niemal nigdy nie podnosiła głosu, ale gdy ogłoszono wyniki w kategorii projektowania budowlanego w Młodzieżowym Regionalnym Konkursie Inżynierskim, wykrzyknęła. Potem osłoniła sobie usta dłońmi, ale nadal wrzeszczała jak doker przez całe zatłoczone bostońskie centrum konferencyjne.

- On wygrał! Ojciec Aleksandrze, Quentin wygrał! Ojciec Aleksandr przepychał się do męskiej ubikacji, gdzie

Quentin właśnie kończył myć twarz i płukać usta nad umywalką.

- Quintusie Wspaniały, czyżby skończyło się na torsjach? - zażartował wesoły polski ksiądz, wyjmując paczkę chusteczek z czarnych spodni. - Pośpiesz się! *Carpe diem!*

Quentin wytarł usta chusteczką, po czym spytał ochryple:

- Kto wygrał?

Ojciec Aleksander zarechotał.

- Ty!

Quentin wykrzyknął zdumiony. Ksiądz chwycił go za ramię i razem pobiegli z powrotem do wielkiej sali, gdzie zgromadzili się ze swoimi projektami uczniowie szkół średnich z całego północnego wschodu. Quentin ukończył trzynaście lat, miał prawie sto osiemdziesiąt dwa centymetry wzrostu, szare oczy i długie rzęsy pożeracza serc, a także ciemne, niemal czarne włosy oraz gładką, złocistą cerę, zeszpeconą jedynie dwiema szramami wyniesionymi z bójek na pięści - jedną przecinającą koniec dolnej wargi, drugą u nasady nosa. Zaczął już nabierać postury swojego ojca, był wąski w biodrach i szeroki w barach. Grał w drużynie futbolowej St. Vincenta.

Matka objęła go i razem pozowali do fotografii przy lśniącym stalowym modelu wiszącego mostu, który zaprojektował.

- Musimy zadzwonić do papy! - powiedział Quentin.

- Nie musisz - odezwał się ojciec z za jego pleców. - Udało mi się dojechać.

Zaskoczony Quentin odwrócił się i ujrzał ojca - stał tam z szerokim uśmiechem na twarzy, w płaszczu, z którego kapał topniejący śnieg, z kawałkami lodu w ciemnych włosach. Ciężarówka zepsuła mu się pół kilometra stąd i dalej musiał iść na piechotę. Chwycili jeden drugiego w objęcia, a ojciec radośnie klepał syna po plecach. Quentin spędził całe ferie zimowe u niego w magazynie i budował model na ten konkurs pod baczynym okiem ojca. W pewnym sensie było to wspólne zwycięstwo.

Kiedy oficjalnie wręczyli mu trofeum, dyplom i czek na tysiąc dolarów, Quentin wpatrywał się w czek, a serce mu waliło, bo nie mógł wprost w to uwierzyć. Matka zapowiedziała, że wszelkie pieniądze, jakie otrzyma, pójdą na fundusz przeznaczony na college, ale on rozpaczliwie pragnął kupić prezenty dla niej i dla ojca. Już sama świadomość, że mógłby

sobie na coś takiego pozwolić, była rzadką satysfakcją.

Był najmłodszym uczestnikiem regionalnego finału. Nikt prócz nich nie spodziewał się, że to on wygra.

- Moi dwaj geniusze - powiedziała matka z dumą, obejmując jedną ręką Quentina, drugą jego ojca.

- Taak, odziedziczył po swoim starym talent do metalu - dodał papa i popatrzył uradowany na syna.

Quentin pokiwał głową i znowu go uściskał. Zapamiętał ten wieczór jako jedną z niewielu naprawdę szczęśliwych chwil spędzonych wspólnie z własnym ojcem.

Życie nie ułożyło się tak, jak planował papa. Sześć lat po opuszczeniu domu wciąż dojeżdżał do Nowego Jorku z północy stanu i spędzał średnio tylko cztery dni w miesiącu w swoim brooklyńskim mieszkaniu. Pieniądze ze sprzedanych rzeźb ledwie pokrywały jego wydatki, a często nie wystarczały i na nie.

- To tylko kwestia czasu - upierała się Angele. Następny triumf, jak wtedy ta rzeźba niedźwiedzicy, jakoś się dotąd nie zdarzył.

- Marzyciele - mówili sąsiedzi, robotnicy, o rodzicach Quentina. - Co oni sobie wyobrażają? Że co osiągną?

- *Ars gratia artis* - odpowiadał ponuro Quentin. „Sztuka dla samej sztuki”. Nauczył się wypowiadać śmiało, ale przy tym spokojnie, i nigdy nie okazywał swoich uczuć. Nie miał teraz na ogół kłopotów z łobuzami ze swojej dzielnicy. Przyłożył pewnego wieczoru nóż do gardła Johnny'emu Siconne i ostrzegł przyciszonym głosem, niemniej całkiem wyraźnie, że poderżnie mu gardło, jeśli jeszcze kiedyś z nim zadrze.

Johnny dał mu potem spokój.

Z każdym rokiem Quentin upodabniał się coraz bardziej do ojca - zrobił się bardziej milczący, mniej cierpliwy, oczy mu pałały, bywał w ponurym nastroju. Bez pieniędzy, które ojciec zarabiał w warsztacie, życie w ich domu toczyło się od jednego finansowego kryzysu do drugiego. Matka nigdy nie pozwalała, by papa o tym się dowiedział, myślał więc, że ona daje sobie radę. *Nil desperandum* - napisała na teczce z rachunkami, co przypadkiem zobaczył Quentin. „Nie trać nadziei”.

- Mógłbym po szkole pracować jako roznosiciel artykułów spożywczych - zaproponował jej Quentin. - I założę się, że Goots wynajmie mnie do zamiatania podłóg i czyszczenia filtrów do farb. - Nie dodał, że Goots już mu mówił, iż jeśli zechce, to mógłby dostać robotę w jego drugim warsztacie, jak będzie trochę starszy. Matka nie wiedziała, że kilka kwartałów dalej, w suterenie starego domu, Goots ma sklep z częściami zapasowymi wymontowanymi z samochodów. Kiedy Quentin mu podziękował, ale niestety odrzucił propozycję pracy w tym sklepie, gruby Niemiec potrząsnął ze smutkiem głową.

- Twój tata też zawsze mi odmawiał, nie chciał podjąć się tej pracy - powiedział. - A

mógł zarobić porządną forszę, pracując z... hm... używanymi samochodami! Czego wy, Ricconi, oczekujecie? Jakiegoś cudu?

Quentin roześmiał się i nic nie odpowiedział. A jednak jego rodzinie cud by się przydał.

- Mogę zamiatać podłogi u Gootsa - powtórzył. Angele potrząsnęła energicznie głową.

- Twoja praca to głównie staranie, żebyś był możliwie najlepszym uczniem. Żebyś uzyskał stypendium do doskonałego college'u.

- Mogę to robić i przy tym zamiatać podłogi albo roznosić artykuły spożywcze.

- Nie. Wystarczą nam te pieniądze, które mamy. A jeśli chodzi o twoją edukację, to nie możemy zadowolić się półśrodkami. - Popatrzył na nią ponurym wzrokiem, ale ona się nie ugięła.

Przy każdej sposobności zamykał się w sypialni i przesiadywał przy biurku; które zrobił dla niego papa. Zrobione było z blachy falistej i miało cienkie nóżki ze skorodowanego pręta zbrojeniowego. Robił zapiski w swoim dzienniku, pocierał się ręką, snując fantazje na temat ciemnowłosej prowokacyjnej Carli Esposito, która zapowiadała się na seksbombę. Jej matka zmarła, gdy była jeszcze małą dziewczynką. Carla mogła więc według własnych wyobrażeń wytworzyć sobie wzór kobiecości. W świecie Carli większość mężczyzn i chłopaków przypominała ślepo ją kochającego owdowiałego ojca, Alfonse'a. Mogłaby ich okręcić wokół palca, jeśli tylko by zechciała.

Kiedy Alfonse miał w komisariacie służbę do późna, zwabiała Quentina do swojej kamienicy, a on zbytnio się nie opierał. Jednakże gdy na pół nędzy znaleźli się w jej pełnej falbanek sypialni, Quentin nagle powiedział: „Jeszcze nie możemy tego robić” i wstał. Carla była od niego młodsza o rok, miała dopiero dwanaście lat. Czuł się bohatersko, bo nad sobą zapanował. Wściekała się i nazwała go nawet ciotą. Potem jednak przeprosiła i przyznała się, że się boi, iż ojciec zabije ich oboje. Quentin też o tym myślał. I co wtedy zrobiłaby jego matka?

Powiedział sobie, że jest mężczyzną, i to ze wszystkimi szlachetnymi konotacjami tego słowa. Mężczyzna musi panować nad sobą w stosunkach z kobietami. Niezależnie od tego, jak brutalnie czy ordynarnie zachowywał się papa w towarzystwie innych mężczyzn, Quentin nigdy nie widział, by nie traktował kobiet z galanterią.

A zatem Quentin poświęcał całą swoją energię szkole i książkom, rozmyślał o heroicznej przyszłości, mnóstwo czytał, ale także ostrzył sprężynowy nóż, który podarował mu ojciec. Żył dręczony niepokojem, że jego rodzinie zagrażają siły, których nie może przewidzieć czy nawet określić. Nastroje i zmagania papy tworzyły mglistą, ciemną chmurę, zawsze zapowiadającą deszcz.

W pudełku pod łóżkiem trzymał stare zabawki, które przed laty zrobił mu ojciec - grzechoczące potwory ze stalowego drutu, śrub i nakrętek, rozmontowane autka z małymi

krażkami w charakterze kółek i mnóstwo modułów konstrukcyjnych o fantastycznych kształtach i formach. Wszystkie zrobione były z rur, dużych mosiężnych płuczek i innych rupieci wygrzebanych przez papę w warsztacie.

Ten zróżnicowany świat chrząścił i przesuwiał się z miejsca na miejsce, i nie można go było utrzymać w bezruchu, zupełnie jak prawdziwy świat. Czasami Quentin wyjmował moduły konstrukcyjne i daremnie usiłował zbudować choćby jedną rzecz, która by nie runęła, gdy tylko się odwróci.

Podobnie jak ojciec miał jednak wrodzoną umiejętność dostrzegania struktury i rozpoznawania konstrukcji. Jako dziecko rozebrał swój chwiejący się stolik nocny, po czym złożył go i na nowo skleił. Kiedy stolik przestał się chwierutać, matka pomyślała, że podłoga w jego pokoju osiadła.

Quentin obserwował z rozbawieniem, jak zafrasowana sprawdzała listwy podłogi.

- Och, ty - powiedziała z dumą, gdy się przyznał. - Urodzony z ciebie budowniczy. Jestem tego pewna.

Oznajmił, że chciałby zostać architektem, a matka popatrzyła na niego i na jej twarzy nie było cienia wątpliwości.

- Architektem z tytułem magistra - skorygowała.

Odczuwając coraz silniejszą potrzebę ładu, bez końca oglądał każdy metalowy element, jakby grał w szachy osobliwymi pionkami. Jeden błędny ruch i wszystko mogło runąć - całe jego życie mogło wymknąć się spod kontroli. „Nie pozwól, żeby runęło” - modlił się w duchu.

- Hej, Ricconi! - zawołał Meyer Bratlemater z okrutnym uśmieszkiem na chudej twarzy. Meyer należał do tego rodzaju miernot, co to z odległości się wyśmiewają, a potem biorą nogi za pas. - Niech twój stary lepiej sprzeda jak najprędzej jakąś zwariowaną rzeźbę, bo wywalą was z mieszkania! - Meyer zanurkował w drzwi piekarni swoich rodziców.

Quentin właśnie skręcał w ulicę naprzeciwko piekarni. Uczył się w bibliotece i taszczył do domu całą naręcz książek, żeby przygotowywać się do testu z fizyki. Spojrzał wzdłuż ulicy i zobaczył ze zgrozą, że ten irytujący mały skurwiel Meyer nie kłamał. Na chodniku obok schodów do ich mieszkania piętrzyła się niewielka gromadka rzeczy - meble, rzeźby papy, ubrania, książki matki, naczynia kuchenne i coś tam jeszcze - wszystko to wyrzucone na ulicę jak śmieci.

Wrzucił książki do kosza z jabłkami przed sklepem spożywczym i ruszył biegiem, wymijając na zatłoczonym chodniku przechodniów, śpieszących za swoimi popołudniowymi sprawami. Ludzie odsuwali się na bok, ściskając kurczowo swój dobytek i rozglądając się pospiesznie za policjantem. Quentin miał teraz piętnaście lat, był muskularny, wysoki i wyglądał bardziej na mężczyznę niż na chłopca. Przerazał ich wyraz jego twarzy.

Pani Silberstein, stara i zażywna, w jaskrawej domowej sukni w kwiaty z plamami od

zupy na fartuchu, trzymała straż przy ich dobytku, posługując się złożoną czarną parasolką jako bronią. Matka wyświadczała tej starej kobiecie tysiące uprzejmości, opiekowała się nią w chorobie, przynosiła jedzenie, załatwiała sprawunki. Quentin też często jej pomagał. Pani Silberstein odpowiadała jego wyobrażeniom o tym, jaka powinna być babka.

- Idźcie sobie, idźcie! - pokrzykiwała na trójkę krzepkich młodzieńców. Szczęrzyli zęby i wymachiwali pięściami, jakby się pojedynkując. - Jak śmiecie! - wrzasnęła. - Grzotnę was, jeśli jeszcze coś rozbijecie! - Gipsowa kopia Picassowskiej *Głowy kobiety* leżała na bruku jak rozpołowiony melon z zakurzonymi białymi wnętrzościami.

Quentin przyskoczył do tej trójki z głuchym pomrukiem wściekłości, wymachując pięściami. Dwaj młodzieńcy wylądowali na wznak na ziemi, jeden z zakrwawionym nosem, a drugi trzymając się za podbrzusze. Trzeci jednak trafił go pięścią w bok głowy i Quentin padł na kolana. Zanim znów przejrzał na oczy, wszyscy trzej młodzieńcy zniknęli, a pani Silberstein pochylona nad nim mówiła coś w jidysz i niespokojnie klepała go po twarzy.

- Biedny chłopak, och, biedny *boychik* - lamentowała. - Dzwoniłam pół godziny temu do twojej mamy. Lada chwila tu będzie.

Podniósł się na nogi. Pełen zdeterminowania, mimo że kręciło mu się w głowie i chwiało się na nogach, pozbierał kawałki rozbitej gipsowej rzeźby i zawinął je na wszelki wypadek w dzinsową bluzę, którą z siebie ściągnął.

- Proszę jej nie mówić, że się biłem.

- Oczywiście, że nie! Ale te świńskie żule dostały za swoje! - Pani Silberstein splunęła ze wstrętem.

Przyjechała taksówka. Wsiadła z niej matka, trzymając w ręce garść ćwierćdolarówek - pieniądze przeznaczone na jej lunch - które wysypała na wyciągniętą dłoń taksówkarza. Quentin oparł się mocno na nogach i podał rozbity rzeźbę pani Silberstein, która objęła ją ramionami jak dziecko. Kiedy matka go zobaczyła, a potem spojrzała na ich dobytek, pobladła.

- Ja się tym zajmę, matko - powiedział Quentin stanowczym tonem, jakby wiedział, co można zrobić.

Wyciągnęła obie ręce, poruszając się sztywno jak posąg. Wygrzebała ze stosu rzeczy jakąś otwartą książkę, wyrównała jej pogięte stronicę, zamknęła ją, przyciskając okładkę, po czym się wyprostowała.

- Zostań tutaj i popilnuj naszych rzeczy - powiedziała do Quentina. - Ja pójdę popertraktować z kimś na temat niewielkiej pożyczki. Na zapłacenie zaległego czynszu. Po-tem pownosimy na górę rzeczy i wszystko będzie dobrze. Ojciec nie musi się o tym nawet dowiedzieć. Pani Silberstein, nie mam pojęcia, jak pani podziękować za pomoc.

- Jak mogłabym nie pomóc? Jesteście dla mnie jak rodzina. Przykro mi, że nie mam pieniędzy i nie mogę ich pożyczyć.

- Dziękuję za troskę.

Quentin zrobił krok do przodu, gdy tylko matka się odwróciła, żeby odejść. Czuł się nieszczęśliwy i sfrustrowany.

- Pójdiesz do MacLanda? - Bertine MacLand był właścicielem lombardu i lichwiarzem, gorszym od Siconnego.

Kiwnęła głową.

- Pieniądze to pieniądze. Po prostu konieczność. Bądź spokojny. - Przeciągnęła dłonią po twarzy syna, wytrzymała ze spokojem jego spojrzenie, potem obróciła się na pięcie i wspierając się na lasce, pokuśtykała ulicą. Zniszczony brązowy płaszcz powiewał za nią jak skrzydła u jaskółki.

Do wieczora mieszkanie wróciło do poprzedniego stanu. Quentin pieczołowicie złożył wszystkie kawałki i skleił kopię rzeźby Picassa, a matka przypatrywała mu się zmęczonymi, ale pełnymi zadowolenia oczami. Potem położyła się na kanapie w pokoju dziennym, a on siedział w swojej sypialni i wpatrywał się w podłogę. To milczenie było jak toksyna.

- Pójdę pracować u Gootsa - oznajmił nazajutrz. - Za duży jestem, byś mi mówiła, że nie mogę. Powinienem wziąć jakąś pracę na parę godzin, bo inaczej znowu nas wyeksmitują.

Odłożyła chleb, który kroїła na grzanki. Obok ostrożnie położyła ząbkowany nóż. Usiadła przy pustym stole. Jak długo Quentin sięgał pamięcią, na kuchennym stole zawsze stawiała świeże kwiaty w małym kryształowym wazoniku, który należał kiedyś do ciotki Zeldy.

- Mój wazonik wczoraj się zbił - powiedziała cicho głuchym głosem. - Znalazłam go pod krzesłem.

Quentin wykrzywił usta.

- Gdzie są kawałki? Może mógłbym go skleić z powrotem...

- Nie. Wyrzuciłam je. Nie wszystko da się naprawić. Choćby człowiek nie wiem jak próbował. - Popatrzyła na niego z wyrazem zmęczenia na twarzy. - Nie udało mi się naprawić mojej rodziny.

- Nie możesz naprawić naszego życia bez mojej pomocy. Robiłaś wszystko, co się dało. Jeśli staremu naprawdę zależało...

Zesztywniała.

- Jak nazwałś swojego ojca?

Quentin patrzył na nią przez dłuższą chwilę, zaciskając zęby.

- Tak mówią faceci. Przepraszam.

- W tym domu on jest twoim ojcem, twoim papą, i będziesz mu okazywał szacunek.

- Nie jesteśmy już sobie zbyt bliscy.

- Wiem i cały czas tym się martwię.

- On mieszka w tym magazynie od siedmiu lat. Siedem lat. Najwyższy czas, żeby

przestał się oszukiwać i wrócił. I zabrał się do jakiejś prawdziwej roboty. Żeby uczynić twoje życie łatwiejszym.

- Ale wiesz, że to ja nie chciałam mówić twojemu papie o naszych kłopotach finansowych. On ma wystarczająco dużo kłopotów. W przyszłym miesiącu otwiera swoją wystawę w galerii. Zapowiedziało wizytę dwóch kupców...

- A ja chcę iść pracować u Gootsa. Jeśli mam pozwalać na to, by papa nadal wierzył, że nas nie rujnuje, to musisz mi pozwolić, żebym ci pomagał. Tak będzie sprawiedliwie.

Przymknęła oczy, zdjęła okulary i przyłożyła dłonie do czoła. Kiedy znów na niego popatrzyła, usta miała zaciśnięte - podjęła decyzję.

- Chcę, żeby nauka stała na pierwszym miejscu. Oczekuję, że przestaniesz pracować, jeśli pogorszą ci się oceny.

- Ręczę za to swoim słowem. A moje słowo jest wiele warte, mamó. Na pewno się nie zawiedziesz.

- Myślisz, że twój ojciec zawiódł?

Nic nie powiedział, ale odpowiedź mogła wyczytać na jego twarzy. Opuściła głowę, pokonana.

Poszedł zatem do pracy w warsztacie Gootzmana.

- Chcesz pracować w moim drugim zakładzie? - zagadnął go chytrze Goots. - Pięć razy tyle pieniędzy, a połowa wysiłku.

Quentin chwycił gumowy podbijak i zręcznie nim wywijał, jak gdyby to był miecz.

- Ja chcę tylko naprawiać dziury i malować zadrapane błotniki. Dziękuję, ale tamten drugi zakład nie jest w moim guście.

- Tylko zaczekaj. Będzie! - odparł Goots i parsknął śmiechem.

Następna jesień przyniosła przełom w karierze papy. Powiadomił ich, że żona pewnego biznesmena z eleganckiego miasta na północy stanu zakochała się w jego pracach. I postanowiła w jego magazynie urządzić przyjęcie, żeby przedstawić papę swoim przyjacielom ze świata artystycznego. Ojciec przysłał Quentinowi i matce pieniądze na bilety autobusowe i pewnego ciepłego wrześniowego popołudnia wyruszyli na ów uroczysty wieczór. Matka była podekscytowana, a Quentin w tak dobrym humorze, jakiego nie miał od lat.

Magazyn był masywnym budynkiem z metalu i drewna z obskurną, popękaną betonową rampą służącą jako parking. Stał wśród anemicznych sosenek na skraju starych terenów przemysłowych. Tego jesienno-wieczornego wieczoru jego wielkie okna jarzyły się złocistym światłem, a na parkingu pełno było samochodów. Ze środka dochodziły przytłumione dźwięki orkiestry i niemal setka artystów i mecenasów sztuki tłoczyła się wśród posągów papy. Kelnerzy roznosili szampana i hor d'oeuvres. Matka była niespokojna i pełna zachwyty. Papa wyglądał srogo i niewiarygodnie przystojnie w nowym czarnym garniturze. Kobiety nie

mogły oderwać od niego oczu.

Gospodyni papy, jego inwestorka, jak ją nazywał, właściwie wcale nie była stara. Tak przypuszczała matka, bo on wspominał, że ma białe włosy. Była to postawna kobieta pod sześćdziesiątkę, a może po sześćdziesiątce, ubrana w obcisłe, uwydatniający jej kształty, czarne spodnie, a włosy, choć białe, obcięte miała na krótko i modnie uczesane. „Do cholery, ona wcale nie jest pomarszczoną staruszką” - pomyślał ze zdziwieniem Quentin, gdy został jej przedstawiony.

- Och, bardzo jesteś podobny do swojego przystojnego ojca - powiedziała gardłowym głosem.

Quentin zapamiętał to i pomyślał, jacy zabawni mogą okazać się ludzie, gdy się tego człowiek najmniej spodziewa. Stał oparty o zderzak samochodu w najgłębszych ciemnościach za jedynym awaryjnym światłem budynku. W głowie mu szumiało po lampce szampana, którą dostał od papy z męskim ceremoniałem, i po wypiciu następnej wziętej z tacy, gdy matka nie patrzyła. Uśmiechnął się w ciemnościach, po czym z kieszeni bluzy wyjął papierosa i zapalił, potarłszy po mistrzowsku zapalną o dłoń. Matka wyrwałaby mu papierosa z ust i zmusiła, żeby zjadł tytoń, gdyby go przyłapała. Raz już tak zrobiła.

- Wiecznie czytuję ostrzeżenia lekarzy przed paleniem tytoniu - powiedziała.

- Au, mamciu - wymamrotał, czupurny i zbuntowany, z ustami wciąż pełnymi pogryzionego tytoniu. - Jeśli posłuchasz tych pieprzonych doktorów, to zaczniesz uważać, że każda rzecz może cię zabić. Hej, ja się nie wlewam i nie ćpam, to co się przejmujesz jedną fajką czy dwiema?

Patrzyła na niego w pełnym oszołomienia milczeniu, a jej oczy sprawiały wrażenie lodowatych i przypominały onyksy.

- Nazywaj mnie matką - rzekła w końcu. - I w moim domu masz się odpowiednio wyrażać, wymawiając poprawnie słowa i unikając wyrażen slangowych, bo jesteś osobą wykształconą, masz szacunek dla siebie i dla mnie. Zdaję sobie sprawę, że nauczyłeś się zachowywać jak członek jakiegoś gangu z naszej dzielnicy, gdy nie przebywasz w mojej obecności, ale nie pozwolę, żebyś na moich oczach zamieniał się w ulicznika.

Poczuł się na tyle zawstydzony, że ją szczerze przeprosił. Jednak nadal od czasu do czasu ukradkiem zapalał papierosa. Tego wieczoru, słysząc, że ktoś nadchodzi, szybko zasłonił dłonią żarzący się koniec papierosa i zaszył się w jeszcze głębsze ciemności. Wstydził się własnych nałogów.

Grupka mężczyzn i kobiet - kilkoro mecenasów - przeszła obok niego i zatrzymała się przy samochodzie. Jeden z mężczyzn szukał kluczyków w kieszeniach marynarki. Quentin usłyszał wybuch śmiechu.

- Prace Ricconiego są całkiem dobre, a może nawet świetne - powiedziała, chichocząc, któraś z kobiet. - Ale przecież wiadomo, że ona go wybrała ze względu na jego umiejętności

w łóżku, a nie jako artystę. - Znowu rozległ się śmiech.

Quentin odrzucił papierosa i z wielką uwagą nasłuchiwał.

- Może on jest jej prawdziwym odkryciem - zasugerował jeden z mężczyzn. - Bez żadnych powiązań.

Towarzystwo znów się roześmiało.

- Ona nigdy nie zainwestuje swoich pieniędzy, dopóki nie prześpi się z biednym skurczybykiem. Nigdy. Dla niej to część powabów całej sceny artystycznej. Przyznała się do tego kiedyś jednej z moich przyjaciółek po kilku kieliszkach martini. Zaręczam wam, Richard Ricconi zarobił na swoje utrzymanie w pościeli, zanim wypisała mu pierwszy czek.

Więcej już nie rozmawiali i wsiedli do auta. Quentin cofnął się czym prędzej, zanim reflektory samochodu mogłyby wyłowić go z ciemności. Przywarł do ściany magazynu, z trudem oddychając, z zamętem w głowie.

To bzdura, nędzna plotka, cholerne kłamstwo. Papa przecież nigdy by matki nie zdradził ani dla pieniędzy, ani dla swojej sztuki, ani z żadnej innej przyczyny. „To kłamstwo” - chodziło po głowie Quentinowi, póki oddech mu się nie uspokoił i umysł nie rozjaśnił. W porządku, pomyśl. Matka uczyła logiki i metodycznego analizowania. To mu przychodziło łatwo, podobnie jak układanie modułów budowlanych z ich kruchymi połączeniami. Odziedziczył po ojcu wyczucie perspektywy, łatwość uzmysłowienia sobie form, kontekstu, umiejętność dopasowania do siebie złączy, zespawania metalu z metalem w najmocniejszych punktach.

Obmyślił prosty plan. Potem sięgnął po następnego papierosa, przysiadł na piętach i palił w milczeniu. Odzyskał tak dalece spokój i opanował drżenie rąk, że mógłby z chirurgiczną precyzją wyciąć ojcu serce.

Zafundowali sobie nocleg w dwóch małych pokojkach w motelu oddalonym o jakieś sto pięćdziesiąt metrów od magazynu. O północy papa wyprowadzał jeszcze ostatnich gości i zamykał budynek. Quentin i matka poszli spacerkiem do motelu. Matka upierała się przy długich spacerach jako części swojej codziennej rutyny, mimo że chodziła wolno, bo kulała. Nuciała coś pod nosem w przyjemnym wrzesniowym powietrzu, śmiała się do księżyca, potem rozmyślała nad teoriami o stworzeniu wszechświata. Quentin był w stanie zdobyć się jedynie na fragmentaryczne odpowiedzi.

Matka z zadowoleniem opadła na krzesło przy drzwiach pokoju, jej prosta czarna sukienka się podwinęła. Zrzuciła buty i oparła chorą nogę na łóżku.

- Wspaniale było widzieć twojego ojca w otoczeniu ludzi rozumiejących i doceniających jego prace! - Westchnęła, uszczęśliwiona. - Sprzedał pięć prac! Pięć! Nie za olbrzymie sumy, ale to nie ma znaczenia. Ludzie, którzy tam przyszli, to prawdziwi kolekcjonerzy. Będą o nim mówić. Wieść się rozniesie.

Quentin stał pośrodku pokoju. Nie mógł usiąść. Skóra go świerzbiła. Ściany więziły.

Poszedł do łazienki, przebrał się, włożył dżinsy, stary futbolowy podkoszulek i bluzę. Nawet zwykle ubranie wydawało mu się szorstkie. Jakby na skórze mogła pojawić się krew przy najlżejszym potarciu chropowatej powierzchni.

- Za rogiem jest salon gry - powiedział. - Przejeżdżaliśmy koło niego po drodze. Pełno w nim młodych i dorosłych, robi sympatyczne wrażenie. Myślę, że pójde zagrać sobie parę razy. Dobrze?

- Och, Quentin, jest zbyt późno. Nie chcesz zobaczyć się z papą, kiedy tu przyjdzie?

- Niedługo wrócę.

Przyglądała mu się uważnie przez chwilę, po czym ustąpiła.

- Dobrze, ale proszę cię, uważaj.

Wyszedł w noc, przeszedł kilkanaście metrów do rogu z jasno oświetloną stacją benzynową, małym sklepikiem spożywczym i salonem gry, na wypadek gdyby matka obserwowała. Potem zawrócił w ciemnościach i ruszył drogą biegnącą równolegle do terenów przemysłowych. W ciągu kilku minut dotarł do magazynu i ujrzał stojącą przed nim starą ciężarówkę ojca. Innych samochodów nie było.

Serce zaczęło bić mu trochę wolniej. Przynajmniej jej tu nie ma. Nie sprawdziła się jego najgorsza obawa. Na razie. Z szerokich okien umieszczonych wysoko w bocznych ścianach budynku pobłyskiwało słabe światło. Skierował się do bocznych drzwi i przekonawszy się, że nie są zamknięte, wśliznął się do środka. Znalazł się w ciemnym kącie, gdzie ojciec składował różne materiały. Otaczały go stosy cienkich blach, sterty karoserii samochodowych i innych przedmiotów. Zaczął się przez to wszystko przedzierać, gdy usłyszał łomot i zniekształcony ryk ojca.

Quentin skoczył do przodu, po czym przystanął i wytrzeszczył oczy. Papa zdjął marynarkę, krawat, koszulę i stał teraz na środku magazynu w spodniach i podkoszulku z wielkimi plamami od potu. Furia i rozpacz wykrzywiały mu twarz. W obu rękach trzymał kowalski młot. Uniósł go nad głowę, po czym walnął w rzeźbę ze skreconych metalowych taśm. Przewróciła się, a w jej kruchej formie pojawiła się olbrzymia dziura.

Przeraźliwie krzycząc, papa opuścił znowu kowalski młot. Wyraz twarzy miał diaboliczny. Zaślepiały go tak bolesne i silne emocje, że Quentin aż się pochylił i chwycił za brzuch, jakby dostał pięścią w żołądek. Co papę tak strasznie dręczyło? Ten wieczór to jego sukces. Sprzedał swoje prace, zarobił parę tysięcy dolarów, zwrócił na siebie uwagę ludzi, którzy liczyli się w świecie artystycznym. Dlaczego wszystko rozbijał?

Przyszedł tu stawić mu czoło, domagać się prawdy, a teraz tylko patrzył z przerażeniem. Ojciec w dalszym ciągu wydawał niepojęte jęki, gniewne okrzyki i rozbijał jedną rzeźbę po drugiej. W końcu odrzucił masywny młot. Chwytał mniejsze prace, podnosił je, słaniając się na nogach i rycząc, po czym ciskał po kolei na bezładną kupę rozbitych już albo obalonych rzeźb.

Quentin zrobił krok do przodu. Pomyślał: „Chwyć go, zanim zrobi sobie krzywdę”. Po chwili jednak przyszła mu do głowy inna myśl: „Nie możesz! Nie możesz pozwolić, by wiedział, że widziałeś go w takim stanie!” To go powstrzymało. Po twarzy ojca ciekł pot lub łzy, a może jedno i drugie. Podbiegł teraz do sprzętu spawalniczego w kącie i zaczął ściągać narzędzia ze ściany pokrytej równymi rzędami wieszaków. Miotał kluczami, kleszczami, wszystkim, co mu podeszło pod rękę.

Dłużej już nie mógł tego znieść. Nie wiedział, czy robi słusznie, czy też nie, ale ruszył ostrożnie w stronę ojca. Ten go nie widział. Zamachnął się silnie i rzucił ciężki łom najwyżej, jak mógł. Łom uderzył w dolną szybę okna, grube zbrojone szkło rozprysnęło się na połyskliwe kryształki, które spadły jak ulewny deszcz na ziemię. Papa osunął się na kolana, nagle spokojny, i ukrył twarz w dłoniach.

- Angele - jęknął.

Quentinowi zakręciło się w głowie. Chodziło o matkę, ale i o tę drugą kobietę. O wstyd i frustrację. Nic z tego, z czym przyszedł do ojca, nie miało sensu, a odpowiedź na pytanie, które przyszedł mu zadać, już otrzymał. Wycofał się powoli i cicho, potem opuścił magazyn tymi samymi drzwiami, którymi wszedł.

Drżał na całym ciele. Otarł rękami wilgotną twarz.

- Niech cię cholera, papo - powiedział załamującym się głosem. Kochał go i nienawidził zarazem, pragnął, by cierpiał, i pragnął uratować go przed samym sobą.

W końcu poszedł z powrotem do motelu, ale minął go i skierował się do salonu gry, gdzie udawał, że obserwuje z zainteresowaniem innych ludzi przy automatach do gry. Kiedy wrócił do motelu, ciężarówka ojca stała na parkingu, a matka wyjrzała przez drzwi ich pokoju.

- Papa już twardo śpi - szepnęła. - Jest wyczerpany. Dałam mu aspirynę i natarłam plecy. Nadwreżył sobie parę mięśni, przesuwając rzeźby po wyjściu tego tłumu gości. Zobaczymy się rano, dobrze?

- W porządku - odparł Quentin i poszedł do swojego pokoju.

Leżał w ubraniu na nierozesłanym łóżku, w ciemnościach, bezsennie, odrętwiały, opanowany i jakby umierający w skrytości ducha. Nigdy nie zapytał ojca o ten wieczór i ojciec nigdy mu nie powie. Lecz to już na zawsze pozostanie między nimi.

Rozdział 4

Gdzieś tam w zwykłym świecie podobno wszędzie pełno było hippisów, Arabowie podobno mieli w rękach całą ropę, żadne większe wydarzenie publiczne (nawet promocja w Mountain State College) nie obywało się bez domieszki ludzkiej nagości, a prezydent Nixon miał właśnie złożyć rezygnację. Ja natomiast miałam własne problemy.

Schowałam się w paprociach przy potoku w towarzystwie naszych kotów, kilku szczególnie żądnych przygód kogutów taty i kudłatego psa z farmy, Bobo. Na szyi zawiesiłam sobie na rzemieniu mały skrzynkowy aparat fotograficzny taty. Polowałam na fotograficzny dowód istnienia babci Annie.

Usłyszałam jakieś głośnie szelesty w laurowym gąszczu na przeciwległym brzegu, uruchomiłam więc aparat. Z zarośli wysadził swoją czarną siwowłosą głowę nasz sąsiad, Fred Washington, sięgnął po wrzecionowatą gałąź, która nie pozwoliła utrzymać równowagi jego krągłemu ciału, i zachwiawszy się, usiadł ciężko na tyłku. Pan Fred szedł nad potok łowić na przynętę cierniki. Wiaderko z przynętą wylądowało w laurach i wyglądało jak blaszana korona.

- Co ty, na miłość boską, wyprawiasz, dziecko? - ryknął na mnie.

Miałam dopiero osiem lat, byłam bardzo rezolutna, ale w tym momencie nie potrafiłam zapanować nad grozą, jaka mnie ogarnęła.

- Niedźwiedź! - wrzasnęłam, jakbym coś ujrzała. Pan Fred rozejrzał się dokoła przerażony.

- Uciekaj, dziecko! - krzyknął.

Upuściłam aparat i uciekłam, gramoląc się pod górę stromym zboczem w bezpieczne miejsce - nasze małe pastwisko otoczone było porządnym, mocnym ogrodzeniem z drutu kolczastego.

Potem poszłam z tatą na farmę Washingtonów i zaniósłam panu Fredowi jeden z domowych tortów mamy wraz z moimi przeprosinami. Przyjął chętnie jedno i drugie. Pan Fred, bezdzietny wdowiec, był już teraz na emeryturze po czterdziestu latach dojenia krów na mlecznej farmie białego farmera. Po tylu latach ściskania krowich cyków ręce powykręcał mu artretyzm, a sztywne kolana były pamiątką wysiadywania przez cały długi dzień na zydelku do dojenia.

Siedzieliśmy przez chwilę na ganku, zjadając tort i popijając tłuste surowe mleko od krowy pana Freda. To właśnie jego kilkunastoletniego brata powiesił Ku-Klux-Klan w owych złych czasach po wspólnej ucieczce Bethiny Grace i stryja Nathana. W naszym hrabstwie było wówczas wielu Washingtonów, ale Ku-Klux-Klan zmusił większość ich, żeby się stąd wynieśli, i w końcu zostali tu tylko uparci rodzice pana Freda. Poprzysięgli sobie, że wychowają pozostałych dwóch synów w hrabstwie Tiber na złość zabójcom ich chłopca i że

ci synowie zatriumfują.

Kiedy chłopcy dorośli, Washingtonom wystarczyło pieniędzy tylko na wysłanie jednego z nich do Morehouse College w Atlancie. Zdecydowali, że pojedzie Jonah, młodszy brat pana Freda. Jonah uzyskał stopień doktora historii i teraz był profesorem na Uniwersytecie Columbia. Posyłał bratu pieniądze i prezenty, nie przyjeżdżał jednak z Nowego Jorku w odwiedziny do ich starego domu.

Pan Fred patrzył na mnie zasmucony.

- Nie jestem żadnym niedźwiedziem, dziecko, no i nie próbuj więcej robić mi zdjęć.

Usilnie kiwałam głową.

- Tak, proszę pana.

Zauważył na moim przedramieniu długie zadrapanie od kolców dzikiej róży. Poszedł do domu i wrócił, trzymając bańkę z maścią.

- To balsam doktora Akina na wymiona - oznajmił i posmarował mi nim ramię. - Dobry na owrzodziałe krowie wymiona i zadrapania od dzikiej róży.

Maść na wymiona. Stłumiłam śmiech i z całą powagą powąchałam swoje ramię. Od tamtej pory mentolowy zapach tego mazidła miał dla mnie oznaczać przebaczenie.

- Dziękuję, panie Fred - powiedział cicho tata. - Może zechciałby pan przyjść do nas dzisiaj na kolację. - Zawsze to proponował, ale pan Fred nigdy zaproszenia nie przyjmował. Nie przyjął i teraz, choć zapewne mieliśmy gdzieś wspólnego krewnego, jeśli Bethina Grace i Nathan zdołali dochować się choćby jednego dziecka. Nasza krew mogła się mieszać i płynąć w żyłach osobników o karmelowej skórze, którzy tańczyli rumbę pod brazylijskim niebem, ale pan Fred i moja rodzina nigdy nie mieli wspólnie zasiąść do posiłku.

Myślałam o tym, gdy wracaliśmy z tatą do domu. Jedyne dziedzictwo, jakim dysponowali Powellowie i Washingtonowie, stanowiły ta ziemia, osławiona zdolność wpadania na ciekawe pomysły, a także narażanie się na ryzyko zablądzenia, czego przykładem była babcia Annie. Tak więc w ten czy inny sposób zmienialiśmy postać i znikaliśmy.

Przysięgłam sobie, że ja nigdy tego nie zrobię.

Panna Betty była umierająca. Wszyscy o tym wiedzieli, łącznie z nią samą. Czekwała spokojnie w łóżku w okazałym domu, w którym się urodziła, słuchając zaproszeń szeptanych przez utraconą matkę, córki i męża. Poszliśmy ją odwiedzić i oto teraz stałam obok łóżka z baldachimem, usiłując nie patrzeć na ściągniętą twarz panny Betty. Zamiast tego przyglądałam się pamiątkom z jej życia. Miałam dziesięć lat i byłam na tyle duża, że udoskonaliłam już sztukę udawania obojętności, choć tak naprawdę śmierć mnie przerażała.

Na koszykowym nocnym stolczku stały figurki czarnych niedźwiedzi, posążek czarnego niedźwiedzia i fotografie Żelaznej Niedźwiedzicy. Obok nich sepiowe w kolorze miniatury męża i zmarłych córek, a także Johna, jej ulubionego stryjecznego wnuka, którego

uratował przed chorobą Heine-Medina duch babci Annie Powell, niezależnie od tego, czy w to wierzył, czy też nie.

- Mam dla pani nowinę, panno Betty - powiedział cicho tata. - Victoria oczekuje następnego dziecka. Tego na pewno nie stracimy. Czuję to w kościach.

- Och, to wspaniale - wymamrotała słabym głosem. - Od tak dawna pragnęliście mieć więcej dzieci. Jestem pewna, że będzie śliczne.

- Mam nadzieję, że będzie to siostrzyczka - wtrąciłam. Promieniałam.

- Mam nadzieję, że spełni się twoje życzenie. Siostrzyczka taka śliczna i silna jak ty. - Panna Betty miała kataraktę i była niemal ślepa, ledwie więc mogła mnie widzieć. Przyłożyła mi z obu stron do twarzy chude, zimne dłonie, badając czubkami palców moje rysy, po czym potwierdziła swoje spostrzeżenia.

- Tommy - szepnęła z wykwintnym północnym akcentem - miałeś rację co do niej.

- Doprawdy, panno Betty?

- To mądre dziecko, Tommy. Słucha. - Moje milczenie często brano mylnie za zatopienie się w myślach, a tymczasem gotował mi się w nich nieodłączny gniew i żarliwe plany. Jak zwykle nie umiałam się powstrzymać. Zawsze chciałam zapytać pannę Betty o dumę Powellów, a to mogła być ostatnia okazja.

- Czy nienawidzi pani swojej matki z Powellów za to, że uciekła? - spytałam.

Mętne oczy rozblęły.

- Czy nienawidzę? Och, moje drogie dziecko. Wyznam ci sekret, którego nie zna nikt. Ani moi bracia i siostry, ani moje dzieci i wnuki. - Panna Betty trzymała moje ręce i patrzyła wprost na mnie. - Ona mi mówiła, że musi odejść - wyszeptała. - A ja powiedziałam jej, żeby odeszła.

Patrzyłam na nią z otwartymi ustami. Tata stojący obok szepnął zdumiony:

- Panno Betty?

- Papa był dla niej niedobry. Nie miała innego wyjścia.

- Ale ona była pani mamą - upierałam się przy swoim.

- Wiedziałam, że mnie kocha. Miłość nie znika, dlatego że ktoś zawodzi cię albo odchodzi. Czasami właśnie wtedy staje się najsilniejsza. Kiedy czujesz, jak bardzo to boli. - Moje milczenie wskazywało wyraźnie, że to wyjaśnienie do mnie nie trafia. Słabiutki uśmiech pojawił się na pomarszczonej twarzy panny Betty. - Obawiam się, że pewnego dnia sama to zrozumiesz. Każdy dochodzi do tego wniosku, czy chce, czy nie. Nasza Niedźwiedzica to wie, co, Tommy?

- Tak, proszę pani. - Pokiwał głową.

Zamrugałam powiekami.

- Panno Betty, czy pani myśli, że Żelazna Niedźwiedzica przemawia do ludzi?

- Oczywiście. Jak myślisz, skąd byłabym taka mądra?

- Do mnie nie mówi.

- Och tak, przemawia. Jest pełna życia, kochanie. Ona naucza, a ty się uczysz. Nigdy nie przestań podejmować próby, by usłyszeć, co do ciebie mówi, żebyś zapamiętała. Nigdy nie przestań słuchać swojego serca. - Westchnęła głęboko. Do pokoju weszła i zaczęła się tam krzątać Luzanne Tiber Lee, jej pielęgniarka i siostra pana Johna - majestatyczna, tęga, w średnim wieku, niezbyt życzliwie do nas nastawiona.

- Pora na jej drzemkę - oznajmiła obcesowo. Ciągnęła się za nią woń „Chanel No 5” i nikły psi zapaszek. Trzymała ukochanego psa gończego, który wabił się Royal Hamilton, nosząc imiona dwóch jej synów Royała i Hamiltona, w skrócie RH. RH, kiedyś zdobywca złotego medalu na wystawie psów myśliwskich, pomachał nam przynajmniej krótkim ogonkiem.

- Niech pani uważa na siebie - szepnął tata, nachylając się nad panną Betty, żeby pocałować ją w czoło.

- Ty uważaj na siebie i na wszystkich, których kochasz, włącznie z naszą Niedźwiedzicą - szepnęła do niego, ale patrzyła na mnie.

Kiedy zmierzaliśmy cienistym chodnikiem do pikapu, przyłapałam tatę na tym, że wyciera sobie kąciki oczu.

- Nie płacz - powiedziałam błagalnie, ściskając jego dużą, stwardniałą od pracy dłoń, choć i mnie zebrało się na łzy.

- Ty pierwsza - rzekł i uśmiechnął się do mnie.

- Jak myślisz, dokąd ludzie idą po śmierci?

Zastanawiał się przez chwilę, gdy szliśmy, a ja zauważyłam, że odliczam rytm naszych kroków, jakby chodziło o licznik czasu.

- Myślę, że możemy iść wszędzie, dokąd zechcemy - odparł. - Założę się, że panna Betty uda się na sam dół kotliny i dotrzymania towarzystwa babci Annie.

Nadal wierzyłam, że pewnego dnia, spoglądając ze skał na drugą stronę potoku, zobaczę, jak na mnie patrzy babcia Annie z niedźwiedzią paszczą i w czarnym futrze. Wobec tego ta wiadomość poprawiła mi humor.

- Będę więc szukać dwóch starych niedźwiedzi.

Tata się zaśmiał, chwycił mnie i pocałował w policzek.

Panna Betty umarła koło północy, nawet się nie przebudziwszy. Obozowaliśmy z tatą i prawie dwudziestoma mężczyznami wokół Żelaznej Niedźwiedzicy. Rozeszła się pogłoska, że teraz gdy cioteczna babka pana Johna odeszła z tego świata i pozostawiła mu Żelazną Niedźwiedzicę, ufając, że będzie postępował w sposób właściwy, on zamierza wysłać ludzi, aby jeszcze przed świtem pocięli palnikami rzeźbę. W jego mniemaniu było to właściwe postępowanie.

W głowie huczało mi ze zmęczenia. Opierałam się o tatę, który owinał mnie kocem,

osłaniając przed rosą późnego lata. Chwilami usypiałam albo przypatrywałam się dziwnym cieniom rzucanym na Żelazną Niedźwiedzicę przez światła latarni, które rozstawili wokół mężczyźni. Wyglądali oni dość prymitywnie, było wśród nich kilku hodowców kurcząt, ale przeważali zawzięci ludzie z lasów, nowocześni autsajderzy, którzy mieli w głębokiej pogardzie miasto i za nic by w nim nie zamieszkali. Palili, żuli prymki, pluli, a niektórzy pociągali z butelki. Przybyli tu, bo usłyszeli, że Tom Powell potrzebuje pomocy.

Nic z tego nie rozumiałam i właśnie miałam to oznajmić, gdy przyjechała ciężarówka. Wszyscy wstali. Ja też. Ścisnęłam kurczowo swój koc i patrzyłam, jak pan John idzie w naszą stronę z kilkoma robotnikami. Miał ponurą minę i wymachiwał obiema rękami, nakazując zdecydowanymi gestami rozejść się zgromadzonym.

- Tommy, ta rzeźba wróci tam, gdzie jest jej miejsce. Na złomowisko. Zejdź mi z drogi.

Tata zrobił krok do przodu.

- Nie mogę ci na to pozwolić, kuzynie. - Ludzie wokół niego zwarli szeregi i gapili się na pana Johna.

- Liczy się to, co mówi Tom Powell - oznajmił gardłowym głosem jeden wysoki i brodaty mieszkaniec lasu.

Twarz pana Johna z każdą sekundą robiła się coraz bardziej purpurowa. Zatrzymał się, popatrując nerwowo na ręce mężczyzn otaczających tatę, bo wiedział, że każdy z nich ma pistolet albo nóż w kombinezonie czy myśliwskich spodniach i że nie zawaha się wyciągnąć broni.

- Słuchajcie, chłopcy, to nie jest żadna walka ani też wasze zmartwienie. Jestem właścicielem tej rzeźby. Mam prawo zrobić z nią, co mi się podoba. I zamierzam usunąć ją raz na zawsze z moich oczu.

- Wezmę ją od ciebie - rzekł tata. - Wywiozę stąd. Usunę jeszcze tej nocy. Postawię rzeźbę u siebie. Jeśli chcesz, możesz każdemu mówić, że rozplynęła się w powietrzu.

- Chcę, żeby została zniszczona.

- Twoja cioteczna babka jeszcze nie ostygła, a ty chcesz zniszczyć coś, co, jak dobrze wiesz, kochała!

- Szanowałem ją i dlatego pozwoliłem, żeby to stało tutaj przez całych dziesięć lat. Spełniłem swoją powinność.

- Powinność taka jak ta nigdy się nie kończy, Johnny. Jeśli zniszczysz tę rzeźbę, zapanują tu na wiele lat złe nastroje. Naprawdę nie myślisz teraz o dobrych rzeczach.

- Co ty byś zrobił z tą rzeźbą?

- Patrzyłbym na nią, myślał o niej, wczuwałbym się w nią. Możesz nienawidzić niedźwiedzicy, proszę bardzo. Chcesz wiedzieć, jaka jest jedyna niewybaczalna rzecz w przypadku dzieła sztuki? Kiedy w ten czy inny sposób cię nie porusza.

Pan John nic nie odpowiedział. Człowiek zapewnia sobie poczucie bezpieczeństwa. On zapewnił dobrą opinię sobie i swojej rodzinie. Nie zależało mu na wczuwaniu się w taki czy inny sposób w dzieło sztuki.

- Sprzedam ci rzeźbę - oznajmił nagle. - Jeśli tak bardzo w nią wierzysz, to za nią zapłać.

- Zapłacę - odparł szybko tata, choć zasłużył na niedźwiedzicę swoim oddaniem i dziesięcioletnią opieką. - Podaj mi swoją cenę.

- Dwieście dolarów.

- Nie mam pod ręką takich pieniędzy. Mogę ci spłacać miesięcznie po dwadzieścia dolarów.

- Czterdzieści. Bierzesz albo nie. I niedźwiedzica zostanie tutaj, póki nie spłacisz ostatniej raty.

Pan John walczył zażarcie o odzyskanie autorytetu, odebranego mu w obecności zgromadzonych mężczyzn. Tata przełknął głośno ślinę.

- Czterdzieści miesięcznie. Zgoda. I zabiorę niedźwiedzicę jesienią.

Potrząsnęli sobie dłonie przy świetle latarni i chór dziko wyglądających mężczyzn stał się świadkiem najdziwniejszej transakcji w dziejach Tiberville. Kręciło mi się w głowie ze zdumienia, w ustach miałam nieprzyjemny posmak. Czterdzieści dolarów miesięcznie wydawało mi się wręcz fortuną. A co jeśli mamie będą potrzebne lekarstwa? Trzy razy już poroniła.

Świat kręcił się dla mnie zbyt szybko i czegoś się bałam. Panna Betty odeszła, kto wie dokąd. Próbowałam ją sobie wyobrazić, jak wędruje po Niedźwiedziej Kotlinie pod postacią ducha, połączywszy się wreszcie z członkami swojej rodziny, łącznie z niedźwiedziami. A co dobrego wyniknęło z całej tej niedoli? Popatrzyłam na Żelazną Niedźwiedzicę. „Powiedz mi” - poprosiłam. Nie usłyszałam jednak żadnej odpowiedzi.

Wreszcie, niemal po całej wieczności, nadeszła jesień i przyjechała niedźwiedzica, żeby zamieszkać w Niedźwiedziej Kotlinie. Wyrzekaliśmy się nawet najzwyklejszych przyjemności i potrzeb, żeby zebrać tych czterdzieści dolarów, które tata co miesiąc dawał panu Johnowi.

We wczesnych tygodniach ciąży mama czuła się całkiem nieźle i kładła sobie często moje ręce na brzuchu.

- Czujesz, kochanie, ruchy naszego dzieciątka? - pytała. - Tam w środku jest twój mały braciszek albo siostrzyczka. Mam znowu w sobie światło anielskie.

Teraz, w siódmym miesiącu, była jednak obrzmiała i blada. Siedziałyśmy we dwie z mamą po turecku na ziemi na tylnym podwórku pod dębem, który przy każdym podmuchu wiatru obsypywał nas lśniącymi czerwonymi liśćmi.

Pan Fred włączył najwyższy bieg i traktor pociągnął Żelazną Niedźwiedzicę w dół. Zjeżdżała po rampie z wypożyczonej ciężarówki do przewozu drewna, którą zaparkowano tuż za drzewami osłaniającymi nasze tylne podwórko.

- Trochę bardziej w lewo - komenderował tata, przekrzykując warkot silnika i zgrzyt masywnych metalowych pazurów niedźwiedzicy na drewnianej rampie. Pot ściekał mu po twarzy. Kombinezon pokryty miał szarym betonowym pyłem i błotem. Tego ranka ukończył postument, który wylał dla niedźwiedzia. Miałam pęcherze na rękach, bo pomagałam mieszać beton w taczce, a we włosach cętki białej farby.

Tata stał teraz na świeżym białym postumencie na szeroko rozstawionych nogach, unosił ramiona i kierował panem Fredem podczas holowania. Szeroki uśmiech opromieniał mu twarz. Dyrygował symfonią. Stał przed Degasem w Luwrze. Składał podziękowanie niebiosom. Był świętym mężem i przyzywał całe niedocenione piękno świata, by zagościło tutaj, na naszej farmie, ponieważ my byliśmy wyjątkowi.

Nigdy bardziej nie kochałam mojego ojca niż tego dnia.

Promienie nisko wiszącego na niebie popołudniowego słońca przenikały przez boki niedźwiedzicy i rzucały dziwny szkieletowy cień w naszą stronę. Mama odsunęła się do tyłu. Trzymając kurczowo moją rękę, która leżała na jej kolanie, modliła się bezgłośnie. Jej wargi poruszały się; gdy zatrzymała strapione spojrzenie na tacie. Drugą ręką głaskała swój sterczący brzuch, jakby uspokajając znajdujące się w nim dziecko.

Przy każdym podmuchu wiatru spadało coraz więcej liści i czuć było wyraźniej nasze osobiste zapachy. Z jej butów i moich brudnych tenisówek buchał gryzący odór kurnika - zapach ciężkiej harówki i niskich dochodów. Martwiłam się, że ten zapach może wywołać znowu u niej torsje.

Była zawsze ślepo oddana tacie.

- Myślę, że ten człowiek, który zrobił niedźwiedzicę, gdzieś tu jest i śmieje się z nas, że tak bardzo się nią przejmujemy. - To był pierwszy i ostatni raz, kiedy słyszałam, że powiedziała coś innego niż słowa wyrażające posłuszeństwo i dodające otuchy. Co nie znaczy, że tata wymagał od niej pokornej lojalności. Po prostu tak ją nauczono traktować męża. - Mam tylko nadzieję, że nie ma złego oka - dodała, po czym naciągnęła wystrzępiony sweter na brzuch.

Ścisnęłam cierpliwie rękę mamy.

Nadszedł zmrok. Oczarował mnie imponujący rój żółtych iskier strzelających w górę niczym tysiące tańczących w powietrzu świetlików, gdy tata przyspawał czarne żelazne łapy niedźwiedzicy do stałego wybiegu na nowym postumencie. Obserwowałam unoszące się i odlatujące w dal iskry wśród gwiazd na jesiennym sinoczarowym niebie.

- Dlaczego poślubiłaś tatę? - spytałam mamę. - Czy myślisz, że on ma księżycowy pył w głowie? - Ktoś powiedział mi tak w szkole.

- Jeżeli on ma w głowie księżycowy pył, to księżyc powinien być z tego dumny - odparła. - Niektórzy ludzie mają wielkie i puste głowy, a serca jak pomarszczone pomidory. Twój tata ma serce wielkie jak świat. I właśnie dlatego za niego wyszłam.

- Czy zostały nam jeszcze jakieś pieniądze? Tata rozdaje je na lewo i na prawo.

- Pewno, że tak. - Odwróciła wzrok, unikając mojego badawczego spojrzenia. - Mamy więcej niż dość.

Słyszałam, jak kiedyś tata mówił pewnemu staremu człowiekowi, że marzy o przerobieniu kurników na pracownię dla wszystkich swoich przyjaciół.

„Jak zapłacimy rachunki?” - pomyślałam. „Co będziemy jeść?” Zaczęłam obgryzać paznokcie i liczyć zaoszczędzone drobne. Pragnęłam, by niedźwiedzica mogła mnie ostrzec, że to ostatnia jesień takich moich zmartwień.

To był najzimniejszy grudzień od wielu lat. Lód ściał wodę w starej wannie, którą tata postawił na pastwisku dla mlecznej krowy kupionej od pana Freda. Uważał, że własna krowa to dobry pomysł, bo dostarczy tłustego mleka, gdy w domu będzie się chowała wkrótce dwójka dzieci.

Tej soboty wstał przed świtem, ja też, i razem nakarmiliśmy kurczaki i wydoili krowę. Zbliżał się termin rozwiązania i mama była tak zmęczona, że od tygodnia nie wstawała z łóżka. Do doktora nie pozwoliłaby tacie się zawieźć, a on nie tylko respektował jej życzenia, lecz wręcz je celebrował.

- Każdy ma swoje własne pojęcie dobra - powiedział mi, jak pamiętam. - Twoja mama znalazła się niemal na samej granicy światowości, gdy ją zabrałem do szpitala, żeby leczyć to ukąszenie węża. W swoim przekonaniu nie może ponownie rozgniewać Boga.

- Może ty powinieneś kazać jej pójść do doktora - powiedziałam zatroskana. - A wtedy Bóg miałby o to pretensje do ciebie. Albo może ja powiedziałabym Bogu, że skłoniłam ją do pójścia do doktora? Bóg na pewno nie będzie się gniewać na dziecko.

Tata roześmiał się, a potem wykrzyknął:

- Czy ty wiesz, że Bóg to dzieło sztuki, i nie możesz pomalować go na taki kolor, jaki ci się podoba! Bóg twojej mamy poczerwieniał teraz na twarzy, tak się śmieje z twojego zdrowego rozsądku.

Tej soboty tata najął się u farmera w sąsiednim miasteczku na jeden dzień do pracy przy zwożeniu siana. Zapłata była niezła, chociaż tata nigdy oczywiście nie mówił, że potrzebujemy pieniędzy. Sprawiało mu przyjemność wszystko, co odciągało go od hodowli kurcząt. Rano przed odjazdem nalepił kartkę z numerem telefonu tego farmera na dużym czarnym aparacie wiszącym na ścianie w kuchni.

- Gdyby mama zachorowała - powiedział do mnie - albo coś cię u niej przeraziło, budząc obawę, że może źle się czuje, zadzwoń do tego człowieka, u którego będę pracować. A on mi da znać, że jestem potrzebny w domu. I zaraz przyjadę.

- Zaopiekuję się mamą - obiecałam solennie. Usiłowałam wyglądać na lekko znudzoną niepokojem widocznym w jego oczach, choć serce biło mi w przyspieszonym tempie, bo bałam się zostać sam na sam z tak wielką odpowiedzialnością. Po odjeździe taty zrobiłam w piecyku grzanki i zniosłam mamie cały talerz wraz z domową galaretką z winogron i szklanką świeżego mleka. Odgryzła kawałek grzanki i upiła łyk mleka. Kiedy nie chciała zjeść nic więcej, patrzyłam na pozostawione jedzenie z wyrzutem, jakby mnie zdradziło.

- Zrobię ci parę naleśników - zaproponowałam. - Od naleśników nie dostaniesz torsji. Zauważyła moją minę i wyciągnęła do mnie rękę.

- Dziecino - powiedziała czułym i słabym głosem - chodź tu i ogrzej mnie. Tak mi jest dobrze.

- Naleśniki, mamó - powtórzyłam zdecydowanym tonem.

- Nie. Chodź no, dziecinko.

Poddałam się uczuciom, położyłam się obok niej i zwinęłam w kłębek pod kołdrą. Przez koszulę nocną masowałam jej wielki brzuch. Mruczała z zadowoleniem, a potem zapadła w lekki sen. Położyłam dłoń na jej piersi i liczyłam uderzenia serca. Wydawała się w porównaniu ze mną taka krucha. Kiedy słońce było wysoko i zaglądało w okna, zasnęłam.

Obudziło mnie to, że się szarpnęła. Promienie słońca wciąż wpadały do pokoju, nie upłynęło więc zbyt dużo czasu. Teraz jednak była całkiem rozbudzona i zlana potem, a oczy miała na wpół przymknięte. Wskoczyłam z łóżka i zobaczyłam, że kurczowo ściska kołdrę.

- Mamó! Mamó! - wykrzyknęłam. - Wezwę doktora.

- Nie! - Wolno się odprężyła. Objęła mnie spojrzeniem. Udało jej się uśmiechnąć. - Nic mi nie jest. Powiem ci, co masz zrobić. Idź zadzwoń do pani Maple. Jej numer jest w książce telefonicznej. Zamierzam ją wezwać, żeby tu ze mną pobyla.

Roberta Maple była tęgą starszą kobietą, która pomagała mnie odbierać, gdy przychodziłam na świat. Tata nie wspominał o telefonowaniu do pani Maple.

- Ja... ja lepiej zadzwonię do taty - wyjąkałam. - Tata mi kazał.

- Ale ja nie jestem chora. Czy nie powiedziałałabym ci, gdyby tak było?

- Mamó...

- Sza! Dzwoń do pani Maple.

- Myślę, że ona się zjawia tylko wtedy, gdy ludzie mają mieć dzieci. Czy ty... -

Przerwałam zalekniona. - Czy ty...?

- Nie będę mieć dzisiaj dziecka, kochanie - zapewniła szybko, uśmiechając się do mnie promiennie. - Nasze dziecko nie pojawi się wcześniej niż po świętach Bożego Narodzenia. Teraz idź zadzwonić do pani Maple. Potrzebuję po prostu jakiegoś towarzystwa.

Zaskoczona dylematem sprzecznych poleceń, zeszłam po schodach na dół, wspierałam się na podnózek, skąd mogłam dosięgnąć do telefonu na ścianie, i zadzwoniłam do Roberty Maple. Powiedziała mi, że zaraz przyjedzie. Wzięłam kartkę z numerem telefonu do taty i

studiowałam ją, jakbym mogła wyczytać z niej jakąś sekretną radę.

W końcu włożyłam kartkę do kieszeni kombinezonu i poszłam na górę pilnować mamy, zanim przyjedzie pani Maple. To była najgorsza decyzja, jaką tego dnia powzięłam.

Byłam śmiertelnie przerażona. Pani Maple i Sue Tee przepędziły mnie do kuchni i tkwiłam tam przez ostatnie trzy godziny, nadstawiając uszu, żeby coś usłyszeć. Usłyszałam krzyk mamy. Wskoczyłam na podnóżek i chwyciłam słuchawkę, odszukałam w kieszeni kartkę i zadzwoniłam pod wypisany na niej numer. Kiedy usłyszałam męski głos, krzyknęłam:

- Proszę powiedzieć Tomowi Powellowi, żeby przyjechał szybko do domu! - I rzuciłam słuchawkę. Zdjęłam z półki książkę telefoniczną Tiberville. Ręce tak mi się trzęsły, że nie mogłam trafić palcem w spis lekarzy.

Bóg mamy będzie się gniewać na mnie przez resztę mojego życia. Tym się nie martwiłam. Wykręcałam już numer, gdy przeszkodziła mi Sue Tee Harper, wrywając słuchawkę z ręki. Pomocnica pani Maple miała wystające zęby, była żylasta i ubrana w luźne brązowe spodnie. Miała ostre spojrzenie biednej góralki pozbawionej złudzeń w sprawach życiowych.

- Dziewczę!

- Telefonuję po doktora!

- Telefonujesz po doktora! - przedrzeźniała mnie wysokim piskliwym głosem. - Chryste Panie, dziewczyno, twoi starzy nie mają pieniędzy na żadnego doktora!

- On i tak przyjedzie!

- Rób, co ci powiedziano. Zostaw w spokoju ten telefon. Bóg ma w swojej pieczy twoją mamę. Idź, siądź na ganku i módl się.

- Mój tata pojechał zarobić trochę pieniędzy. DZWONIEŃ PO DOKTORA.

- Nie zarobi tyle, żeby opłacić doktora. - Pokazała palcem w stronę pastwiska. - Wydał pieniądze przeznaczone dla doktora na tę tam niedźwiedzicę. Jeśli chcesz się skarżyć, to poskarż się jej, słyszysz? Twoja mama nie może sobie pozwolić na doktora i pewno żałuje, że go teraz przy niej nie ma. Ale wie, że twój tata dał wszystkie pieniądze dla doktora na tego złego bożka.

Zatoczyłam się do tyłu, gapiąc się na nią. W co wierzyć? Ciężkie szybkie kroki rozległy się na schodach. Do kuchni wkroczyła pani Maple, niosąc jakieś zawiniątko w zakrwawionym prześcieradle.

- Zabierz ją stąd - powiedziała do Sue Tee.

Sue Tee chwyciła mnie za ramię, ale ja przełożyłam rękę przez gruby żelazny drąg na ręczniki, przyśrubowany do ściany przy zlewie. Przodkowie Freda Washingtona wykuli ten drąg i podobnie jak oni był czarny, mocny i potrafił wiele wytrzymać.

- Dziewczyno! Niech cię diabli wezmą, dziewczyno! - krzyczała Sue Tee, ciągnąc

mnie, a ja się opierałam. Wpatrywałam się w nieruchome zawiniątko, które pani Maple położyła na kuchennym stole.

- Zabierz ją stąd, powiedziałam! Muszę wracać na górę!

Sue Tee coś odburknęła, szarpnęła, a ja upadłam na podłogę. Kiedy się podniosłam, wypchnęła mnie na dwór, rzuciła mi kurtkę, po czym zamknęła drzwi. Następnie podbiegła do stołu i uniosła prześcieradło. Przez karbowane szkło w drzwiach dojrzałam maleńką, nieruchomą twarzyczkę. Kiedy zakryła ją znowu prześcieradłem, ogarnęło mnie zdumienie, a potem gniew. Co ona robi! W ten sposób zadusi dziecko mamy!

Chwyciłam kawałek drewna ze stosu ułożonego pod ścianą ganku i rozbiłam tafelę szkła w drzwiach. Sue Tee odwróciła się nagle i wyrzuciła w górę ręce, widząc, że sięgnęłam do środka i odsunęłam zasuwkę.

- Precz! Precz! - wrzasnęła, gdy wbiegłam znów do kuchni. - Co ty sobie myślisz, dziewczyno? - Uskoczyłam przed nią na bok, ale zdążyła złapać mnie za kołnierz kurtki. Zamachnęłam się kawałkiem drewna na podpałkę, które wciąż trzymałam w ręce, i uderzyłam ją w brodę. Zaskowyczał, obróciła mnie i z furją pokazała palcem zawiniątko. - Chcesz się w to mieszać? Dobrze! Twój braciszek nie żyje. Tam są jego zwłoki! A teraz będziesz mnie słuchać i zabierzesz się stąd czy nie?!

Zmartwiałam. Drewno wypadło mi z ręki. Nie mogłam zarejestrować wszystkiego naraz! Mój umysł odmawiał zaakceptowania tego, co mówiła.

- Sue Tee! - krzyknęła pani Maple z góry. - Jesteś mi potrzebna!

- Zaraz wrócę, a ty lepiej się wynoś - powiedziała Sue Tee, wybiegając z kuchni. Zmusiłam się do stawiania jednej stopy przed drugą, chcąc utrzymać równowagę, gdy zbliżałam się do stołu. Pociągnęłam ręką prześcieradło. Zjechało na bok. Leżał tam mój mały braciszek, sinoróżowy, z zamkniętymi oczkami, o drobnej buzi, spokojnej jak u śpiącego kociaka. Nie widziałam martwego dziecka. Widziałam mojego brata. Mojego brata. Nie martwego. Nie tego. Był normalnej wielkości. Nie pozwolę, żeby to dziecko urodziło się martwe.

Chwyciłam je w ramiona razem z prześcieradłem i wybiegłam na dwór. Młode kurczaki masowo się dusiły, gdy dostawcy Tiberów wpakowali do kurników nowe stada. Tata zbierał bezwładne pisklęta, a ja mu pomagałam. Pędziliśmy z nimi do koryta i zanurzaliśmy je do wody. Czasami szok wywołany zimną wodą przywracał kurczaki do życia, a czasami nie. My jednak próbowaliśmy je w ten sposób ratować.

Tam właśnie pognałam z dzieckiem. Było bezwładne, wyglądało beznadziejnie, ale ja biegłam ze wszystkich sił w nogach. Ukłękłam, wsunęłam je wraz z prześcieradłem między kolczaste druty płotu odgradzającego koryto i zanurzyłam na sekundę w lodowatej wodzie, potem uniosłam w górę i zanurzyłam ponownie.

Nie zauważyłam żadnej reakcji. Odwinęłam prześcieradło i włożyłam do wody nagie

dziecko. Nie potrafiłabym zrobić tego po raz drugi, bo wydawało się to tak brutalne i okrutne wobec tego maleńkiego, pomarszczonego ciała, nadal bezwładnego jak szmaciana lalka.

Co robić, co tu robić? Przyciskałam dziecko do piersi, rozpięłam kurtkę i schowawszy je pod nią, biegałam po podwórku. Odwaga ustępowała miejsca strachowi i rozpacz. Nagle oślepiły mnie łzy, uderzyłam nogą w coś twardego, potknęłam się i przewróciłam na bok. Dotarłam do betonowego postumentu rzeźby i teraz, gdy uniosłam głowę, chcąc zaczerpnąć powietrza, ujrzałam nad sobą niedźwiedzicę. Leżałam pod jej wysuniętym łbem, gapiąc się na zazębiające się elementy i części osłaniające mnie przed zimnym szarym niebem.

- To wszystko przez ciebie! - krzyknęłam. - To ty zabrałaś pieniądze na doktora! - Coś poruszyło się pod moją kurtką, coś przyciśnięte do napierśnika kombinezonu i przepoconej flanelowej koszuli. Usiadłam, drżąc, i uniosłam połę kurtki. Mój brat zwinął miniaturową dłoń w piastkę na mojej koszuli, otworzył usta i zaczął kwilić. Spojrzałam w górę na niedźwiedzicę. Czyżby mnie usłyszała i poczuła się winna?

Bałam się poruszyć, bałam się, żeby nie zrobić krzywdy dziecku. Żeby nie przestało żyć, teraz kiedy już ożyło. Skuliłam się tam, otulając je ciasno kurtką, i wlepiwszy wzrok w dom, czekałam z pustką w głowie, żeby ktoś przyszedł. Proszę, niech ktoś przyjdzie i powie mi, że mamie nic złego się nie stało. Niedźwiedzica uratowała dziecko. Niedźwiedzica uratuje też mamę. Nic innego nie miało sensu.

Wkrótce na podjazd zajechał pędem tata i zostawiwszy otwarte drzwi pikapu, wbiegł do domu. Usiłowałam wstać i iść za nim, ale nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Siadłam z powrotem na betonowym postumencie i czekałam. Dziecko nadal cicho kwiliło i zaczęło się wiercić.

W końcu tata wyszedł z domu, ujrzał mnie i ruszył, na pół biegnąc, w moją stronę. Wyraz jego twarzy sprawił, że skuliłam się z bólu. Kiedy dotarł do mnie, zaczęłam płakać. Odchyliłam połę kurtki, żeby mógł zobaczyć dziecko.

- Tato, ono żyje. Czy mama też jest w porządku? Usiłowałam wezwać doktora. - Tata usiadł obok nas i objął mnie ramieniem. Wsunął drżącą dłoń pod moją kurtkę i podłożył ją dziecku pod główkę.

- Mogliśmy liczyć tylko na jeden cud - szepnął, a potem głos mu się załamał i też zapłakał, przyciskając mnie do piersi, a drugą rękę trzymając wciąż pod główką mojego brata.

Byłam oszołomiona. Nie musiał mi mówić, że mama umarła. Czułam pustkę pod skórą, między żyłami, wokół serca. Na doktora nie mieliśmy pieniędzy, bo tata był nierozsądny, a mamę zabiło jej pojęcie dobra. I on, i Żelazna Niedźwiedzica pozwolili, by Bóg to uczynił. Z suchymi oczami i w szoku spojrzałam znowu na rzeźbę. Nie uratowała mojego brata. Zabiła mi matkę.

Rozdział 5

Quentin siedział w gęstniejących jesiennych ciemnościach na ceglanych schodkach prowadzących do kamienicy i usiłował czytać przy świetle latarni ulicznej. Wyjął papierosa z bluzy, potem schował go z powrotem. Pani Silberstein i inne starsze panie z sąsiedztwa doniosłyby matce, gdyby przyłapały go na paleniu. Nigdy chyba nie zauważały sprzedawców narkotyków i ulicznych żebraków, których pełno było na każdym rogu, za to zawsze widziały Quentina Ricconiego, kiedy palił papierosa z filtrem. Wciąż troszczyły się o swoich.

Unikanie kłopotów, i to nawet najmniejszych, stało się jego mantrą. Do ukończenia szkoły średniej pozostał mu jeszcze rok i nauczyciele u St. Vincenta zapewniali, że może się starać o takie stypendium, jakie zechce. Wyobrażał sobie, że będzie studiował w Massachusetts Institute of Technology. MIT. W jego opinii była to najlepsza politechniczna uczelnia w kraju.

Rozłożył na kolanach podręcznik do matematyki. W pełni skoncentrowany, nie zwrócił początkowo uwagi na głośny stukot na chodniku wysokich, podbitych skuwkami obcasów Carli Esposito.

- Och, Quent! Cholera! Znowu - powiedziała półgłosem. Uniósł głowę, zaskoczony.

Na obcasach była prawie tak wysoka jak on. Czarne włosy natapirowała tak mocno, że jej fryzura przewyższała grzywę Farrah Fawcett. Paradowała w dżinsowych spodniach dzwonych, jaskraworóżowej bluzce i długiej skórzanej kurtce. Pod bluzką nie nosiła stanika. Powieki pomalowała grubo czarną maskarą, wargi jaskrawoczerwoną szminką, tego samego koloru co paznokcie. Miała piętnaście lat, a wyglądała na trzydzieści. Gdyby Alfonse zobaczył ją tak „zrobioną”, wysłałby ją do szkoły klasztornej.

Siadła na schodku przy nogach Quentina i westchnęła głośno, dotykając potężnym biustem jego uda. Niedawno pozbawili się wzajemnie dziewictwa podczas pospiesznego, niezdarnego zbliżenia pod drzewem w pobliskim parku. Od tej pory Carla doskonaliła swoje umiejętności przy każdej okazji.

- Znowu wyłączono wam elektryczność, co? - Głos miała łagodny.

Quentin wpatrywał się jeszcze przez chwilę w książkę, potem z hukiem ją zatrzasnął.

- Aha.

- Myślałam, że rachunki masz pod kontrolą.

- Matula posyła więcej floty staremu, niż myślałem. Ukrywa to przede mną. On ekspediuje swoje prace do galerii poza granice stanu. Co nie znaczy, że dużo sprzedaje. Do licha, to pokrywa ledwie koszty wysyłki. Poza tym musi wymieniać zgrzewarkę i różne inne urządzenia. To dlatego ona wysyła mu dodatkowe pieniądze. Powiniennem był się kapnąć, gdy wzięła drugą robotę. Pracuje przez dwa wieczory w tygodniu w księgarni.

- Mógłbyś przyjść do nas. Tata pracuje do późna.

- Dzięki za zaproszenie, ale nie jestem w nastroju.

- To można zmienić. - Wsunęła mu dłoń między nogi i próbowała go macać, póki ostrzegawczo nie chwycił ją za rękę. Mimo to spoglądał na nią łakomie. Namiętna, lojalna i ambitna Carla zawsze pragnęła go uszczęśliwić, czy było to dla niego dobre, czy też nie.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Mam cię. No, no. - Uśmiech zniknął z jej twarzy, kiedy Quentin potrząsnął głową. - Chodź tam, gdzie jest światło, proszę, proszę, proszę. Albo ja pójde do ciebie, zanim wróci twoja matula. Zabawimy się w doktora po ciemku.

- W taki właśnie sposób wszyscy dookoła lądują z niechcianymi dziećmi.

- Nie ja. - Poklepała kieszeń w swoich dzwonach. - Ukradłam w Tivolii kondomy. Ta stara Rosjanka odwróciła się, a ja zwędziłam je zza lady.

- Ty, córka detektywa?

- Nie zajdę w ciążę. Wydostaniemy się stąd. Zamieszkamy po drugiej stronie mostu... będziemy mieszkać daleko przy Central Parku w eleganckiej nadbudówce na dachu wysokościowca. I będziemy mieć szofera! - Pyszniła się. - Czy ja wyglądam na to, że pochodzę z Brooklynu? - Wygrała z tuzin środowiskowych konkursów piękności i nawet jako modelka demonstrowała stroje w katalogu pewnego domu towarowego. Pociągnęła go za udo, wsuwając dalej palce. - Nie martw się tym rachunkiem za elektryczność. To nie ma znaczenia. Chodź. Ja cię rozweselę. Nie lubię, jak jesteś taki.

- Chcę uderzać głową w mur. Chcę eksplodować.

- To tylko światło!

- Nie cierpię, jak wyłączają tę cholerną elektryczność. Nie cierpię, jak matka zwiesza głowę, gdy ogląda rachunki. Nie cierpię, gdy nie patrzy w oczy sklepikarzowi, bo on nie chce już niczego dawać jej na kredyt. Mój stary obiecuje każdego roku, że będzie lepiej. W zeszłym miesiącu udostępniono mu wielką galerię w So-Ho, żeby pokazał kilka swoich prac. Ludzie je wyśmiali. Zawsze kilka osób zachwyca się jego rzeźbami i coś kupuje, ale nigdy nie dość. Wyprzedza swoją epokę - mówią mu. Kto wie! Kogo to obchodzi! Nie spał przez tydzień. Chcę postawić sprawę jasno, rozumiesz? Nigdy nie obiecuję tego, czego nie będę mógł dotrzymać. Wywiązuję się ze swoich obowiązków. - Teraz już niemal krzyczał i chwycił Carlę za ramiona. - Jestem mężczyzną, mężczyzną, i mam obowiązki. Nie mogę nic poradzić na tę elektryczność, ale nie jestem wałkoniem!

Uderzyła go pięścią w rękę.

- Wiesz, że cię kocham! Chcę ci pomóc!

- A ja ci wiele razy mówiłem: nie chcę, żebyś mnie kochała, i nie chcę twojej pomocy.

Capice?

- Masz inną dziewczynę! To dlatego tak ze mną rozmawiasz! Ja tę cholere zabiję, jak tylko się dowiem, kto to jest!

Przejechał ręką po twarzy i westchnął.

- Nie ma żadnej innej dziewczyny. Ja po prostu nie chcę, żeby ktoś mnie kochał.

Ktokolwiek. Żadna dziewczyna. Ani ty, ani żadna inna.

- Dlaczego?

- Nie potrzebuję miłości. Na co mi ona?

- Zamierzam pewnego dnia wyjść za ciebie!

- Chcesz wyjść za mąż? To znajdź sobie jakiegoś kandydata. Nie mnie. Nigdy. Ja nie wierzę w małżeństwo.

- Jesteś kłamczuchem!

- Myśl sobie, co ci się podoba. I dość już na ten temat. Dostyc! - Wyprostował się groźnie, ostrzegając, że jeszcze jedno słowo, a wstanie i pójdzie sobie. Miewali takie kłótnie już przedtem. Nigdy mu nie wierzyła, a on nigdy nie ustępował.

Carla zerwała się na równe nogi, twarz miała siną z wściekłości, pięści zaciśnięte.

- Spierdalaj! Wiem, o co chodzi. Myślisz, że sobie pojedziesz w przyszłym roku do jakiegoś wspaniałego college'u i nigdy tu nie wrócisz. A ja jestem tylko córką makaroniarzkiego gliniarza z Brooklynu i o mnie zapomnisz. Nie wiesz wszystkiego, Quentinie Ricconi. Nie wiesz nic. Ty nawet nie wiesz, gdzie naprawdę pracuje wieczorami twoja mamunia!

Zerwał się, natychmiast czujny.

- O czym ty mówisz?

Zbladła. Do oczu napłynęły jej łzy, a gniew się ulotnił.

- Gównu - powiedziała pod nosem. Nie zamierzała niczego mówić.

- O czym ty mówisz?

- Quentin, ja... do cholery. Cholera! - Opadły jej ramiona. - Tata to odkrył, bo detektywi zawsze dostają materiały z tych operacji. Próbował ją przekonać, żeby zrezygnowała, ale ona go zmusiła, by obiecał, że nic nie powie. Mówiła, że to tylko na krótki czas.

- Co?

Usta jej drżały, bo żałowała tego, co zrobiła.

- Ona prowadzi biuro u MacLanda.

U tego lichwiarza! MacLand to najgorsza szumowina. Posyła ludzi, żeby przetręcali kolana i wyłamywali palce. Bezlitosny lump.

Quentin odprowadził szybko Carlę pod jej elegancką kamienicę i pocałował w ciemnościach przy schodkach.

- Mam coś do załatwienia - powiedział i zostawił ją tam we łzach.

Obserwował gwiazdy, żeby się pocieszyć, gdy szedł przez ciemne ulice, którymi nikt nie powinien chodzić w pojedynkę. Ta część Brooklynu wciśnięta pod paski nieba pachniała olejem do silników Diesla i metrem, i rozsypanymi śmieciami perfumującymi dodatkowo

noc. Latarnie świeciły niczym żółte oczy. Przygarbił się groźnie pod kurtką i wsunął ręce głębiej w kieszenie dzinsów, zaciskając jedną pięść na małym automatycznym pistolecie, a drugą na sprężynowym nożu.

Z ciemności zaułka wychynął jakiś mężczyzna.

- Hej, co robisz? Co masz dla przyjaciela? - zapytał bełkotliwie. Sięgnął do ręki Quentina.

Ten machinalnie wyciągnął nóż, nacisnął sprężynę i przyłożył ostrze napastnikowi do czulego punktu poniżej mostka.

- Wyrżnę ci serce - ostrzegł cicho.

- Hej, hej, no! - Nieznajomy wycofywał się w zaułek z uniesionymi rękami, potem odwrócił się i odszedł, chwiejąc się na nogach.

Quentin schował nóż i ruszył szybkim krokiem w dalszą drogę, ale nogi miał niepewne. Lśniące czarne camaro zatrzymało się na rogu. Podszedł do niego i wsiadł do środka.

- Masz jeszcze jaja, żeby to zrobić? - zakpił z niego Johnny Siconne, śniady, barczysty, o zmierzwionych czarnych włosach.

- Kurna, pewnie, że tak. - Quentin miał wrażenie, że jego pierś jest jak balon pełen wody. Położył ręce na kolanach, żeby osuszyć dłonie o spodnie. Johnny zawiózł go do Heights, gdzie szybko zlustrowali drogie samochody zaparkowane wzdłuż ulicy, przy której stały ładne stare domki.

- Idź - rozkazał Johnny. - Weź ten.

Quentin wyskoczył z auta i podbiegł do małego ciemnego mercedesa. Jeden ruch narzędziem, które trzymał w ręce, i już siedział w eleganckim sedanie, następny ruch i uruchomił silnik. Potem pognał na złamanie karku do dobrze sobie znanych rejonów, a tuż za nim Johnny, i zatrzymał wóz na podjeździe przed sklepem Gootsa z używanymi częściami samochodowymi.

- Chryste Panie! - wykrzyknął Goots, gdy otworzył drzwi i ujrzął mercedesa. Śmiejąc się i mamrocząc pochwały po niemiecku, wyjął z rulonu w kieszeni kilka banknotów studolarowych i spojrzał na Quentina.

- Chcesz mi przyprowadzić więcej?

- Taak.

Goots się wahał.

- Słuchaj, możesz mnie uważać za głupka, ale muszę ci coś powiedzieć. Twój papa nie chciałby, żebyś to robił.

- Powie mu pan?

Lodowaty ton Quentina podziałał jak ostrzeżenie na powolnego, zwalistego Gootsa. Nigdy nie wtrącał się w cudze sprawy. Lubił spokojne kradzieże. Uśmiech powrócił na jego

twarz pod pełne sprytu oczka.

- Ja nic nie mówię. Co ty robisz ze swoim życiem, to sprawa między tobą a twoim papą. - Wzruszył ramionami.

Quentin wracał do domu z pieniędzmi w kieszeni, nogi mu się trzęsły i chciało mu się rzygać.

De minimus non curat lex. „Prawo nie troszczy się o drobiazgi”. Liczył na to, bo stał się teraz złodziejem samochodów. Nie marzycielem jak papa, który przed oczami syna zamieniał się w jedno ze swoich szkieletowych metalowych dzieł. Teraz to on będzie facetem troszczącym się o własną rodzinę, ustalającym normy, które należy złamać.

Oznajmił matce, że Goots awansował go na pomocnika mechanika w swoim warsztacie i dał mu znaczną podwyżkę. Powiedział też, że wie o jej pracy u MacLanda i chce, by z niej zrezygnowała. To on pokryje lukę w budżecie pieniędzmi z podwyżki.

Wydawało się, że sprawiło jej to ulgę. Nie znosiła pracy u MacLanda, wstydziła się i żyła w strachu, że ktoś się o tym dowie. Pomoc Quentina była teraz niezbędna, nie mogła zaprzeczyć. Dotrzymał danej obietnicy, że pracując, będzie nadal miał dobre stopnie, co więc mogło być złego w tym, że poczciwy stary Goots go awansował? Była wyczerpana, samotna, cały czas przygnębiona. Przerazała ją pogłębiająca się desperacja Richarda. Czasami wieczorem całymi godzinami rozmawiali przez telefon. Próbowwała go pocieszać, dodawać otuchy.

Świat ją osaczał.

- Będę musiała podziękować panu Gootzmanowi - powiedziała z godnością i znużeniem.

- Nie ma potrzeby - odparł Quentin z dziwnym uśmiechem. - Zrobił dobry interes.

Od tej pory Quentin kradł samochody. Robił to dobrze. Dawał matce tyle pieniędzy, ile mógł, żeby nie obudzić w niej podejrzeń. Resztę chował w swojej sypialni. Carla dowiedziała się o tych kradzieżach przez dziewczynę Johnny'ego Siconne. Bała się o niego, ale to ją podniecało. Quentin wręczył jej banknot studolarowy i wszystko mu wybaczyła.

Leżał w swoim łóżku w nocy i pragnął, by nigdy nie musiał zamykać oczu. Kiedy spał, nawiedzały go koszmary. Śniło mu się, że zastrzelono go na ulicy. Napisał długi list do rodziców, wyznając w nim wszystko i prosząc ich o wybaczenie. Potem list zakleił i schował między powieści wojenne i dzieła poświęcone historii wojen, wypełniające półki w jego sypialni. Była to jego ostatnia pasja - ludzie i maszyny zagłady, ich heroiczne poematy, ich epickie idee, ich honorowa śmierć w obronie Boga i Ojczyzny. Jego dziadek zginął jako bohater podczas drugiej wojny światowej.

A nie jako złodziej samochodów.

Quentin wyszedł w czasie przerwy w pracy przed warsztat Gootsa - legalny warsztat blacharski. Zlany był potem. Dżinsy i podkoszulek poplamione miał cętkami czarnej farby.

Mył sobie twarz pod kranem na dworze, gdy przyjechał ciężarówką jego ojciec.

Wolno się wyprostował. Papa miał teraz czterdzieści parę lat i na skroniach zaczynał siwieć. Twarz mu zwietrzała jak urwista skała przez te ciężkie lata, które wyżłobiły z jego rysów całą miękkość. Oczy były zimne jak stal.

- Wsiadaj - powiedział do syna. - Chcę, żebyś się z kimś poznał.

Przez minutę Quentin trwał w bezruchu. Papa przyjechał tu w środku tygodnia i do tego z takim wyrazem twarzy, żeby z kimś go poznać? Czuł, że włosy stają mu dęba na głowie. Stało się coś bardzo złego. Potem zareagował.

- Dobra, jak sobie życzysz. Zupełnie jakbym nie miał nic do roboty - odparł. - I wspiął się do ciężarówki, nic więcej nie dodając.

W czasie jazdy papa się nie odzywał. Jego stara kraciasta koszula i spodnie w kolorze khaki nosiły liczne ślady wypaleń od drobin rozpalonego metalu przyskających od palnika. Włosy na przodzie miał opalone. Musiał w wielkim pośpiechu wybiec z tego swojego magazynu.

Quentin uzbrajał się przeciwko kłopotom. Mętnie sobie uświadamiał, że przejeżdżają przez różne części Brooklynu, gorsze lub lepsze od ich własnej. W krajobrazie niejednorodnego terenu miasta, które się rozrastało i wchłaniało ludzi, czasami dominowały czarne twarze, czasami białe, smutne albo zadowolone. W końcu papa skręcił i wjechał przez bramę na ogromny cmentarz tak zatłoczony nagrobkami i mnóstwem małych mauzoleów, że prawie nie było w nim miejsca, by mogli tu poruszać się żywi.

Zaintrygowanie Quentina jeszcze wzrosło, gdy ojciec mijał jedną wąską brukowaną alejkę za drugą i zatrzymał się w głębi lasu umarłych.

- To tylko kilkadziesiąt metrów w tę stronę - powiedział, wskazując miejsce z niskimi prostymi płytami. Zaintrygowany Quentin podążał za nim w milczeniu, obchodząc płaskie nagrobki. Papa przyklęknął na jedno kolano przy jednej kamiennej płycie i zabrał się do oczyszczania z kęp trawy jej pięknie rzeźbionej powierzchni. Quentin przystanął obok niego i spojrzął na płytę.

Jeanne Louise Ricconi - widniało na niej wśród wijących się wyrzeźbionych róż. Z dat wynikało, że zmarła, mając zaledwie osiemnaście lat, i nie żyła prawie od ćwierć wieku. Papa przejechał koniuszkami zgrubiałych, szorstkich palców po nazwisku.

- Była moją siostrą.

Quentin kucnął i z niedowierzaniem przeniósł wzrok z płyty nagrobnej na ojca.

- Dlaczego utrzymywałeś to w tajemnicy?

- Nie lubię o niej mówić. Nie przywróci to Jeanne do życia. Umarła, gdy miałem mniej więcej tyle lat co ty. Była święta. Najszlachetniejsza osoba, jaką znałem, zanim spotkałem twoją matkę. Jeśli chcesz mnie zrozumieć, to masz to tutaj. - Pokazał na płytę. - Szybko wydoroślałem tamtego roku.

- Dlaczego umarła?

- Na chorobę Heine-Medina. Nie mogła oddychać. Włożyli ją do żelaznych płuc. Jak do trumny. Z jednego końca wystawała tylko jej głowa. Wkradłem się do kliniki i siedziałem przy niej. Nie dbałem o to, że mogłem się zarazić. Była dla mnie wszystkim, co miałem na świecie. Kiedy widziałem ją w tej maszynie, miałem wrażenie, że pożerana jest żywcem. I nic jej to nie pomagało.

- Ale ta machina utrzymywała ją dłużej przy życiu.

- W tym sęk, prawda? Nigdy nie wiadomo, czy nienawidzić taką rzecz, czy też kochać.

- Przerwał, po czym popatrzył na syna ciemnymi palącymi oczami. - Zrobiłem tę rzeźbę niedźwiedzicy dla niej. Z jej przyczyny dostałem to zamówienie. - Quentin mógł tylko z zakłopotaniem potrząsnąć głową. Siostra papy umarła przecież dawno przed tą rzeźbą. Ojciec mówił dalej: - Ta pani w Georgii, która zamówiła niedźwiedzicę, przeczytała o mnie w biuletynie towarzystwa zwalczającego chorobę Heine-Medina. Zaoferowałem im swoją pracę dla upamiętnienia Jeanne Louise. Reperowanie aparatów ortopedycznych, naprawę kul. Napisali o tym artykuł i wspomnieli, że chcą być rzeźbiarzem. Pani Betty Tiber Habersham, tak się nazywała, przeczytała ten artykuł i przysłała do mnie list. Straciła rodzinę przez tę chorobę. Chciała postawić pomnik. - Wyjaśniał, jak doszło do powstania rzeźby niedźwiedzicy, ale Quentin ledwie go słuchał. Dokąd to zmierza? Ojciec przyjechał tu, żeby opowiedzieć mu tę historię? Pomieszało mu się w głowie czy co?

Kiedy papa skończył swoją opowieść, Quentin uważnie mu się przyjrzał.

- Co się dzieje? Dlaczego chcesz, żebym to wszystko wiedział?

- Ponieważ życie to nie jest cholerny wybór. To dar i jeśli go spieprzysz, żadnej drugiej szansy nie będzie. Nigdy nie zrozumieję, dlaczego Jeanne Louise umarła, a ja żyję. Postanowiłem zasłużyć sobie na życie. Czy zasłużyłem na to, by żyć?

- No pewno. Nadszedł czas jej śmierci, nie twojej.

- Nie recytuj mi tu tego, co gadają ci sakramenccy księża. Quentin uniósł obie ręce w bezradnym geście i nagle zawrzała w nim złość.

- Czego ty ode mnie chcesz? Chcesz, bym ci powiedział, że twoje życie ma cel i sens i że dokonujesz wielkiego czynu, bo żyjesz, a twojej siostrze nie było to dane? Chcesz, bym kłamał?

Twarz ojca się ściągnęła, zamieniając w nieruchomą maskę. Wzajemna złość naelektryzowała gorące powietrze. Wstali.

- Nie przyszedłem tu, żeby rozmawiać o sobie, ani nawet o sobie i o tobie - oznajmił papa. - Teraz liczysz się jedynie ty. Ty i to, za co musisz wziąć odpowiedzialność, zanim spuścisz wodę w klozecie i Spłuczesz swoje życie.

- Odpowiadam za swoje życie i za naszą rodzinę od chwili, gdy stałem się na tyle dorosły, by zrozumieć, że ty tego robić nie potrafisz.

Ojciec go uderzył. Walnął syna pięścią w usta. Zrobił to z taką siłą i tak błyskawicznie, że Quentin nie zdążył zareagować. Upadł do tyłu na płytę nagrobka i leżał chwilę nieruchomo, póki nie przejaśniło mu się w oczach. Wtedy oparł się na łokciu, a drugą rękę podniósł do ust i otarł krew z przeciętej dolnej wargi. Papa przykucnął obok i patrzył na niego z bezlitosną determinacją.

- Do jasnej cholery, jesteś złodziejem samochodów - powiedział.

Milczenie. Quentin nie ruszał się, nie odzywał, tylko gapił się na ojca. Czuł w ustach smak własnej krwi, potem zalała go fala wstydu.

- Jak się o tym dowiedziałeś?

- Od starych przyjaciół, którzy znają Gootsa. Kiedy poszedłeś pracować u niego, wiedziałem, co może się wydarzyć, ale nic nie mówiłem. Powiedziałem sobie w duchu: „Mój syn jest honorny. Matka nauczyła go liter tego świata, a ja ukazałem mu jego ducha. Jeśli Goots zaoferuje mu zły wybór, on powie: nie. Muszę mu pozwolić, by się sprawdził”. Ale ty się nie sprawdziłeś.

Quentin otarł rękę o nogawkę džinsów. Trząsał się ze wstydu. Wciąż zależało mu na uznaniu ze strony ojca i kiedy zdał sobie sprawę z tego, jak niewielkiej zmianie uległo to pragnienie, doznał jeszcze większego szoku. Jednakże lata cierpień i urazów sprawiły, że wybuchnął:

- A ty kim jesteś, że robisz mi wykład o honorze! Jesteś wszawym ojcem i wszawym mężem. Kradnę samochody, żeby popłacić nasze rachunki. Mama zawsze ukrywała przed tobą nasze finansowe kłopoty. A ty nigdy nawet się nie pofatygowałeś, żeby przyjrzeć się temu z bliska.

Opowiedział ze wszystkimi groteskowymi szczegółami o inkasentach, o eksmisji, o pracy u MacLanda. I w końcu to, co najgorsze.

- Wiem, że pieprzyłeś tę babę, która cię sponsorowała! - krzyknął. - Wiem, że robiłeś to, by dostać się do jej pieniędzy.

Z twarzy ojca zniknął gniew, malowało się teraz na niej zdumienie, a potem rozpacz. Przymknął oczy i spuścił głowę.

- Nie mów mi o honorze - kontynuował Quentin przy przerażającym milczeniu ojca. - Trzymaj się z dala od moich spraw! Zabijasz mamę, a mnie już dawno gównem obchodzisz! Idź za swoimi marzeniami i bądź sobie pieprzonym artystą, ale mnie zostaw w spokoju!

Milczenie. Ojciec wolno wstał. Wyciągnął do Quentina rękę. Syn ją odtrącił.

- Mogę się postarać o siebie. Masz to, czego chciałeś.

Ojciec zostawił go tam siedzącego, a sam poszedł do ciężarówki i odjechał z cmentarza. Po chwili głosy ptaków i odległego ruchu ulicznego wypełniły ciszę i Quentin rozglądał się, mrugając w oszołomieniu, jakby dopiero co się obudził.

Podpełzł do grobu Jeanne Louise. W tym wszystkim, co powiedział, trudno byłoby się

dopatrzeć mądrości czy zwycięstwa. Położył płasko dłoń na płycie nagrobnej swojej ciotki, jedynym symbolu dawno zmarłej dziewczyny, która zainspirowała Richarda Ricconiego, by był kimś więcej, niż wydawało mu się to możliwe.

- Co ja mu zrobiłem? - zapytał łamiącym się głosem Quentin.

Milczenie zmarłych było jedyną odpowiedzią.

- Co za afera! Wyrzucam cię - oznajmił następnego dnia Goots. - Wyrzucam cię z warsztatu, wyrzucam jako złodzieja. Bardzo mi przykro. Wierz mi.

Quentin przyszedł właśnie przed chwilą do pracy i popatrzył na szefa, jakby ten sobie żartował.

- Co ja zrobiłem? Jeśli chodzi o wczoraj, to wpadł tu mój stary z pewnym kłopotem i musiałem z nim pojechać. Zgoda, powinienem był powiedzieć komuś, że jadę, ale...

Goots zamachał tłustymi dłońmi, żeby się zamknął.

- Nic nie zrobiłeś. Wczoraj wieczorem przyjechał do mnie twój papa. Powiedział, że albo cię zwolnię, albo on mnie pośle do mamra. Może pójść do tego sakramenckiego Alfonse'a Esposito i to zrobić. Nie miałem więc wyboru. Z drugiej strony szanuję twego papę i wiem, że on troszczy się tylko o ciebie.

- Są inne miejsca, gdzie mogę pracować. Wie pan, co mam na myśli. Nie przestanę.

- Miej rozum. Nie jesteś jak ci inni, co kradną auta. Nie jesteś jakimś Johnnym Siconne. Masz łeb na karku, zamierzasz studiować. Nie ryzykuj. Wczoraj Pan Bóg posłał ci ostrzeżenie. Przez anioła. Twojego własnego papę. Weź to sobie do serca.

- Mój stary nie jest żadnym aniołem i zbyt późno na to, żebym się zmienił. - Quentin opuścił warsztat.

Nie ukradł kolejnego samochodu przez resztę lata, aż do jesieni. Goots prowadził stosunkowo bezpieczne i efektywne operacje. Quentin słyszał o innych ludziach, o których mówiono, że są tak samo godni zaufania, nie spieszył się jednak, powoli ich sprawdzał. Złapał się na myśli, że papa zaaprobowałby jego metodyczną taktykę. A przecież wiedział, że to śmieszny pomysł. Nieustannie myślał o ojcu.

A potem nadeszła wiadomość. W gabinecie ojca Aleksandra z ciemną boazerią wręczono mu list z MIT. Ksiądz uśmiechał się szeroko, gdy Quentin otworzył kopertę i przeczytał, że uczelnia oferuje mu stypendium na studia politechniczne. Zamierzał wcześniej ukończyć naukę w szkole St. Vincenta, a wtedy, jeśli zechce, mógłby wiosną rozpocząć studia na MIT. Kamień spadł mu z serca. Dziwił się, że jest taki zaskoczony. Matka miała rację, że w niego wierzyła. On zaś często traktował to jako coś normalnego.

A jeśli miała rację co do niego, to może również miała rację, wierząc w papę.

Tego chłodnego październikowego popołudnia czekał pod masywną bramą głównego budynku brooklyńskiej biblioteki. Rzuczał wesołe spojrzenia dziewczętom, które je odwzajemniały, wyzywał w duchu napotykanych na ulicy dorosłych mężczyzn, ale w gruncie

rzeczy mimo spokojnego wyglądu był tak podekscytowany, że ledwie mógł ustać na miejscu.

Potrząsał sprężynowym nożem w kieszeni jak talizmanem i opierał się o ścianę biblioteki obok wielkich brązowych wrót w stylu art deco, które sprawiały, że będąc dzieckiem, czuł się jak mrówka śpiesząca do środka, by ściągnąć okruszki chleba. Teraz buntował się przeciwko każdemu symbolowi wiedzy i władzy, bo znów czuł się ignorantem. Podskoczył do matki, gdy wyszła z tego imponującego budynku z ciężką torbą z książkami, zawieszoną na chudym ramieniu, i torebką zwisającą na lasce. Wziął od niej te ciężary, położył ostrożnie u jej stóp, po czym gdy patrzyła na niego ze zdumieniem, objął ją i radośnie uściskał.

- Co się stało? - spytała bez tchu, spoglądając na niego szeroko rozwartymi oczami, w których malowało się powiększone przez szkła pytanie.

Odstąpił do tyłu.

- W przyszłym roku na wiosnę idę studiować do MIT-u - odparł.

Oczy jej rozblęły i napełniły się łzami. Wykrzyknęła, potem go objęła i trzymała w ramionach. Lecz to, co zaczęło się jako chwila radości, przemieniło się szybko w smutek. Matka nie wypuszczała go z objęć i zaczęła się trząść, a potem szlochać mu na ramieniu. Był tak wystraszony, że zaczął powtarzać: „Mamo! Mamo!” i głaskał ją po plecach.

Próbowała się uspokoić, tłumiąc ciche jęki i drzenie.

- Przepraszam, przepraszam, och, przepraszam - udało jej się wykrztusić. - Nie chodzi o ciebie. Jestem taka szczęśliwa. Spełnia się moje marzenie. Ale... chciałabym, żeby był tu z nami twój papa. Chciałabym... tak się martwię, Quentinie. Stało się coś złego. - Quentin chwycił jej torbę i torebkę i poprowadził ją przez plac przed biblioteką.

- Siądź i odpocznij - powiedział. Usiedli na ławce. - Co się dzieje?

- Papa wczoraj wieczorem nie dzwonił. Przez cały dzień usiłowałam się z nim połączyć. - Pochyliła się i szybkim ruchem otarła oczy rąbkiem jasnoniebieskiego swetra. Kiedy znów się wyprostowała, chwyciła syna za rękę i potrząsnęła głową. - Jestem pewna, że to nic nie jest. Nie chcę psuć ci tej chwili. Naprawdę.

- W porządku. Powiedz mi coś więcej o papie.

- Jest taki przygnębiony. Od tego lata stracił nadzieję na przyszłość. Zmienił się, Quentinie, zniknęła ta iskra, która utrzymywała go przy życiu. Przedtem zawsze wierzył w to, co robi, choćby przeżywał nie wiem jakie udreki z powodu swojej twórczości i kariery, choćby nie wiem jak często czuł, że osiągnięcie sukcesu jest niemożliwe. Ostatnio jednak wygląda na to, że się poddał. Poddał.

Quentin słuchał tego wszystkiego i czuł coraz silniejszy ucisk w żołądku. To jego wina - to on papę zniszczył, złamał. A przecież nie chciał tego zrobić.

- Pożyczę samochód i pojedę tam dzisiaj wieczorem. - A po chwili dodał: - Mogę wziąć auto od Gootsa.

- Pojadę z tobą.

- Wolałbym jechać sam, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Może nawet tam zanoćję. Pobędę z nim, pogadam. Mamy do ustalenia parę spraw. Tylko my dwaj, on i ja.

Ścisnęła jego rękę i bacznie mu się przyjrzała. Niepokój połączył się z odzyskaną nadzieją i na jej szarą jak popiół twarz powoli powracał kolor.

- Gdybyś mógł to zrobić - powiedziała cicho - uważałabym, że byłoby to tak warte uczczenia jak twoje stypendium.

- Pogadam z nim. Obiecuję.

- Wspominał mi, że myśli o powrocie do domu. Quentin zeszywniał.

- Masz na myśli, że to rzuci? Kiwnęła potakująco głową.

- Boże przebac, ale chcę, żeby to rzucił. Nie sądziłam nigdy, że to powiem, ale tak bardzo za nim tęsknię i on tak ciężko tam pracuje, sam... to nie jest dla niego dobre. Gdybyśmy zdołali sprowadzić go do domu, to moglibyśmy się nim zaopiekować... Znajdzie sobie inne miejsce na pracownię i jakoś damy sobie radę. Mógłby to być nowy początek. Jest tam taki osamotniony.

Quentin wytrzymał jej wzrok bez mrugnięcia okiem. Stypendium było nagrodą, którą mógł przedstawić ojcu jako dowód na to, że Ricconi mają przyszłość w świecie. Obaj mieli przyszłość, a przeszłość można było odłożyć na bok. Wstał. Czuł się pewny siebie i był dobrej myśli.

- Pojadę sprowadzić go do domu - obiecał.

Zajechał pod magazyn tuż po zapadnięciu zmierzchu. Wypożyczył od Gootsa jeden z jego prywatnych samochodów, lśniącą czerwoną corvette model 1959.

- Przyniesie ci szczęście, studencie. - Niemiec promieniał.

Nikłe żółte światła latarni ulicznych wokół magazynu wzbudziły w nim nadzieję, chociaż w oknach budynku nie widział żadnych świateł. Papa pewnie siedział przy lampie, nachylony nad deską kreślarską. Jego ciężarówka stała na parkingu.

Kilkakrotnie nacisnął dzwonek przy bocznych drzwiach, ale nikt się nie zjawił. Zasepiony, obszedł budynek, wypróbował mechanizmy pary wielkich, odsuwanych w górę wrót i sprawdził wejście po drugiej stronie. Przekonał się, że wszystko jest zamknięte. Wrócił pod pierwsze drzwi i spędził pięć minut, na próżno naciskając dzwonek.

Ciarki przebiegły mu po plecach. Zaczął rozpatrywać najróżniejsze możliwości. Ktoś zabrał papę na kolację. Papa spał smacznie w małym pokoiku, który sobie zbudował, i po prostu nie słyszał dzwonka. Papa pochłonięty był szkicowaniem albo modelowaniem jakiejś rzeźby i ignorował wszystkich gości.

Papa był z jakąś kobietą.

Ta ostatnia możliwość pojawiła się w umyśle Quentina nieproszona. Zelektryzowała go, mimo że ze wszystkich sił usiłował jej się pozbyć. Nie mógł pojechać z powrotem do

Brooklynu i powiedzieć matce, że papy nie zastał. Nie chciał też siedzieć w ciemnościach i czekać, aż papa wróci z kolacji.

A najbardziej ze wszystkiego nie chciał tam stać i rozważać tego, co przychodziło mu na myśl. Wyciągnął z kieszeni spodni parę długich, cienkich narzędzi i ostrożnie wsunął ich końce do zamka w drzwiach. Po minucie wprawnego poruszania i kręcenia zasuwka puściła. Uchylił ciężkie metalowe drzwi, wkroczył do ciemnego wnętrza i zamknął drzwi za sobą. Ostro brzmiące echo sprawiło, że poczuł się nieswojo. Papa nie trzymał już w tym kącie materiałów roboczych.

Posuwał się ostrożnie wzdłuż ściany, póki nie natrafił ręką na wyłącznik. Kiedy go przekreślił, wisząca lampa oświetliła pokój z dykty, zbudowany przez papę i przeznaczony na biuro i mieszkanie. Podwójne łóżce, którego używał, było puste i porządnie zasłane. Nie widać było talerzy w starym zlewie ani żadnych śladów niedawno jedzonego posiłku na kuchence zainstalowanej przez papę. Na ścianie za obdrapanym metalowym biurkiem wisiała pożółkła fotografia rzeźby niedźwiedzicy, a obok oprawiona w ramki kopia czeku Betty Tiber Habersham.

Quentin zerknął w górę na dźwigary i mętny świetlik, jakby papa mógł siedzieć na poprzecznej belce i płatać jakieś figle.

- Hej, papo! Zniknąłeś czy co?! - krzyknął, przyłożywszy dłonie do ust.

Żadnej odpowiedzi. Wyrżał w ciemność za róg. Zrobił krok do tyłu w stronę drzwi i zatrzymał się, bo wyczuł coś pod tenisówką. Podniósł to i zobaczył zaklejoną kopertę.

Papa napisał na niej wielkimi drukowanymi literami: DLA JOEYA ARAIZY. JOEY, PRZECZYTAJ TO, JAK TYLKO WEJDZIESZ. NIE RÓB NASTĘPNEGO KROKU, NAJPIERW TO PRZECZYTAJ.

Joey Araiza studiował sztuki plastyczne w jednym z tutejszych College'ów. Papa pozwolił mu korzystać z miejsca w jednym kącie magazynu. Joey budował skrzynie z grubej stalowej blachy, a potem je gromadził. Stalowe skrzynie to było całe jego artystyczne *oeuvre*. Uwielbiał papę.

Dobra, zatem Joey będzie tu rano. Quentin położył kopertę na biurku, potem podszedł do skrzynki bezpieczników na ciemnej ścianie obok pokoiku i przekreślił wszystkie wyłączniki. Wnętrze magazynu zalał potok światła z wiszących wysoko w górze lamp. Patrzyło na niego mnóstwo dziwnych metalowych rzeźb ojca, błyszczących i zimnych, a przy tym tak denerwujących swoją wymową. Może one rzeczywiście przemawiają - jak twierdził papa, kiedy Quentin był mały.

Szedł ostrożnie wąską ścieżką w labiryncie, rzucał ukradkowe spojrzenia na dzungłę poskręcane metalu i czuł się głupio. Papa śmiałyby się, gdyby widział go stąpającego tak cicho, jakby rzeźby mogły go usłyszeć.

Ojciec oddzielił miejsce do pracy i spawania prowizorycznym parawanem z drucianej

siatki na ramie dwa na cztery cale. Parawan był okryty grubym płótnem. Quentin podszedł tam i zajrzał za parawan. Ujrzał jedynie ścianę obwieszoną narzędziami i przyrządami do spawania, na środku urządzenia spawalnicze, palniki i ciężkie robocze stoły. Nic, co by nie zajmowało swojego miejsca. Odetchnął z ulgą i poszedł dalej.

- Okej, no to walnę się na twoje łóżko i poczekam - powiedział na głos. - Poszedłeś gdzieś, ale wróćisz. - Prychnął oburzony, chciał już iść do pokoiku, i wtedy zwrócił uwagę na ubikację po drugiej stronie. Drzwi do niej stały otworem. Wszedł do jej ciemnego wnętrza i zapalił światło.

Ojciec leżał na wznak na popękanej podłodze, twarz miał zwróconą ku drzwiom, w stronę Quentina, i otwarte niewidzące oczy. Ubrany był w jedną ze swoich brązowych roboczych koszul, dzinsy z wypalonymi dziurami i skórzane wysokie robocze buty. Włosy miał tylko lekko zmierzwiłone, długie nogi niedbale rozłożone, lewą rękę przerzuconą przez pierś. Prawa ręka była wyciągnięta, mocne palce rozluźnione, tuż przy kolbie pistoletu, który zawsze woził w ciężarówce.

Podłogę pod nim pokrywała skrzepnięta krew. W powietrzu unosił się taki odór jak w rzeźni. Na środku klatki piersiowej ojca widniała wielka dziura obramowana zakrzepłą krwią. Niewielkie strzępy ciała obryzgały mu koszulę i dzinsy.

Quentin nigdy nie zdołał sobie w pełni uzmysłwić, co robił i co czuł w minutach, które nastąpiły potem. Ostatecznie uświadomił sobie, że siedzi na dworze, na schodkach przed otwartymi drzwiami do magazynu, siedzi tam cicho w ciemnościach, nie wydając z siebie żadnego dźwięku, nie płacząc, nie poruszając się.

Ręce miał pokryte rdzawymi plamami od zaschniętej krwi. Próbował jak szalony wyczuć bicie serca w piersi ojca i przez dotyk ustalić, co go popchnęło za krawędź urwiska, po którym zawsze stapał. Znał jednak odpowiedź.

„To ja go zabiłem” - pomyślał.

Rozdział 6

Quentin bał się, że matka umrze z rozpaczy. Pilnował ją nieustannie. Nie mówiła o ojcu, nie patrzyła na jego fotografie, nie mogła nawet znieść rozmowy o niesprzedanych rzeźbach, które pozostały w magazynie. Chodziła do pracy i wracała do domu bez słowa, a jej milczenie było tak głębokie, że w bibliotece osoby, które jej nie znały, zastanawiały się, czy nie jest niemową. Wychudła na wiór, nie sypiała, często siedziała przez całą noc przed małym telewizorkiem w pokoju dziennym z otwartą, ale nieczytaną książką na kolanach. Jej oczy były zawsze puste, zapatrzone gdzieś w dal.

W szufladce nocnego stolika trzymała pożegnalny list papy. Włożył go w zaklejonej kopercie do listu pozostawionego dla Joego, w którym instruował nieszczęsnego studenta, że ma wezwać policję, powiedzieć policjantom, że znajdują jego ciało w łazience, potem wyjść i nie patrzeć za siebie.

Do Angele napisał:

Jest we mnie pustka, brak mi pomysłów i nadziei. Nie mam już w sobie postaci, które czekałyby na stworzenie. Nie wypełniłem obietnicy złożonej Tobie, sobie samemu i Quentinowi. Sprzedaj wszystko na złom i żyj swoim życiem. Przepraszam, że zrobiłem to Tobie i naszemu synowi. Niczyja to wina, tylko moja. Za bardzo kocham Was oboje, żeby pociągnąć Was ze sobą na dno.

W końcu utracił wiarę w siebie, o wiele wcześniej, niż straciłaby ją matka i zanim Quentin mógł zrozumieć, że pozostawienie ich samych na świecie było ze strony ojca najprawdziwszym aktem twórczym, specyficzną ofiarą zbudowaną z miłości. Quentin będzie zawsze winił siebie za to samobójstwo.

Joe Araiza badał losy dzieł papy. Ukazało się o nim kilka artykułów w poważnych czasopismach poświęconych sztuce. W ciągu sześciu miesięcy po śmierci papy wielbiciele kupili więcej prac niż przez całe jego życie. „Nieżyjący artyści nadają się bardziej do kolekcjonowania” - myślał Quentin z goryczą, kiedy w ogóle pozwalał sobie na myślenie o ojcu. Papa przychodził do niego w koszmarach sennych, znękany, zakrwawiony, z dziurą w klatce piersiowej, wyciągał ręce, przemawiał bez słów. Quentin budził się ze łzami w oczach, sfrustrowany, usiłując usłyszeć, co papa chciał mu powiedzieć. Albo przed czym ostrzec. Przed podobnym losem?

Nie. Nie. Matka pozostanie na zawsze przykuta do spuścizny papy, ale on ją odrzucał. Życie to wykonywanie pracy, utrzymywanie dystansu i wystrzeganie się tego, co może cię zabić. Nie kochaj tego, czego nie możesz zachować, nie chciej tego, czego mieć nie możesz, nie pragnij tego, z powodu czego możesz umrzeć.

Nawet Carla nie mogła pokonać muru, którym się otoczył. Przychodziła do niego codziennie po tym samobójstwie - lojalna, troskliwa i zawsze pewna tego, że seks, miłość i

zachłanna ambicja łącznie będą pracować na jego, a także jej korzyść. Nie myślał o niej, gdy z nim nie była. Oglądał swoją twarz w lustrze i dziwił się, jak może być tak nieczuły. To był znak. To, że nie są mu potrzebni inni, obroni go przed klątwą ojca.

Joe Araiza przywiózł matce pudła z papierami papy. Zaczęła porządkować jego szkice i notatki, adnotacje zapisane w żółtych liniowanych blokach.

- Będę zarządzać spuścizną mojego męża i będę ją propagować - zapowiedziała Joemu, który jej się bał. - Ta spuścizna nie tylko przetrwa, lecz nawet rozkwitnie. Obiecuję ci.

- Mówi się, że on był geniuszem - zapewnił ją Joe.

Patrzyła na niego bez zmrużenia oka i kiwała głową. Mogła żyć dalej, bo potrafiła przekonać samą siebie o absolutnych racjach. Napisała list do Mountain State College w Tiberville w stanie Georgia.

Sprawia mi taką przyjemność myśl, że ulubiona rzeźba mojego męża upiększa Wasz kampus. Jestem pewna, że przez ponad dziesięć lat była obiektem wielkiego zachwytu i dyskusji. Niedawno mąż mój odszedł z tego świata, ale jego dzieło, jego cele i jego spuścizna żyć będą wiecznie w takich monumentalnych kreacjach jak ta niedźwiedzica. Porządkując papiery męża, odkryłam, że nadał tej rzeźbie nazwę: Naga Mądrość. Ta fantazyjna nazwa przypomina mi, że obdarzony był zarówno subtelnym poczuciem humoru, jak i olśniewającym talentem artystycznym. Proszę łaskawie dać mi znać, jak się miewa Naga Mądrość. Byłabym bardzo wdzięczna za wszelkie fotografie i anegdoty, które mogliby mi Państwo przesłać.

Pewnego wieczoru Quentin wrócił z długiego spaceru i znalazł ją siedzącą na schodkach przed domem. Pani Silberstein obejmowała ją i pocieszała. Matka wyglądała tak, jakby przeżyła szok.

- Co się stało? - spytał.

- A to, co zrobiły te głupie kutafony w tamtym idiotycznym college'u, właśnie to - odparła pani Silberstein z pasją. Matka podała mu list, który przyszedł z administracji Mountain State College.

Szanowna Pani Ricconi!

Z przykrością musimy Panią poinformować, że po niedawnym zgonie pani Herbert J. (Betty) Habersham zamówiona przez nią rzeźba niedźwiedzicy została usunięta z kampusu, a następnie zniszczona. Żadnymi fotografiami tej rzeźby ani informacjami jej dotyczącymi kierownictwo Mountain State College w chwili obecnej nie dysponuje ani dysponować nie będzie w przyszłości.

- Marzyłam, że ją znowu zobaczę - powiedziała cicho matka. - Marzyłam, że zobaczę, jak jest podziwiana i szanowana.

Quentin położył jej list na kolanach.

- Odzyskam ją dla ciebie, jeśli będę mógł - rzekł chrapliwym głosem.

Wszystkie te lata, wszystkie te nadzieje, życie ojca, własny honor - przywróciłby jej to

wszystko, gdyby mógł. Wszystko. Jego dzieciństwo zaczęło się i skończyło wraz z tą niedźwiedzicą.

Pewnej lodowatej nocy na początku marca ukradł jaguara. Wyruszył aż na Manhattan, zwędził elegancki stalowoszary wóz z podziemnego parkingu i jadąc z powrotem przez most, który pozbawił życia jego pradziadka, głośno zapytywał sam siebie, czy nie prosi się o to, by go złapano. Kiedy wjechał w zaułek, gdzie znajdował się sklep z częściami wymontowywanymi z samochodów, już na rodzimym gruncie, zatrafił. Po czym jak zwykle wysiadł z auta i stał w pobliżu, czekając, aż właściciel, Murzyn o nazwisku Marshall, otworzy ciężkie stalowe wrota.

Jakoś tego wieczoru Marshall się nie spieszy - pomyślał. Wyjął z kieszeni czarnej bluzy tanią srebrną zapalniczkę i leniwym ruchem nacisnął wieczko. Ciche pstryknięcie odbiło się jakby echem od ceglanych murów dokoła albo wywołało w odpowiedzi jakiś odgłos, nie echo. Quentin zmarszczył brwi i stanął wyprostowany, a włosy zjeżyły mu się na głowie. Zbyt późno uświadomił sobie, że dźwięk, który słyszał, to szczęknięcie odwodzonego kurka rewolweru.

- Policja! Nie ruszać się! - krzyknął ktoś, a drugi głos mu zawtórował. Światło latarki oślepiło Quentina. Usłyszał, że kilku policjantów wyskakuje z drzwi kawałek dalej w zaułku. Zareagował instynktownie, zrobił trzy długie susy w stronę ulicy, zanim spostrzegł, że stamtąd biegnie mu naprzeciw trzech następnych.

Kiedy się zatrzymał, dopadła go pierwsza grupa. Złapali go i powalili na ziemię. Poczul ból w szczęce i smak krwi w ustach. Policjanci siedzieli na nim, stali na nim, obcasami miażdżyli krzyż, niemal wyrwali mu ręce ze stawów, gdy szarpnąwszy je do tyłu, skuli kajdankami.

Nagle odstepili i mógł zaczerpnąć trochę powietrza. Uniósł głowę na tyle, że zobaczył czubki wypucowanych golfów Alfonse'a Esposita. Ojciec Carli przykucnął obok niego. Miał pociągłą, poważną twarz, czarne włosy, siwe baczki i kilkakrotnie złamany nos. Niemniej ubierał się i mówił z irytującą elegancją.

- Podejrzałem to od dłuższego czasu, tylko nie chciałem nic mówić twojej matce - rzekł najzupełniej beznamiętnym tonem. - Wczoraj przyłapałem Carlę z plikiem twoich pieniędzy. Nie wyznałaby mi prawdy, ale ja nie jestem w ciemną bitą. Wykręcisz się z tego psim swędem... zrobię to dla twojej matki. Jednakże na moich warunkach, już ja tego dopilnuję. Twoja matka to kobieta z klasą i ona ci ufa, a ty zamierzasz złamać jej serce, tak jak twój ojciec. I powinienem cię zabić, bo wciągasz w to wszystko moją córkę.

- No to lu! - rzekł ze spokojem Quentin, którego ogarnęła lodowata apatia. Oparł głowę na zakrwawionym chodniku.

- Czy wpajałam ci aż tak skomplikowane zasady kodeksu honorowego, że nie umiesz ich przestrzegać? - spytała matka tak cicho, że musiał się wysilić, by usłyszeć. Siedzieli

naprzeciwko siebie przy kuchennym stole, kiedy wypuszczono go za kaucją. Usta miał opuchnięte, jeden policzek siny. Siedział z opuszczonymi ramionami, a duże, zręczne młodzieńcze dłonie położył przed sobą na starym laminowanym blacie stołu, jakby nadal miał je skute kajdankami.

- Usiłowałem pomóc ci w płaceniu rachunków - zachrypiał. - Resztę odkładałem.

- Alfonse przesyła mi pieniądze, które Carla ukryła na swoim koncie w banku. Tysiąc dolarów. Zamierzam w całości przekazać je na cele dobroczynne.

- Te pieniądze to był mój sposób na zaopiekowanie się tobą i sobą. I papą, gdyby się nie poddał. Na przyszłość.

- Miałeś uczucie, że papa cię rozczarował? - Głos jej drżał z emocji. - Uważałeś, że nigdy się nie sprawdzi?

- Tak.

- Zostałeś więc złodziejem. I kłamcą. I oszustem. I pozwoliłeś, żeby Carla Esposito stała się współwinna. Dziewczyna, która tak bardzo cię kocha. Wszystko to było honorowym balsamem na twoją dumę?

Skrzywił się, słysząc taką charakterystykę swoich sądów.

- Biorę na siebie odpowiedzialność. Robiłem to, co musiałem robić.

- Nie, robiłeś to, co przychodziło najłatwiej, i nazywasz to koniecznością.

Nic nie powiedział. Uniosła brodę, oczy jej błyszczały. Wyglądała na wyczerpaną, ubranie miała w nieładzie, włosy rozwichrzone i przysypane siwizną.

- Od śmierci papę byłem słaba. Pozwoliłam sobie na oplakiwanie go bez końca, kiedy trzeba było zabrać się do roboty. Zaufałam ci, polegałam na tobie, że odpowiednio pokierujesz własnym życiem i będziesz takim człowiekiem, jakim on, moim zdaniem, chciał, byś był.

Quentin opuścił jeszcze niżej już i tak nisko schyloną głowę. Nie prosił jej o wybaczenie ani nie wykrzyknął, że ojciec nie zasługiwał na obronę. Po prostu bolał w głębi duszy nad tym wszystkim.

- Ja ci to wynagrodzę - obiecał.

- Wynagrodzisz to jemu - skorygowała i wyszła, a on siedział w kuchni i czuł się tak okropnie samotny jak nigdy przedtem.

Alfonse'owi udało się załatwić Quentinowi ugodę z sędzią, który miał wobec niego długi wdzięczności. Sędzia miał nie wciągnąć do rejestru aresztowania Quentina i odstąpić od postawienia mu zarzutów, ale pod jednym warunkiem: Quentin będzie musiał wstąpić do wojska.

Kara wydawała się osobliwa w czasach po wojnie wietnamskiej, gdy służba w wojsku stała się wątpliwym zaszczytem, choć nie była groźna dla życia. Oznaczała jednak utratę cennego stypendium, wygnanie z domu i wielką tragedię wynikającą z rozczarowania matki.

Teraz zniszczył następne z jej marzeń.

- Mój syn pójdzie do wojska i odpokutuje za swoje winy - powiedziała, gdy Alfonse oględnie ją o tym poinformował. - Nie mam co do tego wątpliwości. - Zbyt wiele wycierpiała, żeby pozwolić komukolwiek na zorientowanie się, jak jest zdruzgotana. Bała się, że pęknie jej serce, jeśli się przyzna do tego, iż w gruzach legły jej plany i rozpadła się rodzina. Zaczęła więc uczyć się nie okazywać w ogóle żadnych uczuć. Quentin nie będzie mógł nigdy więcej przyjść do niej po uśmiech lub serdeczny uścisk. Wiedział, że zasłużył na odrzucenie przez matkę, i wiedział, że musi zapracować na jej szacunek, ta świadomość jednak niemal go zabijała.

Otworzył pudło, które trzymał w garderobie, wyjął notesy wypełnione zapiskami z wielu lat, zaniósł na dół i spalił na ulicy. Zachował tylko jeden, pierwszy, z czasów gdy miał osiem lat, aby mu przypominał, że startował, kochając i będąc kochanym, tak zwyczajnie, jak można sobie wyobrazić.

W dniu jego wyjazdu do wojska matka stała w oknie zupełnie tak jak wtedy, gdy papa przenosił się na północ stanu. Ubrana w cienką czarną sukienkę, uniosła rękę w geście pożegnania. Quentin patrzył na nią w udręce z chodnika, niemal porażony przez nostalgię i wstręt do samego siebie.

Poprzedniego wieczoru odwiedził Alfonse'a.

- Proszę się zaopiekować moją matką - zwrócił się do srogiego detektywa, który spokojnie pykał fajkę i obserwował go swoimi bystrymi ciemnymi oczami.

- Zaopiekuję się. Daję ci słowo. W zamian za to proszę cię: zerwij z Carłą. Żadnych listów, żadnych telefonów. Niech o tobie zapomni. - Alfonse wysłał ją na przedmieścia Chicago do ciotki. Quentin słyszał, że dziewczyna jest właściwie uwięziona w domu. Dostał od niej jeden list, przemycony przez przyjaciółkę. *Zawsze będę Cię kochać. Będę na Ciebie czekać.* Wysłał jej tysiąc dolarów, które udało mu się zatrzymać, i napisał na kawałku papieru: *Przepraszam za wszystko. Nie czekaj.* Ograniczył teraz swoje plany do kilku najważniejszych spraw. Przetrwać. Zasłużyć na prawo do życia. Nigdy nie zostać zranionym przez kochaną osobę i nigdy więcej nie zranić tego, kogo się kocha. Musiał dopasować rozkaz Alfonse'a do nowej sytuacji. Kiedy jego milczenie się przeciągało, Alfonse'owi zwęziły się oczy.

- Powiedz mi coś. Ale szczerze. Kochasz ją?

- Nie - odparł po chwili Quentin krótko i zgodnie z prawdą.

- Dziękuję. A więc wyświadczysz jej przysługę.

Quentin z wolna odetchnął.

- Nie będę się z nią kontaktować. Daję słowo.

Tak więc na tyle, na ile mógł, dokonał rozrachunku ze starym życiem, ze swoim dzieciństwem. Uniósł rękę, żegnając Angele Dolinski Ricconi, swoją matkę, i jedyny dom,

jaki kiedykolwiek miał. Potem wszedł do taksówki i nie obejrzał się za siebie.

Kiedy nie mógł już jej widzieć, Angele przycisnęła dłoń do szyby i zapłakała.

Mama nie powinna była umrzeć, dziecko nie powinno było ucierpieć. Myślałam, że stanę się przezroczysta i odpłynę w dal od gniewu i bólu. Przekonałam siebie samą, że mama kazałaby mi zadzwonić po doktora, gdybyśmy mieli czym mu zapłacić - gdyby tata nie kupił tej Żelaznej Niedźwiedzicy. Rygorystyczne nakazy religijne mamy, jej dziwactwa, upór i zacofanie zupełnie wyparowały mi z pamięci.

Tata dał chłopcu imię Arthur, mówiąc, że to imię heroiczne i pochodzi ze starego języka walijskiego, z czasów mitów i fantazji, i starych celtyckich legend. W starych legendach wiązano je z oddawaniem czci niedźwiedziom, tak jak moje. Arthur stał się bohaterem w dniu swoich urodzin i zdecydowanie był cudem - bo nie mogłam go nienawidzić za spowodowanie śmierci mamy. Chyba wiedziałam od razu, że jest nie całkiem taki, jak być powinien, że doznał uszkodzenia. Doktor nam powiedział, że może być upośledzony umysłowo.

Tata odparł, że to nie ma znaczenia, bo na świecie jest miejsce dla wszelkiego rodzaju stworzeń. Wpatrywałam się w tatę z mściwością i bólem. Miałam ochotę wykrzyknąć: Powinno cię to obchodzić! To twoja wina! Ale te słowa zostały we mnie i rozsadzały mi serce. Kochałam tak bardzo tatę, że wściekłość i rozczarowanie nie miały gdzie się podziać, musiały przeniknąć w kośćciek mojej duszy, gdzie się skurczą i stwardnieją.

W szkole znowu doszło do podwójnej okropności wynikającej z ujawnienia prawdy. Janine przysunęła się do mnie któregoś dnia i szepnęła:

- Lepiej bądź dla mnie miła, bo inaczej powiem mojemu tacie, żeby kazał twoją mamę wykopać, bo to on musiał zapłacić za jej pogrzeb, jako że wy jesteście biedni.

- Kłamczucha z ciebie - powiedziałam natychmiast, ale ona powtórzyła to z zadowoloną miną, a ja patrzyłam na nią z furją, wiedząc w głębi duszy, że nawet Janine Tiber by nie kłamała, mówiąc o czymś takim. Walnęłam ją jednak w usta. Straciła dzięki mnie na przodzie ostatni z mlecznych zębów, ale nigdy nikomu się nie poskarżyła, że ją uderzyłam. A to był dodatkowy dowód, że nie kłamała. Nie ryzykowałaby wyjaśniania, w jaki sposób mnie do tego sprowokowała.

Nie zapytałam nigdy taty o koszty pogrzebu. Jeśli wziął pożyczkę od pana Johna, to ją spłacił i nigdy mi o niej nie wspomniał. Szkoda jednak została wyrządzona. Opłakiwał bez końca mamę, ja zaś nękałam go tym, że nigdy nie zapłakałam w jego obecności. Nosił jej wąską złotą obrączkę zawieszoną na łańcuszku na szyi. A ja sypiałam w mamy koszulach, grzebałam w jej swetrach, ubierałam się we wszystko, co należało do niej i mogło jakoś na mnie pasować. Już wtedy, w tych pierwszych tygodniach i miesiącach, dokonała się we mnie zmiana. Tata zaczął to wyczuwać, gdy byłam już starsza, ale jeszcze nie wtedy.

W jasne noce chyłkiem się za nim wykradałam i obserwowałam, jak stoi przy Żelaznej

Niedźwiedzicy, unosząc zalaną łzami twarz ku samotnemu srebrnemu księżycowi. Bolał nad śmiercią mamy bardziej niż ja i to jakoś pomogło mi nauczyć się ukrywać, jak bardzo za nią tęsknię, a jego obarczam winą. Nie mogliśmy sobie pozwolić na to, żeby dwie osoby w rodzinie wpatrywały się w księżyc. Teraz poznałam już swoją siłę. Ujrzałam w świetle taty - w jego sztuce, jego szlachetnych fantazjach - samolubstwo i krótkowzroczność. Ostatecznie to ja uratowałam Arthura i ocaliłam mu życie.

Kiedy tata w takie noce powracał do domu, ja skradałam się do niedźwiedzicy. Zawsze znalazłam sobie jakąś gałąź i zabierałam ją ze sobą. Waliłam z całą siłą w niedająca się rozbić rzeźbę, wściekła, bo rozpacz z powodu utraconej magii i zawiedzionej ufności nie zdołała uczynić nawet jednej dziury, nie wywołała ani jednego dreszczu współczucia u tego stwora, który posiadał moc ograbienia mnie z wszystkiego, co kochałam. „Kłamczyni, zabójczym, złodziejka” - mruczałam. Tam gdzie odgrywają rolę fantazje, zaczynają zakorzeniać się twarde i niezmiennie reguły. Postanowiłam, że ucieknę z tego królestwa rządzonego przez moce, których nie mogłam opanować. Wówczas stanę się tak samo niezłomna jak ten obojętny na wszystko twór, który usiłowałam rozbić.



Część II

Dwadzieścia dwa lata później

Rozdział 7

Angele miała album z wycinkami o osiągnięciach swojego syna, ale nigdy mu o tym nie mówiła. Wkleiła tam artykuł znaleziony w którymś z wojskowych czasopism. Autor przeprowadzał wywiad z żołnierzem, który służył razem z Quentinem w roku 1991 podczas wojny w Zatoce Perskiej.

Kapitanem w naszej kompanii komandosów był zawodowy oficer nazwiskiem Ricconi, ale my nazywaliśmy go Rentgen, bo miał przedziwną umiejętność widzenia rzeczy od środka. Ten kapitan potrafił rozbierać je, naprawiać i składać na nowo. Nie potrzebował do tego nawet żadnego diagramu ani niczego. Broń, działa, pewno i cały czołg, gdyby go poproszono - nie było takiej rzeczy, której kapitan Ricconi nie potrafiłby zapamiętać i rozmontować.

Pochodził, jak słyszałem, z menelskiej okolicy gdzieś w Nowym Jorku - kiedy potrzebował, przybierał postawę faceta ze złej dzielnicy, ale tak naprawdę był wykształcony i z dużym doświadczeniem. Wyraz jego oczu jakby ci mówił, że widział rzeczy, których nie potrafił poskładać z powrotem ani o nich zapomnieć, może więc dlatego został na stałe w wojsku. Nie miał specjalnie do czego wracać. Łatwo było z nim dojść do porozumienia, ale nikt mu nie podskoczył. Lubił czytać wiersze i tego typu bzdety. Na Boga, znał nawet łacinę.

Ale był zawsze na miejscu, gdy go potrzebowaliśmy. Kiedyś jeden transporter wjechał na irackie pole minowe, mieliśmy wtedy pięciu ciężko rannych i wrzeszczących chłopaków. Nikt inny nie postawiłby już nogi w pobliżu tego wozu, a kapitan Ricconi dłuższy czas przyglądał się miejscom, gdzie wybuchły miny, i wyznaczył sobie trasę do tych chłopaków - zrobił pięć wycieczek tam i pięć z powrotem. Reszta nas po prostu tam stała i tylko się gapiała. Zazwyczaj oficerowie nie narażają własnej skóry.

Kapitan Ricconi wyniósł wszystkich chłopaków z tego pola minowego i ani razu nie stąpił źle. Pułkownik zapytał go potem, jak to zrobił, a Ricconi powiedział tylko tyle: „We wszystkim jest jakiś system. Należy jedynie go odkryć”.

Kiedy nasza kompania wróciła do Stanów, wojsko dało mu parę medali i pochwalono go w gazetach. Niedługo potem zwolnił się z wojska. Przypuszczam, że dowiedział tego, czego chciał dowieść. Zawsze się zastanawiam, co się z nim dzieje od tego czasu. Ten kapitan to najdzielniejszy człowiek, jakiego znałem, i musiał chodzić po jakichś cholernych polach minowych, jeszcze zanim wyruszył na wojnę.

Za każdym razem, gdy czytała ostatni fragment tego wywiadu, miała uczucie, że serce

jej pięknie, choć nigdy nie mówiła Quentinowi, jak bardzo się martwiła, jak bardzo wciąż bolała z powodu słów, których oboje nigdy więcej nie wypowiedzieli. On zaś nigdy nie wspominał o tym, że uratował ludziom życie i że nazywano go bohaterem.

Ten nieprawdopodobny rok, który zakończył się krwawo na wierzchołku góry w Georgii, dla Quentina zaczął się w pokoju przeznaczonym do prywatnych prezentacji jednego z największych domów aukcyjnych na Manhattanie. Stał przy dyskretnie zabarwionym dwustronnym lustrze i z bacznością rozbawionego wilka spoglądał na widownię pełną bogatych mecenasów sztuki. Dobiegał czterdziestki i cień siwizny pojawił się na jego skroniach. Był jednak nadal muskularny i szczupły, po spartańsku zdyscyplinowany, ale elegancki.

Miał na sobie ładny, szary, zimowy garnitur, czarne włosy lśniły w przyćmionych światłach i mógłby być jednym z tych bogaczy siedzących w sali za oknem, gdyby nie zgrubiałe ręce, tatuaże z wojska ukryte pod rękawami i ostrożna rezerwa - wszystko to wskazujące na kogoś o wiele mniej eleganckiego, niż sugerował garnitur.

Od powrotu z wojska upłynęło siedem lat i nie były to lata ani łatwe, ani przyjemne, choć mimo wszystko pomyślne. Stał się właścicielem przedsiębiorstwa specjalizującego się w rozbiórkach budynków. Marzenia o tym, że zostanie architektem albo budowniczym, dawno przybladły. Rozbierał domy innych ludzi z bezwzględnością precyzją i pewną litością wobec traconych skarbów.

W kieszeni swoich eleganckich szarych spodni nosił nadal prezent od ojca - cienki srebrny sprężynowy nóż, ostry jak brzytwa. Przechowywał go bardziej z sentymentu niż potrzeby, jakkolwiek zdarzały się nadal takie chwile, gdy dyskretnie ukrywał go w dłoni, zasłaniając zgiętymi palcami.

Angele siedziała w pobliżu, wyprostowana i dumna, i obserwowała aukcję za oknem. Modny stylistę z Manhattanu krótko obciął jej włosy i świetnie ją uczesał. Twarz miała poznaną nikłymi śladami smutku i mądrości.

Dawno zrezygnowała z okularów i zamieniła je na soczewki kontaktowe, a zwykle spódnice zastąpiła prostymi, szytymi na miarę kostiumami. Nie nosiła żadnej biżuterii, prócz małych złotych kolczyków i obrączki ślubnej, którą dostała od Richarda. Chodziła, opierając się na ładnej drewnianej lasce z mosiężną rączką, którą zrobił dla niej Quentina z metalu pozostawionego przez ojca. Wszystko inne stworzyła sama - wizerunek i sens - i zaplanowała tak, by ukazywać w dobrym świetle ofiarę Richarda i jego twórczość.

W świecie artystycznym znana była jako Stalowy Anioł. To pełne uznania żartobliwe przezwisko wskazywało, jak wielką sławę zyskała jako jedyna promotorka dzieł swojego męża. W minionym dwudziestoleciu napisała do czasopism mnóstwo artykułów o poszczególnych jego pracach, przekonywała muzea do wystawiania jego rzeźb, organizowała pokazy w galeriach i bombardowała krytyków sztuki, zabiegając o poparcie.

Udało jej się nawet namówić pewnego wydawcę do opublikowania pięknej książki z fotografiami rzeźb i fragmentami notatek Richarda. Chodziła regularnie - nawet teraz - do księgarni w Muzeum Sztuki Współczesnej i sprawdzała, ile egzemplarzy mają na składzie. I ukradkiem, gdy ekspedienci nie patrzyli, obracała książkę na półkach, uwidaczniając jej okładkę.

W końcu udało jej się zainscenizować brawurowy numer promocyjny. Doprowadziła do spotkania z muskularnym, temperamentnym Luccą, aktualnym ulubieńcem włoskich projektantów mody, i przekonała go, by wykorzystał kilka prac Ricconniego jako tło w jednym ze swoich mniejszych salonów paryskich. Emanujące męskim erotyzmem rzeźby Richarda świetnie pasowały do świata, w którym punktem centralnym był Lucca.

- Ileż w nich życia, ileż pożądania! Jak przemożne pragnienie zaspokojenia wywołują, zupełnie jak moja własna twórczość - powiedział Lucca o dziełach Ricconniego w wywiadzie dla „Vanity Fair”.

Wkrótce dzieła Ricconniego wystawiano w salonach mody w Europie, a potem w Nowym Jorku. Kiedy jedną rzeźbę po drugiej sprzedawano znanym klientom, świat artystyczny zwrócił na nie uwagę. Nagle „Ricconi” stało się nazwiskiem. Poważni kolekcjonerzy współczesnej sztuki chcieli mieć jego dzieła w swoich zbiorach. Zapowiedziano aukcję. Cała kolekcja pozostałych dzieł Ricconniego została wystawiona właśnie na tej aukcji, która stała się jednym z najgłośniejszych wydarzeń ostatnich lat.

Właśnie dzisiaj.

- Sprzedają pracę, którą twój tata zatytułował *Nieobecność* - powiedziała Angele do Quentina. Pojawiło się kolejne lśniące dzieło i kręciło się wolno, majestatycznie na okrągłej platformie. Na widowni rozbrzły niczym sygnały wojskowe numery tabliczek, a prowadzący aukcję z teatralnym podnieceniem podniósł głos w eleganckiej śpiewnej tonacji.

- Przyglądałem się, jak ją robił - odparł Quentin. - Jednego lata.

Długi psi jęzor polizał mu rękę, odwracając uwagę, za co był wdzięczny. Pogłaskał po głowie dużego, brzydkiego jasnego doga o masywnej piersi, który siedział u jego stóp na szarym palcie rzuconym niedbale na podłogę. Hammer przez chwilę czule lizał wypucowane buty swojego pana, po czym wrócił do ogryzania wołowej kości, przyniesionej pospiesznie przez pracowników domu aukcyjnego z jakiejś restauracji. Gdy chodziło o spadkobierców Richarda Ricconniego, włącznie z ich pieszczochami, nie mogło być mowy o zbytnim rozpieszczaniu.

- *Nadzieja i Światło*, pozycja numer jeden pięćdziesiąt siedem, sprzedana - oznajmił śpiewnie licytator, uderzając młotkiem w lśniące drewniane podium. - Za dwa dwadzieścia pięć. - Odgłos młotka przeniknął do małego prywatnego pomieszczenia za pośrednictwem mikrofonu, który nadał mu odpowiednio surrealistyczny charakter. Dwieście dwadzieścia pięć tysięcy dolarów.

- Dlaczego twój papa nie mógł tego dożyć? - odezwała się Angele. - Wiem, że jest z nami, pilnuje nas w duchu, ale mimo wszystko...

Quentin skinął głową, potakując, ale nie dał się wciągnąć w rozważania matki. Ona chciała wierzyć w szlachetne poglądy ojca Aleksandra na temat samobójstw. Powiedział jej, że papa patrzy ze specjalnego miejsca przyznanego przez papieża. Wiara to była jedna z wielu podpór, które Quentin usunął ze swojego życia. Uważał ją za ciekawostkę, a nie za potrzebę.

Milczenie syna wpłynęło na nią usztywniająco.

- Czy nigdy nie przychodzi ci na myśl, że chciałbyś, aby twój ojciec żył?

- Życzę sobie, żeby papa wiedział, jak bardzo go kochasz.

- A ty?

- Był moim ojcem. Staram się o tym nie myśleć.

Spojrzała na niego ze złością, jakby jakaś młodsza i o wiele łatwiej zniszczalna wersja jej samej miała za chwilę zniknąć. Na antycznym stoliku obok Quentina leżał stos połyskliwych katalogów, przygotowanych specjalnie na dzisiejszą masową wyprzedaż. Tytuł wytłoczono złotymi literami. *Richard Ricconi: Rzeźby z przemysłowego tysiąclecia.*

Angele otworzyła jeden z katalogów aukcyjnych i zmusiła się do popatrzenia na stronę, którą dotąd omijała.

Widniała na niej ziarnista czarno-biała fotografia rzeźby niedźwiedzicy. Krytycy sztuki nazwali tę rzeźbę „konceptją zwrotnego punktu”. Pod fotografią w jednej linijce przedstawiono jej losy: *Niestety ta unikatowa wczesna praca Ricconiego zniszczona została w 1976 r. (Właściciel: Mountain State College, Tiberville, Georgia).*

Dotknęła ręką tej strony.

- Zaslugiwała na więcej niż na taką wzmiankę. To praca, która najwięcej dla niego znaczyła. I dla mnie też.

Chłodna rezerwa Quentina na chwilę zniknęła.

- Odzyskam ją dla ciebie, jeśli tylko będę mógł - powiedział cicho, jak wtedy przed laty, gdy był zbolałym nastolatkiem.

Nagle po twarzy Angele pociekły łzy. Odwróciła się tyłem, jej ramiona podrygiwały. Syn opuścił dom jako nastolatek, niewiele więc miała okazji, by doznać z jego strony pomocy, współczucia czy przywiązania. Quentin poszukał chusteczki, ale nie znalazł, wobec tego wyciągnął z dekoracji kwiatowej dwie długie róże i wręczył je matce.

- Róże? - zdziwiła się. Wydała jakiś niewyraźny dźwięk nad aksamitnymi czerwonymi płatkami, potem przycisnęła kwiaty do policzka. Hammer siadł i uniósł łeb, zaniepokojony tym dźwiękiem. Po czym oparł na jej kolanach wielki, przyjacielski łeb i patrzył na nią zmartwionymi brązowymi oczami. Quentin uratował go, wyciągając ze śmietnika. Pies czuł dozgonną wdzięczność do wszystkich Ricconich.

- Pozycja numer jeden pięćdziesiąt osiem sprzedana! Sprzedana za jeden koma jeden - dotarł do nich bezcielesny głos licytatora. Milion.

Ta ostatnia kwota, nie wypowiedziana, ale zrozumiała sama przez się, odbiła się echem w ciszy oszołomionej sali. To były sumy nie do wyobrażenia. Ponura ironia tego wszystkiego nie dałaby się ująć słowami.

- Nie ułatwiasz, Ursulo, zadania mężczyźnie. Jesteś zanadto samowystarczalna. Zupełnie jak małe przedsiębiorstwo niezainteresowane inwestorami z zewnątrz - powiedział mi na uniwersytecie profesor po naszej trzeciej i ostatniej randce.

Miał rację. Wyrastałam zdecydowana wiązać koniec z końcem i nigdy nie akceptować uświęconego przez Powellów średniego poziomu prowizorki. Dla mnie nie wchodziły w grę żadne półśrodki, a pewna rezerwa, którą mi przypisywano, miała swe źródło po prostu w dzieciństwie spędzonym w biedzie w Niedźwiedziej Kotlinie. Moja chłodna pewność siebie była w rzeczywistości po prostu odruchem ochronnym, którego się nauczyłam, stając tyłem do wiatru od strony kurzego łajna.

Studiując na uniwersytecie Emory, pracowałam po szesnaście godzin dziennie przez siedem dni w tygodniu, żeby móc sobie kupić małą księgarnię w starej dzielnicy Atlanty. Po studiach przez kilka pierwszych lat musiałam pokrywać straty ponoszone na niej, pracując dorywczo i na czarno w charakterze kierownika nocnej zmiany w fabryce konserw na południowych przedmieściach miasta. Powodowało mną pragnienie pewności - nie tyle chodziło o pieniądze, ile o niezawodne rzeczy i idee. Odstraszałam mężczyzn, którzy mogli mi pomóc - prowokowałam ich, druzgotałam, odsyłałam, toteż uciekali, biegnąc w dół po stokach mojej „osobistej góry” tak szybko, jak tylko mogli.

- Ładne babki na ogół nie chcą być porzucane tak jak ty - powiedział jeden z moich eks-chłopaków, gdy pakował swoje manatki i opróżniał mieszkanie, bo przeniósł się do Europy.

- Rozgarnięte babki wszystkie są ładne - odparłam.

Lubiłam o sobie myśleć jako o osobie klasycznej, jak o posagu rzymskiej damy wysokiego rodu. Miałam trzydzieści dwa lata, niemal metr osiemdziesiąt wzrostu, długie włosy w kolorze starego pensa, mocne kości i figurę o rozsądnych proporcjach, twarz z energiczną brodą i głęboko osadzone niebieskie oczy, okolone gęstymi brązowymi rzęsami.

I w końcu znalazłam kogoś przyjemnego, zasługującego na zaufanie, miłego, z kim mogłam spędzać czas, według określenia starych kobiet z gór. Był naukowcem i pracował w Centrum Kontroli Chorób. Bardzo zdolny, bardzo logicznie myślący, bardzo czysty. Poznałam go, gdy wynajęłam mieszkanie przerobione z garażu za jego parterowym domkiem. Mieszkałam tam nadal i płaciłam mu czynsz nawet po kilku latach zażyłości i wielokrotnie odrzucanych propozycjach małżeństwa. Nie był tym uszczęśliwiony. A ja owszem.

Poprzysięgam sobie, że nigdy nie będę taka jak moja matka. Nigdy nie będę tak bardzo kochać mężczyzny, żeby zabiły mnie jego marzenia. Zdystansowałam się więc od ludzi i wspomnień, które mnie raniły albo mogły zranić - a nade wszystko od taty. Tak przynajmniej sobie mówiłam.

Lubiłam myśleć o sobie, że jestem szczęśliwa i postępuję słusznie.

Całkowicie się jednak myliłam.

Manifestacja pod hasłem: „Ratuj sklepy Peachtree Lane”, którą zorganizowałam, odbyła się w dniu idealnie nadającym się na publiczny protest: było pogodnie, błękitne niebo i osiemnaście stopni ciepła - słoneczne ferie w samym środku lodowatej zimy. W nastroju uśmiechniętej komendantki chodziłam wśród tłumu z tekturową podkładką i przypiętą do niej petycją. Wyglądałam jak wysoka, stanowcza strażniczka z jakiegoś eleganckiego kobiecego więzienia. Miałam na sobie czarne jedwabne spodnie, czarny sweter i brązowy wełniany blezer, włosy upięłam z tyłu w ciasny kok. Ludzie brali to za dobrą monetę i robili to, co im mówiłam. Rozdawałam kalkomanie z napisem: RATUJ PEACHTREE LANE i obdarowywałam dzieci srebrnymi ołówkami, ofiarowanymi przez miejscową grupę propagującą umiejętność czytania. Napis na nich nakazywał: „Czytaj. Ucz się. Rośnij”.

Normalnie ciche, obsadzone drzewami dwupasmowe ulice prowadzące do Peachtree Lane zastawione były samochodami i pełne ludzi. Wynajęłam kilku policjantów nie mających akurat służby, żeby regulowali ruch koło sklepów. Tłumy wpływały do małego parku naprzeciwko, urządziły sobie tam piknik na miękkiej spłowiełej murawie albo tańczyły w złocistym świetle słonecznym przy dźwiękach orkiestry z nocnego klubu w Buckhead, jednej z dzielnic Atlanty. Orkiestra, która zaoferowała swoje usługi, grała wiązanek starych ballad, swingów i słynnych przebojów.

Nuciłam pod nosem *Unforgettable* Nat King Cole'a. Życie powinno ogniskować się wokół kwestii podstawowych, trwałych wartości, idei i dokonań tak skonstruowanych, by wytrzymały każdą próbę. Osiadłam w dzielnicy starej i z charakterem, a teraz walczyłam, żeby uratować kwartał małych, ceglanych sklepików, którym dotąd udało się szczęśliwie uniknąć buldożerów.

- Proszę o podpis! Och, niech Bóg błogosławi. Serdeczne dzięki. - Uzbrojona w tę piękną mantrę Południa, byłam nie do powstrzymania. Wiedziałam, jak postraszyć ludzi, zachowując się uprzejmie, a nauczyłam się tego od nieżyjącej już Edythe Ellis, mojej słynnej poprzedniczki, właścicielki księgarni. Edythe pochodziła z Atlanty z rodziny urodzonych w czepku i od pokoleń przestrzegających obyczajów Starego Południa.

Na parkingu przy długich stołach siedziało ponad dwudziestu autorów i podpisywało swoje książki. Część zysków miała pójść na fundusz prawny naszego stowarzyszenia kupców. Celowo umieściłam te stoły na środku rozsypującego się i pełnego wybojów placu parkingowego. Chciałam zwrócić uwagę na pełną wdzięku, starą brzoskwinię, która rosła na

małej wysepce ziemi w popękany beton, otoczona granitowymi głazami na tyle dużymi, że można było na nich usiąść. Kilkaset osób czekało cierpliwie na autograf w długiej, odgródzonej linami kolejce. Ulokowałam duży napis na drzewie - od którego nazwę wzięła ulica - tak że każdy stojący w kolejce mógł go przeczytać. JA PIERWSZA BĘDĘ MUSIAŁA ZGINAĆ, JEŚLI NIE POMOŻESZ. Byłam bezwstydną.

Przesuwałam się wzdłuż kolejki pragnących zdobyć autograf, prosząc o podpisanie petycji, gdy usłyszałam głos, potulny i łagodny, ale nabierający wibracji.

- Proszę nie brać drugiego ciasteczka... naprawdę, może przynajmniej zechciałyby pani podpisać tę petycję?

Obejrzałam się w porę, by ujrzeć, jak dobrze ubrana kobieta odmownie potrząsa głową, biorąc od Harriet Davies imbirowe ciasteczko. Harriet, niska, okrągłutka, ubrana w miękki tweedowy kostium, prowadziła obok mojej księgarni herbaciarnię „Magnolia”. Przypominała mi pastelowe postaci z książek Beatrix Potter. Dorastałam, broniąc Arthura przed prześladowcami, toteż na widok strapienia Harriet natychmiast zapłonęłam gniewem.

- Nie dam się wciągnąć w politykę - oznajmiła jej owa pani, po czym beztrąsko sięgnęła do koszyka z ciasteczkami na stoliku, na którym leżała petycja. Zamierzała wziąć drugą sztukę dla swojej przyjaciółki. Ciasteczka były w kształcie zwierzątek z zoo.

- Bez podpisania petycji nie ma żyrafy - powiedziałam, przechwytyjąc oba długoszyjne ciasteczka zapakowane w celofan. Wsadziłam je do kieszeni blezera. Nie mogłam znieść pasożytów na świecie. Każdy z nich był w moich oczach pełną tupetu Janine Tiber, która zagabiła moją książeczkę. „Moje” - mówili. Nie w tym pokoleniu. - Przykro mi, ale obowiązują tu zasady aktywności społecznej. Nie zechciałyby panie podpisać petycji, żeby nam pomóc?

- Możecie sobie zatrzymać swoje ciasteczka - odcięła się tamta, mówiąc z akcentem Środkowego Zachodu. Zrobiłam groźną minę i przesunęłam się o krok w ich stronę.

- Tiffany, ona nie żartuje - powiedziała szybko jej przyjaciółka i pociągnęła ją w tłum. Harriet spojrzała na mnie wzrokiem zadowolonego królika.

- Rada jestem, że wykorzystujesz swoje moce i czynisz dobro zamiast zła, superdziewczyno. Szkoda, że nie mam twojej odwagi.

- Czasami nawet to, że się żyje, jest aktem odwagi - zacytowałam.

- Kto tak powiedział?

- Seneka.

- Och, jeden z tych twoich rzymskich filozofów. On nigdy nie musiał bronić imbirowych ciasteczek.

Wróciłam do zbierania podpisów pod petycją.

- Ursulo, potrzebuję trochę danych o tobie! - zawołała reporterka z „Atlanta Journal-Constitution”. Jako właścicielka małej księgarni, której zależało na reklamie, dbałam tak

bardzo o przychylność środków przekazu, że byłam na ty z połową dziennikarzy w mieście.

- Terry, nie musisz nic wiedzieć o mnie. Chodzi najwyżej o dwie linijki na końcu twojego materiału o tej manifestacji.

- Taak, ale myślę o zaproponowaniu „Atlanta Magazine” artykułu o rynku niezależnych księgarń w mieście.

- Nie ma rynku niezależnych księgarń w mieście. Na rynku zostałam tylko ja.

- No właśnie. I teraz walczysz z developerami, którzy chcą zbudować tutaj centrum handlowe. Wielkie sieci księgarskie nie mogły cię wysadzić z siodła, ale supermarketyzacja Ameryki może. Czy to nie ironia?

- Nienawidzę ironii. Obiecuję ci, że nikt nie zbuduje składu aptecznego z przecenionym towarem albo wypożyczalni wideo na tym kawałku ziemi, na którym Margaret Mitchell podpisywała w roku trzydziestym dziewiątym *Przeminęło z wiatrem*, a w zeszłym recytowała wiersze Maya Angelou. Moja księgarnia jest nie tylko zabytkiem, lecz także idolem społeczności południowych literatów od blisko sześćdziesięciu lat. Nikt nie będzie sprzedawać maści na hemoroidy albo wypożyczać filmów Adama Sandlera tam, gdzie Truman Capote spędził całe popołudnie, popijając grog i czytając na głos fragmenty swoich książek. Obiecuję ci.

- Dane o tobie - powiedziała znowu. - Nie zmieniaj tematu.

Podalam jej garść banalnych informacji o sobie - jestem prezesem stowarzyszenia kupców „Peachtree Lane”, prezesem regionalnego zjednoczenia księgarzy, ukończyłam z wyróżnieniem studia na Emory. I postarałam się też zareklamować swoje zakulisowe wydawnicze królestwo, Powell Press, publikujące książki dwóch nieopierzonych autorek, o których nikt nie słyszał.

- Więcej danych osobistych - nie dawała za wygraną.

- W dobrych dniach ludzie mi mówią, że przypominam trochę Julię Roberts. W złych przyznają, że się mylili.

- Ktoś mi powiedział, że twój ojciec prowadzi w górach coś w rodzaju spółdzielni artystów.

Zmierzyłam ją długim spokojnym spojrzeniem.

- Ma lokatorów, którzy uważają siebie za ludowych artystów. Mieszkają w jego dawnych kurnikach, które, gdy wyjechałam na studia, poprzerabiał na kiepskie mieszkanie. Lokatorzy go oszukują, okradają i pasożytują na jego wielkoduszości. Jednego z nich aresztowano za sprzedawanie kokainy wśród robotników rolnych i niewiele brakowało, a władze skonfiskowałyby nam farmę. Mówiłam mu, żeby pozamykał te mieszkania, bo w przeciwnym wypadku nie wrócę do domu. Nie zrobił tego, więc nie wróciłam. To było dwa lata temu.

- Och! No, rozumiem. Przepraszam.

- Muszę już iść. Mam agitować spóółstwo. Spotkamy się jutro przy szklaneczce wina w „Chacie” na Grzbiecie Górskim.

Uśmiechała się z zakłopotaniem, gdy odchodziłam. Na samą wzmiankę o papie ścisnęło mnie w dołku. Moi tutejsi przyjaciele domyślali się, że posyłam regularnie pieniądze ojcu i autystycznemu bratu, którzy mieszkali w górach. Nigdy jednak nie odwiedzili mojego domu rodzinnego i nie mieli pojęcia, że odeszłam tak daleko stamtąd, gdzie było moje miejsce, i w końcu złamałam serce papie, tak jak on mnie, gdy umarła mama.

Po odkupieniu księgarni od Edythe zainstalowałam pasiastą markizę nad schodkami u wejścia i ładną żeliwną balustradę wokół betonowego postumentu. Postawiłam mały kawiarniany stolik z kutego żelaza, dwa ciężkie żeliwne krzesła i jadałam tam posiłki, nawet kiedy było chłodno. Tęskniłam za świeżym powietrzem i gdy zamknęłam oczy, wydawało mi się, że jestem w Niedźwiedziej Kotlinie.

Doktor Cesara Lopez-Jones w czasie popołudniowej przerwy usiadła razem ze mną na schodkach i w przyniesionej przeze mnie srebrnej miseczce z ciepłą wodą, pachnącą mentolem, moczyła rękę, która rozbolała ją od podpisywania książek. Doktor L-J, jak ją nazywała publiczność, była autorką bestsellerowych poradników oraz terapeutką i udzielała porad we wszystkich stacjach radiowych w kraju.

- To cudownie pomaga - powiedziała.

- Dodałam do wody trochę staromodnej maści - wyjaśniłam. - To jest coś, co kupuję, kiedy jadę z wizytą do domu. - Jakbym ostatnio jeździła do domu. - Sąsiad mojego ojca używał jej w taki właśnie sposób. Twierdził, że to jedyna rzecz, jaka pomaga mu na artretyzm.

- Muszę ją sobie kupić. Jak się nazywa?

- To balsam doktora Atkina na wymiona. - I potwierdziłam to jeszcze, dodając: - Przeznaczony na bolące krowie wymiona.

Oczy rozszerzyły jej się ze zdumienia, wybuchnęła śmiechem.

- No dobrze, krowy ją lubią. - Zaśmiała się znowu. Wyjęłam paczkę papierosów i zapaliłam jednego. Zerknęła na mnie. - A więc stałaś się palaczką. Przecież twój Gregory tego nienawidzi, nie?!

Uśmiechnęłam się i opuściłam rękę z papierosem poza barierkę. Wypali się aż do filtra i więcej już nie pociągnę ani dymka.

- Nie ma w tym niczego groźnego.

- Nie wyznaczycie jeszcze daty ślubu?

- Nieśpieszno nam.

- Rozumiem. No dobrze. Wyjechał na ten weekend z miasta?

- Ma wykład.

- Co z oczu, to i z myśli.

- Pani doktor, to wścibstwo.

- A pewnie. Obserwuję, że z latami robisz się coraz twardsza i bardziej zagoniona. To mnie martwi.

W porządku, będzie więc to sesja prywatnej porady, żebym nie wiem jak próbowała tego uniknąć. Spojrzałam jej prosto w oczy.

- Moje życie nie jest ważne. Ale chciałabym zasięgnąć porady co do mojego ojca.

- Aha. No to do rzeczy. Lekarz tu jest. - Pochyliła się, odstawiła kieliszek z winem i wzięła z tacki garść paluszków serowych mojej roboty. Uderzył mnie ostry zapach mentolowego balsamu na wymiona. Zapach domu.

Zrobiłam głęboki wdech i opowiedziałam, jak wygląda sytuacja z tatą. Że wygarnęłam mu w końcu, co myślę o śmierci mamy. Że spojrzał na mnie tak, jakbym wyrwała mu serce, i że od tego czasu ze sobą nie rozmawialiśmy. Doktor L-J patrzyła na mnie ze współczuciem.

- Szczerłość może być bolesna, ale na dłuższą metę zazwyczaj popłaca. Nie zawsze, ale zazwyczaj.

Potrząsnęłam głową i zachichotałam.

- Zmęczyła mnie szczerłość.

- Powiedziałaś mu coś, w co wtedy tak naprawdę nie wierzyłaś i teraz też nie?

Po długiej chwili wykrztusiłam:

- Nie. Byłam na niego wściekła od czasu, gdy byłam małą dziewczynką. Wściekła i zraniona.

- Jedź zobaczyć się z ojcem. Obejmij go. Powiedz mu, że czas już ruszyć do przodu. Powiedz mu po prostu, że go kochasz. Nie musisz akceptować wszystkiego, co on robi.

- To za łatwe - upierałam się. - Tak się nie rozwiąże poważniejszych spraw.

- Oczywiście, że nie. Musisz nauczyć się wyłączać z jego spraw i brać go takim, jaki jest. On musi respektować twoje odmienne opinie. Oboje zaś musicie iść na kompromis, co być może zabierze wam resztę życia. Ale ty możesz przynajmniej zainicjować ten proces.

Będiesz szczęśliwa, jeśli nie spróbujesz?

- Słuchaj, „szczęśliwa” - to słowo, którego regularnie szukam w słowniku, żeby sprawdzić, czy rozumiem, co znaczy.

- Szukasz w złym słowniku. Wymaga to pracy, prób i błędów, i ryzyka.

- Pojadę jutro i zabiorę go na lunch - rzekłam wolno, a moje słowa już zyskały grunt.

- I powiedz mu, że go kochasz - upierała się.

- Będę musiała o tym pomyśleć. - Teraz nie mogłam nawet powtórzyć tych słów, nie wiedziałam więc, jak wypowiem je jutro. Ale będę nad tym pracować.

- Obiecuj mi - burknęła doktor L-J. Uniosłam brwi.

- Daję słowo, że spróbuję. Roześmiała się.

- Jesteś opancerzona. Nie duszno ci w tej zbroi?

- Wycięłam w niej dziurki do oddychania.

Rozmawialiśmy jeszcze chwilę o obawach i kompromisach, o tych, których kochamy. I o komunikowaniu się z umarłymi, to jest o wspomnieniach o każdym, kogo sobie przypominamy i wyobrażamy. O słuchaniu zarówno głosu ich, jak i swojego własnego.

- Jesteś naprawdę dobra w tych poradach - powiedziałam.

Uniosła pachnącą miętą rękę i uśmiechnęła się mile.

- Swoją następną książkę powinnam zatytułować *Maść na wymiona do smarowania duszy*.

Usłyszałyśmy dźwięk dzwonek u drzwi frontowych sklepu. Przypuszczałam, że wszedł tam jeden z moich ekspedientów, żeby skorzystać z ubikacji. Wstałam i poszłam do środka.

- Jak wam tam idzie na dworze?

Spoglądał na mnie doktor Jonah Washington. Pan Fred zmarł przed paroma laty. W zeszłym roku Jonah odszedł na emeryturę, przestał wykładać na Columbii i zaszokował wszystkich, przenosząc się z powrotem do rodzinnego domostwa w Niedźwiedziej Kotlinie.

A teraz z niewiadomych powodów jechał tu dwie godziny z hrabstwa Tiber i właśnie stał w mojej księgarni. Był to brązowoskóry Murzyn niskiego wzrostu, okrągłej postury, z porządnie utrzymaną siwą brodą i o szpakowatych włosach. Na fotografiach zawsze bardzo elegancko ubrany, ale tego dnia wyglądał na znękanego. Miał na sobie stare sztruksowe spodnie na skórzanych szelkach, flanelową koszulę, zabłocone buty i wymiętą wiatrówkę.

- Tak się cieszę, doktorze Washington, że przyjechał pan na manifestację! -

Oszołomiona pospieszyłam ku niemu z wyciągniętą ręką. Nagle zauważyłam coś, co mnie uderzyło jak ostrzeżenie - wyraz dobroci i smutek na jego twarzy. I nagle zrozumiałam. Przerazona zatrzymałam się w odległości kilku kroków. Opuściłam rękę.

- Mój ojciec czy Arthur? - spytałam.

Przemówił głębokim, donośnym głosem, głosem ludzi doświadczonych cichymi smutkami.

- Twój ojciec - powiedział.

Rozdział 8

W domu pogrzebowym ujęłam w swoje dłonie spokojną, swojską twarz ojca i błagałam, żeby otworzył oczy. Kiedy tego nie uczynił, położyłam mu głowę na piersi i zanuciłam kołysankę. Choć zabrzmiało to dziwnie, uratowało to mnie przed załamaniem. Musiałam myśleć o Arthurze. Bałam się głębi swojego przerażenia i rozpacz.

Lokatorzy taty powiedzieli mi, że nagle upadł na ręce i kolana, gdy przechodził przez pastwisko tuż pod niedźwiedzicą w drodze po drabinę przechowywaną w stodole. Kiedy wszyscy biegli do niego, położył dłoń na sercu, obrócił się i udało mu się wyciągnąć na miękkiej zimowej trawie. Zamierzał oczyścić rynny na domu z jesiennych liści, połamanych gałązek i uschniętego brązowego zielska, które zakorzeniło się tam w lecie. Wiedziałam, co powiedział, zanim poszedł po drabinę, bo każdej zimy, gdy byłam dzieckiem, występował z przeprosinami wobec domu:

- Czas zdjąć ci naszyjnik, kochanie.

Arthur wyruszył na dno kotliny na swoje codzienne poszukiwania małych dzikich zwierzątek i ptaków, które nazywał swoimi przyjaciółmi, i nie widział tego, co się przydarzyło naszemu ojcu. Tata, zanim poszedł po drabinę, prosił swoich lokatorów, żeby pomogli mu tego wieczoru oglądać wszystkie lokalne stacje telewizyjne, bo może zrobią ze mną wywiad podczas manifestacji. Dzwonił do wszystkich znajomych, żeby się pochwalić tym wydarzeniem. Zawsze był dumny, zawsze liczył na to, że przyjadę do domu. Miał swoją dumę. Ja ją odziedziczyłam.

I tak tata umarł tam, gdzie przypuszczalnie najbardziej życzył sobie umrzeć - pod okiem Żelaznej Niedźwiedzicy. Czy przemówiła w końcu do niego, tak jak twierdził Arthur? Tego się nigdy nie dowiem.

I nigdy nie będę mogła mu powiedzieć, że go przepraszam.

Tej pierwszej nocy po śmierci taty Arthur i ja spaliśmy w jego dużym łóżku, ja zawinięta w kołdrę na narzucie, Arthur skurczony pod nią. Jako dzieci sypialiśmy razem wielokrotnie, zwłaszcza gdy on się bał albo czuł się zagubiony, co zdarzało się często. Kiedy już do tego dorósł, metodycznie wyjaśniłam mu sprawy seksu, koleżanek, różnych tabu i dobrego wychowania. Zrozumiał. Miał tak niepokojące wycucie osobistej przestrzeni i jej granic, że kiedy spał, nie życzył sobie, bym choćby musnęła lekko ręką miejsce koło niego.

Teraz jednak wtulił głowę w moje ramię i płakał. Mój delikatny autystyczny brat zamieniał się w różne zwierzątka. Zazwyczaj spędzał dni jako mały, nieszkodliwy ssak - myszka, wiewiórka, królik - a czasami jako ptak, wąż czy ryba, rzadko przemieniał się w coś niebezpiecznego. Najczęściej bywał niedźwiedziątkiem. Miał dwadzieścia dwa lata i ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, był szczupły, elfowaty i piękny, i obdarzony psychiką całego pocztu łagodnych zwierząt. Tej nocy był szczeniakiem o złamanym sercu.

- Opowiadaj mi o nas - szepnął.

Powtarzałam jemu i sobie wszystkie nasze domowe legendy. O Erimie i babci Annie, o pannie Betty, o mamie i wężach, o spotkaniu pana Freda ze mną przy potoku, o uratowaniu taty podczas epidemii choroby Heine-Medina i o Żelaznej Niedźwiedzicy - jak powstała, jak przybyła do miasta i jak Richard Ricconi, człowiek, którego nigdy nie widzieliśmy, zajrzał do naszych serc. To była wersja historii niedźwiedzicy, którą opowiadał tata, nie ja.

Opowiadając, dotykałam jego włosów, długich, lśniących i brązowych jak u mamy. Płakał przez wiele godzin. Kiedy zasnął, wpatrywałam się w sufit, gdzie wąskie deseczki ułożone we wzór starego typu jakby poruszały się w ciemnościach. Szukałam jakichś wzorców, jakichś odpowiedzi, ale żadnych nie było albo ja nie wiedziałam, jak je znaleźć.

Nazajutrz Arthur wyciągnął mnie na dwór, do niedźwiedzicy. Wpatrywał się zapadniętymi oczami w rzeźbę, wczepił się w jej boki, aż zbieleły mu kostki. Ścierpła mi skóra. Wydawał się pogrążony w jakiejś milczącej gorączkowej łączności. Nagle od niej odskoczył z otwartymi ustami i rękami na piersiach. Odwrócił się w moją stronę.

- Siostrze, ty odeszłaś - powiedział łamiącym się głosem. - Już nas nie chciałaś. Tata był smutny. Płakał. Dokąd odeszłaś?! Dokąd odszedł on?!

Przez jeden irracjonalny moment pomyślałam: „Co ona ci o mnie mówi? To kłamstwo”.

- Och, kochanie, przykro mi. Tak mi przykro. Spróbuję ci to wszystko wytłumaczyć. Ale liczy się jedynie to, że wróciłam. Opiekowałam się tobą, gdy byleś malutki, i teraz też będę się opiekować. Nie martw się.

Uniósł obie ręce ku Żelaznej Niedźwiedzicy. Drżał. Potok słów popłynął z jego ust.

- Samotna, samotna, samotna. Mama Niedźwiedzica jest taka samotna. Tam w środku za żebrami jest całkiem pusta. Za moimi żebrami też jest pustka. Nie wiem, co powinienem zrobić! Nikt już jej nie kocha. Ona umrze! Tak samo jak tata!

Trzymałam go w ramionach i spoglądałam ze znużeniem i obrzydzeniem w górę, na rzeźbę. Znowu miałam dziesięć lat i przyrzekałam walczyć z nią w imię zdrowego rozsądku i zbawienia rodziny Powellów. Kłamczyni, zabójczym, złodziejka serc.

Tata przechowywał swoją ostatnią wolę w pustym słoiku po owocach w szufladzie komody w sypialni jego i mamy i była ona nader prosta.

Pozostawiam swojej córce Ursuli wszystko, co mam, i miłość. Polegam na Niej, że zaopiekuje się swoim bratem, farmę i Żelazną Niedźwiedzicą. Pozostawiam Jej wszystko dobre i złe, czym była i będzie nasza rodzina. Pozostawiam Jej swoje pomyłki, swój żal, swoją wiarę i swoją miłość. Czuwa nad Nią anioł Jej Mamy i ma serce, tak żeby w tym wszystkim znaleźć jakiś sens.

Pan John zjawiał się co wieczór w domu pogrzebowym. Nagle zaczęłam sobie cenić widok jego przyjaznej, łysej głowy z wianuszkami siwych włosów, serdeczne zachowanie,

pełne kurtuazji wobec kobiet, i jedwabne krawaty ozdobione maleńkimi firmowymi znakami „Drobiu Tiberów”. Postarzał się tylko, ale nie zmienił.

- Odwiedź mnie, kiedy będziesz miała na to ochotę - namawiał mnie uprzejmie. - Nie chcę, byś myślała, że przejmujesz niedole swojego taty, nie mając na świecie przyjaciela. Mogę udzielić ci wielu rad i służyć pomocą.

Nie przyjąłabym nigdy pomocy od Tibera, ale tego mu nie powiedziałam.

Janine też przyjechała, wpisała się do księgi gości i uściśniła mi rękę swoimi chłodnymi ładnymi palcami.

- Twój tata był na pewno wyjątkowy. Jakby wyjątkowość była dolegliwością.

- On wiedział, jak dawać sobie radę z ludzką słabością - odparłam. - Tolerował nawet udawane uczucia rodzinne i uprzejme frazesy. - Było to niegrzeczne i niezasłużone, ale ja myślałam tylko o tym, że ona wciąż ma ojca i że życie jest cholernie niesprawiedliwe. Dołączyło się też wyczerpanie i żal, zawężając się w moim umyśle do jednego kanału z niekończącym się refrenem starej piosenki Billy'ego Joela. „Tylko dobrzy umierają młodo” - śpiewał w tej obsesyjnej piosence. Zamrugalam i Janine rzuciła mi jeszcze bardziej wrogie spojrzenie niż poprzednio. Wypowiedziałam te słowa bardzo głośno.

- Niemniej tak mi przykro z powodu twojej straty - rzekła chłodno i odeszła.

Parę minut później przemknęła mi przed oczami w ostatnim modelu dżipa z chromowanymi reflektorami przeciwmgielnymi i logo „Drobiu Tiberów” z boku, z rozwianymi włosami w kolorze miodu, w ciemnoniebieskim dyrektorskim stroju podkreślającym jej smukłość. Niedługo obejmie prezydenturę w drobiowym imperium Tiberów. Pan John wychował ją tak, żeby mogła pełnić tę funkcję. Uzyskała też, podobnie jak ja, stopień naukowy, ukończywszy studia na wydziale biznesu i zarządzania. Teraz była zastępcą szefa. Zbudowała sobie ładny dom na pięknej zadrzewionej parceli w mieście.

W dniu pogrzebu taty zrobiło się niezwykle zimno - nawet po południu temperatura utrzymywała się poniżej zera. Kościelne dzwony rozlegały się w całym mieście, gdy jechaliśmy z zapalonymi reflektorami z okazałego wiktoriańskiego domu pogrzebowego za placem sądowym. Długi orszak aut prowadził szeryf. Nadjeżdżający z przeciwka kierowcy uprzejmie zjeżdżali na bok.

W końcu procesja dotarła do strzelistego, zbudowanego z białej cegły, majestatycznego kościoła metodystów w Tiberville i jego rozległego cmentarza. Wytrzeszczyłam oczy ze zdumienia. Cmentarz był pełen ludzi. Zaparkowane samochody stały po obu stronach drogi na odległość ćwierć kilometra. Spodziewałam się, że nie więcej niż dwudziestu paru starych przyjaciół stawi czoło zimnu i zjawi się przy grobie mojej mamy na ceremonię pogrzebową taty.

- Co się stało? - zapytałam na głos. Arthur i ja byliśmy sami w moim samochodzie. Arthur nie odezwał się ani słowem przez cały dzień. Zsunął się w dół na siedzeniu i zakrył

dłońmi twarz.

Ujrzałam kolorowe ubrania, dziwaczne kapelusze ozdobione plastikowymi kwiatami, duże krzyże trzymane nad postarzałymi głowami, jaskrawy, ręcznie wymalowany napis: „Odпочywasj w pokoju, bracie Powell” i inny: „Żelazna Niedźwiedzica żyje wiecznie”, który przyprawił mnie o dreszcz. Ten dziwny ludek to byli członkowie zorganizowanego przez tatę stowarzyszenia artystów ludowych i rzemieślników ze wszystkich stron Południa.

Na przodzie tłumu po drugiej stronie grobu, naprzeciwko mnie i Arthura, stał John Tiber i garstka starszych przedstawicieli rodu Tiberów, wszyscy szacowni, poważni i bardzo elegancko ubrani. Patrzyli na resztę zgromadzonych z niedowierzaniem.

Napotkałam przygnębiony wzrok doktora Washingtona i skinęłam mu głową, dziękując za przybycie. Odkłonił się. Wyglądał imponująco i dostojnie ze swoją pełną, brodatą twarzą, z wyrazem spokoju emanującym spoza szkieł w stalowej oprawie. Zdarzyło się prawdopodobnie po raz pierwszy w stu pięćdziesięcioletniej historii naszych rodzin, że któryś z Washingtonów stał na przodzie w miejscu publicznym jako mile widziany sąsiad Powellów.

W pobliżu zbiło się w niewielką gromadkę pięcioro lokatorów taty. Banda nędzników. Usiłowałam ich ignorować. Arthur ścisnął mi mocniej rękę. Gapił się na trumnę ustawioną na szynach i na zrećźnie ukrytą dziurę pod spodem.

Jego piękna twarz, tak bardzo przypominającą mamę, nagle się ściągnęła. Łagodnie niebieskie oczy robiły się coraz węższe i zezując, przymykały. Rozpoznawałam te symptomy. Wspięłam się na palce i szepnęłam mu do ucha:

- Czym jesteś, kochanie?

- Susłem - odszepnął drżącym głosem. Oznaczało to, że chce iść pod ziemię razem z tatą, albo przynajmniej potrzebuje potwierdzenia, iż podziemie to świat bezpieczny. Ścisnęło mnie w gardle, gdy mu mówiłam, żeby się nie martwił, bo tata nie będzie żyć pod ziemią. Zezował jeszcze bardziej.

Gdy tylko pastor skończył krótkie przemówienie, długowłose młodzieniec podniósł do ust skorodowaną żółtą trąbkę i zagrał żałobny refren capstrzyku. Potem tęga kobieta w różowym płaszczu zaśpiewała łzawo i fałszywie *Jesteś sam dziś wieczorem* Elvisa. Drobnym Murzyn, okutany w kilka swetrów i w wyblakłym kombinezonie, zamachał półtorametrowym krzyżem z patyków, owiniętych kolorowym kablem elektrycznym. Inny mężczyzna zagrał na flecie *Cudowną łaskę*, i dźwięki te były tak niepokojące, że serce - jak sobie pomyślałam - chyba będzie mi krwawić przez skórę. Jakiś nastolatek zaśpiewał wysokim głosem ponury song Alanis Morissette. Mężczyzna w poślizniętym białym smokingu i złotym hiszpańskim pasie głośno wyrecytował krótki niezdarly wiersz.

Był to cyrk kreatywnego opłakiwania zmarłego, wspaniały i przerażający spektakl, uczczenie fanaberii, które określiły życie mojego ojca. Pastor, John Tiber i inni krewni

Tiberowie gapili się na to z otwartymi ustami. Pan John zaczął się krzywić. Inni wymieniali pełne dezaprobaty spojrzenia. Ja czułam się rozdarta między zażenowaniem a dumą. Byłam Uber-Powell z Niedźwiedziej Kotliny, właścicielką ziemską, opiekunką swojego brata, właścicielką Żelaznej Niedźwiedzicy.

Nie. Nigdy nie czułam się właścicielką niedźwiedzicy. Wcale jej nie odziedziczyłam. To ona mnie odziedziczyła.

*

- Raz, dwa, trzy, hop - komenderował Quentin i ekipa trzech mężczyzn, przysłanych przez antykwariusza, próbowała razem z nim wyciągnąć trzystukilogramową marmurową płytę przez drzwi poddasza dawnej fabryki włókienniczej w Brooklynie. Quentin nabył tę starą fabrykę, kiedy zrezygnowano z jej rozbiórki, a następnie przebudował dolne piętra na mieszkania i teraz je wynajmował. Najwyższe piętro w całości przeznaczył na mieszkanie dla siebie i na biuro. Bywały dni, że przeklinał tę decyzję.

Marmurową płytę oplatała pajęczyna lin przyczepionych do ramienia masywnej wyciągarki zainstalowanej na zewnętrznej ścianie budynku. Jeśli puszcza płytę, to wyleci przez drzwi jak z procy i wyrwie linę.

- Jeszcze kilka cali. *Dese prisa* - ponaglał. Hiszpańska ekipa antykwariusza, pocąc się, szarpnęła do przodu. Quentin podłożył jedno ramię pod płytę i napiął mięśnie. Tutaj nie był dziedzicem spuścizny i fortuny Richarda Ricconiego. Tutaj nie był dobrze ubranym biznesmenem popierającym akcje matki. Tutaj stawał się żywiołowy - był tworem z żelaza, ciała i kości w brudnym drelichu i z własnym pojęciem ładu.

Gdy jeden z mężczyzn nagle się pośliznął i upadł, Quentin przygiął się, usiłując sam podnieść ten koniec płyty. Tępy kant uciskał pierś nieszczęśnika.

- *Socorro! Cuidado!* - krzyczał biedak, skręcając się z bólu.

Quentin ukląkł na jedno kolano i napiął wszystkie mięśnie. Z tyłu ryknął emerytowany starszy sierżant, Harry Bodine Johnstone, inaczej zwany Popeye z powodu potężnych przedramion i gadatliwości.

- No, szmondaki, podnieście tego dupka albo ja to rozkołyszę. - Pchnął dźwignię sterowniczą silnika wyciągarki, napinając niebezpiecznie linę. Hammer, który stał obok niego, szczekał jak oszalały.

Quentin myślał, że trzaśnie mu kręgosłup. Czuł, że nadmierny wysiłek miażdży jego stawy kolanowe, ramiona i kark. „Muszę zamienić ciężar statyczny w ciężar dynamiczny i potrzebna mi dźwignia”. Próbował nie zważać na drżenie słabnących nóg.

- Puść to, kapitanie. To rozkaz! - wrzasnął gromkim głosem Popeye, który nigdy tak naprawdę nie zapomniał, że swojego czasu ćwiczył w obozie szkoleniowym surowego, tęskniącego za domem rekruta o nazwisku Ricconi.

Quentinowi udało się jednak w końcu wysunąć do przodu jedną stopę, znalazł punkt podparcia dla kości i mięśni oraz niezbędną determinację, i uniósł nieco płytę. Wypuściwszy gwałtownie powietrze, on i pozostali dwaj mężczyźni wypchnęli wreszcie płytę przez drzwi. Lekko kołysząc się, zawisła w powietrzu.

Quentin usiadł obok mężczyzny, który upadł. Obaj złani byli potem.

- *Muchas gracias* - powiedział ten zziębnięty.

- *De nada*. - Quentin otarł czoło i wstał, a potem pomógł mu się podnieść. Mężczyzna trząsał się, a u Quentina nie widać było nawet najlżejszego drżenia. Ekipa gapiała się na niego z uznaniem.

- Do licha, szefie - powiedział jeden z nich, ten który występował jako tłumacz. - Zachowuje się pan tak, jakby zdarzało się to co dzień.

- Nic, co człowiek zdoła przeżyć, nie może być zbyt złe. - Quentin włożył do ust cygaro, po czym potrząsnął zmęczonymi ramionami.

Kiedy jednak ekipa odjechała z płytą bezpiecznie ulokowaną na platformie, wyciągnął się na drewnianej podłodze poddasza na niewielkiej pustej przestrzeni, niezajętej przez jego zasoby - wyszukane obramowania kominków, greckie frontony, stosy kutych żelaznych płotów i paki ręcznie malowanych kafli. Hammer legł koło niego i obwąchiwał mu twarz. Quentin delikatnie drapał go po włochatym żółtym podgardlu.

- Dzień jest dobry, jeśli nic nie spadnie na dół. O to tu chodzi, prawda?

Przyszedł Popeye i usiadł na jakimś pudle, rozcierając sobie artretyczne kolana.

Quentin zamknął oczy. Uśmiechnął się słabo.

- Starzeję się, sierzancie.

- Sam robisz z siebie starego, synu, to pewne jak cholera. - Popeye przeciągał lekko słowa w taki sposób, jak mówi się w Kentucky. Brzmiało to uspokajająco nawet wtedy, gdy wykrzykiwał sprośności. - Jesteś znudzony i niespokojny, od kiedy dzieła twojego ojca uczyniły z ciebie bogacza. Co ty usiłujesz udowodnić? Że nie jesteś z jego krwi i kości i nie potrzebujesz tych pieniędzy?

Quentin założył ręce za głowę i wpatrywał się w sufit poprzecinany grubymi belkami. Dach fabryki odznaczał się brutalną prostotą, którą uwielbiał.

- Wcale ich nie potrzebuję - odparł.

„Jest rzeczą jak najbardziej właściwą, by syn odziedziczył dobrodziejstwa sukcesu swojego ojca” - z uporem twierdziła matka. I oświadczyła, że pieniądze są jego. Mówiła tak, jakby stanowił część twórczości ojca, był kolejnym dziełem, którym ona sumiennie zarządzała. Nigdy nie rozmawiali o tym, że czuje się rozczarowana jego życiem, jedynie o tym, z czego była dumna. Wiedział jednak, że matka nadal marzy o tym architekcie, który ukończył MIT, o tym złotym dziecku, dla którego się poświęciła, o tym chłopcu, który tak jak ona wielbił Richarda Ricconiego. A tego chłopca już nie było.

- Pieniądze nie są ważne, póki ma się dach nad głową i wystarczające gwarancje, że dach zawsze tam będzie - powiedział do Popeye.

Stary żołnierz prychnął.

- Czy to coś, co wyczytałeś w jednej ze swoich książek? Bzdet.

Quentin zmierzył go wzrokiem. Nigdy nie było łatwo go lubić. Pewnej nocy w koszarach, jeszcze w okresie szkolenia, Popeye capnął książkę Freuda z pryczy Quentina.

- Chory jesteś, chłoptysiu?! - wrzasnął. - To dlatego czytasz o doktorach od głowy, chłoptysiu?! Sakramencki z ciebie pedryl, chłoptysiu, niecierpiący cipek?

Quentin, stojąc na baczność, czerwony na twarzy i wściekły, głośno odpowiedział:

- Freud pisze o dużych kutasach, sierżancie! Wiedziałby pan o tym, gdyby najpierw przeczytał tę książkę!

- Nazywasz mnie kutasem, ty jankeski makaroniarzu?

- Tak, sierżancie!

Za tę inteligentną odzywkę spędził kilka tygodni obozu szkoleniowego w prawdziwym piekle dodatkowych obowiązków i upokarzających kar. Nigdy się nie skarżył, nigdy nie prosił o zmiłowanie i wreszcie sierżant, na którym to zrobiło wrażenie, powiedział któregoś dnia:

- Synu, jesteś najsamotniejszym, najtwardszym skurczybykiem na tej planecie zaraz po mnie.

Quentin pokiwał głową.

Dwadzieścia dwa lata później Popeye burczał z takim samym obcesowym oddaniem, jakie okazał wówczas.

- Jesteś teraz oszczędnym skurczysynem, tak?

- Wiem, czego potrzebuję, żeby żyć.

- Wiesz, czego potrzebujesz, żeby umrzeć. Mogłem huśtnąć tym marmurem przez drzwi na dwór. Taak, lina mogła się zerwać i płyta gruchnęłaby w tę ich cholerną ciężarówkę. No i co z tego? Jesteś przecież ubezpieczony od takich wypadków. Mógłbyś kupić tym chłopakom nowy samochód. Za to kompletu nowych kości kupić nie da rady.

Quentin usiadł, przeciągał się i gimnastykował mięśnie ramion.

- „Strzeż się złotych łańcuchów, co wiążą. Twój duch sam jeden porusza się wolny w słusznym osamotnieniu". To jest coś, co przeczytałem w tomiku wierszy, sierżancie. A znaczy to tyle: uważaj, co kochasz. I kogo. Każda osoba i każda rzecz, o które się troszczysz, to ciężar, i zgodziłeś się go dźwigać. Nie możesz go z siebie zrzucić, skoro się tego podjąłeś.

- Znakiem tego zamierzasz dać się spłaszczyć.

Quentin uśmiechnął się, wstał i nic nie powiedział. Służył w wojsku przez szesnaście lat i właśnie miał dostać awans na majora, ale po wojnie w Zatoce Perskiej odszedł z armii. Życie w wojsku sprawia, że łatwo jest nie myśleć i nie czuć. W czasie służby zrobił dyplom

inżyniera, zjeździł cały świat, stacjonował w różnych krajach, służył w jednostkach nadzorujących przymierza podczas kilku kryzysów i prowadził swoich ludzi do boju. Po wypadku na polu minowym w czasie wojny w Zatoce Perskiej uświadomił sobie jednak, że nie chce jeszcze umierać, a przynajmniej nie tak daleko od domu.

Teraz jego życie koncentrowało się na rozbieraniu pamiątek innych ludzi, nie swoich. Zależnie od punktu widzenia był albo szanowanym sprzedawcą złomu, albo znawcą antyków. Rozbierał rezydencje, zakłady przemysłowe, fabryki - wszelkie budynki, w których poszczególne elementy warte były więcej niż ich suma. Potem zaopatrywał się antykwariatów we wszystkie możliwe rzeczy, poczynając od ręcznie robionych osiemnastowiecznych cegieł po witrażowe okienka nad drzwiami.

Poszedł do swojego biura - przestrzeni w narożniku z szeregiem szaf na segregatory, wyposażeniem biurowym i podniszczonym biurkiem, na którym królował komputer najnowszej generacji - i zabrał się do przeglądania e-maili. Większość zleceń otrzymywał w taki właśnie sposób, co oznaczało, że rzadko osobiście oglądał swoich klientów. Prowadził interesy w sposób efektywny i w izolacji, podobnie jak swoje życie. Wolał, żeby toczyło się dokładnie tak, a nie inaczej.

Podwójne rzeźbione marokańskie drzwi obok biura prowadziły do jego mieszkania. Przebudował jeden koniec wielkiego poddasza na pomieszczenie mieszkalne. Było to ładne, proste wnętrze wyposażone w przedmioty z rozbiórek, które postanowił zatrzymać dla siebie. Osiemnastowieczny gipsowy gzyms zdobił ścianę nad łóżkiem. Spłowiały, zjedzony przez korniki, lecz nadal dziwnie piękny mahoniowy łuk obramowywał kuchenne okno. Popękany i zniszczony postument kamiennej fontanny Quentin przykrył grubą taflą szkła, uzyskując w ten sposób stół jadalny. Lokatorzy przysięgali, że ma oko artysty. A on zawsze zaprzeczał.

Jego ojciec również cenił sobie rzeczy wyrzucone i syn nigdy tego nie zapomniał.

- Te przedmioty coś ci dają - mówił papa. - To, co wiedzą, co pamiętają, sławę, którą się cieszyły. One potrafią mówić, jeśli umiesz słuchać.

Lokatorzy Quentina czasami wędrowali na poddasze, żeby podziwiać i rysować różne rzeczy z nagromadzonej tam góry przedmiotów. W większości byli to ludzie młodzi i w większości dążyli do zrobienia wątpliwej kariery jako artyści czy muzycy. Quentina nie opuszczało niepozabawione ironii uczucie, że w dziwny sposób przyciąga do siebie tego rodzaju ludzi. Jedynie Popeye wiedział, że kiedy nie mogli zapłacić czynszu albo potrzebowali pomocy przy regulowaniu rachunków, przychodzili do Quentina, i on się tym zajmował.

Popeye podążył za nim do biura z determinacją wojskowego. Wyciągnął z kieszeni koszuli niedopałek cygara i wyrzucił go przez otwarte drzwi poddasza, zanim zatrzasnął je przed chłodnym marcowym powietrzem. Urodził się w burdelu w Kentucky. Wstąpił do wojska zaraz po drugiej wojnie światowej, mając zaledwie szesnaście lat. Nigdy się nie

ożenił, nigdy nie miał dzieci. Kiedy po przejściu na emeryturę odwiedził Quentina, wyglądał na kompletnie zagubionego. Quentin zatrudnił go w charakterze pomocnika i dał mu małe mieszkanie na dole.

Popeye mierzył w niego palcem.

- Jeśli nie chcesz być niczym obciążony, to jak wytłumaczysz to, że trzymasz tu tę gromadę młodziaków, którym wynajmujesz mieszkania? I jak wytłumaczysz, że trzymasz taką parę niepłacących czynszu lokatorów jak my? - Wskazał palcem na siebie, potem na Hammera.

- Wy na to zarabiacie - odparł Quentin, nie odrywając wzroku od ekranu komputera.

- Skończysz jak ja.

- Mam nadzieję, sierzancie. - Quentin rzucił na niego ubawione spojrzenie. - Jesteś największym kutasem w okolicy.

Zadzwonił telefon, umożliwiając mu umkniecie przed potokiem przekleństw sierzanta. Podniósł rękę, żeby go uciszyć, usłyszawszy strapiony głos Alfonse'a Esposita.

- Twoja matka jest w szpitalu - oznajmił.

Kiedy przyjechał do szpitala na Manhattanie, matka drzemała w jednoosobowym pokoju. Zasłabła w czasie spotkania z doradcą finansowym. Alfonse podniósł się z krzesła przy jej łóżku, gdy Quentin wszedł do pokoju.

Ciemne włosy Alfonse'a zrobiły się niemal całkiem białe i nadawały ton kosmopolitycznej elegancji jego wyrazistym rysom i oliwkowej cerze. Był teraz komendantem okręgu, a za rok miał odejść z policji i przejść na emeryturę. Wzrok miał surowy, ale strapiony.

- Ona jest jak kawalerzysta - szepnął. Quentin popatrzył na matkę, na jej twarz bladą jak kreda, zamknięte oczy i przyłożył rękę do dłoni spoczywającej na kołdrze. Musiał się powstrzymać, żeby nie szukać pulsu. - Chciała wyjść prosto z izby przyjęć - mówił dalej Alfonse. - Powiedziałem, że przypnę ją kajdankami do łóżka. Oni chcą zrobić kilka badań. - Przyciszył jeszcze głos. - Ma wysokie ciśnienie. Doktor mówi, że to na pewno utrzymuje się od jakiegoś czasu. Podejrzewam, że ukrywała ten fakt przed nami.

- Oczywiście - mruknęła i otworzyła oczy. Zamrugła. - Proszę, niech ktoś mi poda moje okulary. - Alfonse wziął z nocnego stolika okulary w cienkich metalowych oprawkach. Włożyła je na nos i Quentin odetchnął z ulgą. Wyglądała mizernie, ale teraz była bardziej do siebie podobna. Nigdy się nie przyzwyczał do jej soczewek kontaktowych. - Czuję się dobrze. Przypuszczam, że nadmiernie wciągnęłam się w dyskusję o funduszach inwestycyjnych.

- Myślałem, że pieniądze cię zajmą - odezwał się Quentin. - Myślałem, że chciałaś mieć tylko jakieś zajęcie, teraz gdy wszystko inne już jest ustabilizowane. Chcesz, żebym wynajął kogoś, kto zamiast ciebie poprowadzi te sprawy?

- Nie pozwolę obcemu człowiekowi zarządzać przyszłością naszej rodziny. -

Powiedziała to po prostu, bez urazy, i naprawdę tak myślała. Postawiła sprawę jasno: dopóki Quentin nie przyjmie części spuścizny swego ojca, finansowej, duchowej ani twórczej, nie powinien wtrącać się w sprawy pieniędzy. - Nadal nie szanujesz tego, co reprezentują te pieniądze - ciągnęła dalej spokojnie. - Nie szanujesz pamięci swojego ojca.

Quentin podszedł do okna i stanął odwrócony do niej tyłem, pozwalając, by dotarły do niego jej słowa. Nigdy nie powiedział i nigdy nie powie matce o zdradzie ojca. Nigdy też nie wyznał, czego dotyczyła ostatnia rozmowa z papą ani grzechu, który wciąż obciążał mu sumienie.

- Szanuję ciebie - odezwał się w końcu - i nie chcę, żebyś resztę życia spędziła, martwiąc się o każdy cent z tych rzeźb. Bo jak tak, to raczej wezmę wszystkie pieniądze i wyrzucę je do Rzeki Wschodniej.

- Nie mam nic innego, czym mogłabym żyć - oświadczyła nagle chrapliwym głosem. I chyba natychmiast pożałowała swojego wybuchu. Zmarszczyła brwi. - Nie oczekuję, że to zrozumiesz. Alfonse, pozwól mi, proszę, rozmówić się z Quentinem w cztery oczy.

- Oczywiście - odparł Alfonse, ale wychodząc z pokoju, zamknął z trzaskiem drzwi.

Quentin odwrócił się, popatrzył melancholijnym wzrokiem na matkę, potem przysunął bliżej krzesło i usiadł przy łóżku.

- Rozmówisz się naprawdę ze mną? Czy to tak trudno zdobyć się na szczerą i powiedzieć, co cię niepokoi?

Angele bawiła się kołdrą tak nietypowymi dla niej nerwowymi ruchami, że serce Quentina przeszył niepokój. Ścisnęła materiał w ręce, potem znieruchomiała, jakby zdeenerwowana sobą, i wpatrzyła się w sufit.

- No dobrze. Jestem nieszczęśliwa. Przez wiele lat miałam misję w życiu. Teraz nie mam nic do roboty. Nie chce mi się nawet rano wstać z łóżka.

- Zarządzasz majątkiem wartości wielu milionów dolarów i masz całe mnóstwo rzeczy, o które się troszczysz.

- To są tylko pieniądze.

- Osiągnęłaś to, czego pragnęłaś. Sława papieża została ugruntowana. Ludzie go nie zapomną. Teraz się wycofaj. Wyjdź za mąż za Alfonse'a.

Przeniosła na niego wzrok.

- Za Alfonse'a?

- Nie sądzisz, że wiem o was? Wiedziałem od lat.

- To tylko przyjaciel.

Quentin rozważał to w ponurym milczeniu. Widział zbyt wiele razy matkę w delikatesach na rogu, gdy jadła śniadanie z Alfonse'em, by zakładać, że spotkali się tam tylko przypadkiem.

- Nie musisz ukrywać swojego romansu. Ja go nie potępiam.
- Będę zawsze żoną twojego ojca.
- On nie żyje od ponad dwudziestu lat. Życzyłby sobie, żebyś była z Alfonse'em.
- Ja jestem z Alfonse'em. Jesteśmy serdecznymi przyjaciółmi.

- Alfonse szaleje za tobą. Obrażasz go, traktując jak kogoś gorszego. Choćby przed chwilą. Nie widziałaś jego wyrazu twarzy? Jak on to odczuwa, gdy słyszy, że nie masz po co żyć?

- Robi mi wykład na temat romansu czterdziestoletni kawaler bez jakiegokolwiek życia rodzinnego. - Szarpnęła znowu kołdrę, zadrżała i głęboko odetchnęła. - Co ja osiągnęłam! Wszystkie te sukcesy nigdy nie zdołają sprowadzić z powrotem twojego ojca, nigdy nie dadzą mi poczucia, że zrobiłam jedną doskonałą rzecz, której domaga się pamięć o nim. I nigdy nie przywrócą tobie zdolności, którą nie wiadomo co ci odebrało, zdolności troszczenia się o niego, troszczenia się o kogoś inaczej niż w ten jakiś obojętny sposób.

- Mam to, czego mi trzeba. Porozmawiajmy o twoich kłopotach, nie o moich.

- Och nie. Kiedy odzyskałam przytomność po tym omdleniu, wydawało mi się, jakbym we śnie rozmawiała z twoim ojcem. „Quentin kroczy tą samą drogą co ja” - powiedział. „Powstrzymaj go”. Jeśli nie znajdziesz choć trochę prawdziwego szczęścia, to możesz skończyć, możesz... - Zamilkła, przycisnęła palce do oczu, starając się wziąć w garść. Kiedy opuściła ręce, już panowała nad sobą. - Dość już tego. Pozwól, że wyrażę się jasno. Nie wiem, czego ty szukasz. Ale ja chcę, żebyś powziął pewną decyzję co do swojej przyszłości. Wszystkie miliony pochodzące z aukcji są twoje, teraz albo później, czy tego sobie życzysz, czy nie. Chciałabym wierzyć, że nazwisko Ricconi i wszystko, co sobą przedstawia, włącznie z pieniędzmi, przekazane zostanie następnym pokoleniom.

- Chcesz, bym się z kimś ożenił? Po to, żeby zacząć się rozmnażać.

Wpatrywała się w niego.

- Chcę, żebyś znalazł sobie kobietę, która będzie ciebie warta. Chcę, żebyś ją poślubił i kochał, tak jak kochał mnie twój ojciec. Chcę, żebyś miał dzieci. Chcę wnuków.

Quentin z trudem ukrywał irytację. Jeszcze jako młodzieniec obiecał sobie, że nigdy nie będzie taki jak jego ojciec. A to oznaczało, że nigdy nie będzie mieć dziecka, które mogłoby z jego powodu doznać głębokiego zawodu albo które mogłoby jego zawieść.

- Gdyby to było takie proste - powiedział - poślubiłbym Carlę.

Angele wyraźnie się zdenerwowała.

- Wybacz, że powiem bez osłonek... Nigdy nie powiedziałabym tego w obecności Alfonse'a, ponieważ on świetnie zna słabe strony swojej córki i cierpi z ich powodu katusze. Ale, Quentin, Carla jest pełna temperamentu i lekkomyślna. Marnuje swoją inteligencję i młodość na mężczyzn, którzy są do niczego, i na ciebie. Gdyby nie uwielbiała swoich córek, to nie wątpię, że skoczyłaby z mostu tylko dlatego, że ty się nie angażujesz. Przychodzi do

ciebie po pieniądze i radę, ty jej dajesz jedno i drugie, a ona tymczasem żyje marzeniem, że pewnego dnia ją poślubisz i będziesz dobrym ojczymem dla jej dziewczynek.

- Jest moją starą przyjaciółką. Pomagam jej, gdy potrzebuje pomocy. Trzymam się z dala od córek, żeby nie brały mnie za ojca. Nie mam zamiaru żenić się z Carlą ani z nikim innym.

- Wobec tego nie pozwalaj Carli czepiać się ciebie. Przestań pożyczać jej pieniądze i nie pozwalaj, żeby czuła się tak pewnie, bo nie spotykasz się z żadną inną kobietą. A tak, wiem, że masz do wyboru inne kobiety. Wybierasz wśród swoich lokatorek, jakby były rybkami w beczce. One są więcej niż chętne, a potem ty łamiesz im serce i wtedy się wyprowadzają. W przypadku Carli kłopot polega na tym, że ona nigdy nie zdoła zmusić się do opuszczenia ciebie tak jak tamte. Pamięta chłopca, który ją kochał, i nie odróżnia go od mężczyzny nieumiejącego kochać nikogo. Rujnujesz jej życie, niefortunnie próbując być dla niej dobry i podtrzymując pewne wspomnienia o sobie, mimo że nie zamierzasz do niczego powrócić.

Quentin patrzył na nią z wyrazem wymuszonego posłuszeństwa, na które zdobywa się dorosły syn wobec rodzica. Ona jednak z determinacją zacisnęła usta. Od jego powrotu z wojska bywały takie okresy, kiedy on i Carla byli ze sobą, to prawda. Był to przyjemny, wygodny układ.

- Nie siedzę tu, żeby dyskutować o sensie mojego życia albo o tym, dokąd prowadzi. Myślę, że to zbyteczne.

- Nie możesz kroczyć tą drogą! Wstał nagle.

- Lubisz wciąż swoją kamienicę? - Kupiła sobie miłe mieszkanie w lepszej dzielnicy przed paroma laty, kiedy zaczęły napływać pieniądze za sprzedane rzeźby.

- Cóż to ma wspólnego z tą rozmową? - spytała. - Jestem bardzo szczęśliwa w swoim mieszkanku. Życzyłabym sobie mieć tylko więcej miejsca na książki.

- Możesz się przeprowadzić, gdzie tylko zechcesz. Do apartamentu na dachu w centrum. Do domu za miastem. Może do domu w Martha's Vineyard albo w Hamptons? Z przystanią. Boże, Alfonse by to uwielbiał. Pozbyłby się swojej starej krypy z kajutami i postarał o jacht.

Matka patrzyła na niego tak, jakby był rajfurem i prosił ją, by się ciałem i duszą sprzedała.

- Wyobrazasz sobie mnie żyjącą w luksusach i zapominającą, że twój ojciec kiedykolwiek istniał?

- Nie - zaprzeczył. - Chcę cię zobaczyć cieszącą się życiem, na które zasłużyłaś. - Zawahał się, po czym dodał, z wysiłkiem się opanowując: - Życiem, które jemu się należało. Opowiadał mi kiedyś, że siostra skłoniła go do tego, aby żył za nich dwoje, za siebie i za nią. Tak właśnie musisz zrobić. Żyć życiem, które on odrzucił.

Przymknęła na chwilę oczy. Kiedy je otworzyła, błyszczały od łez.

- Gdybym tylko zdołała znaleźć spokój ducha! Czuję, że trzeba było zrobić coś bardziej osobistego, by uczcić jego pamięć. Nie chodzi o zarządzanie pieniędzmi... to umiem robić. Będę to nadal robić dobrze, ponieważ nie przestaję się modlić, żeby wnuki moje i twojego ojca miały dzięki temu wspaniałe możliwości. - Popatrzyła na niego znacząco. - Ale... musi być coś, co naprawdę wiele by dla niego znaczyło. Chcę odkryć, co to takiego.

Potrząsnął głową i spojrział na nią z synowskim smutkiem. „Nie pozwól jej upaść na duchu”. Weszła pielęgniarka, zaniepokoiła się wyraźnym stanem podniecenia u pacjentki i zaproponowała środek uspokajający.

- Nie chcę, żeby leki złagodziły moje poglądy - odparła krótko matka. Kiedy pielęgniarka wyszła, Quentin ujął jej rękę. Tym razem - co nie zdarzało się często - pozwoliła mu ją trzymać.

Kiedy tego wieczoru wrócił do starej fabryki, przy wejściu, którego używał, zobaczył zaparkowanego białego lexusa Carli. Od ostatniego burzliwego okresu przed przeszło rokiem, gdy byli razem, Carla miała klucz. Zastał ją nagą w swoim łóżku, co go nie zaskoczyło. Od czasu jego powrotu z wojska przed laty grywali w tę grę kilka razy.

- Jak się ma twoja matka? - spytała. - Papa mówi, że po prostu zemdląca.

- Ma wysokie ciśnienie, ale nie zwraca na to uwagi.

- No dobrze, potrzebuje więc po prostu więcej spokoju i trochę lekarstw.

Quentin nie zareagował na to typowe dla Carli spojrzenie na skomplikowane sytuacje. Przesunął wyściełany fotel i usiadł w bezpiecznej odległości od łóżka.

- Co ty tu robisz? Uśmiechnęła się.

- Lubię się pieprzyć z bogaczami. Czekam od stycznia, żeby dołączyć cię do swojej listy.

Była ponętna, to przyznawał. Królowa piękności z Brooklynu, która doprowadzała mężczyzn do szaleństwa, stała się elegancką bizneswoman z Manhattanu i prowadziła ekskluzywny salon kosmetyczny. Leżała teraz wyciągnięta na górze jego białych poduszek z kuszącą satysfakcją. Ciemna narzuta marszczyła się koło jej bioder. Krótkie, podfarbowane, czarne i starannie ułożone włosy okalały jej zaróżowione oblicze. Jedną rękę trzymała na brzuchu i długim, białym zakończonym paznokciem jeździła po skórze poniżej pępka, od czasu do czasu unosząc rękę, by okrążyć sutek.

- Zobacz, jak mi zimno w tym pokoju pełnym przeciągów.

Zdjął skórzaną kurtkę i rzucił delikatnie na jej piersi.

- Nie zamarznij.

Nie przestała się uśmiechać, ale z jej oczu zaczęło wyciekać rozczarowanie.

- Nie jestem zaręczona - oznajmiła. - Na razie. - Chodziła na randki z pewnym bankierem, który szalał za nią i jej dziewczynkami, i jak się przyznała Quentinowi, nawet go

lubiała.

- Mówiłem ci, że więcej już tego nie możemy robić - powiedział.

- Quentin, proszę. Staram się, jak mogę, znaleźć sobie kogoś innego, ale zawsze wracam do ciebie. - Niecierpliwie odsunęła włosy z twarzy, zaniepokojona o swój wygląd. Z werwą dawnej Carli, która mogłaby go walnąć pięścią, powiedziała zirytowana: - Daj spokój. Kiedy twoja ostatnia biedna, chora z miłości ofiara wyprowadziła się z domu? Przed miesiącem? Och, to musiała być jakaś mądrała. Słyszałam, że miała magisterium z historii sztuki. Ale nawet one nie są na tyle mądre, żeby złowić ciebie. A więc po prostu czekam. - Uśmiechnęła się szeroko i uniosła ręce. - I oto mnie masz.

Czuł wbrew sobie, że pociąga go, gdy jest bardziej szczerą. Sprzeciwiała mu się, uwodziła go i często rozśmieszała, przypominając z prawdziwą tęsknotą łatwy seks i przyjaźń z czasów ich młodości. Lubił jej małe, kipiące energią córeczki, które wyglądały jak Carla w miniaturze i bardzo do siebie były podobne, choć każda miała innego ojca. Lubił jej pełen wigoru stosunek do życia i mężczyzn. Ale to było wszystko i czuł się zmęczony.

- Myślę, że powinnaś wyjść za tego bankiera - oznajmił.

- Dlaczego?

- Dlatego że on będzie dla ciebie dobry. Kocha twoje dziewczynki. One go bardzo lubią. Same mi to mówiły. Daj spokój. Ubieraj się i idź się z nim zobaczyć. Rozbierz się w jego łóżku.

Zsunęła się w dół na materacu i założyła ręce za głowę. Patrzyła na niego przenikliwym wzrokiem i nabierała powietrza w płuca tak długo, że aż uniosły jej się piersi. Potem umościła się głębiej w jego zielonej, cienkiej flanelowej pościeli.

- Przeszanuję się z nim natychmiast widywać, gdy tylko powiesz mi choć słowo. Jeśli prędko czegoś nie zrobisz, wyjdę za niego za męża.

- Staram się mieć dobry wpływ na ciebie.

- Nie zawsze byłeś taki cnotliwy.

- Wiem, ale za każdym razem, kiedy przez to przechodziliśmy, kończyło się na tym, że nienawidziłaś mnie przez rok lub dwa. Myślę, że tym razem powinniśmy pominąć fazę nienawiści. Przynajmniej ze względu na ciebie.

- Quentin, czy nic się nie zmieniło od stycznia?

- Właściwie nie.

- Twoja matka jest zaniepokojona, bo nie chcesz zająć się przyszłością waszej rodziny. Rozumiesz, co ci mówię? Przyszłością nazwiska Ricconi, Quentin. Musisz się ożenić, musisz wychować dzieci i zapewnić im wspaniałe życie, być wspaniałym papą, stworzyć wspaniały dom, stworzyć rodzinę, rozumiesz? To właśnie powinieneś zrobić z tymi pieniędzmi, bez względu na to, co o nich myślisz.

- Przerabialiśmy to już przedtem.

- Daj spokój, Quentin, co cię powstrzymuje?

- Pieniądze niczego nie zmieniają.

Wolno zsunęła z siebie jego kurtkę i narzutę, odsłaniając w całej okazałości gładki brzuch i klin ciemnobrązowych włosów łonowych między smukłymi udami.

- Masz rację - szepnęła. - Nie zmieniają tego, że tak bardzo ciebie chcę. Jesteś tu zawsze, kiedy cię potrzebuję. Nie przychodzę tylko po pieniądze i seks. Wiesz o tym.

Quentin pokiwał głową. Wiedział, jak łatwo byłoby wśliznąć się z nią do łóżka, ale wyznaczył sobie granice i nigdy nie tracił kontroli nad swoimi pasjami. A te pasje, mówił sobie, były zwyczajne: kobieta, która naprawdę go nie potrzebuje, Yankees od kwietnia do października, Knicks przez zimę, dobre cygaro, zimna szkocka i znakomicie napisana książka. Wstał.

- Jeśli chcesz, to tu zostań. Uśmiechnęła się szeroko.

- Teraz rozmawiasz.

Wziął swoją kurtkę.

- Zobaczymy się później. - Pochylił się szybko, pocałował ją w nagi brzuch poniżej pępka, zajrzał w zmieszane oczy i przeprosił. - To nie jest twoje zmartwienie, tylko moje - powiedział.

Potem wyszedł.

O świcie siedział na wałącym się patio rozbieranej przez niego starej tudorowskiej rezydencji. Towarzyszył mu Hammer, który drżał na wietrze dmuchającym od zimnego szarego Atlantyku. Tu nad oceanem mógł sięgać tak daleko wzrokiem... I tego właśnie pragnął, takiego miejsca, skąd roztacza się widok na wiele kilometrów, żeby wszystko stało się klarowne.

Nie lubił przyznawać się, że nie udało mu się niczego zbudować w swoim życiu. Nie pozwalał, by słowo „nieszczęśliwy” pojawiało się w jego umyśle, bo było to folgowanie sobie. Do diabła, lepiej być nieszczęśliwym i rozbierać budynki niż dążyć do swojego zakichanego, przesadnego szczęścia kosztem życia innych.

Kiedy wrócił z wojska do domu, pojechał do starego magazynu, gdzie nadal znajdowały się prace jego ojca. Stał w samym środku dżungli groteskowego żelastwa i metalu, spojrzął w górę na drewniane belkowanie i rdzewiejący metalowy dach i wyobrażał sobie, że demontuje po kolei legary i zdejmuje rozpadające się blachy. Potem kiedy już budynek będzie rozebrany, zajmie się tym, co w nim przechowywano, a teraz jest wystawione na światło słońca. I po kolei potnie na kawałki wszystkie bezużyteczne twory swojego ojca, redukując je do porządných stosów niczego. Nie będzie magazynu, nie będzie już składowanych w nim dzieł sztuki, nie będzie wspomnień.

Obserwował ocean, wychylając się do przodu i wpatrując w różowości i złocistości świtu. Musi gdzieś być odpowiedź, coś lub ktoś - ktoś, tak, w porządku, ktoś, za kogo warto

umrzeć, ktoś, kto z powodu niego przepatruje horyzont.

W jego życiu było więcej kobiet, niż chciałoby się pomyśleć. Zawsze pozostawały w jednej z baz wojskowych albo wyprowadzały się z mieszkań, które dla nich wynajmował. Nie mógł niemal spamiętać ich nazwisk. Podczas pobytu w Iraku zaczął się nagle zastanawiać, czy jest na świecie taka kobieta, którą chciałby spotkać. Nie potrafił jej sobie wyobrazić.

Rozdział 9

- Lokatorzy twojego taty chcą z tobą porozmawiać - szepnęła mi pani Green zza pokrytej wątrobianymi plamami dłoni. Organizowała zaopatrzenie z potrawek, pieczonych kurcząt i deserów, które znosili sąsiedzi napływający długim strumieniem. Będziemy mieli co jeść przez cały miesiąc.

Spojrzałam na nią ponuro sponad sterty papierów piętrzących się na stole kuchennym.

- Proszę im powiedzieć, że rozmawiam z nimi, jak uporam się z tymi rachunkami. - Znalazłam w szufladzie stos niezapłaconych faktur. Groziło nam wyłączenie elektryczności.

- Dziecko, nie da rady. Musisz rozmawiać z nimi teraz. - Była nieustępliwa, była przywódczynią. Zrezygnowała z prowadzenia miejscowego sklepu spożywczego „Quik Boy”, gdy wraz z mężem sprzedali go krajowej sieci franchisowej. Kiedyś handlowano tam niemal wszystkim, od amunicji poczynając, gotowanymi nóżkami wieprzowymi i najróżniejszymi domowymi ciastami, a kończąc na broszurowanych książkach z drugiej ręki, dostarczanych stale przez tatę. Teraz w sklepie mieli kawę dla smakoszy i sprzęt kempingowy dla turystów. Cały mój świat się zmienił. - Czekają na frontowym ganku - dodała i pokazała palcem.

Niechętnie narzuciłam na ramiona sweter i wyszłam na dwór.

Pięcioro nieznajomych patrzyło na mnie tak samo podejrzliwie jak ja na nich. Oswald T. Weldon był chudym, nieprzystępnym sześćdziesięciolatkiem, mówił przez nos, jak się to robi w Tennessee, i pokazywał niczym członkowie gangu motocyklowego, że ma wszystko za nic. Biały podkreślony wąs nad jego górną wargą wyglądał jak szczeciniasta kpina. Sam siebie nazywał ludowym malarzem. W swoich obrazach przedstawiał głównie nagich ludzi brykających po farmach, polach i wśród kwiatów. Innym tematem, bardziej kłopotliwym, były skrzywdzone dzieci.

Żona Weldona, Juanita, miała nie więcej niż trzydzieści lat i pochodziła z maleńkiej wioski w Meksyku. Ledwie rozumiała po angielsku i była bardzo nieśmiała. Obok Weldonów stała para tak pospolita jak polne kamienie. Bartow i Fannie Ledbetterowie byli po prostu starzy - dobrze po siedemdziesiątce, a może nawet po osiemdziesiątce. Ona opierała się na Bartowie, a Bartow opierał się na niej i pomagał sobie jeszcze grubą drewnianą laską. Przed wieloma laty doznał urazu i miał groteskowo przekrzywiony grzbiet, zawsze więc przechylał się na bok. Oboje z Fannie całe życie pracowali w fabryce wyrobów ceramicznych w

Karolinie Północnej, dopóki nowi inwestorzy nie zamknęli zakładu i nie przenieśli produkcji za morze. Teraz klepali biedę, żyjąc z tego, co zarobili na sprzedaży swoich misek, talerzy i kubków o osobliwych kształtach. Kiedy otworzyłam kuchenne szafki taty, ujrzałam tam na półkach dziwne twory Ledbetterów. Wydały mi się nieznanymi, kolorowymi, małymi przybyszami. Patrzyły tak, jakby zamierzały się na mnie rzucić.

I wreszcie była tam ona. Kobieta, która stanowiła dla mnie tajemnicę, za każdym razem, gdy ją ujrzałam, i groźbę, którą jeszcze nie całkiem pojmowałam. Zauważyłam, że płakała na pogrzebie taty, a potem widziałam ją z oddali, samotnie stojącą nad jego grobem. Z całą powagą nazywała siebie Tubylczą Amerykanką Nowej Ery, Lizą Deerwoman. Trzeba to uznać za pomysł dość absurdalny, jako że była dość korpulentną platynową blondynką w średnim wieku. Do niedawna musiała być jeszcze piękna. Liza Deerwoman specjalizowała się w wyrobach ze szkła. Na półkach przed frontowymi drzwiami jej mieszkania stało mnóstwo buteleczek do perfum, wazoników i ozdób do powieszenia.

Sama też była kolorowa. Dzisiaj włożyła zdumiewająco zielony szyfon - pewien rodzaj bluzki - a na to luźną zieloną kurtkę. Miała jedwabne podkolanówki z naszytymi drobnymi perełkami i do nich mokasyny. Oczy osłoniła przeciwsłonecznymi okularami w zielonych oprawkach.

- Jak się masz? - zagadnęła kulturalnie, głosem o brzmieniu typowym dla ludzi z wybrzeża, które zawsze mnie zadziwiało. - Rozmawiałas z ojcem w swoich snach?

Co za bzdury! Zmierzyłam ją wzrokiem.

- Nie, ale jestem pewna, że mnie odwiedzi, jak będzie mieć czas.

- Nie denerwuj się, proszę. Mam obowiązek ci to powiedzieć, nawet jeśli mi nie uwierzysz. Mnie się zjawiał. To tak naprawdę tylko wrażenie, nic widzialnego. Jakieś poczucie głębokiego spokoju. Wierzę, że jest zadowolony z tego, czego tu dokonał, i oszczędł, aby... - głos jej się załamał - ...przygotować się do dobrej pracy na tamtym świecie. Tobie powierzył farmę. Mówi, że wiedział, co jest dla ciebie najlepsze. Wiedział, że potrzebujesz szansy, by powrócić do domu.

- Proszę przestać. Nie znam pani ani pani mnie nie zna.

I jeśli mój ojciec miał mi coś do przekazania, to napisałby to w swojej ostatniej woli. - Nie mogłam niczego zrozumieć z tej jej paplaniny.

Starzy małżonkowie, szurając nogami, przesunęli się do przodu.

- To wszystko, co ona mówi, znaczy, że pan Tom był dobrym, zacnym człowiekiem - powiedziała pani Ledbetter. Jej podobny do gнома mąż kiwał głową, a ruch ten odzwierciedlało całe jego skręcone ciało.

- Dusza człowiek - rzekł skrzekliwym głosem.

Oswald Weldon prychnął. Wykrzywił usta, patrząc na mnie.

- Przejdźmy do rzeczy. Zamierza pani nas wyrzucić? - Jego głęboki głos i sarkastyczny

szoferacki ton drażnił moje uszy. - Już parę lat temu chciała się pani nas pozbyć - mówił dalej. - A teraz ma pani okazję. Niech pani po prostu to powie.

- Dopóki będziecie uczciwi wobec mnie i godni zaufania, będziecie płacić rachunki i utrzymywać w dobrym stanie mieszkania, to na razie niczego nie zamierzam zmieniać.

- Dziękuję - powiedziała cicho Liza Deerwoman. - Jestem pewna, że twój ojciec jest zadowolony.

Popatrzyłam na nią z nieukrywaną niechęcią. „Blanche du Bois Nowej Ery!”

- Jak mówiłam, nie zamierzam na razie niczego tutaj zmieniać. Nie zaraz.

- Takimi słowami piekło jest wybrukowane - poinformował mnie Oswald.

- Zawsze może się pan wyprowadzić, jeśli mi pan nie wierzy.

- Nie sprawimy pani tej satysfakcji.

- Oswald, to wystarczy - powiedziała Liza, bardzo spokojnie i z chłodnym ostrzeżeniem w głosie. Oswald zacisnął usta i zszedł po schodkach z ganku. Reszta udała się za nim. Patrzyłam, jak szli, w osłupieniu i z przerażeniem. W moich rękach znalazły się domy tych ludzi, ich interesy, ich życie w Niedźwiedziej Kotlinie. Byłam całkiem pewna, że nikt z nich nie może sobie pozwolić na to, by wyprowadzić się gdzie indziej.

„Co ja mam z nimi zrobić?” - pomyślałam w rozpacz.

W ciągu dwudziestu dwóch lat swojego życia Arthur rzadko opuszczał najbliższe okolice farmy i Tiberville. Niemal nigdy nie przekroczył granic stanu. Podróże go przerażały. Z powodu tej fobii tata nigdy nie zabierał go do Atlanty w odwiedziny do mnie. Arthur wyrósł na młodzieńca milczącego jak głaz i sztywniejącego ze zdenerwowania, gdy zmuszono go do przekroczenia jakiegoś niewidocznego psychicznego punktu granicznego.

Gniazdo - mówił głośno w samochodzie. Było to przyzwyczajenie z czasów chłopięctwa, gdy przechodził przez długi okres udawania, że jest ptakiem. Gniazdo. Musiał wrócić na swoją bezpieczną grzędę. A ponadto nie mógł porzucić Żelaznej Niedźwiedzicy. Zastępowała mu matkę.

Teraz ja go okłamałam.

- Mama Niedźwiedzica przemówiła do mnie zeszłej nocy. Chce, żebyś zamieszkał ze mną - powiedziałam. - Mówiła, że będziesz szczęśliwy w moim domu w Atlancie. Mama Niedźwiedzica mówiła też, że będzie jej dobrze tutaj, na farmie, i że w każdy weekend będziemy ją odwiedzać. Obiecuję. A teraz naprawdę trzeba, żebyś pojechał ze mną do Atlanty i tam został.

- Gniazdo - odparł Arthur, załamując ręce.

Nazajutrz przedstawiłam swoje plany dotyczące Arthura lokatorom, których posadziłam na krzesłach ustawionych wokół pokoju dziennego. Nie mogę zamieszkać w Niedźwiedziej Kotlinie. Moja księgarnia, mój dom i mój ewentualny przyszły mąż znajdują się w Atlancie.

- Ursulo, proszę cię, nie zabieraj Arthura - błagała Liza, wyciągając ręce. - On kocha tę farmę. To jego dom. W mieście będzie nieszczęśliwy. Przyzwyczał się do nas i my się nim zaopiekujemy. Przysięgam ci, nie będziesz żałować, jeśli pozwolisz Arthurowi tu zostać.

- To nie wchodzi w rachubę. On potrzebuje nadzoru. Jestem jego siostrą. Ja się nim zaopiekuję.

- Ale, panno Ursulo, nie pomoże mu pani, zamykając go w Atlancie jak w klatce - powiedziała płaczliwie Fannie Ledbetter. - On jest w swoim sercu słodkim dzikim dzieckiem. Musi wędrować po lasach wraz z innymi stworzeniami. Potrzebuje tej niedźwiedzicy tam na podwórku. Ona do niego mówi, uspokaja go. Ja w to naprawdę wierzę. Liza ma rację. Jesteśmy teraz dla niego bliskimi ludźmi. Może go pani z nami zostawić.

Wstałam, wściekła.

- Nie jesteście dla niego bliskimi ludźmi, nie jesteście jego rodziną i nie jesteście moją rodziną, i musicie przyjąć ten fakt do wiadomości. Zajmujcie się swoimi sprawami, a ja nie będę się do nich wtrącać. Ale słuchajcie, pozwalam wam zostać na tej farmie z dobroci serca i dlatego, że mój ojciec tego by sobie życzył. Nigdy nie zapominajcie, że jesteście tu lokatorami.

Podnieśli się całą grupą z pewną zachowywaną z trudem godnością i poszli gęsiego w stronę drzwi frontowych. „Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby mieć miękkie serce - pomyślałam. - Skończyłabym jak tata”.

Fannie Ledbetter zatrzymała się i podjęła jeszcze ostatnią próbę przekonania mnie.

- Ten pani brat pojedzie do miasta, bo kocha panią jak nikt inny - powiedziała. - Ale jeśli go pani stąd zabierze, to go pani zabije. Zapamięta pani moje słowa.

Twarz Arthura z każdą mijającą godziną robiła się coraz smutniejsza. Chodził po pokojach, popłakiwał i w końcu tuż przed zmrokiem zniknął. Poszłam na górę do cichej, rozpaczliwie pustej sypialni rodziców, pełnej zimnego gasnącego światła, i walczyłam z chęcią poddania się i zagrzebania w kołdrach na ich starym łożu z sosnowego drewna. Podniosłam wieko wielkiej skrzyni na pościel pod oknem.

- Czym jesteś? - zapytałam Arthura łagodnym tonem. Zwinął się w kłębek w wielkiej skrzyni, co przy wzroście metr osiemdziesiąt siedem świadczyło o zdumiewającej giętkości jego chudych rąk i nóg.

- Kurczaczkiem w jajku - odparł.

Usiadłam na podłodze, sięgnęłam ręką do wnętrza skrzyni i odgarnęłam mu wspaniałe czerwonobrazowe włosy z twarzy. Opadały mu na ramiona. Tata pozwalał, żeby Arthur nosił włosy tak długie, jak mu się podobało, a on nie chciał ich obcinać.

- Zamierzasz się wylęgnać? - spytałam.

- Tak. - Głos mu drżał. W tym momencie wiedziałam, że postanowił zrobić to, o co go prosiłam, i że był to akt oddania oparty wyłącznie na absolutnym zaufaniu i uwielbieniu.

Wyciągnął drżącą rękę, a ja ją mocno chwyciłam.

- Arthurze, obiecuję ci, że ze mną będziesz bezpieczny i będę się tobą opiekować. Na pewno będziesz szczęśliwy.

Przyciągnął moją rękę do swoich żeber.

- Boli - powiedział cichym głosem. - Tata jest tutaj. Nie może mówić. Jak Mama Niedźwiedzica.

Oparłam głowę na rękę spoczywającej na brzegu skrzyni.

- Boli - zgodziłam się. Zbierały się srebrne cienie, cały świat poszarzał i ucichł.

- Tata jest tu - jęknął znów Arthur, mocniej przyciskając do żeber nasze połączone dłonie.

- Zabierzemy go ze sobą - szepnęłam.

Kupiłam rozkładany tapczan i umieściłam brata w małym pokoju dziennym w swoim mieszkaniu przerobionym z garażu. Gregory patrzył na Arthura w taki sposób, w jaki oglądał bakterie pod mikroskopem.

- Zamierzam porozmawiać z pewnymi osobami - powiedział, gdy siedzieliśmy któregoś wieczoru na przeciwległych końcach śnieżnobiałej kanapy. - I zorientować się, jaki rodzaj eksperymentalnego leczenia mogliby zasugerować. Może uda się nam dołączyć twojego brata do jakiegoś programu, który by mu pomógł. Mógłby żyć szczęśliwie w jakimś domu opieki.

- Coś sobie wyjaśnijmy. Mój brat - rzekłam zdecydowanym tonem - nie pójdzie nigdy do żadnego zakładu.

Nieprzyjemna cisza wypełniła przestrzeń między nami, absolutnie pozbawioną wszelkiego zapachu. Nie sypialiśmy ze sobą od miesiąca. Gregory wyjeżdżał nazajutrz do Kanady na konferencję poświęconą zdrowiu publicznemu. Byłam z tego zadowolona.

- Wygląda pani na zmęczoną, szefowo - powiedziała mi ekspedientka w księgarni.

- Czuję się dobrze. - Poszłam do schowka na zapleczu. Arthur drzemał tam na siedząco, oparty o ścianę, oplatając rękami kij od szczotki. Poczułam litość, a potem nienawiść.

Nazajutrz Arthur zniknął, jakby o tym wiedział.

Zorientowałam się, że dzieje się coś złego, gdy weszłam koło siódmej do kuchni i znalazłam jego egzemplarz *Cudownej podróży* ustawiony na stole w kącie śniadaniowym. Przez lata tata i ja czytywaliśmy mu na zmianę tę klasyczną opowieść dla dzieci i on ją pokochał. Obok książki ułożył równiutko nowy sweter i czapkę, które mu kupiłam. Na wprost obudzona, wzięłam książkę i popatrzyłam na nią krzywo, po czym poszłam przez hol do pokoju Arthura, żeby się dowiedzieć, o co mu chodzi.

Pokój był pusty. Zadzwoiłam na policję. Zanim policjant pojawił się w drzwiach, ja już zorganizowałam sieć przyjaciół i sąsiadów, uruchomiłam patrol obywatelski i właśnie

miałam opuścić mieszkanie, żeby wyruszyć na poszukiwania.

- Skąd pani wie, że brat uciekł? - spytał policjant.

- On mi powiedział - odparłam i uniosłam do góry *Cudowną podróż*. Książkę o zrozpaczonych, zagubionych zwierzętach, które odnajdują drogę powrotną do domu.

Arthur, który potrafił stracić orientację w czasie i przestrzeni nawet na rodzimym gruncie Niedźwiedziej Kotliny, próbował wrócić w góry, idąc ulicami Atlanty. Policja znalazła go w odległości kilometra od mojego domu, nieprzytomnego, bardzo potłuczonego i ze złamanym żebrem. Jego plecak zniknął, zniknęła też portmonetka, w której miał pięć dolarów. Dałam mu je, choć nigdy nie potrafił w pełni sobie uzmysłować, czym są pieniądze.

Opatrzono go w izbie przyjęć, a potem przeniesiono do separatki, gdzie spokojnie usnął dzięki zaaplikowaniu środków uspokajających i antybólowych. Ja poszłam do łazienki, zwymiotowałam i poryczałam się w ręcznik. To, co z nim zrobili napastnicy, przypominało skatowanie zagubionego szczeniaczka. I to była moja wina.

Obudził się koło północy. Jedno oko miał tak zapuchnięte, że w ogóle się nie otwierało, drugie, jak zobaczyłam, schyliwszy się nad nim - pełne łez. Wymówiłam jego imię.

- Jestem tu, jestem tu, wszystko w porządku - szeptałam, głaszcząc go po włosach. - Tak mi przykro, kochanie. Nie pozwolę, żeby znowu coś ci się stało. Przysięgam! Przysięgam ci! Tak mi przykro.

Posiniaczone, opuchnięte wargi ściągnęły mu się w drżącą linię. Z wysiłkiem formował słowa. Nachyliłam się bliżej, by je usłyszeć.

- Mama Niedźwiedzica nie mówiła ci, żebyś zabrała mnie z domu - rzekł. Potem odwrócił głowę i cicho, boleśnie kwilił, ale więcej już nic nie powiedział.

Następnego dnia uświadomiłam sobie, że to milczenie wobec mnie nie jest chwilowe i że mamy poważny kłopot. Liza i inni lokatorzy przyjechali w odwiedziny. Ona i Fannie Ledbetter siedziały przy Arthurze i za pomocą łyżeczki karmiły go waniliowym jogurtem przyniesionym przez Lizę. U licha, Liza знаła jego ulubione przysmaki. Ja przyglądałam się z drugiego końca pokoju i usiłowałam zwrócić na siebie uwagę Arthura. Liczyłam, że w końcu się podda.

- Spójrz na to, Arthurze - powiedziałam lekkim tonem, wyciągając z niebieskiej makramowej torby Lizy puszkę napoju z wyciągiem z różnych korzeni. - To twój ulubiony. - Otworzyłam puszkę, nalałam napoju do kubka z lodem, włożyłam słomkę i zniosłam bratu.

Zmaltretowana twarz ściągnęła się w przystępie furii. Machnął prawą ręką i zaskoczywszy mnie, wytrącił kubek z dłoni. Kubek i jego zawartość wylądowały na podłodze.

Stałam oniemiała. Mój brat nigdy przedtem nie unosił się gniewem. Rozwścieczona mina zrobiła z niego kogoś zupełnie mi nieznanego. On mnie nienawidził. Widziałam to.

- Arthurze Powell, zachowuj się przyzwoicie! - odezwała się Fannie, patrząc na niego osłupiała, a Liza zmarszczywszy brwi, spoglądała to na Arthura, to na mnie.

Arthur zaczął słabo się opierać, machając posiniaczonymi rękami.

- Wyjdź stąd - rozkazała spokojnym tonem Liza.

Skinęłam głową.

- Wyjdę z tego pokoju ze względu na niego.

Przeszłam przez hol i usiadłam w poczekalni na brzeżku twardego krzesła, zaciskając kolana. Mój mały braciszek, którego przewijałam, karmiłam i niańczyłam, i któremu czytałam, i którego broniłam przed znęcającymi się nad nim chłopakami, mój brat - jedyna osoba na świecie z mojej bliskiej rodziny - od tego dnia nie odezwał się do mnie ani do nikogo innego.

Kiedy późnym wieczorem Harriet Davies zjawiała się w szpitalu, wyglądałam tak, jak się czułam. Błada, z pustką w oczach, z włosami ściągniętymi w mizerny koński ogon, w wypłowiałych dżinsach poplamionych kawą i w czarnym pulowerze z wystrzępionymi nitkami, zwisającymi u nadgarstków. Zapomniałam o głosowaniu w sprawie podziału miasta na strefy. Rzuciłam jedno spojrzenie na twarz Harriet, łagodną, z dołeczkami, teraz opuchniętą od płaczu, i zapytałam:

- Przegraliśmy głosowanie, prawda?

- Tak. - Opadła na jedną ze szpitalnych winylowych kanapek i zapłakała.

Usiadłam obok i objęłam ją ramieniem. Los Peachtree Lane został przesądzony. Straciłam swoją księgarnię. Jeszcze ten cios jako dodatek do tego wszystkiego - to już było za dużo jak na mnie. Przytuliłam ją mocno, przycisnęłam, bo to mnie uspokajało, aż w końcu zapiszczała z bólu i delikatnie wysunęła się z moich objęć.

Gregory miał wrócić nazajutrz. Spacerowałam po holu pod drzwiami pokoju Arthura, usiłując znaleźć jakieś wyjście, usiłując nie myśleć o niczym więcej. Około południa podniosłam wzrok i ujrzałam jakby znajomą młodą kobietę, która szła w moją stronę. Potem uświadomiłam sobie, że ją rzeczywiście znam - była to maszynistka z CKC, które publikowało szereg sprawozdań i biuletynów. Spotkałam ją parę razy na przyjęciach, na których bywałam z Gregorym.

Dość to dziwne, ale zapamiętałam ją, bo była do mnie podobna - wysoka, rudowłosa, smukła, niebieskooka.

- Czy z Gregorym wszystko w porządku? - spytałam cicho.

- Tak. O, tak. - Wyglądała na zaskoczoną. Potem zatrzymała się w odległości kilkunastu kroków, a jej szary trencz stylowo i bardzo dramatycznie zawirował wokół pomiętego niebieskiego spodniomu. - Muszę z panią porozmawiać - powiedziała. - O Gregorym. - Po czym okręciła się i skierowała w stronę pustego pokoju szpitalnego. Poszłam za nią i zamknęłam drzwi. Miałam instynktowną potrzebę prywatności.

Zaczęła płakać. A potem bez ostrzeżenia przystąpiła do tragicznego i płynącego z głębi serca wyznania. Ona i Gregory już niemal od roku są kochankami. Nie chcieli, żeby tak się stało, ale stało się, jak to zazwyczaj bywa w takich historiach. Ona go kocha i on ją kocha, a Gregory próbował znaleźć jakiś sposób, żeby mi o tym powiedzieć.

- Tak bardzo go pani zraniła, narzucając mu swojego brata, zmuszając, by stał się zastępczym ojcem dla dorosłego człowieka - lamentowała. - Według niego to była ostatnia kropla.

- Przepraszam, potrzebuję trochę powietrza. - Wyszłam znowu do holu. Podłoga pod stopami wydawała mi się miękka. Musiałam skoncentrować się na działaniu kolan. Chwytając się ściany, wolno zmierzałam ku drzwiom pokoju Arthura, a szłam tak, jakby podłoga się przechylała.

Wywołałam Lizę z pokoju Arthura. Rzuciła na mnie okiem i marszcząc brwi, wyciągnęła rękę.

- Musisz odpocząć - orzekła. Potrząsnęłam głową.

- Chcę, żebyś powiedziała coś Arthurowi. Za dzień lub dwa, gdy go wypiszą, pojedzie do Niedźwiedziej Kotliny. Na dobre. Proszę, powiedz mu to. Żadnych dalszych zmartwień, żadnych więcej eksperymentów. Wątpię, żeby wybaczył mi to, co się zdarzyło, ale przynajmniej może być spokojny co do swojej przyszłości.

- A co będzie z tobą? - spytała.

Przed oczami latały mi świetlne punkciki. Będę musiała czym prędzej usiąść i zaczerpnąć trochę powietrza. Będę musiała udawać, że nie ściąga mnie z powrotem do Niedźwiedziej Kotliny ta sama ręką fatum, która zacisnęła się wokół taty, gdy był chłopcem. Klątwa, która zatrzymywała tam Powellów - zatrzymywała bez żadnych szans czy jakiegoś dającego się przewidzieć sposobu na przerwanie tego cyklu ledwo dawania sobie rady.

- Ja też wrócę do domu - odparłam.

Każdy w hrabstwie Tiber, kto słuchał plotek albo czytał między wierszami, wiedział, że wróciłam do domu bez pieniędzy i bez pracy, że mój chłop zakochał się w innej kobiecie i że przeze mnie rodzony brat popadł w bojaźliwe oniemienie. Ta plotka, jak oceniałam, dorównywała wiadomościom o weselach, nagrodach, wydarzeniach w kościele i w college'u, a także o lunchu rotariańskim, na którym goszczono wicegubernatora.

Moja księgarnia oraz wszystkie inne sklepy na Peachtree Lane stały puste. Pakowałam i sprzedawałam swoje książkowe zasoby. Serce bolało mnie przy każdej książce, która zniknęła z półek i powracała do swojego wydawcy albo trafiała w ręce innego nieznajomego, polującego na tani zakup.

Na koncie w banku w Tiberville miałam tylko tyle pieniędzy, żeby zaledwie przez kilka miesięcy płacić niewysokie rachunki farmy. Pozostało mi jedynie lato na urządzenie gospodarstwa domowego, na przywrócenie zaufania brata i jego głosu oraz na znalezienie

jakiejś przyzwoitej pracy. Bałam się zostawić Arthura samego, chociaż on nie wchodził do domu, gdy ja w nim byłam. Jednak musiałam być w pobliżu, na wypadek gdyby mnie nagle potrzebował. Był już przekonany, że go opuściłam albo że o niego nie dbam.

Arthur nie mógł czy nie chciał mówić i tylko pojękiwał, krążąc wokół farmy. Uciekał do lasu, jak tylko się do niego zbliżałam. Potem zakradał się do domu, żeby wyrzucić z lodówki jedzenie albo moje książki z regałów w pokoju dziennym - działania nikczemne, całkowicie do niego niepasujące.

- On wyraża swoim zachowaniem strach i żal - sugerowała Liza. - Daj mu po prostu czas.

Sypiał w maleńkiej dodatkowej sypialni w mieszkaniu Lizy przerobionym z kurnika albo zostawał na noc u doktora Washingtona w jego walącym się domostwie, oddalonym o dziesięć minut drogi przez las. Zaczęłam polegać na Lizie, choć tego nie chciałam. Opiekowała się sumiennie Arthurem i opłakiwała mojego ojca w wielkim ogrodzie, który oboje założyli za kurnikami. Poszłam tam kiedyś i przyłapałam ją na tym, że płacze, rozmawiając z nim o nasionach.

- Thomas, siej wszystko w dobrą ziemię. To jedyna rzecz, którą mogę zrobić, jak myślę. - Wycofałam się, zanim mnie zauważyła. Byłam zła i smutna, bo wydawało mi się, że jest szczerą, a tata nie mówił mi nigdy o swoim uczuciu do niej. No i zwracała się do taty, posługując się jego pełnym imieniem, czego nie robił nikt, nawet mama.

Ledbetterowie umieścili na pastwisku niewielkie stadko kóz i przerobili starą szopę, urządzając tam karmnik i miejsce do dojenia. Na ogrodzonym podwórku zamieszkiwał tuzin majestatycznych kur rodajlendów i ich kogut. Mieliśmy zatem duże jajka o brązowej skorupce. Wszędzie grasowała wielorasowa szara kotka Lizy, zwana Wiecznością, i często zjawiała się na tylnym ganku, domagając się, bym ją wpuściła do środka. Była to wyraźna wskazówka, że ona, a i Liza, jak zakładałam, przywykły do gościnności taty.

Z ziemi jak zawsze sterczały stare krany i imponująca forsycja rosnącą na skraju podwórka od frontu - w przyszłym roku wypuści pędy tak samo jak w tym i zażółci się od drobnych kwiatków jak każdej wiosny. Niebieskie hortensje zawsze będą niebieskie. Znałam każdy centymetr dwóch stopni zrobionych z kamienia polnego, które prowadziły na tylny ganek, i trzech stopni frontowego ganku wydeptanych stopami kolejnych pokoleń Powellów.

Kurniki straciły swoje szczupłe robocze kształty, które z latami zrobiły się bujne jak u podstarzałych tancerzy. Pęczniały zrujnowanymi gankami i dobudowanymi izbami, dziwnymi drzwiami, nierównymi oknami i niedopasowanymi żaluzjami. Mały ganek Ledbetterów obudowany był drewnianymi półkami, zastawionymi ich pastelową ceramiką o dziwnych formach. Sąsiedni ganek Liza przerobiła na otwartą altankę - oszałamiająco zielony buduar wykreowany przez nią z pnących róż, winobluszczu i jaśminu.

Drugi kurnik, który stał w odległości zaledwie kilkunastu metrów od pierwszego,

podzielono na pracownie - studio Lizy, gdzie wydmuchiwała swoje szkła, pomieszczenie z zakurzonymi piecami do wypalania ceramiki i toczkami garncarskimi Ledbetterów oraz galerię dziwnych płócien Oswalda.

Myślałam nieustannie o groźbie pożaru, o braku ubezpieczenia, o cienkiej linii oddzielającej moich lokatorów i mnie od katastrofy. Dom nie był w lepszym stanie od kurników. Tata nauczył się ignorować i wyśmiewać wszystko, na naprawę czego nie mógł sobie pozwolić. W rurach grało i charczało, połowa lamp nie działała, zapadały się podłogi, dach przeciekał i wszędzie widniało mnóstwo dziur, którymi wchodzili do domu futrzani goście.

Postawiłam na tylnym ganku wielką, białą ceramiczną donicę. Rosło w niej wysokie, pokryte obficie liśćmi młode drzewko, które wyhodowałam w zeszłym roku z pestki brzoskwini z Peachtree Lane. Stara brzoskwinia zapewne nie przeżyje planów developerów, ale jej potomkini zapoczątkuje w górach nową brzoskwiniową dynastię.

- Ty przeżyjesz i będziesz rosnać - powiedziałam do niej i do siebie.

Jako że jest Bóg na niebie.

Pewnego gorącego letniego ranka Quentin pojechał na północ stanu. Dotarła do niego wiadomość, że ostatni z kolejnych nieobecnych właścicieli sprzedał magazyn i wkrótce zostanie on przerobiony na centrum dystrybucyjne producenta mebli. Miejsce metalowych marzeń i koszmarów jego ojca zajmą paki z szezlongami i stoły z tanim fornirem do jadalni.

Kiedy już się znalazł w tym budynku, podszedł do drzwi starej ubikacji, otworzył kłódkę i na moment przymknął oczy, wspominając i starając się zapomnieć. Potem po raz ostami otworzył drzwi.

Zapalił światło i ujrzał to, co zobaczy tu obcy - jedynie małą użytkową przestrzeń z popękkanymi kafelkami i poźółkłą armaturą. Jednakże, gdy przyklęknął na jedno kolano i przesunął palcami po zimnej podłodze, widział krew i puste oczy ojca.

Przechodząc koło nędznego pokoiku, który służył ojcu za pomieszczenie mieszkalne, zatrzymał się na chwilę i ciężko odetchnął. Popatrzył na nagie ściany, starą kuchenkę i zlew stojący samotnie w kącie. Jako chłopiec wyobrażał sobie tu swojego ojca z kobietą oraz wszystkie sensacyjne szczegóły tego, co z nią robi. Teraz widział tylko, jak zimne i przygnębiające jest to miejsce, i pomyślał o ojcu, który zawsze tu wracał po weekendach spędzonych w domu, i o tym, jak musiał się czuć.

Pracownicy nowego właściciela odciągnęli starą kuchenkę na odległość kilkunastu centymetrów od ściany i zostawili na poczerniałych palnikach rozrzucone i pomięte torby z resztkami jedzenia z baru szybkiej obsługi. Śmieci zaniepokoiły Quentina. Papa był zawsze porządny, zdyscyplinowany i schludny. Ukłękł więc i zebrał śmieci, żeby je wyrzucić. Na podłodze za kuchenką zauważył coś, co wyglądało jak kilkanaście listów pokrytych kurzem i osnutych pajęczynami. Odciągnął trochę dalej od ściany kuchenkę, sięgnął za nią i wygrzebał listy.

Pożółkła, poplamiona i fatalnie pomięta zapomniana korespondencja składała się głównie z ulotek reklamowych i innych rupieci. Quentin wyciągnął z niej rachunek za wodę i spojrzął na znaczek. Serce mu się ścisnęło.

Ta przesyłka została doręczona zaledwie kilka dni po samobójstwie ojca. Ktoś - pewno Joe Araiza albo jeden z przyjaciół papy, który opiekował się tym miejscem przez jakiś czas - musiał rzucić przesyłki na kuchenkę. Spadły na podłogę za nią.

Wstał zły, myśląc, że wolałby nie znaleźć niczego, co znowu ściągało go w dawne czasy. Miał już wyrzucić całą garść papierów do pojemnika na śmieci i nie przeglądać reszty poczty, gdy na podłogę wypadł list. Popatrzył nań z apatyczną odrazą, ale go podniósł. Kiedy jednak przeczytał niewyraźnie nabazgrany adres zwrotny, znieruchomiał i zmarszczył brwi.

Pan Tom Powell, Farma w Niedźwiedziej Kotlinie, Tiberville, Georgia.

Ostrożnie otworzył starą kopertę i wyciągnął z niej dwie kartki z notesu zapisane tym samym pismem. Widać było na nich wyraźne zagięcie po dwudziestu dwu latach, gdy złożone na pół leżały w sekretnym miejscu. Potem wyjął z koperty jeszcze wyblakłą kolorową fotografię. Trzymał to wszystko koniuszkami palców w taki sposób, w jaki archeolodzy mogliby nieść bezcenne egipskie papirusy.

Serwus, Panie Richardzie Riconni. Pan o mnie nic nie wie, prócz tego, co mogła Panu napisać pani Betty Tiber Habersham. To jest moja krewna i ja pomagałem jej z Żelazną Niedźwiedzicą. Teraz zawiadamiam Pana z przykrością, że odeszła - niech odpoczywa w pokoju - a niedźwiedzicę kupiłem ja. Stoi na moim podwórku i jest tam jak najbardziej bezpieczna. Obiecuję Panu, że pozostanie tam na zawsze i będę dobrze o nią dbał. Ja i moja mała córeczka, Ursula. My poznajemy wielką sztukę, jak ją ujrzymy. Posyłamy Panu zdjęcie Pańskiej Żelaznej Niedźwiedzicy w jej nowym domu.

Na fotografii obok mężczyzny w średnim wieku i Żelaznej Niedźwiedzicy stało dziecko i z pewną dozą uroczystej natarczywości uśmiechało się do Quentina, który poczuł się oszołomiony. „Czekam na ciebie - mówił uśmiech tego dziecka. - Bez pomocy trudno jest utrzymać tę niedźwiedzicę”.

Rozdział 10

Czwartego lipca, w dniu tej burzy, byłam sama w Niedźwiedziej Kotlinie. Liza, Arthur i cała reszta pojechali na Święto Niepodległości do starego Tiberville. Obchodzono je co roku nie tylko dla uczczenia święta narodowego, lecz także założenia miasta w roku 1850. Tata i jego lokatorzy zawsze wynajmowali stragan na pokazie sztuki i rzemiosła. Nad straganem, przyczepiony do palików od namiotu, kolorowy transparent zrobiony w domu przez tatę głosił: „Galeria Artystów z Farmy w Niedźwiedziej Kotlinie”.

Zostałam w domu i spędzałam czas, realizując plan, który spotkał się z niechęcią u Oswalda, a który Liza skwitowała pełnym bólu spojrzeniem. Ogradzałam tylne podwórko.

- Stawiam płot z powodu psa. Zamierzam mieć psa - mówiłam wszystkim. Chciałam po prostu utrzymywać ich na odległość, i oni się tego domyślali.

Kopałam dziury, wsadzałam w nie słupki, ubijałam ziemię, odmierzałam odległość, kopałam następne dziury i byłam zadowolona ze zmęczenia, bo trzymało w szachu niepokój tak dogłębny, że nawet śpiew drozda napawał mnie uczuciem zagubienia. Od tygodni usiłowałam oczyścić, ponaprawiać i zorganizować znów jako tako dom, ale lista stojących przede mną zadań wciąż rosła.

Nie obchodziło mnie, jak wyglądam w wypłowiałej bawełnianej spódnicy i starym białym podkoszulku. Na bosaka, z włosami ściągniętymi w długi koński ogon, przyniosłam deski i zaczęłam przybijać je do słupków. Została mi jeszcze połowa słupków do postawienia, ale znudziło mnie kopanie dziur. Na koniec przyczepię siatkę.

Czarne chmury przewaliły się przez góry i spiętrzyły na niebie za stodołą. Zaczynało grzmieć. Przeszły mnie ciarki i pomyślałam, że wyczuwam jakąś dziwną zmianę w powietrzu, choć nauczyłam się wystrzegać fałszywych złych znaków, jakie zawsze przynoszą ze sobą burze w górach. W każdym zbiorze opowieści appalaskich były historyjki o burzach i nie bez powodu. Wyczarowywały magię i duchy.

Tego dnia burza wydawała się gwałtowniejsza, bardziej uporczywa od innych, działała na zmysły. Powietrze zrobiło się rześkie od ozonu, namaszczało i chłodziło mi skórę jak zimne masło. Czulałam się niepewna i nerwowa, gdy wbijałam młotkiem długie ocynkowane gwoździe w miękkie sosnowy płot. Na niebie zaczęły migotać żółte błyskawice. Uderzenie pioruna przyprawiło mnie o dreszcz.

Tłusta szara wiewiórka skakała po podwórku. Nazywała się Lassie. Stara wiewiórka była jedną z ulubienic Arthura, ostatnią z wielu sierot, które znalazł w lesie, a potem oswoił i wychował.

W stodole na górcie Lassie miała dwójkę młodych z ostatniego miotu. Dałam jej kilka pestek słonecznika, wygrzebanych z kieszeni spódnicy. Skończyła jeść, po czym pobiegła na koniec podwórka do dębów, które w tym przygasającym świetle pociemniały i zrobiły się

szmaragdowozielone. Tam się zatrzymała, oceniła odległość między sobą a stodołą i pognąła ku swojemu przeznaczeniu, powiewając puszystym szarym ogonem. Tysiące razy widziałam, jak ulubione wiewiórki Arthura przebiegały tę przestrzeń bez drzew, i spokojnie liczyłam, ile sekund zabierze im dobiegnięcie od dębów do stodoły. Rekord wynosił dziesięć sekund. Biegając z wiatrem, Lassie miała szansę, żeby go pobić.

Coś ciemnego spadło, pikując z szarego nieba. Zobaczyłam jastrzębia o ułamek sekundy wcześniej, nim Lassie poczuła szpony rozrywające jej grzbiet. Potem była już tylko czymś małym, bezwładnym, dyndającym w powietrzu i unoszonym ku niebu.

„Och nie, nie, nie, tylko nie to”.

Wybiegłam poza dęby osłaniające podwórko, machałam rękami i krzyczałam, ale jastrząb tylko tym szybciej zniknął nad lasem na przeciwległym końcu pastwiska. Zatrzymałam się wstrząśnięta, wokół mnie migały błyskawice. To nie do wiary - nie może, prócz tych wszystkich nieszczęść, wydarzyć się jeszcze coś takiego. Jastrzębie nie polują przecież podczas burzy. Mały horror towarzyszy większemu, małe nieszczęścia krążą wszędzie wokół.

Pobiegłam do stodoły, gdy wiatr przycichł w sposób złowieszczy, co powinnam była zauważyć. Tak jak powinnam była zauważyć, że chmury zaczynają się skręcać, a światło robi się szarofioletowe, jakby przefiltrowane przez siniak. Musiałam zabrać młode wiewióreczki do domu. Arthur zaopiekuje się nimi i nie będzie winić jastrzębia za śmierć Lassie. Jastrząb też musi żyć. Pewno ma do wyżywienia własne potomstwo. Matki muszą zabijać ze względu na własne dzieci.

Nie, on będzie obwiniać mnie.

„Biedna wiewiórcza mamo, tak mi przykro. Tak przykro. Zaopiekuje się twoimi dziećmi. Tyle mogę zrobić”. Kręciło mi się w głowie, gdy weszłam do stodoły i po starej drewnianej drabinie wspinałam się na górkę pod dachem na wysokość mniej więcej dziewięciu metrów. Na deskach przez dziesięciolecia utworzyła się jakby gruba mata z pyłu. Znalazłam młode wiewióreczki zaszyte głęboko w przytulnym gniazdku z siana, gałązek i liści, które Lassie powtykała w druciany koszyk na jajka, zawieszony na krokwi. Młode miały już futerka i wyglądały jak miniatutki matki.

- Wszystko będzie dobrze, pójdziecie ze mną, okej, maluchy - zagadałam do nich cichym głosem.

Patrzyły na mnie sparaliżowane strachem.

Nagle zawył wiatr, a przysadzista stara stodoła zatrzęsała się w posadach. Spojrzałam w górę strapiona. Zamknęłam drucianą klapę koszyka i odwróciłam się, żeby jak najprędzej zejść na dół po drabinie.

W tym momencie tornado liznęło swoim cienkim wygiętym jęzorem ziemię mniej więcej w odległości stu pięćdziesięciu metrów stąd i uderzyło w parę potężnych topoli. Wysokie drzewa wyrwane z korzeniami runęły, uderzając niczym olbrzymie kije bejsbolowe

z boku w dach stodoły. Bierwiona jęknęły głucho i puściły, zaskrzypiały gwoździe wyciągane z twardych orzechowych belek, a kawałki blaszanego dachu rozdarły się jak papier. Krzyknęłam i padłam na kolana, pochylając się nad wiewiórkami i wyrzucając w górę ręce, by osłonić głowę.

Zrobiłam to o sekundę za późno. Palnęła mnie w ucho rozłupana deska. Nie zemdlalam, ale ujrzałam tysiące gwiazd i leżałam chwilę bez ruchu. Kiedy poczułam się na tyle lepiej, by usiąść, tornado już się oddaliło i na świecie zapanowała cisza, podkreślana jedynie łagodnymi powiewami wiatru i szumem deszczu. Wpakowałam palce w cienki strumyk krwi płynący po prawej stronie mojej twarzy, potem dotknęłam twardego, mokrego guza pod włosami. Ból przeszył mi całą czaszkę. Sprawdziłam, co się dzieje z małymi wiewiórkami. Zaszyły się głębiej w swoim gniazdku i nic im nie groziło. Tego im zazdrościłam.

Popatrzyłam w górę na niebo przez powyrywane belki, płachty zerwanej blachy i zielony liściasty wierzchołek zwalonej topoli. Na głowę spadło mi parę kropli deszczu, a zabolalo tak, jakby były to nie krople, tylko ostre kamyki. Doczołgałam się, drżąc, do drugiej ściany i wyjrzałam przez ziejącą w niej dziurę. Jakies trzy i pół metra pode mną na przybudówce leżała druga topola. Pod dachem przybudówki zmiażdżonej przez olbrzymią topolę postawiłam samochód.

Mój samochód.

Znalazłam jakiś mocny sznurek, przepasałam się nim i przywiązałam koszyk z wiewiórkami do tego prowizorycznego paska. Gdy schodziłam po chybotałej drabinie, załamały się pode mną ostatnie szczeble. Upadłam na wznak. Wiewiórki, bezpieczne w koszyku przyczepionym do mojego brzucha, cicho popiskiwały. Odwiązałam koszyk i postawiłam go obok.

Wszystko mnie bolało. Kręciło mi się w głowie i spływałam potem. Zaczęłam się śmiać z niewesołych szaleństw życia i nagle wybuchnęłam szlochom tak gwałtownym, że aż mnie to zadziwiło. Płakałam z powodu siebie, mojego samochodu, Arthura, taty, biednej Lassie i jej osieroconych dzieci, wszystkich stworzeń i wszystkich moich przodków, którzy tkwili w tym cyklu życia i śmierci w Niedźwiedziej Kotlinie. Kiedy się wreszcie uspokoiłam, zamknęłam oczy. Leżałam oszołomiona i zrezygnowana.

Nagle dotknął mojej twarzy zimny psi nos i ciepły język. Otworzyłam oczy. Pies, duży, brzydki, mokry, kudłaty, o złotej sierści, zupełnie mi nieznany, stał nade mną, machając ogonem, i przystąpił do zlizywania krwi z mojego prawego policzka.

Odsuwałam się do tyłu, a bolał mnie każdy mięsień. Wyczerpana, oparłam się o chropawe deski drzwiczek sąsiada. Pies, uszczęśliwiony, podązał za mną, machając ogonem.

- Albo się zabłąkałeś, albo ktoś wyrzucił cię na mojej drodze - powiedziałam ponuro. Mój nowy przyjaciel zauważył koszyk na jajka i skamlać, zaczął go obwąchiwać.

Niewidoczne wiewiórki piszczały przerażone.

Za szeroko otwartymi wierzajami zaczął lać strumieniami deszcz. Bębnił w resztki dachu, zagłuszając inne dźwięki. Pies obojętnie lizał moje zakrwawione włosy.

„W tym wszystkim jest jakiś sens” - orzekłam w duchu. Udawałam, że stawiam płot z powodu psa, a zatem niebiosy mi go zesłały.

- W porządku, możesz tu zostać - powiedziałam i znowu zamknęłam oczy.

Kilka sekund później rozległy się dwa dźwięki - ciężkie kroki na twardym glinianym klepisku, a potem stukot mojej głowy uderzającej w deski sąsiedka, gdy szarpnęłam się do tyłu, uciekając przed męską ręką, która dotknęła mojej twarzy. Kiedy otworzyłam oczy, zobaczyłam ciemnowłosego nieznajomego. Przykucnął przy mnie, utrzymując równowagę na jednej stopie w wielkim turystycznym bucie obok mojego lewego uda. Drugą stopę postawił między moimi kolanami. Stykaliśmy się niemal nosami, a ja z trudem wciągałam powietrze.

Pachniał deszczem i dymem dobrych cygar. Nie był ani stary, ani młody, czułam się jednak przy nim niewiarygodnie niewinna. To z powodu jego twarzy - o twardych rysach, przystojnej i poważnej - i oczu stalowoszarych i bardzo cynicznych. Ubrany był w wymięty mundur koloru khaki i zwykłą roboczą koszulę. Wydawał się bardzo wysoki nawet wtedy, gdy przysiadł na piętach.

- Czym mogę panu służyć? - spytałam idiotycznie.

Nie odpowiedział. Nie spuszczał wzroku z krokwi ponad nami, chwycił mnie za nadgarstek.

- Niech pani zabiera swój koszyk - rozkazał przyciszonym głosem, jakby stodoła słuchała. Potem pociągnął mnie do przodu, dźwignął na prawe ramię i wzięwszy na barana, niepewnie stanął na nogach.

Gwiazdy tańczyły mi przed oczami, gdy wynosił mnie ze stodoły i jakieś piętnaście metrów dalej, opuściwszy na ziemię, trzymał ciasno w objęciach. Jak tylko poczułam pod sobą solidny grunt, wparłam się weń stopami i zeszywniałam, mrugając w deszczu. Naburmuszyłam się, że traktuje mnie tak protekcyjnie. Jego pies kulił się obok nas, beznadziejnie ociekając wodą. Nieznajomy lustrował mnie tak badawczym spojrzeniem, jakiego nie widziałam w życiu.

- Proszę przestać krwawić - rozkazał.

- Trzeba było tornada, żeby zwało kawałek stodoły - powiedziałam, usiłując odsunąć się od niego. - Stodoła stoi tu równie dawno jak ta farma i zbudowano ją z mocnego orzechowego drewna. Na pewno możemy... - Miałam dokończyć zdanie: „...stać tam, a nie na deszczu”, ale w tym momencie zawalił się następny kawał dachu. Grube bale, deski i zerwana blacha runęły tam, gdzie jeszcze przed minutą siedziałam.

Kolana załamały się pode mną. Nieznajomy chwycił mnie i razem upadliśmy na ziemię. Trzymał mnie w ramionach, gdy patrzyliśmy na zawalone przejście przy sąsiedku.

Zimny pot i krew mieszały mi się z deszczem na twarzy.

- *Memento mori* - mruknąłam.

- Co pani powiedziała? - zapytał.

- *Memento mori*. To po łacinie. Znaczy to...

- Pamiętaj, że jesteś śmiertelny - podpowiedział.

Patrzyliśmy na siebie w ciszy i z pełną oszołomienia wdzięcznością. Krople deszczu zawisły jemu i mnie na rzęsach, utrudniając widzenie i jakby nas łącząc. Tak, wiedzieliśmy, że jesteśmy śmiertelni, ale też że jesteśmy bardzo żywi, i to do tego razem.

I wtedy właśnie tam nasza przeszłość, teraźniejszość i przyszłość dokonały gwałtownego zwrotu, wkraczając na nową drogę.

Quentin nie miał zamiaru szukać dorosłej kobiety, która była dzieckiem na tej fotografii, ani też kogokolwiek ratować. Ona zaś nie miała zamiaru dać się ratować. Przedstawił się i zdziwił, gdy nazwisko Ricconi sprawiło, że spojrzała na niego ze zdumieniem w niebieskich oczach.

Niebo się wypogodziło, a deszcz zamienił w ciepłą białą mgiełkę, która unosiła się z ziemi i z eteryczną gracją przenikała przez plamę promieni słonecznych na pastwisku. Szli pośród czarodziejskich kręgów koniczyny przy akompaniamencie niskiego gołębiego gruchania. Ta kraina witała go wszystkimi swoimi tajemnicami i urokami. Czuł się lekko pijany, w jakimś sensie zaskoczony, podekscytowany przez nią i przez Ursulę Powell.

- Pańskie nazwisko to tutaj legenda - oznajmiła.

„Ocaliłem jej życie, jest mi więc po prostu wdzięczna” - powiedział sobie w duchu, i oboje starali się zachowywać tak, jakby nic się nie wydarzyło.

Doszli do Żelaznej Niedźwiedzicy i Quentin przez dłuższą chwilę stał i patrzył na rzeźbę. Potem ją obszedł, badając, dotykając, pociągając za ten czy inny fragment, jakby interesowało go jedynie wypróbowanie jej spoin i konstrukcji. Ursula pozostała z tyłu - siedziała na trawie w odległości około dziesięciu metrów.

Zanim skręcił w tunel lasu i kwiatów prowadzący do Niedźwiedziej Kotliny, spędził czternaście godzin na autostradzie międzystanowej, jadąc na południe wzdłuż wschodniego wybrzeża. Chciał mieć czas na zbadanie terenu, wczucie się w krainę i jej mieszkańców. Chciał wiedzieć, jakiego rodzaju ludzie pokochali i postawili na swoim polu abstrakcyjną rzeźbę jego ojca.

Jego pies, wychowany w mieście, podobnie jak on zaciekawiony, siedział na betonowym postumencie Żelaznej Niedźwiedzicy i nie spuszczał z oka niewielkiego stadka kóz i gromadki kur, spacerujących po podwórku otoczonym wysokim płotem. Kozy również mu się przyglądały. Kury nie. One rzadko były ciekawe i nic ich nie poruszało.

Quentin popatrzył w górę na masywny pysk niedźwiedzicy, na puste, przezroczyście oczy, spoglądające w dół na niego. Pamiętał, jakie wrażenie na nim robiła ta rzeźba, gdy był

chłopcem - przynajmniej tak mu się wydawało. „Byłem wtedy młody, może właśnie teraz to pojmę”. Przebłysk wspomnienia pojawił się w jego umyśle, wspomnienia żywego i przejmującego.

I oto patrzył znowu w górę, tak wysoko w górę, na tę zdumiewającą, na wpół ukształtowaną rzecz, która wynurzała się z mroku garażu Gootsa. Ujrzał wesoły uśmiech goszczący na twarzy papy, gdy nad nią pracował, jego usmoloną i spoconą twarz, jego duże ręce rozłożone w geście radości.

- Równowaga! - krzyknął papa. - Chodzi o to, żeby znaleźć równowagę! I ta jest doskonała! - Równowaga. Przez ten krótki czas był w całkowitej zgodzie ze sobą i swoim synem, swoją żoną, swoim życiem i ich miłością. Quentin nie spuszczał wzroku z rzeźby. Pragnął zapamiętać ojca w taki właśnie sposób. Pragnął podarować matce tę rzeźbę.

Odwrócił się i napotkawszy badawczy wzrok Ursuli, szybko ukrył swoje uczucia, przywdziewając na twarz nic niemówiącą maskę. Ciekaw był, jacy właściwie są mieszkańcy górskiej głuszy, a może najemni robotnicy rolni, i czy tę kobietę też można by zakwalifikować do takiej kategorii. Poznał kulturę Południa tylko za pośrednictwem Popeye oraz z książek i filmów. Kiedy patrzył na Ursulę, a potem na farmę ocienioną niebieskawozielonymi górami, w jego piersiach wzbierało uczucie dziwnego podniecenia. Ciekawe, czy ona podejrzewa, że łatwo byłoby mu popatrzeć na nią tak, jak ona spoglądała na niego.

Podszedł do Ursuli. Wyprostowała się, co zauważył. Wyjął z kieszeni spodni zdjęcie i podał jej. Kiedy wzięła do ręki tę starą fotografię, wstrzymała oddech. Stali na niej przed niedźwiedzicą we dwoje, ona i ojciec - wiele lat temu - tacy szczęśliwi.

Teraz patrzyła na samą siebie z czasów, gdy była mała i niewinna, a potem z wyraźnie sprzecznymi emocjami spojrzała na tego zdumiewającego mężczyznę, który przywołał jej własne wspomnienia.

- Nadal pani twierdzi, że nie chce jechać do doktora? - zapytał obcesowo.

- Taak. Czuję się dobrze.

- Nie ma pani nic przeciwko temu, bym zerknął na tę ranę?

- Proszę bardzo. Jeśli nie ujrzy pan słońca, to nie jest tak źle.

Wydał cichy dźwięk, który mógł być śmiechem, po czym przykucnął przy niej i rozgarnął włosy.

- Krwawienie ustało. Słońca nie widać. - Odsuwając rękę, musnął z boku jej szyję. Skuliła się, wciągając powietrze, niczym przeciągająca się kotka. Wstała i odsunęła się od niego, najdelikatniej jak mogła, by go nie urazić.

- Dziękuję. Przeżyję.

On przygotowywał się w tej chwili, że powie, czego od niej chce. A przynajmniej co będzie mógł, jak liczył, kupić. Musi odwieźć do domu tę rzeźbę.

Siedzieliśmy naprzeciwko siebie przy kuchennym stole w ostatnich złoto-fioletowych blaskach zachodu słońca wpadających przez okno i drzwi ganku. Zmierzch tonował ubogość tej kuchni, nadawał blask powyginanej aluminiowej folii na sosnowych półkach. Na łuszczącym się parapecie stawały się też mniej widoczne rdzawe krążki po puszkach z kawą, które tata malował, a potem używał ich jako doniczek do kwiatów. Ścisnęłam w rękach jeden z dziwacznych kubków Ledbetterów, pełen wina. Quentin miał trochę szkockiej whisky w małej różowej szklaneczce, którą Liza zrobiła dla taty.

Wtedy Quentin skończył wyjaśniać, że chce kupić Żelazną Niedźwiedzicę i zawieźć ją z powrotem do Nowego Jorku. Zaproponował, że zapłaci mi za nią rynkową cenę.

- To będzie od miliona do dwóch milionów dolarów - poinformował.

Wstałam, wparłam gołe pięty w wyblakłe linoleum, utrzymując mimo wszystko równowagę.

- Potrzebuję dla siebie kilku minut. Niech się pan czuje jak u siebie w domu. Kiedy wrócę, może będę wiedziała, co powiedzieć.

Stał z ponurą miną. Najwyraźniej liczył na prostą reakcję - szok, radość i szybką zgodę. Otrzymałby taką odpowiedź od większości ludzi, a zwłaszcza większości kobiet w nędznej kuchni na farmie. Ja zaś wyglądałam tak, jakby mnie uderzył.

- Dobrze się pani czuje?

- Dobrze. - Zmusiłam się do słabego uśmiechu i wyszłam.

„Ona jest jakaś inna” - pomyślał. Stał na tylnym ganku, patrzył na góry w blasku księżyca. Zapalił niedopalone cygaro i pociągnął parę razy, rozmyślając nad dzikim pięknem tego miejsca, nad oszałamiającym wrażeniem, jakie robił dom, w którym na skutek przedziwnego zbiegu okoliczności znalazło sobie miejsce dzieło jego ojca. A jakiego rodzaju kobietą jest ta Ursula Powell? Ornamentem architektonicznym, jakiego dotąd nigdy nie zbierał?

Nie dawał się wciągnąć w życie innych ludzi, i o ile to od niego będzie zależało, nie wtargnie również w jej życie. Marszcząc brwi z powodu nieoczekiwanego zwrotu w tej zwyczajnej przecież wyprawie, wszedł znów do kuchni, odkręcił kurek nad zlewem i zgasił cygaro pod kranem. Spod drewnianej szafki doleciało ciurkanie wody. Kiedy otworzył drzwiczki, zobaczył, że z rury odtokowej do pocynkowanego wiadra cieknie strumyk wody.

Przez całą minutę zastanawiał się nad ciekącą rurą, jakby samo zainteresowanie nią mogło go natchnąć tęsknotą do położonej wysoko w górach południowej krainy i bosych rudowłosych kobiet, które nie mówiły ochoczo „tak”. Wylał na podwórko wodę z wiadra, odstawił je na miejsce i zamknął szafkę. „Nie jestem tu po to, żeby ulepszać jej życie - powiedział sobie w duchu. - Może zrobić to sama lub opłacić fachowca za pomocą pieniędzy, które otrzyma za rzeźbę”.

Poszłam ciemną, wąską sienią, gdzie pachniało sosną i bawełnianymi dywanikami, do

jedynej w domu łazienki, pomieszczenia ciasnego i skromnego, naprzeciwko otwartych drzwi do składziku, w którym na półkach stało pełno starych lamp naftowych i pudeł z zawekowanymi warzywami. Wzięłam z zakurzonego pudła woskową świecę, zapaliłam ją zapalką przechowywaną w blaszance po pięćdziesięcioletniej sódzie do pieczenia i niczym akolita udający się do kaplicy zaniósłam ją do ciemnej łazienki bez okien. Światła w łazience nie zapalano od miesiąca. Instalacja zaczęła iskrzyć, a ja nie miałam czasu szukać poradnika napraw domowych, żeby dowiedzieć się, jak się to naprawia. Zresztą pragnęłam uspokajającej ciemności.

Zamknęłam drzwi na zwykły metalowy haczyk, potem usiadłam w ciemnościach na brzegu wanny i wpatrywałam się w żółty płomyk świeczki na drugim końcu. Od miliona do dwóch milionów.

„Mamo, tato! Nie straciłam wiary. Ja tylko ujrzałam zimną, twardą prawdę. W gotówce”.

Nie mogłam usłyszeć głosów moich rodziców, nie mogłam odczuć ich ducha we mnie, a życzyłam sobie, by dali mi jakiś znak - mama przecież przysięgała, że widzi krzyże w chmurach i na oknach z taflowego szkła. Pragnęłam jakiegoś objawienia, które pozostawiłoby mnie z pianą u ust w ataku bezgrzesznej ekstazy. Bolała mnie głowa.

A jednak nie wątpiłam, że jest tylko jedna honorowa droga, żeby uczcić moją matkę, zaopiekować się Arthurem i pogodzić z tym wszystkim, co mój ojciec poświęcił dla swoich, a teraz również moich przekonań. Wstałam, drżąca, i zdmuchnęłam świecę.

Kiedy wróciłam do kuchni, za oknami panowała już ciemność, paliła się lampa na suficie i Quentin Ricconi oglądał kable oświetlenia nad zlewem. Usiadłam przy stole ze spuszczoną głową, upokorzona i trochę zła.

- Tak, instalacja wymaga naprawy - powiedziałam ponuro. - Tak, wszystko tu jest w okropnym stanie. Nie, nie potrzebuję pana pomocy.

Przechylił głowę, potem oparł się o kontuar i skrzyżował nogi.

- Wcale jej nie proponuję. Nie usiłuję też pani przekupić ani okłamać czy oszukać. Po prostu mówię, ile warta jest ta rzeźba i ile zapłacę.

Potrząsnęłam głową.

- To nie takie proste. W sensie jak najbardziej realnym ta rzeźba nie należy do mnie.

- Zakładałem, że odziedziczyła ją pani po ojcu. Pokiwałam głową.

- Ale należy również do mojego brata.

- Ma pani brata?

Wyjaśniłam, jak sprawa wygląda z Arthurem. Spochmurniał jeszcze bardziej.

- Przecież pani jest jego opiekunką. Może pani zrobić to, co jest najkorzystniejsze dla jego przyszłości.

Popatrzyłam na tego mężczyznę, który wyglądał na nieugiętego i najwyraźniej nie

pojmował takich rzeczy jak więzy krwi.

- Mój brat nie powiedział ani jednego słowa do dziesiątego roku życia. Wiedzieliśmy, że jest dzieckiem autystycznym i może w ogóle nie będzie mówił. Ale pewnego dnia przyszedł ze dworu i nieoczekiwanie odezwał się do taty i do mnie: „Mama kazała mi powiedzieć wam, że zostałem ukąszony. I mówiła, żebym nie bawił się więcej z węzami”. Wyciągnął rękę. Na dłoni miał dwie dziurki. Od ukąszenia przez miedziankę.

- A więc przemówił - skonstatował ze spokojem Quentin. - To się zdarza.

- Chodziło nie tylko o to, że przemówił. Musi pan wiedzieć, nasza matka pochodziła z... sekty fundamentalistów. Ich religia jest rygorystyczna, surowa. To są dotykacze węzów. Kiedyś ukąsił ją grzechotnik i byłaby umarła, gdyby nie mój ojciec, który zabrał ją od rodziny. Tego dnia, gdy Arthur przyszedł do domu i powiedział, że ona ostrzegła go przed węzami...

- Słyszał, jak opowiadaliście tę historię.

- Może. Być może. Nie mogliśmy sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek rozmawialiśmy o przeszłości mamy w jego obecności. Kiedy tata niósł Arthura do swojego pikapu, spytał go, gdzie był, gdy do niego mówiła mama. A on pokazał na Żelazną Niedźwiedzicę. „U Mamy Niedźwiedzicy” - odparł. Tata uznał, że to powiedziała rzeźba albo że przez nią przemówiła do niego nasza mama. Od tego czasu w to wierzył.

Zawahałam się, po czym doszłam do wniosku, że i tak przed tym nie mogę uciec, ze spokojem więc opowiedziałam, co się przydarzyło mojemu bratu w Atlancie.

- Skrzywdziłam go, okłamałam, nie opiekowałam się nim należycie. Dlatego teraz jego niedźwiedzica jest osamotniona i pewno zginie, a on nie może mówić. Ta rzeźba to jedyna nadzieja, jaka mi pozostała. Może z jej pomocą znowu się z nim skomunikuję.

- Mam nieprzyjemne uczucie, że próbuje mi pani powiedzieć coś, o czym nie chcę słyszeć.

Wciągnęłam powietrze. Czuję się obolała. Bardzo bolesne było dla mnie rozczarowanie, ale nie mogło być mowy o wykrętach, o pobożnych życzeniach czy chłodnej racjonalności, o rzeczywistej brutalności.

- Nie mogę panu sprzedać Żelaznej Niedźwiedzicy - oznajmiłam cicho. - Za żadne pieniądze.

- Niech mi pani pozwoli porozmawiać ze swoim bratem.

- To nie pomoże. I nie pozwolę. On się boi obcych.

- Potrzebuje pani pieniędzy, które zaproponowałem? - Zadał to pytanie z podziwu godnym brakiem ironii.

Udało mi się roześmiać.

- Szczerze mówiąc, jestem bez grosza i nawet nie wiem, jak za kilka miesięcy zapłacę rachunki. Ale tej sytuacji pieniędzmi nie da się naprawić.

- Nie odnoszę wrażenia, żeby ta rzeźba zbyt wiele dla pani znaczyła... nie wygląda pani na zaangażowaną uczuciowo. Powinno być więc łatwo podjąć decyzję i przekonać pani brata.

- Myli się pan. Nikt nie może być neutralny w stosunku do Żelaznej Niedźwiedzicy. To zawarta w niej świetność... to dlatego wywiera tak silny wpływ na ludzi. Jestem pewna, że dzięki jej prowokacyjności, tej żarliwej żywotności, tego emanującego życia rzeźby pańskiego ojca zyskały w końcu uznanie. Jeśli wszystkie są takie jak Żelazna Niedźwiedzica, to wnikają w człowieka i przemawiają. Nie można ich skłonić do milczenia. - Przerwałam na chwilę. - Czy sprzedałabym ją panu, gdyby Arthur się zgodził? Pewno tak, bo głupia nie jestem. Te pieniądze zmieniłyby przyszłość mojej rodziny. Tyle tylko, że to dyskusyjne. Gdybym złamała serce bratu, nie miałabym rodziny.

Zmarszczył brwi, wytarł ręce papierowym ręcznikiem. Wrzucił zmięty papier z zadziwiającą precyzją do blaszanego kubła na śmieci, pomalowanego przez tatę w jaskrawe niebieskie i pomarańczowe kropki. Trafił bezbłędnie. Mężczyźni tacy jak on potrafią uwieść i uzależnić od siebie kobiety w sposób bezwzględny.

- Ta rzeźba powinna być w muzeum - powiedział. - A nie na pastwisku. To przełomowe dzieło w karierze mojego ojca. Powinno być wystawione tam, gdzie ludzie mogliby je docenić.

- Żyłam z tą rzeźbą przez całe swoje życie. Znam jej moc o wiele lepiej niż pan. Jeśli pan myśli, że tutaj, w moich lasach, nie jest doceniana, to się pan myli.

- Sprzeda mi ją pani, jeśli zaoferuję więcej? - zapytał.

„Więcej niż dwa miliony?”

Zerwałam się drżąc na równe nogi. On mnie torturował.

- Niech pan wraca do Nowego Jorku, panie Ricconi. Nie ma pan o niczym pojęcia. Nawet pan nie słucha.

Patrzył na mnie z zainteresowaniem naukowca - studiował mnie tak, jakbym była ewenementem w przyrodzie. Rozumiałam to uczucie. Obierałam do kości kurczaki, wycinałam mięso i żyły, patrzyłam na ściętna i wyłamane stawy. Po minucie badawczej obserwacji Quentina zrozumiałam, co to znaczy zostać rozłożonym na kawałki.

Odgłos nadjeżdżającego samochodu zburzył ten nastrój. Wyrzłam przez kuchenne okno i zobaczyłam przednie światła starego volkswagena, furgonetki Ledbetterów. Ciągnął małą przyczepę używaną wspólnie przez lokatorów. Ledbetterowie zawozili wszystkich na uroczyste obchody święta, ciągnąc przyczepę załadowaną pudłami i płótnami na stragan. Pojadą tam znów jutro rano na drugi dzień obchodów. Zapaliłam dwa reflektory oświetlające tył podwórka.

- Za chwilę pozna pan Arthura - uprzedziłam.

- Ma pani moje słowo, że nie powiem nic o propozycji kupienia tej rzeźby.

Patrzyłam na niego przez dłuższą chwilę, po czym bardzo spokojnie ostrzegłam:

- Lepiej niech pan dotrzyma słowa.

Kilka sekund później z ciemności wybiegł susami Arthur, a za nim pędziła Liza. Hammer podniósł się z miejsca, gdzie podrzemywał, i zaczął na nich szczekać. Po czym nagle przestał, jakby rozpoznał w Arthurze przyjaznego psa.

- Powiedziałam Arthurowi w drodze powrotnej o Lassie - oznajmiła zadyszana Liza, gdy dobiegła do tylnych drzwi. Telefonowała i powiedziała mi, że godzinę temu się zapakowali, a ja przekazałam jej wieści o stodole i wiewiórkach. - Arthur, Arthur, uspokój się! - zawołała, a suta niebieska chłopska spódnica trzepotała wokół niej jak ogon drozda modraka. Arthur miał rozwiane włosy i piękną bladą twarz ściągniętą rozpaczą. Poklepywał dżinsy i koszulę, jakby przygotowując się do ataku, gdy wskoczy na ganek. Z trzaskiem otworzył tylne drzwi, wpadł do kuchni i zmierzył mnie tragicznym i wściekłym wzrokiem.

Gestem ręki wskazałam mu szafkę. Podskoczył ku niej. Kiedy otworzył drzwiczki, wiewióreczki siedziały na drucianym koszyku. Pisnęły przerażone i w popłochu zanurkowały do swojego przenośnego gniazda. Arthur wziął w ramiona koszyk i ruszył w stronę drzwi na ganek. Zagroziłam mu drogę. Oswald, Juanita i Ledbetterowie stali w ciemnościach na ganku i obserwowali, jak sobie poradzę z tą sytuacją i z Arthurem.

- Arthurze, posłuchasz mnie przez chwilę? - Wyciągnęłam do niego obie ręce. - Nie mogłam nic zrobić, żeby powstrzymać jastrzębia. Próbowałam. Stało się to tak szybko. Naprawdę próbowałam. Przysięgam ci.

Przepchnął się obok mnie i Lizy, przebiegł przez ganek i zeskoczył na podwórko. Pognałam za nim, chwyciłam go za ramię.

- Arthurze, tak dalej być nie może. Musisz mówić i musisz mnie wysłuchać. Chciałam, żeby Lassie żyła, i chcę, żebyś ty żył. Jesteś moim bratem. Ja cię kocham.

Obrócił się i pchnął mnie. Ten akt przemocy był niepodobny do niego - wiedziałam, że chodzi o impuls, nie o zły zamiar. Upadłam na wznak i ostry ból w kruchej czaszce zaparł mi dech. Zdawałam sobie mętnie sprawę z tego, że pochyla się nade mną Liza, a potem Quentin. Ukłękł i przyłożył mi dłoń do czoła. Jego obecność sprowokowała mnie i spowodowała, że usiadłam, zanim zdołał mi pomóc.

Po drugiej stronie kucnął Arthur, cicho płakał i uderzał w moje kolano grzbietem dłoni.

- Czym jesteś, kochanie? - spytałam z przytłumioną godnością, opierając oba łokcie na ziemi i usiłując nie zwracać uwagi na ogarniającą mnie falę mdłości, płynącą od żołądka. - Jakim teraz jesteś zwierzątkiem? Powiedz mi, proszę.

Robił w powietrzu takie ruchy, jakby chwycił coś pazurami, potem sięgnął do gardła, następnie uderzał rękami w swoje czoło i na koniec chwycił moją dłoń i kołyszając się, przycisnął ją do policzka.

- Nic mi się nie stało, Arthurze. Nie umrę. Czuję się dobrze. Nie płacz, kochanie. Proszę, odezwij się do mnie. Wiem, że możesz to zrobić. Nie potrzebujesz pozwolenia

niedźwiedzicy. Mamy wciąż siebie. Powiedz mi, proszę, jakim jesteś zwierzątkiem. Chcę zrozumieć.

Płakał i wciąż się kołysał. Nieoczekiwanie rozległ się głęboki głos.

- Arthurze! Arthurze! Spójrz na mnie, przyjacielu. - Po sekundzie rozjaśniło mi się w głowie i uświadomiłam sobie, że to Quentin przemawia do mojego brata. Arthur przestał płakać i wpatrywał się w niego. Quentin wyciągnął do niego rękę i powiedział: - Jesteś mężczyzną. A mężczyzna mówi swojej siostrze: „Przepraszam, że cię przewróciłem”.

Mój brat wycofywał się w ciemność jak krab, tuląc do brzucha drucziany koszyk. Nadal wpatrywał się z otwartymi ustami w Quentina.

- Nie bój się - wtrąciłam szybko. - Arthurze, to jest nowy... przyjaciel. Nie zrobi ci krzywdy. - Do Quentina zaś rzekłam: - Niech pan nie narzuca mu jakiegoś dżentelmeńskiego *machismo*. On nie wie, o czym pan mówi.

- Owszem, wie. - Quentin czekał nadal z wyciągniętą ręką. Nie groził, na jego twarzy nie było nic prócz spokoju i stoickiej cierpliwości. - Arthurze, nazywam się Quentin Ricconi - oznajmił. - I jestem bratem Żelaznej Niedźwiedzicy.

Zapadła cisza. Popatrzyłam ostrzegawczo na Quentina.

Liza obok mnie wydała niezbyt głośny okrzyk przerażenia. Arthura zatkało.

- Jestem bratem Żelaznej Niedźwiedzicy - powtórzył Quentin. - I mówię ci, że Mama Niedźwiedzica chciałaby, żebyś był mężczyzną i przeprosił swoją siostrę za to, że ją przewróciłeś.

- Proszę przestać - rozkazałam. - Arthurze, wszystko w porządku...

- Brat Niedźwiedź...? - szepnął Arthur. Potem odstawił koszyk i na czworakach, jak mały niedźwiadek, ruszył w stronę Quentina. Posyłał mu naglące, smutne spojrzenia i drżąc, usiłował się wspiąć. Quentin nadal klęczał na jednym kolanie, jakby pokornie czekając na to, że zostanie pasowany na rycerza. Arthur dotknął jego ręki i nabrawszy śmiałości, chwycił ją, a następnie obejrzał palce, dłoń i knykcie, szukając metalowych pazurów i ścięgien z drutu. Najwyraźniej je znalazł.

Trzęsąc się z podniecenia, puścił rękę Quentina i podpełzł do mnie.

- Czy zapraszałaś go, żeby nas odwiedził?

- Nie, nie mogłam... Arthurze, nie chcę, żebyś wierzył...

- Tak, zaprosiła - odezwała się czym prędzej Liza, patrząc na mnie swoimi błękitnymi oczami i nakazując mi milczenie. - Arthurze, twoja siostra wiedziała, że chciałeś poznać Brata Niedźwiedzica, i specjalnie go tu sprowadziła w odwiedziny do ciebie. Bo ona cię kocha i wie, że potrzebujesz brata, by pomógł tobie i Mamie Niedźwiedzicy. Żebyście znowu czuli się szczęśliwi.

Arthurowi oczy się rozpromieniły. Dotknął mojej twarzy koniuszkiem palca drżącego jak liść. Patrzyłam na niego oczami pełnymi łez i zdumienia. Potem odsunął się, chwycił

koszyk, podniósł się i spojrzął na Quentina.

- Do jutra! - powiedział głośno i odbiegł w noc. Na podwórku zapanowała ogólna cisza. Wszyscy lokatorzy patrzyli na Quentina. Ja też.

- Mój Boże! - wycedził wreszcie Quentin. - Arthur mówi! On kupił te bajdy.

Liza podniosła się, ukazując nogi w niebieskich sandałkach, i spiorunowała go wzrokiem.

- Wydarzyło się tu przed chwilą coś niezwykłego i nie będziemy traktować tego lekko. Działają moce, których nie wolno lekceważyć. - Oswald zaburczał coś pod nosem, ale nic nie powiedział. Ledbetterowie zgodnie kiwali głowami. Juanita się przeżegnała.

Quentin podał mi rękę, a ja bezmyślnie znowu przyjąłem jego pomoc. Kiedy jednak stanęłam już na nogi, odsunęłam się od niego. Musiałam mu się przyjrzeć z bezpiecznej odległości. Musiałam zrozumieć tego człowieka, który poddawał analizie i ludzi, i przedmioty i tak bezlitośnie wyczuwał ich słabe punkty.

- Stał się pan teraz częścią naszego życia - powiedziałam. - Nie jestem pewna, czy chcę, żeby pan znów tu się pojawił. Ale nie mam wielkiego wyboru. Mój brat będzie na pana oczekiwał.

Quentin przywołał swojego psa. Lokatorzy patrzyli na niego tak, jakby popołudniowa burza wyczarowała ducha Appalachów mówiącego z brooklyńskim jankeskim akcentem. „W co ja wdepnąłem?” - pytał sam siebie Quentin. Nie miał zamiaru żerować na dziecinnej wierze Arthura i martwiło go, że tak natychmiast i tak ufnie chłopak zaczął na nim polegać. Nie miał też zamiaru troszczyć się o Ursulę. Musiał jednak odzyskać tę rzeźbę.

- Zobaczymy się jutro, Sostro Niedźwiedzico - powiedział. A potem odjechał.

Rozdział 11

Większą część tej nocy spędziłam przy laptopie, szukając w Internecie na stronach poświęconych ludziom ze świata sztuki danych o ojcu Quentina oraz tej nowej informacji, która doprowadziła Quentina do mnie i do Żelaznej Niedźwiedzicy. Znalazłam potwierdzenie wszystkich podstawowych faktów wspomnianych przez Quentina i przeczytałam szczegółową relację ze styczniowej aukcji, która przyprawiła mnie o zawrót głowy.

Próbowałam spać, ale tylko leżałam w łóżku, rzucając się pod starą kordonkową narzutą i wpatrując się w sufit zrobiony z listewek. Arthur przemówił. Mój brat próbował stanąć wreszcie na nogi, nie mogłam jednak pozwolić, żeby dał się wciągnąć w jakieś fantazje na temat Quentina Ricconiego. Quentin Ricconi był nieznanym i tylko przejazdem przebywał tutaj. Szkoda, jaką wyrządziłoby to ufnej naturze Arthura, mogłaby być nie do naprawienia.

„Niemniej ten człowiek uratował ci życie” - nękał mnie dylemat. Wstałam kilka godzin później, połknęłam aspirynę i wypiliśmy czarną kawę, zagryzając ją grudkami gęstego leśnego miodu. Wciąż ubrana w dzinsy i podkoszulek z wczorajszego wieczoru, z niewyszczotkowanymi włosami sterczącymi wokół twarzy, pojechałam tego ranka do Tiber-ville pomalowanym na kolorowo pikapem taty. Zamierzałam odszukać Quentina w miejscowym motelu i przedstawić ponownie swoje stanowisko. Musiałam mu powiedzieć, możliwie jak najogólniej, żeby wrócił tam, skąd przyjechał. Żeby zostawił mnie i Arthura w spokoju. Żeby pozwolił nam zapomnieć o nim, co i tak stało się już wystarczająco trudne.

Po drodze zatrzymałam się przy sklepie „Quik Boy” i nalałam sobie filiżankę kawy. Chciałam być hiperczujna podczas spotkania oko w oko z Quentinem, który już oczarował mojego brata i zyskał sobie jego przyjaźń. Ekspedientka z rannej zmiany, Rita, była moją koleżanką ze szkolnej ławy. Patrzyła na mnie jakoś dziwnie. Plotka widocznie już się rozeszła.

- Nie wiesz, że twój jankes jest w więzieniu? - spytała.

Zostawiłam kawę na kontuarze.

Wstał wcześniej rano i w promiennym wiosennym słońcu wyruszył na przechadzkę, badając nowy teren jak żołnierz. Hammer chrapał na jednym z dwóch łóżek w jego pokoju w motelu. Wędrując dwupasmową ulicą w kierunku placu, Quentin pomyślał: „Przyjemne miasto. Dobrze rozplanowane”. Zapamiętał dzielnice z przełomu stulecia, pełne wdzięku wieże kościelne, kampus college'u rozciągający się na falistej zielonej murawie i złocistą kopułę budynku sądowego, wyzierającą znad wierzchołków drzew.

Rozmyślał o Arthurze i bosonogiej rudej dziewczynie, która cytowała łacińskie maksymy i odrzuciła ze względów zasadniczych zaproponowane jej pieniądze. Przypominała mu metalowe puzzle z dzieciństwa, to, o czym nie myślał od wielu lat. I złapał się na tym, że

się zastanawia: „A co gdybym był wolny i mógł ją mieć?” Ta myśl go zaskoczyła. „Wolny od czego?” - nie wiedział.

Śpiewały ptaki, kilka samochodów sunęło leniwie ulicami wczesnym rankiem i gdzieś z oddali, gdyby się wsłuchać, dobiegał odgłos piania koguta. Ogarnął go dziwny spokój. Ten cichy świat przypominał mu świat telewizyjnego serialu *Mayberry*, i nie wiedział, czy ma się przyznać, że go oczarował, czy też wycofać się z ostrożną powściągliwością.

W barze na placu zjadł jajecznicę z bekonem i grzanek, potem z rozbawieniem sięgnął łyżką do miski z parującą galaretowatą kaszą kukurydzianą, którą bez ostrzeżenia podała mu kelnerka. Czuł na sobie spojrzenia miejscowych i zaciekawienie gości spoza Tiberville, którzy zjechali tu z Atlanty na obchody święta Czwartego Lipca.

Skąd oni wiedzieli, że nie jest jednym z nich? W końcu się zorientował, że siedzący przy barze miejscowi przyprawiali gorącą kaszę tradycyjnie solą, pieprzem i masłem. On zaś dodał do niej cukier i mleko z zabielaacza do kawy. Mężczyźni w bejsbolówkach i skórzanych bluzach z frędzelkami przyglądali mu się z kpiącymi uśmiezkami.

- Potem weźmie jeszcze trochę ketchupu - zauważył jeden z nich.

- Tak się jada kaszę u nas w Brooklynie - oznajmił Quentin, kierując się do wyjścia. Za plecami usłyszał śmiech. Mężczyźni wyciągali szyje, żeby zobaczyć, dokąd pójdzie.

Obszedł dokoła plac sądowy, teraz zastawiony namiotami i kioskami, mimo że było jeszcze zbyt wcześnie na większą aktywność. Tylko kilku sprzedawców wyrobów artystycznych i rzemieślniczych kręciło się tu i tam, przygotowując swoje skromne płócienne stragany na drugi dzień święta. Zatrzymał go transparent: Galeria Artystów z Farmy w Niedźwiedziej Kotlinie. Na obu końcach widniała nieporadnie, za to wzruszająco namalowana *Żelazna Niedźwiedzica*.

„Szkoda, że tata nie znał Toma Powella” - pomyślał Quentin. Zaniepokojony ogarniającym go smutkiem i żalem, opuścił plac i skręcił w boczną ulicę pełną sklepów. Zauważył tabliczkę z napisem: „Otwarte” na małym antykwariacie Luzanne Tiber na końcu uliczki. Przyciągnął jego wzrok prosty mechanizm siewnika wystawionego na niewielkim trawniku. Podeszedł tam, żeby obejrzeć ten archaiczny sprzęt rolniczy, a potem udał się do sklepu zapytać o cenę.

Starsza siostra pana Johna sama na stałe tu nie pracowała. Prowadzenie sklepu powierzyła swojemu leciwemu kuzynowi, panu Beaumontowi Tiberowi. Miał co najmniej osiemdziesiąt lat, był słabowity i głuchawy. Quentin wszedł do sklepu i zobaczył trzęsącego się starca, skulonego w fotelu za biurkiem. Po chwili chwiejnie wstał. Najwyraźniej widok wysokiego i silnie zbudowanego nieznajomego wpłynął na niego uspokajająco.

- Proszę, niech pan zostanie ze mną, póki nie przyjedzie policja - szepnął do Quentina, rzucając pełne lęku spojrzenia w stronę drzwi prowadzących do tylnego pomieszczenia. - Jest tam dwóch młodzieńców w takim złym nastroju, i nie mogę ich się pozbyć. Zwędzili srebrną

łyżkę z tamtego koszyka i jestem pewien, że zabrali też stamtąd stary kompas. Proszę, niech pan tu chwilę zaczeka. Nie chcę być sam.

- Zaczekam - odparł Quentin i pochylił się nad pobliskim kontuarem ze spokojem człowieka, który nie musi chwalić się swoimi umiejętnościami. Obserwował drzwi do tylnego pomieszczenia. Nie zamierzał robić nic więcej.

Klienci wrócili do głównego pomieszczenia i na widok Quentina niepewnie przystanęli. Muskularni, ostrzyżeni na jeża, w koszulkach z napisem „Nascar”, w nowych dżinsach i drogich sportowych butach, szybko przybrali wojowniczą postawę profesjonalnych zapaśników.

- Nie dam panu za nie dwudziestu dolarów. Nie są tyle warte. Dam panu dziesięć - oznajmił głośno jeden z nich, rzucając panu Beaumontowi na biurko żelazne, ręcznie robione szczypce. Szczypce przewróciły plastikowy kubek z mrożoną herbatą. Pan Beaumont jęknął przerażony i zaczął odsuwać swoje papiery, wyciągając jednocześnie z pudełka papierowe chusteczki.

Ten, który spowodował wypadek, cofnął się, robiąc oburzoną minę.

- Przepraszam - powiedział niezbyt przekonująco.

Quentin podszedł, wziął szczypce, odłożył je na bok i przesunął stos katalogów, spiesząc z pomocą panu Beaumontowi. Staruszek, trzęsąc się jeszcze bardziej, osuszał chusteczkami jasnobrązowy płyn płynący strumieniem po starym drewnianym blacie biurka.

- Pracujesz pan tu?! - ryknął drugi młodzian do Quentina, a jego kumpel się roześmiał. Quentin położył stos katalogów na gablocie.

- Robię tu tylko sprawunki. Myślę o kupieniu jakichś szczypczyków. - Wziął szczypce i położył je na gablocie. - Prawdę mówiąc, wezmę właśnie te. I zapłacę dwadzieścia dolarów. Natychmiast przestali się śmiać.

- Co, u diabła, pan sobie wyobrażasz?!

Quentin obrócił się ku nim bez widocznej złości czy groźby. Obaj jednak się cofnęli, spojrzawszy na jego twarz. Teraz usłyszał słaby dźwięk policyjnej syreny.

- Chcę tylko kupić te szczypce i tyle.

Po chwili napiętej ciszy prowadyr prychnął.

- Cholera, to bierz je pan. I tak nie chcę tych zafajdanych szczypiec. - On i jego kumpel przeszli obok Quentina i wypadli ze sklepu. Pan Beaumont załamywał ręce.

- Och, oni odjadą i zabiorą ze sobą to, co ukradli. Luzanne nigdy mi tego nie wybaczy.

- Spróbuję zatrzymać ich do przyjazdu policji.

- Och, dziękuję, dziękuję, jest pan taki uprzejmy. Niech Bóg pana błogosławi.

Quentin poszedł za dwoma młodzieńcami w stronę najnowszego modelu lśniącego czerwonego pikapu, zaparkowanego jednym kołem na krawężniku.

- Czego, u diabła, pan chcesz?! - wrzasnęła kierowca, otwierając drzwiczki.

- Chcę, żebyście tu zaczekali i pogadali z miejscowym policjantem. - Quentin machnął ręką w stronę końca uliczki, gdzie za piętnaście sekund miał wjechać z Main Street radiowóz policyjny.

- Pocałuj mnie w dupę! - Kierowca zaczął wspinać się do szoferki. Quentin wyobraził sobie policyjny pościg na miejskim placu, który zaczynał zapełniać się tłumem ludzi schodzących się na rozpoczęcie drugiego dnia świątecznych obchodów. Dwoma susami dopadł do szofera, chwycił go za koszulę i zanim ten się zorientował, już leżał twarzą do ziemi. Stanął nad nim i oparł mu stopę na karku. Szarpnął jego lewą rękę w górę tak wysoko, jak się dało, po czym wykręcił i założył na plecy. Trzymał go za nadgarstek.

- Rusz się, to ci ją złamię - powiedział ze spokojem.

Drugą ręką wyjął z kieszeni bluzy swój nóż i gdy kumpel kierowcy podbiegł, miotając wyzwiska, Quentin nacisnął sprężynę, wysuwając długie ostrze. Młodzieniec zastygł z nożem pod brodą.

Taką scenę ujrzał policjant Rexie Brown, przyjechawszy na miejsce. Znalazł za biurkiem nieprzytomnego pana Beaumonta. Wyciągnął broń, wezwał posiłki i zaarrestował wszystkich.

Znałam lepiej więzienie w Tiberville, niż chciałabym pamiętać. Ścisnęło mnie w dołku, gdy zastępczyni naczelnika prowadziła mnie znowu do celi zatrzymań. Quentin, odwrócony tyłem do nas, spoglądał przez małe, zakratowane okienko na prywatny ogród szeryfa. Więźniowie z krótkoterminowymi wyrokami, ubrani w pasiaste więzienne uniformy, sadzili, siali i zbierali warzywa, które potem sprzedawano na targu farmerskim w Tiberville. Dochód szedł na fundusz przeznaczony dla rodzin w potrzebie.

- Mam nadzieję, że lubi pan ziemię i piżmian jadalny - odezwałam się.

Obrócił się z wolna. Niewątpliwie był to przystojny mężczyzna i niewątpliwie jego zimne szare oczy i lekki sarkastyczny uśmiezek robiły olbrzymie wrażenie.

- O rety! - powiedziała na pół szeptem zastępczyni naczelnika, już babcia.

- Jadam piżmian tylko z kaszą - odparł Quentin. Zastępczyni naczelnika otworzyła drzwi do celi. Weszłam do środka, a ona mnie zamknęła.

- Dziękuję, pani Dixon. Uniosła siwą brew.

- Zawsze mówiłam, że ockniesz się tu znowu.

Kiedy sobie poszła, usiadłam na niskiej stalowej ławce pod ścianą. Quentin siadł obok mnie. Uniosłam brwi.

- Czy zawsze nosi pan przy sobie sprężynowy nóż?

- Tam, gdzie dorastałem, to rzecz normalna. Nie odzwyczaiłem się od tego.

- Kiedy pan wyciągnął ten nóż, pan Beaumont pomyślał, że poderżnie pan komuś gardło. Biedak leży teraz w szpitalu z palpitacjami serca. Policja nie słyszała jeszcze jego

wersji tej historii.

- Ja przedstawiłem moją wersję tej historii. A policjanci znaleźli w kieszeniach moich „przyjaciół” to, co im powiedziałem, że znajdują. - Rozłożył ręce. - Niech pani posłucha, pilnuję swoich własnych interesów. Nie przyjechałem tutaj, żeby w coś się wplątać, zyskać opinię naprawiacza świata czy czegokolwiek dowieść na konto dzieła mojego ojca.

Przyjechałem po prostu po to, żeby kupić rzeźbę niedźwiedzicy.

- Lepiej więc niech pan przestanie ratować ludzi.

- To brzmi tak, jakby pani wierzyła w moją niewinność.

- Wystawił pan własne życie na niebezpieczeństwo, wynosząc mnie wczoraj z tej stodoły. Nie mogę zatem sobie wyobrazić, jak mógłby pan sterroryzować starego pana Beaumonta.

Strzelił palcami.

- Zawsze oszukiwać starych ludzi, kobiety i dzieci pod maską fałszywych uczuć synowskich - oto moja dewiza.

- Moja też - powiedziałam tak lekkim tonem, na jaki tylko mogłam się zdobyć.

Humor mu się popsuł. Skinął głową w kierunku drzwi.

- Co miała na myśli ta zastępczyni naczelnika, mówiąc, że zawsze wiedziała, iż znowu pani tu trafi?

Nie odpowiedziałam, tylko popatrzyłam na niego srogo. Uniósł ciemne brwi.

- Jestem wścibskim jankesem - rzekł. Poddałam się.

- Jako nastolatka pracowałam w przetwórnicy drobiu Tiberów. Usiłowałam tam zorganizować związek zawodowy. Jak prawdziwa Norma Rae. Włazłam na stół z transparentem: „Teraz Związek”. Wylano mnie z pracy, przyszedłam więc tam następnego dnia i powiesiłam plakaty związkowe na ścianie pokoju do odpoczynku. Kiedy nie chciałam przeprosić i obiecać, że więcej tego nie zrobię, pan John kazał mnie aresztować. John Tiber. To mój krewny.

- Zamknął panią własny krewny?

- Aha. Na pewno myśli pan, że zawieraliśmy tutaj związki małżeńskie ze wszystkimi krewnymi.

Ten słaby dowcip nie zmniejszył jego ciekawości.

- Jak to załatwiono?

- Potulnie przeprosiłam i wtedy mnie wypuścili.

- No cóż, była pani jeszcze dzieckiem.

- Nie rozumie pan. - Zawahałam się znowu. Odezwały się ostrzegawcze dzwonki mojego systemu obronnego. Mówiłam temu mężczyźnie zbyt dużo o sobie i nie pojmowałam, dlaczego wydawało mi się to tak niezbędne. Gregory'emu nigdy nie powiedziałam o tym więziennym epizodzie. - Przyszedł tu mój ojciec i domagał się, żeby zamknięto go razem

ze mną. Nie odszedłby stąd za nic w świecie. Przeprosiłam dlatego, żeby go wydostać. Nie zasługiwał na ponizanie. Zaznał w swoim życiu wystarczająco dużo upokorzeń.

Zapadła cisza. W końcu Quentin skinął potakująco głową.

- Łatwiej bywa, gdy człowiekowi chodzi tylko o siebie. Wszystko można znieść, jeśli nie trzeba się martwić o kogoś drugiego.

A zatem zrozumiał. Poruszona, szybko wstałam i zaczęłam przeszukiwać torebkę, jakbym koniecznie musiała coś znaleźć. „Nie przestawaj się poruszać. On pracuje w branży rozbiórkowej. Rozbiera cię na części, żeby zorientować się, co jest w tobie wartościowego. Użyje tego przeciwko tobie”.

- Nigdy o tym nie myślałam w taki sposób, ale tak, to prawda. Rzecz jasna, ci, których się kocha, powinni na to poświęcenie zasługiwać. A on zasługiwał.

- Zazdroszczę pani uczuć do ojca - powiedział cicho Quentin.

Umilkłam i spojrzałam na niego, zastanawiając się, dlaczego on nie mógłby powiedzieć tego samego o swoim ojcu. Nagle na wewnętrznej stronie jego nadgarstków zauważyłam czerwone pręgi. Zapomniałam o wszystkim innym. To od kajdanków, które założył mu Rexie. Toporny wsiok.

- Jezu, pańskie nadgarstki - powiedziałam bez cienia skrępowania.

Popatrzył na te pręgi tak, jakby dopiero teraz je zauważył.

- To nic takiego.

Otworzyłam makramową torbę i wyjęłam puszkę balsamu na wymiona.

- Proszę. - Usiadłam przy nim, nabrałam na koniec palca gęstej maści i nachyliwszy się nad jego dłońmi, posmarowałam wszystkie czerwone miejsca. Wkładając z powrotem puszkę do torby, napotkałam zakłopotany wzrok Quentina i znieruchomiałam. Siedzieliśmy bliżej siebie, niż sądziłam, albo może nieświadomie się do niego przysunęłam. Wymieniliśmy w milczeniu spojrzenia i serce zaczęło mi bić szybciej.

- Dziękuję - powiedział.

- To lek na wymiona. Posmarowałam też tą maścią guza na mojej głowie. Myślę, że w ciągu swojego życia stosowałam ją na wszystkie części ciała, oprócz własnych sutków.

Roześmiał się, po czym wstał i podszedł do okna. Oparł się o wąską metalową ramę i przyglądał mi się z rozbawieniem.

- A więc tak, zamierza pani urządzić z mojego powodu protest okupacyjny? Nie ma potrzeby. Niech pani się tylko zorientuje, czy dałoby się załatwić kaucję. I zajmie się moim psem.

- Nie. Jest pan „moim” jankesem. Wszyscy już tak zdecydowali. Nie zostawię pana.

Przyspilił mnie ostrym spojrzeniem, teraz nie bez domieszki cichego podziwu. Nie mogłam zdobyć się na odwrócenie wzroku.

- Prowadzę wam towarzystwo - zaśpiewała, idąc korytarzem, babciovata zastępczyni

naczelnika. Podeszłam do krat, gdy pani Dixon podprowadziła pod drzwi pana Johna i teraz je otwierała. Pan John spojrzał na mnie z dostojnym oburzeniem, po czym ponurym wzrokiem zmierzył Quentina.

- Co my tu mamy? - spytał.

- On tylko ochraniał pana Beaumonta - powiedziałam cicho.

Drzwi celi otwarły się szeroko. Pan John wkroczył do środka i podszedł do Quentina.

- Wiem. Wiem o tym. Stary Beau wreszcie się uspokoił i każdemu, kto zechciał słuchać, powtarzał, jaki to z pana wspaniały facet. Ja być może nie aprobuję pańskich metod, ale przyszedłem tutaj, żeby przeprosić za kłopoty i jednocześnie panu podziękować. Jest pan wolny, panie Ricconni. - Wyciągnął rękę i przedstawił się: - Jestem John Tiber.

Quentin spoglądał to na niego, to na mnie przez kilka sekund. Trwało to krępująco długo i wywołało na gładko wygolonych policzkach pana Johna rumieniec.

- To pani krewny? - zapytał Quentin. Kiwnęłam głową, zdezorientowana.

Quentin obrócił się w stronę pana Johna.

- Czy to pan jest odpowiedzialny za usunięcie z kampusu college'u rzeźby mojego ojca? - spytał przyciszonym głosem.

Ze zdumiewającą łatwością przykuł uwagę pana Johna. Nie zmienił tembru głosu, ręce nadal miał opuszczone wzdłuż boków. Nie wchodziła w grę żadna awantura, bufonada, fizyczna groźba, jedynie cywilizowana świadomość własnego celu.

Pan John opuścił rękę. Mrugał, zaskoczony.

- Tak, ja.

- I sprzedał ją pan Tomowi Powellowi?

- Tak.

- W przeciwnym wypadku sprzedałby ją pan na złom?

- Ja... tak.

- Odpowiada pan za to, że każdy, kto pytał, co się z nią stało, był przez college okłamywany?

Twarz pana Johna poczerwieniała.

- Rzeczywiście za to odpowiadam. Czy chce pan nazywać mnie kłamcą?

- Tak. Chcę jednak wiedzieć, dlaczego pan tak postępował.

- Moja rodzina założyła to miasto, proszę pana, i czujemy się odpowiedzialni za to, co tu przychodzi i co stąd odchodzi. Włącznie z tak zwaną sztuką. - Pan John odwrócił się i spojrzał na mnie groźnym wzrokiem. - Ursulo Victorio Powell, czy zechcesz łaskawie objaśnić tego pana co do naszych obyczajów? Przyszedłem tu, żeby mu podziękować, a nie po to, by mnie oskarżano o przestępstwa, których nie popełniłem.

- On chce uzyskać odpowiedź na to pytanie i ma ku temu powód - powiedziałam możliwie jak najuprzejmiej. - Nie zaszkodziłoby przeprosić rodzinę Ricconnich. Jego matka

od wielu lat oplakuje Żelazną Niedźwiedzicę. College powiadomił ją, że rzeźbę zniszczono.

Pan John popatrzył na mnie, jakbym straciła zmysły.

- Posłuchaj! Twój tata też miał mnóstwo głupich pomysłów, a ja usilnie starałem się dać mu dobry przykład. Mógłby iść moim śladem, ale on nigdy tego nie zrobił. Jeśli czasem upierałem się, to dla jego własnego dobra. Tak jak teraz staram się być stanowczy wobec tego tu gościa. Robię to również dla jego własnego dobra. Nie będę za nic przepraszać.

Przyszedłem wykonać szlachetny gest w imieniu Beaumonta, a jestem tu obrażany!

Gapiłam się na niego. Brzęczały mi w głowie owe „głupie pomysły”.

- Może zechce pan usiąść, panie John - wycodziłam przez zaciśnięte zęby. - Mam pewne nowiny. Rzeźby Richarda Ricconiego są obecnie wysoko cenione. Niedźwiedzica warta jest krocie.

Pan John popatrzył na mnie, a potem na Quentina.

- Nie wierzę w to - rzekł. Quentin kiwnął potakująco głową.

- Nie chodzi o to, co pan myśli czy w co wierzy. Nie chodzi też o żadne przeprosiny z pańskiej strony. Przyjechałem, żeby kupić tę rzeźbę i zawieźć ją tam, gdzie jest jej miejsce. To interes, a nie kwestia uczuć rodzinnych. Chcę poznać prawdę.

Pan John nagle się zainteresował.

- Jeśli ta rzeźba warta jest krocie, to lepiej niech pan uwierzy, proszę pana, że mojej rodzinie należy się nie tylko duże uznanie, ale także pieniądze.

- Co?! - Nie dowierzając własnym uszom, podeszłam wolno do niego. Zerknął na mnie i zmarszczył brwi. - Chyba nie myśli pan tak na serio, panie John!

- Jak najbardziej. Panna Betty zapłaciła za tę rzeźbę. Zamówiła ją.

- A pan ją sprzedał mojemu ojcu!

- W najlepszym wypadku była to nieformalna transakcja. - Popatrzył na Quentina. - Jaką ona teraz ma wartość?

Quentin spojrzał na niego z góry, jakby był jakimś dziwnym owadem, czymś tak biologicznie prymitywnym, że obserwatora mogła najwyżej zadziwić jego bezceremonialna pogroźka, zanim spokojnie go zadcpcze.

- Cena stanowi część prywatnych negocjacji z rodziną Powellów.

- Rozumiem. To pan tak mówi.

- Mówię, że nie dostanie pan nigdy ani centa z tych pieniędzy. Mówię też, że resztę swojego życia spędzi pan w sądach na walce ze mną, bo jeśli podważy pan prawo własności Ursuli, to wynajmę adwokatów, by bronili jej interesów.

Pan John przypominał starzejącego się buldoga, który przed nikim nie ustąpi. Wyraz jego twarzy wskazywał jednak na to, że wie, iż napytał sobie biedy.

- Ja tylko przedstawiłem sprawę poglądowo, ale nie upieram się przy tym - powiedział.

- Nie ma żadnych negocjacji - wtrąciłam. - Nie sprzedaję tej rzeźby. - Czułam się

bardzo przygnębiona perfidią pana Johna. Bez upiększeń był kimś, komu ufałam. - Jak pan mógł twierdzić, że ma prawo do Żelaznej Niedźwiedzicy? Jak pan mógł zrobić coś takiego mnie i mojemu ojcu? Przecież pan dobrze wie, że tej rzeźby dawno by nie było, gdyby nie on. Pan to wie. Czy naprawdę chciałby pan ciągać mnie po sądach z powodu prawa własności? Wytaczać mi sprawę? Czy pan wie, co powiedzieliby mieszkańcy tego hrabstwa, gdyby pan zrobił coś takiego? Czy pan wie, co by to oznaczało dla pańskiego dobrego imienia?

Pan John zamachał obiema rękami, westchnął i zaczął sprawiać wrażenie zażenowanego.

- Powiedziałem to w złości. Bezmyślnie. Wiesz, że nie chcę cię skrzywdzić, kochanie. Porozmawiamy o tym później na spokojnie. - Trafiłam w czuły punkt, a mianowicie w jego publiczny wizerunek.

Ja jednak się nie uspokoiłam. Podeszłam bliżej.

- Tata był dla pana uprzejmy. Znosił ze spokojem pańskie despotyczne zachowanie. Mówił zawsze, że jest pan przyzwoitym człowiekiem, który zrobił wiele dobrego dla społeczności, nawet wówczas, gdy zachowywał się pan jak mały dyktator. Wierzył w bierny opór. Miał więcej cierpliwości niż Gandhi, ale ja nie.

- Mały dyktator! Tak właśnie o mnie myślisz?

- Wykorzystywał pan dobry charakter taty i pozwalał swojej rodzinie, żeby go poniżała z powodu nieszczęsnych wydarzeń sprzed przeszło pięćdziesięciu lat. Traktował pan tatę protekcyjnie i terroryzował, a teraz pan mówi, że robił to dla jego dobra. To na mnie nie działa. Znam znacznie lepiej niż tata mentalność Tiberów. Nie wróciłam do domu, żeby bawić się w te same stare gry, panie John. Zyska pan mój szacunek, jeśli na niego sobie zasłuży. Oczekuję takiej samej uprzejmości od pana i wszystkich pozostałych Tiberów. Niech się pan nie waży mnie wykorzystywać!

- Ursulo, jesteś podekscytowana. Uspokój się...

- Pieniądze, które pan kazał zapłacić mojemu tacie za Żelazną Niedźwiedzicę, mogły pójść na lekarza dla mojej matki. To tata zdecydował, że je wyda, ale pan się ich domagał. Nie wiem, czy mimo wszystko matka dziś by żyła, czy nie. I nie wiem, czy Arthur urodziłby się bez upośledzenia. Ale jestem pewna, że nie powinien był pan żądać od mojego ojca tych zakichanych, wcale panu niepotrzebnych dwustu dolarów, bo on uwielbiał tę rzeźbę i przez te wszystkie lata tysiąc razy sobie na nią zapracował. Pan się przyczynił do śmierci mojej matki i upośledzenia Arthura.

Pan John wyglądał na rozjuszonego i oszołomionego jednocześnie. Mrugał i potrząsał głową. W końcu odzyskał głos.

- Zawsze, Ursulo, jako osobę zdecydowaną, ciężko pracującą, ambitną, stawiałem cię Janine za wzór - zagrzmiał. - Moja żona, wieczne odpoczywanie racz jej dać Panie, upierała

się, że nigdy nie będziesz damą. A ja zawsze wierzyłem, że jak nabierzesz ogłady, będziesz tak samo subtelna i godna podziwu jak moja rodzona córka. Ten nieprzyjacielski atak z twojej strony przykro mnie zaskoczył. Co za fatalny wpływ ma na ciebie ten człowiek? - Gwałtownym ruchem głowy wskazał na Quentina.

Uświadomiłam sobie nagle beznadziejność staczania tu walki o etykę i filozofię. Ćmiła mnie głowa, stodoła była zrujnowana, straciłam samochód, miałam do rozstrzygnięcia dylemat z Quentinem - rzeźba, przyszłość Arthura, olbrzymia suma pieniędzy, które odrzuciłam, a których w skrytości ducha desperacko pragnęłam. Stałam w celi więziennej zdenerwowana, rozczochrana i cuchnąca mentolowym balsamem na wymiona, ponieważ nie mogłam pozwolić sobie na wizytę u doktora. Nie było sensu zrażać sobie jedyne go krewnego, który mógł pospieszyć mi z pomocą, gdybym rozpaczliwie jej potrzebowała.

Spojrzałam w oczy Quentinowi. Myślał w tym momencie, że jestem niesamowita. Piękna. Mocna. Widziałam to. Zrobiłam głęboki wdech. Och, do diabła!

- Jestem rozczarowana panem - zwróciłam się do Johna Tibera. - I chciałabym powiedzieć coś na temat Janine. Pokładałam w Bogu nadzieję, że nigdy nie będę taka jak ona. To bezlitosna suka.

Nie zamierzałam nazwać swojej kuzynki suką, a zwłaszcza nie przed jej ojcem. Nie lubiłam tego słowa i normalnie nigdy go nie używałam. Jak wszystko inne tego dnia tak po prostu wyszło. Oto jaka naprawdę jestem. Zdradliwa jak wąż i dwa razy zimniejsza niż on. Szalona kobieta z Powellów, która spaliła kilka rozchwierutanych mostów prowadzących w bezpieczne strony. Umilkłam, zabrakło mi słów. Skrzywiłam się.

Oczy pana Johna napełniły się łzami. Łzami.

- Złamałaś mi serce - powiedział cicho z pewną domieszką melodramatyzmu, który mimo wszystko był szczery. Wyszedł, zostawiając za sobą otwarte drzwi celi. Kiedy zniknął z korytarza, uświadomiłam sobie, że się trzęsę. Opadłam na metalową ławkę i ukryłam twarz w dłoniach.

Quentin usiadł obok mnie z zadumany obliczem. Było tak, jakbyśmy szli przez galerię z na wpół sformowanymi wizerunkami naszych żywotów, szukając jakiegoś kluczowego elementu, który nadałby sens tak wielu wydarzeniom i powiedziałby, że odpowiedzi naprawdę istnieją. Wydzielana przez nas w tym pomieszczeniu energia, nasza karma czy esencja, a może pozostałości z dzieciństwa - wszystko to osiadało między nami z nadzwyczajną łatwością.

- Dobrze się pani czuje? - zapytał. Jego głos brzmiał surowo. Wskazywał, że umie panować nad sobą.

Skinęłam głową, szybko się prostując.

- Muszę tu żyć. Muszę znaleźć jakiś sposób na utrzymanie w tej społeczności i dawać sobie radę z ludźmi, i opiekować się tymi, którzy są ode mnie zależni. Teraz będzie to

trudniejsze. Niemniej dokonałam wyboru. Nie ma to nic wspólnego z panem.

- Nie jest to prawda, ale doceniam fakt, że mi przebaczone - powiedział.

Spojrzałam na niego z drzeniem. Żadnej słabości. „Nie okazuj przed tym człowiekiem słabości”. Z informacji, jakie zdołałam uzyskać, wiedziałam, że był zawodowym wojskowym, bohaterem wojennym. Nie musiał pokazywać siły swojego charakteru, to rzecz oczywista. Wywołało to u mnie tylko determinację, żeby pokazać mu, ile jestem warta. Nie mogłam powiedzieć, żeby wracał do Nowego Jorku i zostawił nas w spokoju; sprawy zaszły już zbyt daleko. Gdybym wiedziała, co naprawdę o mnie myśli, trzęsłabym się mocniej.

Albo mogłabym po prostu wyciągnąć do niego ramiona. I powiedzieć: Czekam na ciebie, niech się dzieje, co chce.

Rozdział 12

- Tiberowie w mieście mówią, że Żelazna Niedźwiedzica warta jest dużo pieniędzy - szepnęła Liza, jak tylko wróciłam na farmę. - Nie możesz jej sprzedać, Ursulo. Zabiłabyś duszę twojego brata.

- Wiem - odpowiedziałam ze znużeniem.

Kiedy później tego popołudnia przyjechał Quentin, zastał dwudziestu kilku sąsiadów i wszystkich pięciu moich lokatorów - czekali na niego, żeby podziękować mu serdecznie w imieniu pana Beaumonta. Oczywiście sąsiadom chodziło głównie o to, żeby dowiedzieć się wszystkiego o tym interesującym człowieku, który przybył Skądinąd. Stawał się teraz lokalną legendą.

- Chcę powiedzieć, że byłem tu od początku - oznajmił mi jeden z mężczyzn.

Quentin natychmiast skierował mnie do mojej własnej kuchni i zamknął drzwi.

- Nie mam nic do powiedzenia tym ludziom. Nie chcę niczyjej wdzięczności. -

Czuliśmy się ze sobą nieswojo po tamtej intymnej scenie w więzieniu. Quentin wydawał się niespokojny i nie w humorze.

- Za późno na ratowanie pańskiej prywatności - odparłam ponuro. - Rozeszła się wieść o pańskiej misji i wartości niedźwiedzicy. Jedna z moich lokatorek już mi mówiła, że o tym słyszała.

- Słyszeli o cenie? - zapytał Quentin.

- Nie. Tylko tyle, że rzeźba jest wiele warta. Niedługo ktoś powie Arthurowi, dlaczego pan tu przyjechał. Musi pan być miły dla tych ludzi i trzymać ich z daleka od niego, zanim zdecyduję, co robić. Oni chcą, żeby opowiedział im pan o karierze pańskiego ojca. I to wszystko.

- Nie jestem tu po to, żeby być przewodnikiem. Kariera mojego ojca skończyła się dwadzieścia dwa lata temu. Dzięki usilnym wysiłkom mojej matki nie został zapomniany, a także dzięki niej w końcu rozgłos wyprzedził zdrowy rozsądek. Ludzie zdecydowali się

płacić wielkie pieniądze za jego dzieła. I to wszystko. Musimy, pani i ja, pogadać z Arthurem. Powiedzieć mu prawdę i przekonać do zrezygnowania z niedźwiedzicy. Wierzę, że zdołam go namówić, by pozwolił mi zabrać tę rzeźbę. A wtedy nie będzie już pani miała kłopotu z pieniędzmi. Wszystko, co pani tu kocha, a widzę, że kocha pani naprawdę, będzie bezpieczne. Miałam ochotę wykrzyknąć: „Czy pan nie rozumie? Nie mogę sprzedać tej przeklętej rzeźby!” Ale nie wyglądało na to, by rozumiał.

- Porozmawiam z Arthurem, kiedy poczuję, że to odpowiedni moment. Nie teraz. Nie zdaje pan sobie sprawy z tego, co się dzieje na podwórku. Ci ludzie przynosili swoje zdjęcia z tą rzeźbą. Zdjęcia, które chcą panu pokazać. Na początku niedźwiedzica była dla nich tylko kpina: „Och, zwariowany Tom Powell postawił sobie na pastwisku tę obrzydliwą rzecz!” Z biegiem lat jednak stała się składnikiem ich życia. Przy Żelaznej Niedźwiedzicy dochodziło do oświadczeń, odbywały się wesela i chrzciny. Ludzie przyprowadzali tu swoich gości określanych mianem lepszego towarzystwa, żeby im pokazać rzeźbę. Przyprowadzali swoje dzieci. I swoje wnuki. A dzieci chyba ją rozumiały. Wspinały się na rzeźbę, mówiły do niej i jak twierdziły, ona im odpowiadała. Dla tych ludzi jest pan częścią tego, co sprawiło, że Żelazna Niedźwiedzica stała się czymś niezwykłym. Chcą dowiedzieć się jak najwięcej o panu i pańskiej rodzinie. Proszę, niech pan postara się odpowiedzieć na ich pytania.

Przez dłuższą chwilę spoglądał na mnie w milczeniu. Wszystko, co mówiłam, wyglądało na bajkę. Z pewnością uważał, że nigdy nie zrozumie tego rodzaju reakcji na dzieło swojego ojca. Przebliski wspomnień o własnym zahipnotyzowaniu były snami dziecka. Fantazjami z czasów, których jeszcze nie wytrawiła prawda.

- To przecież tylko metal - powiedział.

Poszedł do niedźwiedzicy z grupką osób, które podążały jego śladem. Zachowywał się sztywno, nie jakoś nieprzyjaźnie, ale szorstko. Traktował rzeźbę jak przedmiot z wypisaną na etykiecie ceną. Obserwowałam tę scenę z posepnym zdumieniem. Kim był ten obcy, który już zaczął zmieniać moje życie? Zajrzałam do kabiny jego auta i zobaczyłam na siedzeniu dla pasażera pół tuzina książek. Były to często czytane, ulubione tomy prozy i poezji, i książki o inżynierii.

A zatem był amatorem książek, znawcą łaciny, żołnierzem, biznesmenem, tajemnicą. W biografii w plotkarskim piśmie artystycznym, które znalazłam w Internecie, podawano, że syn Richarda Ricconiego zrezygnował z otrzymanego stypendium na MIT, żeby wstąpić do wojska. Dlaczego?

I dlaczego tak niechętnie mówił o swoim ojcu? Wiedziałam, że Richard Ricconi popełnił przed laty samobójstwo. Nie wiedziałam tylko, co go do tego doprowadziło.

Nagle zobaczyłam, że z lasu wypęła Arthur i błyszczącymi oczami - z daleka - obserwuje Quentina. Poszłam do niego. Cofnął się w krzaki, bo nadal do pewnego stopnia mnie unikał, co nie pozwalało mu zachowywać się zbyt przyjaźnie. Zatrzymałam się

nieszczęśliwa.

- Wiedziałem, że Brat Niedźwiedź to bohater - szepnął głośno Arthur.

Ucieszyłam się, że słyszę jego głos, obawiając się zarazem, że być może to tylko chwilowa poprawa.

- Jak myślisz, kochanie, czy Mama Niedźwiedzica jest szczęśliwa, że go widzi? - zaryzykowałam pytanie.

Arthur energicznie potrząsnął głową. Jego piwne oczy były wielkie i smutne.

- Niedźwiedzica chce, żeby on jej coś dał. Nie wykombinowałem jeszcze, co to ma być. To ważne. Ona musi coś mieć, żeby nigdy więcej nie czuć się samotna i przestraszona. - Dotknął piersi powyżej serca. - Jak może sprawić, żeby to przestało boleć? Brat Niedźwiedź przyjechał tu, żeby to zrobić. Czego ona chce? On na pewno to wie.

Patrzyłam na swojego jedyne brata, jedyną rodzinę, jaką miałam, mojego wilkołaka i wróżbiarza, i chciało mi się płakać. „Ona chce ciebie. Dobrego serca i ufności. Utracę cię na zawsze”.

Ludzie, którzy się zeszli na pastwisku, otoczyli Quentina. Grzecznie i po kolei zadawali mu pytania z typowym dla górali akcentem, miękkim przeciąganiem samogłosek.

- Ile rzeźb zrobił pański tatuś?
- Czy wiedział, że będzie sławny?
- Gdzie pracował nad swoimi dziełami?
- Która rzeźba była jego ulubionym dziełem?
- Czy zrobił więcej niedźwiedzi?

I tak dalej, i tak dalej, każdy otrzymywał konkretną odpowiedź obfitującą w fakty, ale niewielką dozę uczucia. Aż w końcu ktoś powiedział:

- Pan i pańska mamusia musicie być z niego tacy dumni.

Quentin spojrzał na tego kogoś, starszą kobietę o dużych spracowanych dłoniach i oczach pełnych nadziei, i odparł najuprzejmiej, jak potrafił:

- Musimy być dumni.

Quentin podniósł do oka aparat z szerokokątnym obiektywem, równie praktyczny jak wszystkie należące do niego rzeczy. Na obrzeżach soczewek widać było zadrapania, a szeroki skórzany pasek nosił ślady zębów Hammera. Następnego ranka on i Ursula znaleźli się sami przy rzeźbie - stali po kolana w oceanie traw falujących na słabym wietrze.

Niedźwiedzica jakby płynęła po tym zielonym lądowym morzu.

„Matka będzie się interesować wszystkim i wszystkimi tutejszymi ludźmi” - skonstatował w duchu. Myślał, jak jej zakomunikuje tę nowinę, jaki wyraz będą miały jej oczy, gdy opowie, w jaki sposób odnalazł *Nagą Mądrość* i jak zabiegał o kupno rzeźby. Fotografie ją oczarują, choć wiedział, że zaraz będzie chciała z nim tu przybyć i zobaczyć wszystko na własne oczy. „To jest Ursula Powell. Będzie ci się podobała. Jest mądra, mocna,

kocha książki. Dla niej liczy się tylko rodzina. Wy dwie macie wiele wspólnego".

W duchu powtarzał sobie, że robi zdjęcia dla matki.

Stałam z tyłu z Hammerem siedzącym u moich stóp i patrzyłam, jak Quentin obchodzi rzeźbę i obfotografowuje ją ze wszystkich stron.

- Niech pani tu przyjdzie! - krzyknął, przywołując mnie gestem ręki. - Potrzebne mi są zdjęcia tej rzeźby razem z panią.

Rzuciłam mu szydercze spojrzenie, ale usiadłam na starym betonowym postumencie.

- Proszę się uśmiechnąć - polecił sucho.

- Dlaczego? Żeby pan mógł udowodnić swojej rodzinie, że kmiotki mają zęby?

- Oczywiście.

Wyszczrzyłam więc zęby, a on zachichotał. Zrobił zdjęcie, potem usiadł obok mnie. Patrzyliśmy na Żelazną Niedźwiedzicę i na fruujące wokół niej białe motylki, nie podejrzewające jej egzystencjalnej mocy. Quentin dmuchnął i motylki wleciały między żebra niedźwiedzicy, jakby szukając tam ochrony. Może wiedziały, co robią.

- W jednym z moich najwcześniejszych wspomnień - powiedziałam - pojechałam z ojcem odwiedzić niedźwiedzicę, która stała jeszcze wówczas na murawie przed budynkiem administracyjnym Mountain State College. I pamiętam, że siedziałam na ramionach taty. Dzień był słoneczny, musiało to być w lecie, bo zapamiętałam piękne kwiatowe klomby na terenie kampusu i wszędzie pełno motyli. Przyleciały do nas, latały wokół taty i mnie, a także wokół niedźwiedzicy, tak jak wokół kwiatów. To było coś cudownego, przypominało bajkę. Siedziałam wysoko, a dokoła fruwały te piękne małe stworzonka. Tata powiedział: „Nie płosz ich, bo to są najmniejsze spośród aniołków. Przyleciały poszeptać niedźwiedzicy do ucha wszystkie możliwe nowiny z nieba i ziemi, bo ona nie może odejść z tego miejsca i dowiedzieć się tego sama. Niedźwiedzica dowiaduje się od nich wszystkiego o świecie i co się na nim dzieje" - mówił tata. Nagle coś wystraszyło motylki i wszystkie wleciały do środka rzeźby, zupełnie jak teraz. Wykrzyknęłam: „Och nie! Niedźwiedzica pożre aniołki wraz z nowinami". Tata się śmiał, a ja - nigdy tego nie zapomnę - czułam ten jego śmiech pod sobą niczym nurt... miłości i wesela. Wyjaśnił mi, że każda mądra istota jest pożeraczem motyli. Nie miałam pojęcia, co wtedy miał na myśli, ale teraz wiem.

Pod koniec tego sentymentalnego wyznania spojrzałam niepewnie na Quentina. Przyglądał mi się z wielką uwagą, wiedziałam więc, że rozumiał albo przynajmniej chciał zrozumieć. Na jego twarzy malowała się coraz większa zaduma. Odwrócił wzrok, patrzył w stronę gór, mrużąc oczy przed promieniami słońca i własnymi wspomnieniami.

Z ziemi unosiła się ciepła wilgoć, niosąc zapach naszej skóry i żyznego pastwiska. Góry oczekiwały na swój czas i nowe dzieci, które by pokrzykiwały radośnie na ich wierzchołkach. Ptaki śpiewały odwieczne pieśni pochwalne, owady brzęczały sekretną mową. Quentin studiował panoramę, a ja przyglądałam mu się z sercem podeszłym do gardła.

- Niedźwiedzica ma z tego miejsca fantastyczny widok - powiedział i chyba dołączył do niego również moją osobę, lustrując mnie od stóp do głów. - Może wie coś, czego my nie wiemy.

Promienie słońca wpadały przez połamane deski i zrujnowany dach stodoły, iluminując jakby aureolą brązowe jak u norki włosy Arthura, gdy niespokojnie spoglądał w dół z góry, gdzie się zabarykadował. Quentin rzucał zafrasowane spojrzenia na moją napiętą twarz.

Widziałam, co myśli. „Serce jej pęka. Tak usilnie stara się utrzymać razem rodzinę”.

- Jakim stworzeniem jesteś, kochanie? - spytałam ostrożnie.

- Sową. - Przykucnął i objął rękami kolana, potem popatrzył na nas bez zmrużenia oka.

- Dlaczego nagle postanowiłeś wspiąć się na górkę pod dachem w stodole? Czy nie pamiętasz, mówiłam ci przecież, że to niebezpieczne.

- Miałem uczucie, że muszę popatrzeć na wszystko z góry. I wtedy będę mógł zrozumieć.

- Co wywołało takie uczucie?

- Słyszałem, jak Oswald mówił, że Mama Niedźwiedzica kosztuje dużo pieniędzy.

- Słyszałeś pewno, jak Oswald mówił Bartowi Ledbetterowi, że niedźwiedzica warta jest więcej niż pieniądze. Miał na myśli to, że nikt nie może wyznaczyć ceny za Mamę Niedźwiedzicę. To dobrze.

- Dlaczego wszyscy mówią o pieniądzach? Macie jakiś sekret?

Wahałam się, cierpiąc męczarnie nad każdym słowem.

- Niech mi pani pozwoli z nim porozmawiać - powiedział półgłosem Quentin.

- Nie. On jest bliski całkowitego wycofania się z życia. Ja muszę z nim porozmawiać.

Pan nie. - Krzyknęłam do Arthura: - Mam pewien sekret. I zaraz ci powiem, co to takiego. To niespodzianka!

- Jak wtedy, gdy zmarł tata? Nie chcesz, żebym wrócił do Atlanty, prawda! - Jego wielkie ciemne oczy wpatrywały się we mnie, ale nie było w nich nic pogodnego ani sowego. Wyglądał na śmiertelnie przerażonego.

- Och nie, kochanie, nie. To nic złego. Przysięgam ci. Nie będę ci opowiadać żadnych bajeczek na ten temat. Powiem ci prawdę.

- Skąd będę wiedzieć, że to prawda?

- Musisz mi ufać.

Zamilkł. Wielkie łzy płynęły mu po twarzy.

- Już nie potrafię.

To żałosne wyznanie przeszło mi serce. Kiedy próbowałam coś powiedzieć, Quentin położył mi dłoń na ramieniu. Spojrzałam na niego i kiwnęłam głową.

- Arthurze! - zawołał. - Popatrz. - Kucnął. Staliśmy obok zawalonej przybudówki. Mój samochód, stary brązowy mercedes sedan, przygnieciony był ciężkimi orzechowymi balami,

kawałkami sosnowych desek i długimi płatami zardzewiałych blach z dachu. Parę lat temu kupiłam tego sedana za dwa tysiące dolarów od koleżanki z Emory, która złamała sobie stopę, gdy kopała go z wściekłością po ostatniej serii kosztownych reperacji silnika. Zamontowałam więc w nim silnik od chevroleta i odtąd samochód jeździł jak złoto. Teraz moje auto hybryda było sprasowane.

Quentin macał w powietrzu między belkami, potem pod samochodem. Patrzyłam na to dziwne zachowanie ze zdumieniem. Tak samo Arthur, który wyciągał szyję.

- Bracie Niedźwiedziu! - zawołał strapionym głosem.

- Tutaj. Mam jednego. - Quentin wepchnął dużą dłoń między połamane deski, jakby coś chwytając. Potem wyciągnął zaciśniętą dłoń i zaczął ją oglądać. - Jest tam. Czuję, jak się rusza. Nie uszkodziłem go.

- Co to jest?! - krzyknął Arthur, wyciągając jeszcze bardziej szyję. Złapałam się na tym, że ja też się nachylam, chcąc lepiej widzieć, i czym prędzej się wyprostowałam.

Quentin wstał i wyciągnął zaciśniętą dłoń.

- To jedno ze stworzeń, które żyją w powietrzu między przedmiotami. Między skałami a ziemią. Między deskami stodoły. Między częściami samochodu. Kiedy byłem chłopcem, nazwałem je Międzysiami. Ponieważ one żyją między.

- Międzys - powtórzył z lękiem Arthur. - Jak wygląda?

- Nie wiem. Międzysie są niewidzialne.

- A co robią?

- Utrzymują świat. Międzysie trzymają w kupie wszystkie części, poszczególne kawałki wszystkich przedmiotów. Jeśli wiesz, jak sprawić, żeby Międzysie były zadowolone, nic się nie zawali.

Arthur rozłożył ręce i palcem pokazał zawałony dach przybudówki.

- Widzę je! Tam i tam. Są ich setki! Mnóstwo! Nie są jednak naprawdę zadowolone. Wszystkim nam grożą kłopoty. One to właśnie mówią.

Quentin otworzył dłoń.

- Ruszaj, wszystko w porządku, idź do swojej roboty - powiedział do Międzysia, po czym delikatnie na niego dmuchnął. Udawał, że obserwuje coś niewidzialnego, co leci z powrotem w stronę rumowiska. Z hipnotycznym zafascynowaniem śledziłam wzrokiem tę hipotetyczną drogę.

- Czy wszystkie Międzysie są dobre? - spytał Arthur. Quentin wahał się, zastanawiając, jaka odpowiedź będzie najlepsza, po czym potrząsnął głową.

- Z Międzysiami trzeba uważać. Niektóre są skore do gniewu. Te złe wytwarzają dodatkową przestrzeń i pomiatają rzeczami. Osłabiają konstrukcję. Kiedy zobaczysz gdzieś zbyt wiele pustki, to zazwyczaj będzie robota złego Międzysia.

- Mamy tu kilka naprawdę złych Międzysiów - skonstatował ponuro Arthur.

- Nie bój się ich. Wiem, co zrobić, żeby czuły się zadowolone. To naprawdę proste. Jeśli okłamię Międzysia, on sprawi, że to, co najbardziej kochasz, rozpadnie się na twoich oczach. Czy ja zamierzam cię okłamać, Arthurze? Spytaj dobrych Międzysiów.

Mój brat zwiesił głowę i siedział zatopiony w myślach. Obróciłam się twarzą do Quentina.

- Gdzie nauczyłeś się tej cudownej opowieści? - spytałam cicho.

Spojrzał na mnie jak człowiek dotknięty amnezją, pogrążony w myślach jak Arthur i szukający swojej tożsamości.

- Wymyślił ją mój ojciec, żeby czymś mnie zająć, gdy pracował - odparł, po czym odwrócił się, zacisnąwszy zęby.

- Bracie Arthurze! Co myślisz? Co mówią dobre Międzysie?

Arthur uniósł głowę. Jego posepny wzrok powędrował ku mnie.

- Dobre Międzysie chcą wiedzieć, jaki sekret chcesz mi przekazać.

Wciągnęłam głęboko powietrze.

- Właściwie to żaden sekret - powiedziałam. - Mama Niedźwiedzica należy do ciebie. Rozumiesz? Ona jest twoją własnością. Jesteś jedyną osobą, która może się o nią troszczyć. Stanie się z nią to, co powiesz. Rozumiesz? Ty ją kochasz i jesteś jej obrońcą. - Pokiwał głową, ale tylko lekko i z niedowierzaniem.

- Okej - odparł, nie spiesząc się.

- Ale Quentin i jego matka też ją kochają. Ona myślała, że Mama Niedźwiedzica została wywieziona na złomowisko i dawno pocięta na kawałki. Jest taka szczęśliwa, teraz gdy się dowiedziała, że Mamie Niedźwiedzicy nic się nie stało.

- Mamę Niedźwiedzicę utrzymują w dobrym stanie dobre Międzysie. - Arthur popatrzył na Quentina, a ten skinął głową.

- Quentin chciałby zabrać Mamę Niedźwiedzicę do swojego domu, żeby jego matka mogła kochać ją tak samo jak ty.

Arthur podskoczył jak wystrzelony z armaty. Na sztywnych nogach, z zaciśniętymi pięściami spoglądał w dół, na nas. Serce mi zamarło.

- Wejść tam i zdejmę go, jeśli będzie trzeba - zapowiedział przyciszonym głosem stojący obok mnie Quentin.

Wyciągnęłam obie ręce.

- Arthurze! Ty o tym zdecydujesz. Nie pamiętasz, co ci przed chwilą mówiłam? Mama Niedźwiedzica nigdzie nie pojedzie, jeśli ty nie uznasz, że powinna jechać.

Arthur drżał. Pokazał na Quentina.

- Bracie Niedźwiedziu, myślisz, że ona umrze, jeśli stąd nie wyjedzie? Dlatego że jest taka samotna?

- Nie wiem. Ty musisz zdecydować, co jest dla niej najlepsze. I powiedzcie to mnie. To wszystko, co chcę wiedzieć. Decyzja należy do ciebie.

- Nie jestem jej właścicielem. Ona sama zdecyduje.

- A więc dobrze, będziesz musiał mi tę decyzję przetłumaczyć.

- Może ona chce pojechać. Muszę nad tym pomyśleć. - Wychylił się poza krawędź desek na górze. Jeden fałszywy krok i spadnie z wysokości sześciu metrów na zwalone deski przybudówki. Byłam śmiertelnie przerażona.

- Arthurze, usiądź.

- Muszę pogadać z dobrymi Międzysiami, które ją utrzymują, i przekonać się, jakie tu mamy złe Międzysie! - Zrobił krok do przodu. Czubek jego tenisówki wystawał teraz poza krawędź desek. Quentin podniósł rękę.

- Międzysie szanują tylko takiego mężczyznę, który dba o swoje własne przestrzenie. Bądź mężczyzną. Siadaj! - powiedział donośnym głosem i rozkazującym tonem.

Arthur kucnął tak szybko jak nadmuchiwana zabawka po wyjęciu zatyczki. Oczy miał pełne uznania, ale i determinacji.

- Jak mężczyzna - powiedział. Odetchnęłam z ulgą. Potem oczy mu błysnęły i wskazał na mnie. - Siostro! Widzę bardzo wielkiego złego Międzysia między tobą a Bratem Niedźwiedziem.

Potarłam czoło. Quentin wykreował dla Arthura cały nowy fantastyczny świat, który szybko stawał się irytujący.

- Nie widzę żadnego Międzysia - odparłam.

- To jest nikczemny Międzys - upierał się Arthur, mówiąc coraz głośniejszym głosem. - Wycofał się do tyłu. Lata w powietrzu między tobą a Bratem Niedźwiedziem.

- Przyniosę trochę mrożonej herbaty i jakieś ciastko. On nie jest nikczemny, tylko głodny. Uspokój się. - Obróciłam się do Quentina. To było zdumiewające, że Arthur nie wpadł w histerię albo w niemotę przy wzmiance o sprzedaży rzeźby. Lecz czułam, że to tylko chwilowa zwłoka. Byłam wdzięczna Quentinowi i jednocześnie zagniewana na niego. - Jeśli nie sprowadzimy go stamtąd na dół, to Międzysie odwiozą mój mózg do wariatkowa.

Quentin pogroził Arthurowi palcem.

- Zejdź na dół. Chcę, żebyś to robił pomału i ostrożnie. Jeśli zejdziesz i nie spadniesz, to pokażę ci, jak się pozbyć złego Międzysia.

Mój brat podskoczył i zniknął ze skraju górkę, z melodramatyczną ostrożnością stawiając każdy krok. Quentin i ja przeszliśmy do przedniej części stodoły i czekaliśmy, gdy schodził po drabinie, a następnie przedostawał się przez stertę belek i rumowisko. Quentin chwycił go za rękę i pomógł przepełznąć ponad ostatnią belką.

Arthur stanął przed nami naładowany energią.

- Okej, to teraz pozbądźcie się tego złego Międzysia. Muszę zrozumieć, jak one myślą,

żeby móc zdecydować, co zrobić z Mamą Niedźwiedzicą. Nie chcę, żeby złe Międzysie gniewały się na nią. - Przeszłowałam z nogi na nogę, załamując ręce. - Wygoń go!

Chciałam go chwycić w ramiona.

- Cicho, kochanie, uspokój się. Wyszarpnął się.

- Masz tuż przed sobą Międzysia!

Quentin obrócił się w moją stronę. Chwycił mnie za ramiona.

- Proszę mi zaufać - powiedział i zanim się zorientowałam, co zamierza, pocałował mnie lekko w usta.

Oszołomiona, stałam bez ruchu. W ciągu dnia musiał jeść pomarańczę, bo wargi mu jeszcze nią pachniały. W tym momencie wiedziałam, że nawet jak będę staruszką, to kiedy przytknę do ust pomarańczę, będę go przypominać sobie.

- Pocałowałaś moją siostrę - odezwał się ze zgrozą w głosie Arthur.

Quentin kiwnął głową.

- Odgoniłem złego Międzysia.

Arthurowi zaparło dech ze zdumienia i wpatrywał się teraz w jakieś miejsce w powietrzu przed nami.

- Rzeczywiście odgoniłeś!

Quentin posłał mi półuśmiešek, kpiący z nas wszystkich. Patrzyłam na niego niezdolna jeszcze do okazania złości z powodu takiego natręctwa ani do sprzeciwienia się uczuciom, które ogarniały całe moje ciało i nie przypominały niczego, co kiedykolwiek czułam.

- Oj, bo znajdzie się pan między młotem a kowadłem - ostrzegłam.

- Bywałem tam częściej, niż chciałbym pamiętać. Nie mam nic przeciwko presji, nie sądzę też, żeby pani miała coś przeciwko pocałunkowi. - Twarz pod cieniem delikatnego popołudniowego zarostu miał lekko zaróżowioną. Zmarszczył brwi i potarł szczękę, jakby miękkość mojego oblicza mu ją wygładziła. „To błąd, sakramencko lekkomyślny błąd” - pomyślał.

- Muszę odejść i podumać o Międzysiach i Mamie Niedźwiedzicy - oznajmił Arthur i pobiegł do lasu.

Popatrzyłam na Quentina, potem w dal.

- On powoli myśli. Zastanawia się nad ważnymi sprawami przez wiele godzin, a nawet dni. Nad kolorem ptasiego skrzydła, kształtem skorupy ślimaka, jak nazwać wiewiórkę. Pan go prosił, żeby podjął decyzję, która zmieni cały jego świat. Niech pan nie oczekuje natychmiast odpowiedzi. I nie oczekuje odpowiedzi, jakiej pan pragnie. On będzie rozmyślać i przeżywać katusze, ale ostatecznie nigdy nie zdecyduje, że jego Mama Niedźwiedzica pragnie pojechać z panem.

- Idę o zakład - powiedział Quentin.

Międzysie zyskiwały kontrolę nad przestrzeniami między naszymi żywotami.

Rozdział 13

„Uzyskaj odpowiedź od Arthura i zakończ te negocjacje, zanim wszystko się zawali”. Następnego ranka Quentin, opuszczając swój pokój w motelu, miał całkiem prosty plan na ten dzień. Zaparkował samochód pod barem tuż przy placu wśród zabłoconych pikapów i furgonetek. Jego explorer z nowojorskimi tablicami rejestracyjnymi przyciągał zaciekawione spojrzenia robotników, którzy udawali się do baru, żeby pospiesznie zjeść śniadanie. Kiwali mu głową, choć był tu obcy, i mówili: „Dzień dobry. Co słychać?” Nie pozostawało nic innego jak również kiwnąć głową i odpowiedzieć.

Opuścił szyby w explorerze i zamknął Hammera w tylnej części auta. Hammer radośnie zajadał suchą karmę dla psów i chleptał wodę z miski. Zaszczekał raz groźnie na wielkiego rudego ogara, który siedział majestatycznie między drabinami na platformie pobliskiej półciężarówki jakiegoś malarza. Ogar pomachał tylko ogonem.

- Dzień dobry. Co słychać?

Quentin zajął narożny boks, gdzie mniej zwracał ogólną uwagę. Rozłożył przed sobą komplet zakupionych książek o historii tutejszego regionu i broszur turystycznych. Zamówił gofry, popijał czarną kawę i metodycznie przedzierał się przez gąszcz informacji. Był to przyspieszony kurs historii Powellów i Tiberów, łącznie z opowieścią o Erimie i zniknięciu Annie, którą przeczytał dwukrotnie. W nowszych broszurach, gdzie wyliczano godne uwagi tutejsze wydarzenia, nie znalazł ani jednej wzmianki o Żelaznej Niedźwiedzicy. Zaczęło go to dręczyć, choć odsuwał tę myśl od siebie.

- Boże, zupełnie jak Ursula - powiedziała kelnerka, przynosząc mu gofry i błyskając złotymi zębami w uśmiechu. - Wtyka pan przez cały czas nos w książkę. Co pan czyta? - Dotknęła długim sztucznym paznokciem tomika opowieści z hrabstwa Tiber i prychnęła. - Tu są fantastyczne opowieści o Tiberach. Przeczyta je pan i będzie myślał, że Tiberowie chodzą po wodzie, a reszta mieszkańców nie umie nawet pływać.

- Nie umie nawet brodzić - poprawił mężczyzna przy kontuarze, a inni parsknęli śmiechem. I zanim Quentin zdołał wtrącić choćby słowo albo pytanie, współstołownicy zaczęli mu przedstawiać swoją własną wersję historii hrabstwa. Usłyszał informacje o swojej rodzinie z różnymi barwnymi szczegółami, łącznie z opowieścią o przybyciu Żelaznej Niedźwiedzicy i o tym, jak od tego dnia mój ojciec zawsze jej bronił. Kiedy skończyli opowiadać o nocy, gdy zmarła panna Betty, i późniejszej konfrontacji między tatą a panem Johnem, Quentinowi jedzenie wystygło, i zapomniał o nim, trzymając nieruchomo w rękach pustą filiżankę po kawie.

Poszedł do kasy, by zapłacić rachunek, a krępy starszy mężczyzna odwrócił się na krześle barowym, żeby mu się przyjrzeć zmrużonymi oczami.

- Słyszałem, że pan i Ursula Powell usadziliście onegdaj Johna Tibera na dupie - powiedział. Miał na sobie roboczą koszulkę przetwórci „Drób Tiberów”. Reszta stołowników przyglądała się tej scenie w milczeniu.

Quentin, spodziewając się kłopotów, przeniósł wzrok z firmowego znaku na oczy tego mężczyzny.

- Być może.

Na twarzy jego rozmówcy pojawiło się rozbawienie i wyraz szacunku.

- Zatem pasuje pan jak ulał do Powellów. Oni drą koty z Tiberami od stworzenia świata. Jak nikt inny potrafią ich przypilnować. Cieszę się, widząc, że przejmuje pan to w swoje ręce.

- No, Albercie, ostatecznie to jego tata stworzył Żelazną Niedźwiedzicę - wtrącił szofer ubrany w kombinezon. - Ma we krwi obronę tego, w co wierzy.

Quentin położył rachunek i pieniądze na kasie. Kelnerka mu je zwróciła. Właściciel baru odwrócił się od skwierczącej patelni.

- Śniadanie było na koszt firmy, panie Ricconi - powiedział. - To dla nas zaszczyt.

Quentin podziękował, kiwnął głową pozostałym i wyszedł na powietrze, ciepłe i pachnące kwiatami. Za parkingiem teren opadał wielkimi zalesionymi połaciami w dolinę pocętkowaną domkami i poprzecinaną linijkami dróg. W oddali iskrzyły się w blasku słońca zielone góry. Tak błękitnego nieba jeszcze nigdy nie widział. W niektóre dni raj bywa łatwą iluzją.

Głęboko odetchnął świeżym powietrzem.

Ja też byłam tego ranka w mieście i zajmowałam się swoimi sprawami. Usiłowałam skoncentrować się na prostym zadaniu załadowania wózka produktami żywnościowymi w „Piggly Wiggly”. Niemal każde miasto w górach miało taki sklep. Nasz był trochę odmienny od innych - mały, skromny i praktyczny. Nie można tu było kupić wina czy piwa ani surowców na sushi, ani nawet szpinakowej sałaty pierwszego gatunku. Był to sklep z podstawowymi artykułami spożywczymi. Zastanawiałam się właśnie nad ceną kilogramowej paczki taniego jedzenia, gdy z magazynu sklepowego przez obrotowe drzwi weszła Janine Tiber.

W ręce miała polakierowany na mahoń blok z plikiem przypiętych notatek. Za nią szło pół tuzina ubranych w eleganckie garnitury panów i pań. Dostrzegłam roleksy, szaliki od Gucciego i brylantowe spinki do mankietów. Janine wyglądała szczupło i autokratycznie w ładnym płóciennym kostiumie i dobranych do niego czółenkach. Jej jasne włosy były jak zwykle w pracy ściągnięte do tyłu i spięte na karku złotą klamrą.

Zakłęłam pod nosem. Ja miałam skórzane sandały, spłowiałe szorty i faulknerowski podkoszulek wygrany na loterii podczas targów księgarskich. William Faulkner spoglądał ponuro z mojego biustu. Włosy pachniały mi wciąż balsamem na wymiona.

- „Piggly Wiggly” jest w tym regionie jednym z najpoważniejszych klientów przetwórci „Drób Tiberów” - mówiła, idąc. Oprawdzała grupę inwestorów. Rozeszły się pogłoski, że za rok lub dwa, gdy pan John odejdzie na emeryturę, ona zamierza rozbudować przedsiębiorstwo. Janine przestała mówić i na czele swojej armii wkroczyła w moją wąską alejkę. Stałam obok chłodni z mięsem od Tiberów, blokując wejście swoim wózkiem. Jej oczy miały błyski.

- Dzień dobry.

- Dzień dobry. - Skinęłam głową grupie przybyszy, którzy utkwili we mnie wzrok. - Proszę chwilkę poczekać, usunę się państwu z drogi. - Zaczęłam manewrować wózkiem, chcąc wyminąć stojak z suszonymi wołowymi płacami po przeciwnej stronie alejki. Wjechałam w te płaty, koło się zablokowało. Potrząsnęłam wózkiem, pomagając sobie nogą. Janine nic nie mówiła, ale niecierpliwie ściągnęła wargi. Twarz mi płonęła. Znowu uderzyłam w ten stojak. Kilka paczkowanych próżniowo opakowań pikantnych płatów wołowych spadło na podłogę. Przykucnęłam i zaczęłam zbierać te cholerne opakowania.

- Jest pani stałą klientką „Piggly Wiggly”? - spytała kobieta ubrana w czerwony jedwabny kombinezon.

- Przez całe życie. - „I w tym piekielnym równoległym świecie również”. Stałam z rękami pełnymi wołowych płatów. Zaczęłam wkładać je z powrotem na miejsce. Nikt, a zwłaszcza Janine, nie ruszył palcem, żeby mi pomóc.

- Zróbmy szybki wywiad z klientką - zaproponowała w końcu reszcie towarzystwa ta kobieta w czerwonym jedwabnym kombinezonie. Podeszła do mojego wózka. - Czy pani kupuje tu wyroby przetwórci „Drób Tiberów”?

Umieściłam ostatnie opakowanie płatów wołowych na właściwym miejscu. Miałam dosyć. Spojrzałam na Janine, potem na tę w czerwonym jedwabnym kombinezonie.

- Nie jadam kurcząt - odparłam szczerze i bez osłonek.

Oczy Janine błysnęły. Kobieta w czerwonym jedwabnym kombinezonie pytająco uniosła brwi.

- Och! Dlaczego?

- Mój ojciec był farmerem i kontraktowym hodowcą Tiberów. Dorastałam, szuflując kurze łajno i zakopując padłe kurczęta. Jedliśmy kurczaki, bo na nic innego nie było nas stać. Roczny dochód kontraktowych hodowców ledwie przekracza minimalną płacę po odliczeniu kosztów karmy, urządzeń i robocizny. Oczywiście farmer zazwyczaj nie ma wyboru, bo jego kurniki zostały zbudowane za pieniądze pożyczone w Banku Tiberów, kontrolowanym naturalnie przez Tiberów. Musi spłacać długi hipoteczne, nie może więc zbyt się uskarżać. To usankcjonowana przez rząd forma kontraktowego niewolnictwa. - Uśmiechnęłam się. -

Poprzysięgam sobie, że jak tylko się wyzwolę, nigdy więcej nie zjem kurczaka.

Grupa inwestorów patrzyła na mnie z niechęcią i z kamiennym wyrazem twarzy. Nie

powiedziałam im nic, czego by nie wiedzieli, po prostu wprawiłam ich w zakłopotanie. Po drugiej stronie alejki za boksami chłodniczymi z mrożonkami stało kilka kobiet - pani Greene, Juanita i Liza - i słuchało, a ich zsunięte razem wózki przypominały metalowe krowy porozumiewające się przy korycie z wodą. Liza mi przyklasnęła.

- Bądź silna i pozostań w świetle reflektorów - zawołała cicho.

„Dlaczego ściągam na siebie kłopoty? Mam ich już i tak sporo”. Straciłam rozum. Przez Quentina. Międzysie mu pomogły. Wieść o tym incydencie się rozejdzie.

Janine była wściekła.

- Przepraszam, że nierozmyślnie naraziłam państwa na kontakt z naszą lokalną polityką - powiedziała swojej grupie głosem, którym można by ciąć metal. - Zapewniam państwa, że to kwestia osobistych nieporozumień, a nie poważna sprawa, która wywołuje złą wolę czy kontrowersje w postępowaniu z kontraktowymi hodowcami. W gruncie rzeczy przetwórnia „Drób Tiberów” cieszy się sympatią tutejszej społeczności, a my traktujemy naszych pracowników jak rodzinę.

- To prawda. Ja jestem jej kuzynką i ona traktuje mnie jak pracownicę - oznajmiłam.

Po tej uwadze ujrzałam w oczach Janine wrogość. Mogłaby mnie udusić.

- Idziemy dalej - powiedziała gładko, po czym obeszła mnie wraz ze swoimi inwestorami i zaprowadziła ich do kierownika sklepu. A ten skierował gości do oddalonej alejki. Pięć sekund później wróciła do mnie. Rzuciła notatki do skrzyni z mięsem i ujęła się pod boki.

- Najpierw publicznie obrażasz mojego ojca, a teraz z kolei mnie. Och, słyszałam sporo o twoim gościu, twoim nożowniku z Nowego Jorku, co to wymachuje pieniędzmi i twierdzi, że Żelazna Niedźwiedzica jest wartościowym dziełem sztuki. Najwyraźniej przekonał cię, że wzbogacisz się na tym szmelcu. O to zatem chodzi? Biedna nędzarka Ursula wciąż usiłuje dowieść, że jest kimś. I wierzy, że znalazła podtatusiałego lowelasa, który sfinansuje te wysiłki. Nie mogłaś zyskać u nikogo szacunku stypendium na Emory czy dyplomem wydziału biznesu i zarządzania. Zawiodłaś jako przedsiębiorca, twoje wydawnictwo jest śmiechu warte, wróciłaś do domu bez pieniędzy, twój brat wylądował w zakładzie, teraz więc możesz liczyć jedynie na sutą jałmużnę od gangstera. Moje gratulacje. Kontynuujesz rodzinną tradycję Powellów, żeby być zerem i niedojdą.

Uderzyłam ją otwartą dłonią w twarz i pchnęłam. Zatoczyła się do tyłu i walnęła w stojak z pikantnymi suszonymi płatami wołowiny. Ten przewrócił się na bok, a Janine potknęła się i siadła na nim. Płaty suszonej wołowiny rozleciały się na wszystkie strony.

Quentin przyglądał mi się przez kraty celi zatrzymań, gdzie siedziałam wyprostowana na metalowej ławce, trzymając ręce na kolanach.

- Czy pani uprawia również zapasy w błocie?

- Tylko z moimi krewnymi. Nie musiał pan tu przychodzić. Umiem sama z tego

wybrnąć.

- Nie tym razem. Trzeba było zapłacić sklepowi za zniszczony stojak z pikantnymi płatami wołowymi.

Spoglądałam prosto przed siebie.

- Dziękuję panu.

Opierał się o kraty, jedną nogę założył na drugą, a ręce trzymał w kieszeniach spodni. Udawał nonszalancję ze względu na mnie, jak wierzyłam.

- Proszę bardzo.

Zastępczyni naczelnika, pani Dixon, potrząsała swoją siwowłosą głową, otwierając szeroko drzwi celi.

- Myślę, że dam wam wszystkim po kluczu.

Poszła z powrotem korytarzem i zostawiła nas samych. Quentin pogroził mi palcem.

- Wychodź, Xeno, wojownicza księżniczko. Jesteś wolna. Bez kaucji. Zarzuty zostały wycofane. Ci Tiberowie najwyraźniej lubią nakazywać aresztowanie swoich krewnych, a potem ich zwalniać, demonstrując rodzinne pokrewieństwo. Wstałam.

- To tradycja na Południu.

Kiedy wyszłam z celi, Quentin się wyprostował i spoważniał.

- Słyszałem, że stało się to z mojego powodu.

- Częściowo.

- Przykro mi. Ludzie zapomną, jak tylko stąd wyjadę. A dojdzie do tego, kiedy Arthur pozwoli mi zabrać tę rzeźbę.

- Mam rachunki do płacenia i lokatorów zależnych ode mnie, i brata, który jest bardziej dzieckiem niż dorosłym człowiekiem. Muszę zapewnić mu przyszłość. To jednak nie znaczy, że lubię to, co muszę robić. I nie podoba mi się, że oskarżono mnie o napaść i posłano do więzienia! Ludzie tego nie zapomną!

Słuchał, nie okazując żadnej reakcji, nie spuszczać wzroku z mojej twarzy.

- Zamierzam postąpić tak, żeby się to pani opłaciło - powiedział. - Jeśli będzie pani bogata, ludzie w ogóle nie będą się interesować tym, co się wydarzyło dzisiaj.

- Nie zna pan tego miasta i nie zna pan mnie. Proszę więc oszczędzić mi swoich zakichanych przewidywań.

Zmroziło to atmosferę. Jeśli istniały złe Międzysie Arthura, to uwięzły w kryształowych warstwach lodu, które wygenerowaliśmy.

- Nie składam obietnic, których nie mogę dotrzymać - oznajmił ze spokojem.

- Proszę mi nie składać w ogóle żadnych obietnic. Na końcu korytarza z hałasem otworzyły się drzwi.

- Idziecie czy zamierzacie urządzić sobie tu mieszkanie?! - zawołała pani Dixon.

Wyszliśmy z małego ceglanego budynku w pełnym napięcia milczeniu. Na dworze

czekał mały tłumek. Moi lokatorzy podeszli do mnie. Uczepiony u ręki Lizy stał z nimi Arthur. Zatrzymał się, ciężko oddychał, a w jego oczach malowało się okropne przerażenie, gdy przenosił wzrok ze mnie na Quentina.

- On myślał, że będziesz tu zamknięta na zawsze - szepnęła Liza. - Bał się, że umrzesz i nikt mu o tym nie powie.

Próbowałam go dotknąć, ale się cofnął.

- Nic mi nie jest, kochanie - powiedziałam ze znużeniem. Arthur podskoczył do Quentina.

- Bracie Niedźwiedziu. - Głos mu się łamał. - Nie pozwolisz, żeby coś złego wydarzyło się mojej siostrze, prawda?

- Twoja siostra może sama o siebie zadbać.

- Nie, Międzysie niemal ją dopadły, wczoraj i dzisiaj znowu! Tak jak dopadną Mamę Niedźwiedzicę, jeśli zrobię złą rzecz. Ale ty nie pozwolisz, żeby stało się coś złego. Ja to wiem. Tak długo, jak tu jesteś, nie mamy żadnych wielkich pustych przestrzeni! - Objął Quentina i mocno się do niego przytulił. Quentin stał, zachowując nieubłaganą rezerwę, w końcu podniósł rękę, poklepał mojego brata po ramieniu i delikatnie wyzwolił się z jego objęć. Ogarnął mnie lęk.

Arthur znalazł sobie bohatera i myślał, że Quentin zostanie tutaj na zawsze.

Gościnność wymagała, żebym zaproponowała Quentinowi pobyt na farmie. Ku mojej konsternacji przyjął zaproszenie.

- Im bliżej Arthura będę przebywać, tym szybciej podejmie decyzję - powiedział.

Zatelefonował do starego sierżanta, żeby zawiadomić go o zwłoce. Popeye był jedyną osobą, która wiedziała, że Quentin odnalazł tę rzeźbę. Ponieważ Quentin wiele czasu spędzał na częstych i długich wyprawach poza granicami stanu, kupując i rozbierając nieruchomości, nikt nie uważał jego nieobecności za jakąś nadzwyczajną rzecz. Wkrótce jednak mogą zacząć padać pytania.

- Co, do diabła, robisz tam na Południu? - burknął Popeye. - Używasz sobie z tą dziewczyną z gór?

- Negocjuję.

- Jest ładna?

- Sierżancie, przestańcie drażnić.

- Nie jest zameżna czy coś takiego?

- Przestańcie.

- Muszę cię ostrzec, synu, jeśli pozwolisz złapać się kobiecie z gór, to wyciśnie z ciebie duszę. Tam w górach wyrastają kobiety twarde i pożądlive.

Quentin zlekceważył typową dla sierżanta chępliwość i nie zdradził się z niczym, co by dotyczyło jego nowej sytuacji. „To ja jestem pożądlivy” - pomyślał.

Odrzucił propozycję Ursuli, by zatrzymał się w jej domu na farmie - chciała mu odstąpić sypialnię swojego ojca - i spał w skromnym, na pół umeblowanym mieszkaniu na końcu drugiego kurnika, w którym lokatorzy urządzili sobie pracownię. Przez otwory w ścianie sypał się od Ledbetterów pył z toczków i pieców do wypalania ceramiki. Dodatkowe ciepło z pieca szklarskiego Lizy sprawiało, że w dwóch malutkich pokoikach panował upał. Klimatyzator okienny był zepsuty, w małej kuchence działał tylko jeden palnik, rezerwuar w klozecie przeciekał.

„To jest test” - pomyślał ponuro. Otworzył drzwi i jedno małe okno, włączył elektryczny wentylator, który dała mu Ursula, i spędzał tam możliwie jak najmniej czasu. To było wszystko, co mógł zrobić, żeby powstrzymać się od pracy nad tym miejscem. I nade mną. „Bardzo jej się nie podoba, że tu jestem. Cały czas mnie pilnuje”.

Arthur chodził za nim jak psiak, często w milczeniu, obserwował go ze smutnym uwielbieniem i rozmyślał o objawionych mu przez niego Międzysiach i o decyzji, którą miał powziąć. Chodził i kulił się, polerował rzeźbę gołymi rękami, nie mógł jeść, robił się coraz cichszy. Błądł za każdym razem, gdy Quentin próbował wciągnąć go w rozmowę o przyszłości.

„Mogłabym położyć temu kres” - zaczęłam powtarzać sobie w duchu. Mogłabym po prostu powiedzieć Quentinowi, żeby wyjechał, zostawił nas w spokoju. Powinnam to była zrobić na początku. Tylko co wtedy powiedziałabym Arthurowi? On by pomyślał, że Quentin umarł. W kruchym świecie mojego brata w każdej chwili wszyscy mogli umrzeć. Przez ten dylemat rzucałam się w nocy na łóżku. Zbudziłam się ze snu, w którym byłam bezdomna i znalazłam Arthura pobitego na śmierć, leżącego obok grobów mamy i taty.

Wybiegłam na dwór w ciepłą księżycową poświatę, zrobiłam głębokie wdechy, potem kucnęłam koło kurka na podwórku, obmyłam twarz i szyję lodowatą wodą ze studni. Klęcząc tam, bosa i jedynie w cienkim bawełnianym stroju, uniosłam głowę i ujrzałam Quentina idącego przez pastwisko. Potknęłam się o własną nogę.

Podszedł do rzeźby, stanął przed nią i wpatrywał się w zwięzający się niedźwiedzi pysk, który jego ojciec zrobił z wielkich żeliwnych kotłów kolekcjonowanych przez mojego ojca. Garbił się. W jego sylwetce nawet przy świetle księżyca odzwierciedlała się zarówno siła, jak i porażka. Był bardzo samotny. Przycisnęłam dłoń do serca i wymknęłam się cichutko poza obręb światła na ocienione drzewami tylne podwórko.

„Słuchałabym, gdybyś mógł mi powiedzieć. Powiedziałabym ci, gdybyś mnie słuchał”.

Odwrócił głowę w moją stronę. Nie miałam wątpliwości, że widział mnie w tej przezroczystej szatce, z ręką na sercu, jakby ślubującą wierność. Przez chwilę przechodziły mnie ciarki, bo myślałam, że tu podejdzie, ale on obrócił się na pięcie i poszedł wolno do siebie.

Nigdy o tym nie wspominaliśmy.

- Co on mówi tej rzeźbie? - spytał Quentin. Następnego wieczoru patrzyliśmy z ganku na Arthura, który skulił się na postumencie Żelaznej Niedźwiedzicy, objął rękami kolana i kołysał się, poruszając ustami, jakby brał udział w ożywionej konwersacji. Zagubiony był w jakimś odludnym świecie.

- Rozmawia z nią codziennie przy zachodzie słońca. Taki ma zwyczaj. Kiedy był dzieckiem, ona go uspokajała. A teraz Arthur twierdzi, że to on próbuje uspokoić niedźwiedzicę. Pytałam go dzisiaj po południu, czy jest bliższy podjęcia decyzji. Powiedział, że Mama Niedźwiedzica wciąż jeszcze się zastanawia.

Quentin odchylił się do tyłu na starym krześle, oczy miał zatroskane.

- Czy pani też z nią rozmawia?

Zawahałam się. Wszystko, co mu mówiłam o sobie, wydawało się zbyt intymne.

- Każdy, kto spędza dłuższy czas z tą rzeźbą, zaczyna z nią rozmawiać. Nic na to nie można poradzić.

Zmarszczył brwi.

- Nigdy nie rozmawiałem z żadną z rzeźb mojego ojca, nigdy nie wydawały mi się naprawdę żywe.

- Czy pan rozumie, co Żelazna Niedźwiedzica oznacza dla nas? - spytałam.

- Dziecięce wspomnienia. Rozumiem to.

- To nie takie proste. - Przesiadłam się z krzesła na schodki u stóp Quentina i patrzyłam na niego, jakby się modłać. Gdybym tylko mogła sprawić, żeby to zrozumiał! Wtedy może nawiązałyby się nie przyjaźni między nami, między naszymi rodzinami. I być może Arthur miałby się czego uchwycić bez względu na to, co się stanie z tą rzeźbą.

- Nie wiem, co powiedziałby panu mój ojciec, ale wiem, że pragnąłby postąpić uczciwie - zapewniałam żarliwym tonem. Gestykułując, niemal musnęłam ręką materiał jego spodni. Gotowa niemal byłam go dotknąć, sięgnąć po jego ręce, które trzymał na kolanach odwrócone dłońmi do góry. Wychylił się do przodu, marszcząc brwi i bacznie słuchając, a jego srebrnoszare oczy nie opuszczały mojej twarzy. - Ciężko się tu żyło. Tata nie miał wielu możliwości. Nauczył się cenić to, co miał... a nawet celebrował to, co miał. Był prawym człowiekiem. Doprawdy na wskroś prawym. Wierzył w uczciwość i dzielenie się z innymi. Podzieliłby się też wszystkim z panem, tego jestem pewna. - Wahałam się przez chwilę. - Wtedy w więzieniu byłam na pana zła, bo zachowałam się głupio. I dlatego, że pragnę tych pieniędzy, bo chciałabym zachowywać się po pańsku wobec każdego cholernego Tibera w tym hrabstwie. Ojciec wstydziłby się za mnie.

Już chciałam się odwrócić, ukryć własne uczucia i zmienić temat, ale Quentin dotknął koniuszkami palców mojego ramienia.

- Nie, wcale by się nie wstydził. Byłby z pani dumny. Nie ma nic złego w tym, że pragnie się pieniędzy, aby zadbać o swój dom i rodzinę.

Popatrzyłam na niego bezradnie.

- Jest pan jasnowidzem?

- Ani trochę. Po prostu nie mogę sobie wyobrazić, żeby ktoś nie czuł się dumny z takiej córki jak pani.

Oblało mnie gorąco.

- Moja lokatorka, Liza, mówi, że rozmawia z tatą we snach. To są dyrdymały.

Naprawdę to nie wierzę w tego rodzaju rzeczy, ale jednak. Próbowałam o nim śnić. I najgorsze, że kiedy on mi się przyśni, nie mogę mówić. Albo mówię i wiem, że on mnie nie może usłyszeć.

- I budzi się pani zrana zimnym potem i ze ściśniętym gardłem.

Spojrzałam na niego.

- Jest pan jasnowidzem.

- Miewałem tego rodzaju sny.

- Niech mi pan opowie o swoim ojcu - poprosiłam po chwili wahania.

- Nie lubię o nim opowiadać. Nie ma co mówić... i najwyraźniej nie mogę o tym mówić nawet we snach. Umarł tak dawno.

- Był dobry? Kochał go pan?

- To nie ma znaczenia.

- Ale wciąż się panu śni?

- Staram się, żeby mi się nie śnił.

- Jak więc pan żyje z tym, czego nie może ani zmienić, ani wyjaśnić?

Spochmurniał.

- Wstaję rano i zapominam, że istniał.

- Nie jest łatwo się odseparować, przestać kochać. Oczy mu się zwężyły. Patrzył na mnie tak, jakbym celowo go prowokowała.

- Ćwiczenia prowadzą do doskonałości. Wyrzuciłam ręce w górę, oburzona.

- Czytałam artykuł, w którym pisano, że popełnił samobójstwo. Zgadza się? Wiem, co się z nim stało. Domyślałam się, co to znaczyło dla pana i pańskiej matki.

Oczy mu pociemniały. „No dobrze, ona chce wiedzieć i myśli, że potrafi zrozumieć”.

- Strzelił sobie w klatkę piersiową. Znalazłem jego zwłoki. Wciąż jeszcze czuję zapach krwi. Wciąż widzę dziurę nad sercem, strzępki skóry i koszuli rozrzucone po całym jego ciele. Pamiętam, jaki był zimny, gdy dotknąłem go ręką. Widzę wyraz jego oczu. Jak bardzo był samotny, gdy umierał. Tak go widzę w snach.

Odwróciłam wzrok, oszołomiona i zawstydzona, że tak drażyłam ten temat. Nerwowo poruszyłam ręką i przypadkowo dotknęłam jego dłoni. Takie przesunięcie ręki po jego otwartej dłoni w geście przeprosin i współczucia wydawało się rzeczą całkiem naturalną. Nie miałam pojęcia, jak zareaguje.

On jednak położył drugą dłoń na mojej i obróciwszy ją, splótł swoje palce z moimi.

- Przepraszam, że wygarnąłem to wszystko w taki sposób. - Głos miał szorstki, ale uścisk delikatny i elektryzujący.

Zwróciłam znowu twarz w jego stronę.

- Nie przyszło mi do głowy, że to właśnie pan go znalazł. Nie byłabym pytała.

- Nie lubię po prostu o nim rozmawiać. Zawsze gdy o nim myślę, pamiętam, jak umarł.

Nic, co mógłbym powiedzieć, nie może tego zmienić.

Potrząsnęłam głową.

- „Milczenie to najgorszy wróg nadziei”. Nie pamiętam, kto to powiedział. Może Platon albo jakiś święty. Ale to prawda.

Wolno odchylił się do tyłu i puścił moją rękę. Znow schował się za ochronną tarczą.

- Szanuję panią, proszę więc nie psuć tego takimi radami, jakie mógłbym znaleźć w ciasteczkach z wróżbami. - Ton jego głosu przyprawił mnie o dreszcz.

Przewinęło mi się przez myśl jedno z ulubionych powiedzonek mamy. Nie myślałam o tym od lat, a teraz nagle mama stała obok mnie, silna i prosta, i ostrzegała.

„Nie ty trzymasz węża, to wąż trzyma ciebie”. Quentin wciągnął mnie do gry, ale jedynie po to, by później się z niej wycofać. Wstałam.

- Zaprzyjaźnienie się ze mną i Arthurem to dla pana tylko niezbędny manewr, prawda? - spytałam spokojnie. - Mówi pan to, co trzeba mówić, i robi to, co trzeba robić, wszystko jest wykalkulowane. Nie chce pan, żebyśmy pana poznali, nie chce pan poznać nas. Uważa pan po prostu, że jesteśmy śmieszni, bo naprawdę nie odczuwa pan prawdziwego szacunku.

- To wcale nie tak, ale przyjechałem tu w interesach, a nie po to, żeby opowiadać smutne historie albo analizować życie mojego ojca. Powinna pani o tym pamiętać.

- Będę od teraz. - Niedługo lokatorzy zaczną się schodzić na kolację. Na kuchence miałam wielki garnek z gulaszem, w lodówce sałatkę ziemniaczaną. Musiałam nakryć do stołu, pełnić obowiązki pani domu kiedyś ojca, teraz mojego. - Proszę mi wybaczyć. - Weszłam do domu. Gorące podwieczorne słońce nie mogło zapobiec nienaturalnemu dreszczowi.

Tej nocy Quentin leżał na małym tanim łóżku w dawnym kurniku i posepnie odtwarzał sobie naszą rozmowę. Drzwi zostawił otwarte, żeby pozbyć się stęchłego powietrza i gorąca. Zamknął tylko zewnętrzną siatkę ochronną. Wentylator w oknie owiewał mu nagie ciało ciepłym, letnim, pachnącym powietrzem - była to delikatna woń zbliżona do zapachu winogron. Splótł ręce za głową i wpatrywał się w wąskie okno i rozgwieżdżone niebo nieskażone światłami miasta. Hammer spał przy łóżku na podłodze z płytek, drżąc i ciężko dysząc na wspomnienie o szaraku, którego widział na pastwisku.

„Tak łatwo tu zapomnieć, kim się jest - myślał Quentin. - Jej ręka na mojej dłoni. Jej niebieskie oczy szeroko rozwarte i nie tak bardzo przywiązane do świata, jak uważa. Nie

doszła jeszcze tak daleko, nie znienawidziła tak bardzo swojego życia. Lecz pod wieloma względami jesteśmy do siebie podobni. Ta sama chmura wisi nad nami. Dorastanie w biedzie. Kochający, ale nie zawsze rozumni rodzice. Strata tego, kto cementował całą rodzinę. I to, że nigdy nie zapominamy".

Jęknął cicho i zamknął oczy.

„Nie chcę jej zranić, ale znalazła się zbyt blisko".

Rozdział 14

Potem każda chwila spędzana w towarzystwie Quentina naładowana była sprzecznymi emocjami. Widziałam przebłyski humoru, dobroci, wielkiej inteligencji, ale zawsze też tę kamienną warstwę ochronną, ten nieznośny mur. Zdawałam sobie sprawę z tego, że sama skrywam się za prostszą wersją takiego pancerza. Niemniej w jego obecności czułam się zupełnie bezbronna.

Zaprowadziłam go do stojącego samotnie domostwa Washingtona i przedstawiłam sobie obu panów. Siedliśmy z profesorem na ganku, popijaliśmy mrożoną herbatę z kryształowych szklanek i jedliśmy upieczony przeze mnie tort. Washington pokazał palcem na hamak, w którym przez wiele nocy sypiał mój brat.

- Może mogłabyś mi wytłumaczyć, co we śnie Arthur ściska w objęciach.

Arthur tak często używał tego hamaka jako łóżka, że położyłam mu tam poduszkę i cienką kołdrę. Doktor Washington wyciągnął spod poduszki mocno zniszczony egzemplarz książki Hemingwaya *Stary człowiek i morze*.

- On tę książkę trzyma jak ochronny puklerz. Ursulo, czy wziął ją z regałůw twojego ojca?

- To moja książka - powiedział Quentin. - Zostawiłem ją na siedzeniu w samochodzie. I zniknęła.

Skrzywiłam się.

- Przykro mi. Arthur nie jest złodziejem. On po prostu chciał mieć coś pańskiego jako pamiątkę. Jako talizman. - Spojrzałam chłodno na Quentina. - Czy pan tego chce, czy nie, teraz jest pan jednym z Międzysiów, które utrzymują jego świat.

- Tylko od niego zależy, w co chce wierzyć. Zostawmy mu książkę. - Quentin wsunął ją z powrotem pod poduszkę.

Kiedy próbowałam mu podziękować, potrząsnął głową i natychmiast zmienił temat.

- Mógłbym obejrzeć pańską stodołę? - zwrócił się do profesora. Stodoła Washingtonów była dwupoziomowym architektonicznym cudactwem z grubo ciosanych bali. Górny poziom, dwukrotnie większy od dolnego, siedział na mniejszym dolnym niczym kapeluszu na olbrzymim drewnianym grzybie. Wysunięta część piętra tworzyła zakrytą rampę wokół dolnej kondygnacji, z której kiedyś Washingtonowie zrobili oborę dla swoich mlecznych

krów.

- To konstrukcja wspornikowa - wyjaśnił doktor Washington. - Tutaj rzadka. Mój brat Fred zawsze był bardzo dumny z tej stodoły.

- Styl holenderski, prawda? Czytałem o podobnych stodołach we wschodnim Tennessee.

- Owszem.

- Gdyby chciał pan kiedyś ją sprzedać, proszę mi dać znać.

Doktor Washington spojrzał na niego z zainteresowaniem.

- Co by pan robił ze starą stodołą z bali?

- Sprowadziłbym tu ekipę, rozebrał stodołę i zabrał w kawałkach do Nowego Jorku. A tam sprzedałbym kupcowi, który ponownie by ją złożył.

- Miałem wrażenie, że zajmuje się pan tylko stylowymi obiektami architektonicznymi.

- Zgadza się. Już choćby tylko mistrzostwo elementów z żelaza sprawia, że pańska stodoła jest wspaniała.

- Przyznaję, że nie zawsze ją lubiłem, ale teraz jestem mądrzejszy. Mój prapradziadek wykuwał ręcznie każdy gwóźdź, każdy zawias, każdy hak. Wierzył, jak napisało jedno z jego dzieci, że „tchnął ducha afrykańskiej mocy” we wszystko, co wykuł. Dzieło własnych rąk miało być świadectwem jego dziedzictwa i dumy, choć on sam przez większość życia był niewolnikiem.

Quentin słuchał z szacunkiem.

- Powiedziałbym, że był artystą.

- To interesujące. Przypuszczam, że rzeczywiście był.

Quentin powędrował do stodoły, stanął pod wysuniętym piętrem i dotykał masywnych żelaznych zawiasów u wrót do obory.

- On sam jest interesującym człowiekiem - powiedział do mnie doktor Washington.

Westchnęłam, sfrustrowana.

- Wyczytałam w pewnym artykule, że ojciec wprowadzał go w tajniki pracy z metalem. On lubi żelazo.

- Najwyraźniej docenia historię, choć zdecydowanie nie bawi się w sentymenty. Tak wiele sprzeczności.

Mogłam tylko pokiwać głową na potwierdzenie słuszności tej opinii.

„Nie mogę tak postępować, nie mogę tu po prostu tylko siedzieć” - uznał Quentin, gdy dalszy dzień mu się dłużył i nic nie wskazywało na to, że intensywne rozmyślenia Arthura wkrótce przyniosą efekt. On i Ursula wykorzystywali wiele pretekstów do unikania się nawzajem, albo przynajmniej czymś zajmowali się - jedno w obecności tego drugiego. Quentin zapoznał się z techniką wydmuchiwania szkła Lizy i umiejętnościami ceramicznymi Ledbetterów. Wyregulował im zwichrowany toczek i wymienił przewody wypustu ich

większego pieca ceramicznego. Naszkicował projekt nowego okna do małej pracowni malarskiej Weldona. I gdy Oswald kończył erotyczny leśny pejzaż, zatytułowany *Kutasolas*, który wszyscy ignorowali z powodu jego obrzydliwości, stał obok i robił poważne uwagi.

„Zostałem już w to wplątany” - powiedział sobie. „Nie szkodzi, gdy czymś się zajmę”.

Dom na farmie zapraszał go do siebie, jakby obdarzony był głosem. Quentin wyobrażał sobie, że to głos kobiety, i to o brzmieniu bardzo południowym. W gruncie rzeczy mój głos. Dom skromnie wyposażony i pełen starego drewna owijał się jakby wokół niego, za każdym razem, gdy przekraczał drzwi kuchni. Przez wiele lat wdychał zapach ognia płonącego na kominku i przetworów domowych, pieczonego chleba kukurydzianego i placka z jabłkami, starych bawełnianych zasłon i pastowanego linoleum.

Pewnego ranka przy śniadaniu Quentin przyglądał się, jak Ursula miesi ciasto w drewnianej dzieży, rzeźbionej przez prababkę, i krew w nim zawrzała, tak jakby poczuł jej ręce na swoim ciele. Musiał wyjść na dwór, potrząsając głową z nieradosnym rozbawieniem z powodu swojego podekscytowania. Takie wrażenie zrobiła na nim bosonoga kobieta w skróconym workowatym kombinezonie wyrabiająca ciasto. Praca, fizyczny wysiłek były dla niego jedynym ratunkiem. Mógł w ten sposób wypocić z siebie demony.

Quentin wszedł do mojego pokoju dziennego, niosąc na barczystym ramieniu torbę z narzędziami. Jego wzrok przepalał mi ubranie na ciele.

- Pora naprawić u pani rury i ujścia - oznajmił.

Spojrzałam na niego znad biurka. Wydawnictwo „Lowell Press” obecnie mieściło się tutaj. Na oknie piał się powój, a w usmolonym sadzą kominku - wbiegając i wybiegając - bawiła się mała wiewiórka.

- Co takiego?

Uniósł ręce, jakby mówiąc: „Niech pani patrzy, są puste”.

- Potrzebuję czegoś, co wypełniłoby mi czas, skoro Arthur przeciąga negocjacje. A pani przydałoby się, żeby to i owo zreperować.

Wiedziałam, że jako nastolatek pracował w warsztacie samochodowym i miał dyplom inżyniera. Wiedziałam, że pracował fizycznie i umysłowo, z chirurgiczną precyzją rozbierał domy i fabryki. Lecz nigdy niczego nie budował i nie usiedział na jednym miejscu. Zaboląła mnie myśl, że kiedy odjedzie, będę otoczona wykonanymi przez niego robotami. Gdzie spojrzę, będzie obecny w moim domu - wszędzie i nigdzie.

- Doceniam pańską propozycję, ale nie. Dziękuję panu, nie mogę jej przyjąć.

Zastanawiał się nad moimi słowami, wodząc spojrzeniem po ścianach zastawionych regałami i sprzętem biurowym, starej amerykance i stoliczkach na nóżkach z pazurkami, zsuniętych na bok, żeby było gdzie postawić pudła z niesprzedanymi książkami moich autorów - po moim ogólnie dość kiepsko prezentującym się miejscu pracy.

Podszedł do biblioteczki wypełnionej ulubionymi książkami mojego ojca. Wziął do ręki

grubą księgę o sztuce nowoczesnej i zmarszczywszy brwi, przerzucił kartki.

- Żałuję, że nie poznałem pani ojca. Spytałbym go, jaka pani była przedtem, zanim jeszcze postanowiła pani nie polegać na mężczyźnie. Na żadnym mężczyźnie.

- Nie odnoszę się w ten sposób wyłącznie do mężczyzn - skorygowałam możliwie lekkim tonem. - Również do kobiet, dzieci, zwierząt domowych i martwych przedmiotów. A pan, stary kawaler, może coś w ogóle powiedzieć na ten temat.

Zamknął książkę i odstawił ją na miejsce, po czym z kieszeni koszuli wyjął wykałaczkę i nadgryzając jej koniec, mierzył mnie wzrokiem.

- Stara panna - powiedział z kamiennym wyrazem twarzy.

- Chciałby pan usłyszeć uprzejmą odmowę dziewczyny z Południa? Jeśli coś nie jest zepsute, nie naprawiać.

Pokiwał głową w kierunku paleniska. Nagle pojawiła się wiewiórka ziemna. Ujrzała nas i myknęła z powrotem do dziury w drewnianej listwie podłogowej.

- Lubi pani nory dla miłych szczurków?

- Prawda jest taka: nie mogłabym pracować, gdyby pan hałasował w domu. - Zastukałam w biurko. - Niech pan wierzy lub nie, ale to jest moje przedsiębiorstwo i zarabiam tu, och, ogromną sumę stu dolarów miesięcznie. Naprawdę chciałabym móc zadeklarować to jako stały dochód, kiedy wystąpię o bony żywnościowe.

- Proszę mi opowiedzieć o swojej pracy. - Usiadł na starym drewnianym krześle w pobliżu kominka. Wyglądał tam bardzo dobrze, bardzo odpowiednio. Mrugnęłam, żeby pozbyć się tej wizji.

- Witam w imperium wydawniczym „Powell Press”. - Pokazałam na pudła zgromadzone w jednym rogu pokoju. - Oto mój magazyn. - Potem na biblioteczkę pełną książek i segregatorów, komputerowych spisów adresowych i materiałów promocyjnych. - A to dział marketingu. - Na stół roboczy założony pudłami, naklejkami i rolkami taśmy pakunkowej. - To zaś dział wysyłkowy. - Mogłabym wskazać na podłogę przed moim biurkiem, gdzie przedtem stał, i powiedzieć: - Znajduje się pan na mojej rampie załadunkowej. Proszę uważać na wózki widłowe.

- Chętnie przeczytałbym te dwie książki, które pani wydała.

- Och! - Zadowolona w głębi duszy, wzięłam do ręki ołówki.

- Zatem trafił pan na właściwe miejsce. Rozmawia pan z moim zastępcą do spraw handlowych.

Wstał. Dałam mu te książki i wyszedł, niosąc je pod pachą. Usiadłam z powrotem za biurkiem i ukryłam twarz w dłoniach.

Liza przybiegła godzinę później.

- Czy wiesz, że Quentin doprowadza do porządku twoją stodołę?

Skinął mi głową z góry na poddaszu, którą wraz z Arthurem oczyszczał z połamanych

desek i bali. Jedna z małych wiewióreczek wybiegła z kieszeni jego koszuli i skoczyła Arthurowi na ramię.

- Zaraziłem się od wiewiórek - wyjaśnił sucho Quentin.

- To brzmi przykro.

- Potrzebuję jakiegoś zajęcia. Chyba nie będzie pani przeszkadzać?

- Co mężczyzna teraz zrobi? - spytał głośno Arthur. Trzymał krótką deskę za jeden koniec, a Quentin za drugi.

- Wysadzimy z mojego końca deskę przez dziurę w murze i zrzucimy na dół.

Przyglądałam się, jak manewrowali deską, po czym rzucili ją z hałasem na stos drewna pod ścianą. Nowym hobby Arthura, oprócz rozmyślania nad losem rzeźby, stało się wyciąganie od Quentina informacji o owym stworzeniu, czyli o mężczyźnie. Kiedy Quentin nie był Bratem Niedźwiedziem, ucieleśniał męskość i Arthur desperacko go naśladował. Nigdy dotąd czegoś takiego nie widziałam. Mój brat znalazł sposób na wymknięcie się z niewidzialnych okowów autyzmu. I to dzięki Quentinowi, który nie chciał się niczym przejmować.

- Co robi mężczyzna? - spytał znowu Arthur, podnosząc cięższą belkę.

- Mężczyzna nie wypuszcza tego lizaka, jeśli nie chce upuścić go sobie na palce u nóg - odparł Quentin i chwycił belkę za przeciwległy koniec. Wysuwali ją przez dziurę w murze. Arthur przytrzymywał belkę z posępną koncentracją mnicha studiującego święte teksty. - Teraz mężczyzna puszcza - powiedział Quentin. Belka spadła z odpowiednim łomotem. Arthur się uśmiechnął. Quentin uniósł palec na znak uznania. Miał w sobie tyle delikatności. Arthur to wiedział i nagle spostrzegłam to również ja.

Popatrzyłam w górę na Quentina Riconniego i bez ostrzeżenia, bez sensu i logiki, nie ukrywając tego nawet przed sobą, pomyślałam: „Naprawdę chcę cię kochać”.

Zadzwoił telefon, więc go odebrałam.

- Tata wczoraj dostał bólów w klatce piersiowej i stracił przytomność - oznajmiła Janine.

- Czuje się już dobrze?

- Będzie. Doktor dał mu nowe leki na anginę pectoris i środki uspokajające.

Ostatnio przeżył wiele stresów. Ciekawa jestem, dlaczego. Zaprasza cię jutro na lunch. Oczyszczenie atmosfery może sprawić, że poczuje się lepiej. Przyjedziesz?

- Tak.

- Dzięki.

- Janine, przykro mi, że cię pchnęłam.

- Nie, wcale ci nie jest przykro. Ale zawrę pakt choćby z diabłem, jeśli podczas lunchu będziesz miła dla mojego ojca.

- Przyjmę to zaproszenie, belzebubie, i dziękuję. Odłożyła słuchawkę.

Grań Tiberów - wielki majątek przypominający plantację - znajdowała się parę kilometrów na zachód od miasta i stała się klejnotem rodzinnym w latach sześćdziesiątych. Pan John i matka Janine dostali wtedy w prezencie ślubnym te ziemie i zbudowali tam sobie olbrzymi dom z białymi kolumnami. Pracownicy Tiberów nazywali żartobliwie ten majątek Kogucim Wzgórzem.

Jechałam tam wijącą się brukowaną drogą, mijając po drodze hektary starych jabłoniowych sadów ogrodzonych śnieżnobiałymi płotami na tarasowatych zboczach wzgórz. Dekoracyjne czarne bydło pasło się w górskich dolinach na pastwiskach z soczystą trawą. Kiedy droga zbliżała się do głównego domu, spośród azalii i krzewów laurowych wyjrzało stadko okazałych kur i kogutów z marmuru. Wiele osób w górach ozdabiało swoje podwórka różnymi tworami - jeleniami, gęsiami, niekiedy niedźwiadkami wyciętymi z dykty - ale marmurowy drób to była specjalność Tiberów. Tiberowie poważnie traktowali sztukę na swoim podwórku.

Dwupiętrowy dom z białymi kolumnami w majątku Grań Tiberów usadowiony był majestatycznie na szczycie wzgórza, skąd roztaczał się widok na wschód w stronę miasta. Wjeżdżając na kamienne podwórko, usłyszałam dochodzące z kaplicy college'u bicie dzwonów oznajmujących południe - niesione lekkim wysokogórskim wiatrem. W pogodne dni mieszkańcy tego domu, siedząc na jednym z kilku balkonów, mogli obserwować wieże kościołów, gmach sądu i budynek administracyjny college'u. Nie znaczy to, że taka szansa nadarzyła się kiedykolwiek mnie. Przy tak rzadkich okazjach jak ta, gdy pan John zmusił Janine, by zaprosiła mnie na przyjęcie urodzinowe - a z kolei mój tata wymusił na mnie, bym na nie poszła - figurowałam na sporządzonej przez nią liście B. Oznaczało to, że nie pójdę na górę, by podziwiać jej rozkoszną sypialnię i własny balkon.

Tricky Stuart, również z listy B, otworzyła podwójne drzwi dworu, gdy sięgnęłam ręką do dzwonka. Uśmiechnęła się do mnie.

- Cześć, Niedźwiedzi Pazurze. - Tak mnie nazywano w szkole średniej.

- Cześć, Tricky. - Takie dano jej imię.

Miała na sobie niebieskie poliestrowe spodnie, uniform pokojówki. Kiedy dorastałyśmy, wymieniałyśmy między sobą i porównywałyśmy groteskowe historyjki o zdechłych kurczakach. Jej rodzice nadal zarabiali na życie hodowaniem kurcząt i zbudowali pięć nowych kurników, zapożyczając się i obciążając hipotekę aż do następnego stulecia. Tricky i jej mąż mieszkali razem z nimi i pomagali prowadzić hodowlę, uzupełniając ich dochody pieniędzmi zarabianymi przez Tricky w domu Tiberów. Walczyła, żeby wychować czwórkę dzieci, i robiła to z klasą. Czarne jak węgiel włosy nosiła ze skunksowym blond pasemkiem, uśmiechając się, łyssała z jednej strony złotą koronką na trzonowym zębie, a w jej oczach malowały się twarde oczekiwania bez żadnych fanaberii.

- Jak tam twój nowojorczyk?

Wręczyłam jej naręczę złotych róż, które ścięła mi Liza. Nie było potrzeby odpowiadać na odzywki Tricky. Chodziło o rytuał, stenograficzne poinformowanie o jej i mojej pozycji społecznej.

- Mój nowojorczyk remontuje mi stodołę - powiedziałam. - Myślę, że buduje kolejkę podziemną.

Przystąpiła do wyliczania szeptem wszystkiego, co mówili Tiberowie o Quentinie (podżegacz, zły wpływ, arogancki autsajder), prowadząc mnie przez hol obwieszony portretami w złożonych ramach, przedstawiającymi wybitnych nieżyjących Tiberów. Jako że Tiberowie uważali się za wybitnych, hol był odpowiednio długi. Przeczytałam tabliczkę z nazwiskiem na nieznanym mi portrecie i gwałtownie się zatrzymałam.

Wyobrażona na nim kobieta miała starannie uczesane gęste, miedzianobrazowe włosy. Jej hoże ciało zasznurowane było w wymyślną suknię z przełomu stulecia, wyglądającą tak, jakby jej właścicielka planowała podróż na „Titanicu”. Twarz miała majestatyczną. Przypominała trochę tatę i mnie, i nie bez powodu.

Bethina Grace Powell Tiber spoglądała na swoją krewną łagodnymi niebieskimi oczami Powellów i z cieniem smutku w uśmiechu. Dotąd widziałam tylko jej jedną podobiznę, z czasów gdy była dzieckiem. Tata postawił tę ziarnistą fotografię w ramce w pokoju dziennym na stoliku pod lampą. Kobieta, która łączyła dzisiejszych Tiberów z Powellami nie wyglądała na szaloną łobuzicę, grzeszną cudzołożnicę czy też, używając bardziej brutalnych określeń z czasów minionych - na dziwkę czarnucha. Wyglądała ślicznie i smutno.

- Tricky, skąd się tu wziął ten obraz?

- Pan John kazał go powiesić w zeszłym tygodniu. Został przywieziony z domu jego starej ciotki Dotty Tiber w Karolinie Południowej. Esme odziedziczyła go po starej Dotty i kocha ten portret. A pan John i Janine starają się, żeby Esme czuła się tu jak u siebie w domu, powiesili więc obraz na ścianie. Niech Bóg błogosławi to słodkie głupiutkie serduszko.

- Kto to jest Esme?

- Bratanica pana Johna. Córka Williama. Wiesz, William, to ten brat, co się zabił, gdy wspinał się na jakąś górę i potem z niej schodził. Mówią, że był jednym z atawistycznych Powellów, tak jak panna Betty. Fantasta. Tułacz. Tak właśnie mówią. - Mętnie pamiętałam, że gdy byłam dziewczynką, William Tiber zabił się w wypadku podczas wspinaczki górskiej w jakimś egzotycznym kraju. - Nie wiedziałam, że był żonaty, a cóż dopiero, że miał córkę.

- Nie był żonaty. Jakaś dziewczyna zaszła z nim w ciążę. Oddała dziecko, kiedy doktorzy orzekli, że dziewczynka ma jakieś kłopoty z głową. Dotty ją wychowała. Tę Esme. Teraz Dotty nie żyje, a Esme jest tutaj. Ma dziewiętnaście lat i wiesz, jej mózgowica nie pracuje na pełnych obrotach. Przypuszczam, że ty określiłabyś ją jako lekko opóźnioną w rozwoju. No, ale tutaj tak jej nie nazywaj. Tu ona ma „specjalne potrzeby”.

Nie mogłam się wciąż otrząsnąć z wrażenia, jakie zrobił na mnie ten portret.

Wiadomość o drugiej obcej osobie w domu sprawiła, że rozglądałam się wokół, jakbym została zaproszona na przyjęcie z nieoczekiwanymi gośćmi i lada chwila mogło się pojawić więcej osób. Zastanawiałam się, czy pan John nie powiesił portretu naszej osławionej powinowatej na znak pojednania. Z ust Tricky nadal płynął potok banałów, retoryki i plotek, podczas gdy zmierzałyśmy do jasnej, pełnej kwiatów, oszklonej werandy w jednym z tylnych narożników domu. Pan John w golfie i białych spodniach, blady i trochę mizerny, wstał od stolika i gestem ręki zaprosił mnie, żebym usiadła. Nie objął mnie ani nie wykrzyknął jowialnie: „Ursulo, dziewczyno!” - jak to miał w zwyczaju od lat.

Siedzieliśmy nad mrożoną herbatą i sałatką z kurczaka z drożdżowymi bułeczkami i patrzyliśmy na siebie ze smutkiem.

- Jak pan się czuje? - spytałam.

- Hm, doktor zaaplikował mi nowe lekarstwa na anginę pectoris. Przypuszczam, że będzie mi teraz trochę łatwiej.

- A jak się ma Janine?

- Ucierpiała jej duma.

- Przykro mi z powodu tego, co się stało. I oświadczam, że Quentin Ricconi również nie zmierzał do tego, by spotkanie z panem skończyło się fiaskiem.

Zachmurzył się na dźwięk imienia Quentina.

- Spróbuję być sprawiedliwy i oddać, co mu się należy. Dobrze, że nie zafundował mi ataku serca. - Pokiwałam głową. Pan John odsunął nagle talerz i spojrzał na mnie surowo. - Serce mi pęka, kiedy się kłócimy. Obiecałem sobie, gdy umarł Tommy, że będę pilnować ciebie i Arthura. Chcę mu zrekompensować to, że nie traktowałem go z większym szacunkiem i nie włączyłem do swojej rodziny. Czy jestem aż tak nieznośnym starcem, że możesz mnie tylko nienawidzić?

- Nie żywię nienawiści do pana. Chciałabym, żeby sytuacja była inna.

- No właśnie! Czyż nie wiesz, że Janine i ty macie ze sobą wiele wspólnego? Mądre i ładne młode kobiety, ciężko pracujące, ambitne. Ty masz nad nią przewagę, jesteś bardziej praktyczna, ponieważ nie rozpieszczano cię tak jak Janine. Nie wiesz, ile razy stawiałem jej ciebie za wzór. Boję się, że przyczyniłem się do powstania animozji między wami. Ona czuje się dotknięta z powodu mojego podziwu dla ciebie.

- Ja zawsze jej zazdrościłam.

- Wobec tego powinnyście we dwie usiąść i porozmawiać, tak by naprawić swoje stosunki, czyż nie?

- Bardzo chciałabym kiedyś pogadać sobie od serca z Janine. - „Gdy piekło zamarźnie i świniaki będą fruwać”.

- Wspaniale! - Zaczął serwetką polerować łyżeczkę od herbaty i zmarszczywszy brwi, przyglądał się własnemu w niej odbiciu. - Czy Quentin złożył ci solidną ofertę na tę rzeźbę?

Zmroziło mnie.

- Jeśli pan zamierza pozwać mnie do sądu, żeby upomnieć się o swój udział w sumie należnej za tę rzeźbę, to chciałabym wiedzieć o tym teraz.

Odłożył łyżeczkę.

- Proszę, zapomnij o tym, co mówiłem. To był nonsens wypowiedziany w gniewie. Gardzę twoją Żelazną Niedźwiedzicą. Fakt, że ma dużą wartość i że Richard Ricconi stał się tak sławny, to dla mnie gwóźdź do trumny w całej tej hecy. - Skrzywił się. - Żelazny gwóźdź. Ta rzecz wywiera wpływ nawet na moje kalambury.

- W każdym razie mało prawdopodobne jest, żeby doszło do sprzedaży. Decyzja należy do Arthura, a nie myślę, żeby on zrezygnował z niedźwiedzicy.

- A sprzedałabyś ją, gdyby on się zgodził? Naprawdę?

- Tak. - To słowo brzmiało pusto. Czulałam się pusta w środku. - Jeśli wziąć pod uwagę zaoferowaną sumę, to byłabym nierozsądna, gdybym jej nie sprzedała.

- To dobrze. Wiem, że chcesz coś począć ze sobą i tą waszą dziką starą farmą. Musisz też zajmować się Arthurem. Niepotrzebny ci jakiś parszywy autsajder, który wtyka nos w nie swoje sprawy, obiecując Bóg wie co. Sprawia ci tylko kłopoty. Jeśli ta rzeźba ma taką wartość, to kolekcjonerzy zaoferują ci tak samo dużo pieniędzy jak on. Pozbądź się Quentina Ricconiego dla własnego dobra.

- Nie mogę mu tego zrobić.

- Co będzie, jeśli się okaże, że on nie jest lepszy od tych nedorajdów, którzy wykorzystywali twojego tatę?

- To nie jest taki typ.

- Skąd możesz wiedzieć? Słyszałem, że on cię oczarował. I słyszałem, że w oczach Arthura to prawdziwy czarodziej.

Przez chwilę zajęta byłam składaniem płóciennej serwetki i załamywaniem w palcach widniejącego na niej monogramu Tiberów.

- To człowiek o dobrym sercu.

- Cóż, ja też. Czy parę razy nie udowodniłem tego tobie i twojej rodzinie?

Kiwnęłam głową. Liza mówiła mi, że interweniował, gdy dwa lata temu tata znalazł się w okropnej sytuacji. Kiedy agenci federalni aresztowali lokatora taty za handel narkotykami i znaleźli je w skrytce u niego w mieszkaniu. Wtedy pan John użył swoich wpływów, żeby tacie nie skonfiskowano farmy.

Obserwując mnie, pan John westchnął.

- Wiem, Tommy nie miał pojęcia, że jeden z jego lokatorów był kryminalistą. Nie mogłem pozwolić, żeby taki skandal zbrukał jego nazwisko. Jesteśmy ze sobą spokrewnieni.

Zawsze miał na względzie reputację Tiberów. Niemniej należało mu się trochę uległości z mojej strony.

- Nigdy panu nie dziękowałam. Teraz dziękuję.

- Nie trzeba podziękowań, kochanie. Widzisz, jesteśmy rodziną. Posłuchaj mnie tylko i uważaj na tego Quentina Riconniego.

Faza uległości szybko się skończyła. Zesztywniałam.

- Wtedy miał pan rację, a teraz się myli.

- Posłuchaj mnie...

- Widziałam portret Bethiny Grace w holu. - Zmiana tematu wydawała się dobrym wyjściem.

Pan John popatrzył na mnie z irytacją.

- Czas odłożyć tę przeszłość do lamusa. Czas powiedzieć, że Powellowie i Tiberowie są dumni ze swojego pokrewieństwa.

- Dobrze. Chciałabym poprosić pana o przysługę. Skrzywił się.

- To proś, kochasiu.

- Chciałabym, żeby napisał pan list z przeprosinami do matki Quentina Riconniego. I poinformował ją, że to pan usunął tę rzeźbę z kampusu. A także polecił, by college utrzymywał wszystkich w przekonaniu, że rzeźbę zniszczono.

Popatrzył na mnie. Był teraz w zupełnie innym nastroju, lodowatym.

- Nigdy! I jeśli to jest jedyny powód, dla którego przyjechałaś zjeść ze mną dzisiaj lunch, to zabieraj się i...

Tricky przybiegła na werandę.

- Esme znowu wzięła wózek golfowy! Pan John uderzył ręką w stolik.

- Zamknąć bramę!

- Już to zrobiłam, ale ona jedzie w dół drogą na podjazd, a wie pan, że się zdenerwuje, jak się znajdzie przy bramie. - Pan John podniósł się z trudem, twarz miał ponurą. - Słyszałaś o moim nowym gościu? O mojej bratanicy?

- Tak.

- Opłakuje swoją ciotkę Dotty i tęskni za Karoliną Południową. I wciąż próbuje uciekać.

Wstałam.

- W wózku golfowym?

- Ona myśli jak dziecko. Nie zdaje sobie sprawy z szybkości wózka golfowego. Tricky, weź moje auto.

- Mogę ją doścignąć prędzej niż Tricky - powiedziałam. Wybiegłam z domu, wskoczyłam do pikapu taty i pojechałam szybko wijącą się drogą. Zobaczyłam wózek golfowy przed wysoką ozdobną żelazną bramą na skrzyżowaniu z drogą publiczną. Esme Tiber schyliła jasnowłosą główkę nad kierownicą i szlochała.

Powoli do niej podeszłam. Płakała tak rozpaczliwie, że nawet mnie nie zauważyła.

Była bosa, w jasnoniebieskich szortach i koszulce z Minnie Mouse. Obok niej piętrzyły się płócienne torby w kwiaty. Z tyłu wózka, tam gdzie zwykle wozi się worki i kije golfowe, położyła oprawiony w ramy portret Bethiny Grace.

- Esme! - powiedziałam ze zdumieniem. Rozdziawiła usta i wyprostowała się, potem przetarła oczy, które były w kolorze starych dżinsów. Twarz miała słodką i w kształcie serca.

- Bethina Grace! - wykrzyknęła. - Ty żyjesz!

- Nie, mam na imię Ursula. Ale jestem spokrewniona z Bethiną Grace podobnie jak ty. Jestem twoją kuzynką.

- Moja kuzynka Ursula. Ursula. Ursula. Och! - Wysiadła z wózka.

Dziewiętnastoletnie dziecko, którego jakby zwolniony dźwięczny głosik przywodził mi na myśl wróżkę na środkach uspokajających. Pomimo tragicznego wyrazu w oczach i opuchniętej od płaczu twarzy radośnie zarzuciła mi ręce na szyję i przytuliła się do mnie. Nie miałam wyboru, musiałam ją też objąć.

- Jestem Esme, Esme Tiber, Esme, Esme - skandowała w moje ramię. - Czy możesz otworzyć bramę?

- Obawiam się, że nie. Dlaczego chcesz stąd wyjechać? - Cofnęła się, wciągnęła dolną wargę, a ja złapałam ją za rękę, jakby naprawdę była dzieckiem. - Tęsknisz za domem? - Kiwała gorliwie głową i tak rozpaczliwie usiłowała nie płakać, że aż sapiała.

Ścisnęłam jej rękę.

- Mój brat tęskni za domem, jeśli za bardzo się od niego oddali. Ja to rozumiem. - Patrzyła obok mnie na kolorowy pikap taty. Oczy zrobiły jej się wielkie ze zdumienia.

- Co to jest?

- To magiczny Powellmobil - odparłam z poważną miną.

Pobiegła do pikapu i dotknęła palcami czarnej niedźwiedzicy spacerującej wśród aniołów i dinozaurów na jego prawym błotniku. Obróciła się w moją stronę.

- Ty jesteś panią od Żelaznej Niedźwiedzicy?

- Przypuszczam, że tak. Mieszkam w Niedźwiedziej Kotlinie. A tam właśnie znajduje się Żelazna Niedźwiedzica.

- Panna Betty!

- Nie jestem panną Betty, jestem Ursula.

- Nie, nie, ja mówię o pannie Betty i Żelaznej Niedźwiedzicy, i o tym, jak ona zamieszkała w Niedźwiedziej Kotlinie. Ciotka Doty opowiadała mi historie z czasów, gdy byłam mała. Mam album.

- Album?

Pobiegła z powrotem do wózka golfowego, otworzyła jedną z toreb i zaczęła grzebać w galimatiasie ubrań i butów. Potem rzuciła na wierzch mały rewolwer z rękojeścią wyłożoną macicą perłową. Nie przestała grzebać w swoich rzeczach, ja zaś ostrożnie wzięłam do ręki

broń. Szybko się upewniłam, że nie jest załadowana. Odetchnęłam z ulgą.

- Esme, to twój rewolwer?

- Och, tak. - Nadal czegoś szukała. - Dała mi go ciotka Dolly. Potrafię strzelać do celu.

- Wszyscy Tiberowie byli miłośnikami broni, myśliwymi i sportowcami, toteż nie zdziwiło mnie specjalnie to, że nawet najdelikatniejsi wśród nich mieli słabość do broni palnej.

Odłożyłam na bok rewolwer.

- Mam! - wykrzyknęła uradowana. Wyciągnęła stary czarny album z wytłoczonym w rogu wyblakłym złotym napisem Betty Tiber Habersham. - Album panny Betty! Dała mi go ciotka Dotty.

Usiadłyśmy z boku drogi i Esme otworzyła album. Na pożółkłych stronach było mnóstwo zdjęć oraz artykułów. Wszystkie dotyczyły Żelaznej Niedźwiedzicy.

- To jest mój ojciec - powiedziałam, wskazując gazetowe zdjęcie taty malującego niedźwiedzicę, w czasach gdy jeszcze stała na terenie kampusu, narażona na zakusy wandalii.

- A to ja. - Fotografia zrobiona przez pannę Betty ukazywała mnie mniej więcej w wieku czterech lat, siedzącą okrakiem na głowie niedźwiedzicy, jakbym jechała na słoniu w cyrku.

Esme Tiber popatrzyła na mnie.

- Czy dasz mi auto... auto... - zmagła się ze swoim zasobem słów. - Podpiszesz zdjęcie?

Mimo pewnego zakłopotania z mojej strony wyjęłam pióro z torebki i podpisałam się w rogu zdjęcia. Esme przycisnęła album do piersi.

- Wymyślałam wiele historyjek o Żelaznej Niedźwiedzicy. Kiedy byłam małą dziewczynką, ona była moją przyjaciółką. Teraz jest moją jedyną przyjaciółką. - Oczy napęłniły jej się łzami.

- To nieprawda. Przyzwyczaisz się do mieszkania tutaj. To wspaniały dom. I będziesz miała mnóstwo nowych przyjaciół.

- Takich jak ty? Czy mogłabym przyjechać w odwiedziny do ciebie i Żelaznej Niedźwiedzicy? Proszę, proszę! - Z jej oczu wyzierała samotność i nadzieja.

Co też mi się dzisiaj przydarza! Otaczają mnie ze wszystkich stron Tiberowie i wciągają w swoje życie.

- Spytaj pana Johna, czy Tricky mogłaby cię kiedyś przywieźć w odwiedziny.

- Och, zapytam!

- Ale musisz obiecać, że więcej nie będziesz uciekać.

- Dobrze!

- Może więc cofnę się pod górę, a ty pojedziesz za mną wózkiem golfowym?

- Okej.

Esme Tiber może trudno byłoby uznać za najbystrzejszego kurczaka w stadzie, ale za kierownicą była jak Mario Andretti. Pognała za mną w górę podjazdem i zatrzymała z

fasonem wózek golfowy na podwórku, gdzie czekał pan John i Tricky.

- Wkrótce odwiedzę Żelazną Niedźwiedzicę i Ursulę - oznajmiła. - Nie będę już uciekać. Obiecałam Ursuli.

Pan John miał złą minę. Odciągnął mnie na bok.

- Nie pozwolę jej jechać na farmę, dopóki tam będzie Quentin Riconni.

- Przykro mi wobec tego. - Sztywno i z godnością podziękowałam za lunch. Skinął mi głową krótko i ze smutkiem. Jechałam drogą w dół oszołomiona. Chociaż pan John polecił Tricky, żeby otworzyła mi zdalnie sterowaną bramę, musiałam zaczekać, aż krążki rozsunały oba jej skrzydła. Ogarnęła mnie przedziwna panika, czułam jakiś klaustrofobiczny ucisk w klatce piersiowej i ciężko mi się oddychało. Nie mogłam uwolnić się od myśli o dziwnej, smutnej małej Esme, bardziej niż inni ludzie tkwiącej w potrzasku - ograniczonej przez swoje własne ułomności i konwenanse jej rodziny, a teraz uwikłanej w komplikacje wynikające z mojej sytuacji z Quentinem.

Najszybciej jak mogłam nacisnęłam na pedał gazu i wyjechałam na drogę publiczną. Byłam wolna. Byłam wolna od tego węża.

A może tylko chciałam, żeby tak było.

Rozdział 15

Było popołudnie. Niebo nad górami poszarzało od nadciągającego deszczu. Wilgotne i duszne powietrze wydawało mi się ciężkie. Quentin pojechał do miasta kupić gwoździe i inne żelastwo do naprawy stodoły, zabierając ze sobą Arthura i okazującego mu wstrzemięźliwy respekt Oswalda.

Stodołę oczyszczono już z rumowiska i Quentin przy pomocy Arthura i Oswalda przystąpił do kładzenia z powrotem krokwi. Nic nie mówiłam, nie protestowałam, bo ta praca trzymała nas z dala od siebie. Arthur wydawał się oczarowany Quentinem, zafascynowany męskimi obowiązkami, które małpował. Nie potrafił jednak wciąż nam powiedzieć, co postanowiła jego ukochana Mama Niedźwiedzica w sprawie swojej przyszłości.

W kuchni zadzwonił telefon. Odebrałam go, chwytając słuchawkę wilgotną ręką, a drugą nadal wycierałam duży żeliwny rondel, w którym zwykle gotowałam kiełbaski na śniadanie. Kiedy mieszkałam w Atlancie, nigdy nie zajmowałam się gotowaniem. Od powrotu do domu zamieniłam się w Marthę Stewart Południa i poświęcałam się przygotowywaniu ulubionych potraw Arthura.

- Tu Harriet - oznajmił smutny głos. Odstawiłam szybko rondel.

- Jak się masz?

- Pracuję jako kierowniczka działu porcelany w magazynie „Perimeter Rich”. Tęsknię za moją herbaciarnią. - Zaczęła mi opowiadać, jak powodzi się moim dawnym sąsiadom i gdzie znaleźli pracę. - Musiałam po prostu dać ci znać, że w przyszłym tygodniu na Peachtree

Lane zaczynają się prace rozbiórkowe. - Zaczęła płakać. - Poszłam zobaczyć te dawne sklepy. Ursulo, one są jak starzy ludzie czekający na śmierć. Ty pewno nie zechcesz tam pojechać.

Serce mi się ścisnęło. Oparłam czoło o ścianę obok telefonu i przymknęłam oczy.

- Muszę - odparłam.

Szłam właśnie do pikapu taty. Przebrałam się w długą sukienkę bez rękawów, którą uszyła mi Liza ze sztuki bawełnianego materiału w różyczki, jaką znalazłam na strychu. Mama przechowywała ją w pudle, zawiniętą w woskowany papier. Ku naszemu zdumieniu tylko zewnętrzna warstwa materiału zbutwiała i nadgryziona została przez robaki.

- Chciałaby, żebyś coś sobie z tego zrobiła - powiedziała Liza. - Zawsze wyczuwałam jej ducha w tym domu i zawsze wiedziałam, że jest bardzo kochający i pozytywny.

- Nie umiem szyć. Potrafię najwyżej przyszyć obrąbek i guziki.

- Ja to zrobię.

Spojrzałam na nią z mieszanymi uczuciami, ale w końcu się zgodziłam. Teraz byłam zadowolona, że mam tę sukienkę. Dzisiaj odczuwałam potrzebę noszenia talizmanów, pamiątek. Chciałam się wystroić, żeby uczcić stare sklepy, które miały zniknąć.

Usłyszałam, że nadjeżdża jakiś samochód. Jaskrawoczerwona corvette pokonała ostatni zakręt na mojej drodze gruntowej i wjechała na podwórko. Zmarszczyłam brwi, wrzuciłam torebkę na siedzenie w pikapie. Nie rozpoznawałam przybysza.

Był to gruby, zezowaty mężczyzna o obwisłej twarzy. Wygramolił się z auta, posłał mi szeroki uśmiech, po czym otrzepał niewidoczne pyłki z golfa i spodni. Nosił mnóstwo złotej biżuterii - pierścienie, naszyjniki z krzyżykiem, grube bransolety ze swoim nazwiskiem i imieniem.

- Dzień dobry. Jak się wiedzie? - zagadnął.

- Czym mogę służyć?

Kiwnął głową, westchnął, następnie wyjął czarną skórzaną teczkę i postawił ją na masce corvette. Poprawił pierścionek na małym palcu, po czym wyciągnął do mnie swoje wielkie i tłuste łapsko.

- Joe Bell Walker. Przyjechałem zobaczyć się z Tommym Powellem.

- Jestem Ursula, jego córka. - Wymieniliśmy uścisk dłoni.

- Co pani powie. Musiałem o pani słyszeć. On jest bardzo dumny ze swoich dzieci.

- Przykro mi, ale muszę panu powiedzieć, panie Walker, że mój tata umarł w styczniu.

- Nie! - Ku mojemu zdumieniu oparł się o samochód, pochylił głowę, wyciągnął ze spodni białą chusteczkę i otarł oczy. Stałam w milczeniu, wbijając wzrok w dęby na podwórku i zastanawiając się, cóż to za znajomy taty. Nosił zbyt dużo ozdób, by mógł być jednym z jego bliskich przyjaciół artystów, a jak na kogoś tutejszego miał zbyt wiele poluru.

- Boże, Boże! - jęknął. Zapytał mnie, co się stało. Opowiedziałam więc ze szczegółami.

- Boże, Boże, Boże! - powtórzył, potem schował chusteczkę. Machnął upierścienioną dłonią w stronę Żelaznej Niedźwiedzicy. - Opiekuj się pani dziećmi Tommy'ego, słyszy pani?! - wykrzyknął.

- Czy pan jest artystą, panie Walker?

- Nie, złociutka, ale doceniam sztukę i kupiłem wiele rzeczy u podopiecznych pani taty. Moja żona i córki uwielbiają buteleczki do perfum, które robi Liza. - Sięgnął po teczkę i westchnął. - Ale przyjechałem tu dziś w interesach. Jestem poborcą Instytutu Finansowego Donahue.

Cofnęłam się o krok, otwierając usta ze zgrozą. Tak zwany Instytut Finansowy Donahue cieszył się jak najgorszą opinią u mieszkańców całych gór. Mówiono, że stary Donahue i jego synowie prowadzili do lat siedemdziesiątych kasyna dla gangsterów z Południa. W ostatnich dwu dziesięcioleciach ich klan zyskał reputację rekinów lichwiarskich. Ten roniący łzy zwolennik mojego ojca był zatem egzekutorem długów.

- Czy mój ojciec wziął pożyczkę?

- Tak, proszę pani, wziął. Mniej więcej dwa lata temu pożyczył dziesięć tysięcy dolarów, nie licząc odsetek. Mówił, że oczyszcza to miejsce po tej nieszczęsnej historii z narkotykową wpadką. Mówił, że ma lokatorów, którzy nie mogą opłacać w pełni czynszu... to ci, co ich tu sprowadził... ale to dobrzy i przyzwoici ludzie, postanowił więc, że pozwoli im zostać. Oni nie mogli wносить całej opłaty, a on nie chciał, by wiedzieli, że potrzebuje pieniędzy. Wziął zatem pożyczkę.

- Ile jeszcze pozostało do spłacenia tego długu wraz z odsetkami?

- Pięć tysięcy, złociutka. Pozwoliłem, żeby nie spłacano pożyczki od zimy. Nie mógł płacić, mówił mi, że interesy w sztuce kiepsko idą. Lokatorzy nie mogli dać mu ani jednego zakichanego centa na czynsz. Ale spieszyli z pomocą, gdy jej potrzebował. Panna Liza przekazała trochę biżuterii, Ledbetterowie posłali żonie pana Donahue cały komplet ładnych ceramicznych naczyń, Oswald dorzucił swój rezerwowy motocykl. Ale to nie wystarcza, złociutka. Mam na myśli, że obowiązują jakieś reguły, a tata o nich wiedział, kiedy chciał pieniędzy.

Zwalczyłam narastającą falę mdłości i przerażenia.

- Co mój ojciec zaoferował w zastaw?

- Sto dwadzieścia arów ziemi. Mierzonych od frontu farmy potąd.

Tata musiał być zdesperowany, jeśli ryzykował ojcowizną Powellów. W ciągu stu pięćdziesięciu lat naszych burzliwych dziejów nigdy nie straciliśmy nawet cała z pierwotnych włości.

- Mam tu papiery, złociutka. Jeśli podpisze je pani, to zakończę sprawę.

Zmusiłam się do myślenia. W głowie mi się kręciło.

- Do jutra mogę mieć te pięć pańskich tysięcy w gotówce.

- Świetnie! - Spojrzał na mnie przyjemnie zaskoczony. - Jest pani pewna?

- Całkowicie. Przyniosę je panu rano, przed południem.

- Fiu! - Zatrzasnął teczkę, wręczył mi swoją wizytówkę i otarł sobie czoło. - Ulżyło mi.

- Wyjął przenośny komputer i zrobił notatkę. Nawet starzy dobrzy egzekutorzy długów wyposażeni byli teraz w nowoczesny sprzęt elektroniczny.

- Przykro mi, że przyniosłem takie wieści - powiedział na koniec. Joe Bell Walker wyglądał na strapionego. - I mam nadzieję, że dostarczy mi pani te pieniądze. W gotówce, słyszy pani?

- Słyszę.

Położył rękę na sercu i pożegnał się ze mną. Kiedy odjechał, kolana odmówiły mi posłuszeństwa, jakby mi je przetrącił. Oparłam się o pikap. Tata potrzebował pieniędzy; robił, co mógł, żeby ulepszyć ten stary dom i chronić ulubionych lokatorów. Pragnął, żebym była z niego dumna. I to było słuszne, zwłaszcza że go zraniłam swoim wstydem i złością.

Trzy godziny później siedziałam pośród iskrzących się pólek i gabletek przy biurku właścicielki sklepu z wyrobami ze srebra, który cieszył się najlepszą renomą w Atlancie. Była to dyskretna starsza pani w niebieskim wełnianym kostiumie, szytym na miarę, i ze sznurem pereł na szyi. Słyszałam, że zaczęła działalność w tej branży po śmierci męża, bo musiała sprzedawać własne rodzinne srebra, by związać koniec z końcem. Z biegiem lat zaprzyjaźniłyśmy się, gdy oszczędzałam, żeby skompletować swoje klejnoty rodzinne, pierwsze srebra, jakie stały się kiedykolwiek własnością kobiety w rodzinie Powellów. Ten komplet podarowałabym pewnego dnia swojej najstarszej córce, a ona następnie swojej. Teraz srebra zapakowane w tekturowe pudła znajdowały się u moich stóp.

- Kochanie, tak się martwię, że to robisz - powiedziała do mnie swoim słodkim głosem, typowym dla kobiet Starego Południa.

- Wiesz, jak to czasami bywa.

Pokiwała głową. Kiedy wręczyła mi czek, położyła swoją dłoń z niebieskimi żyłkami na mojej ręce.

- Zatrzymam przez miesiąc twoje srebra i będziesz mogła je z powrotem zabrać za sumę, którą ci dałam.

Podziękowałam, ale wychodząc stamtąd, wiedziałam, że straciłam je na zawsze. Zaczął padać deszcz. Dzień się kończył, z wolna się ściemniało. Powinnam udać się do domu, wytchnąć, może się upić.

Pojechałam na Peachtree Lane.

„Dałbym jej pieniądze, gdybym wiedział. Gdyby poprosiła. Ale nigdy nie prosiła”.

Quentin pojechał do Atlanty na poszukiwanie Ursuli. Liza powiedziała mu o Joem Bellu Walkerze. Zastała Ursulę w pokoju podczas pakowania sreber, musiała więc jej wyjaśnić, o co chodzi.

„Sakramencki krwiopijca, lichwiarski rekin, taki jak te sukinsyny, wśród których wyrastałem” - myślał. Wcisnął swoją furgonetkę w wąską przestrzeń na zatłoczonej autostradzie międzystanowej. „A wystarczyło mi tylko powiedzieć. Dałbym jej wszystko, czego potrzebuje. Moglibyśmy to nazwać małym zadatkiem na niedźwiedzicę”.

Zmarszczył brwi, rozmyślając o jej postawie, potem zaklął pod nosem.

„Ona nie chce być ci wdzięczna. Ani za pieniądze, ani za siebie. Ma określone wyobrażenie o twojej osobie: Płać i bierz, i traktuj to bezosobowo. Dlatego postąpiła w taki sposób. Chcesz, żeby twoje życie też się tak toczyło? To proszę”.

Skierował explorera na zjazd z autostrady i na ulicę w centrum. Szary deszcz spływał wolno po przedniej szybie. Quentin włączył wycieraczki i podkręcił szybę, zamykając ją szczelnie. Zapachy i barwy w deszczowy dzień napawały go zawsze uczuciem, że świat jest pusty i musi sam jeden po nim się poruszać. Przyspieszył.

„Może już nie chcę, żeby tak się toczyło”.

Na Południu deszczowe letnie wieczory są jak niebezpieczna sauna, która rozpuszcza wilgotnym gorącym nawet najbardziej surowe zakazy. Zmysłowa para skłania ludzi do zabijania albo do uwodzenia, krzyczenia przy pełni księżyca albo uspokajania swoich dzikich namiętności w namiotach duchowej odnowy, gdzie pot, seks i zbawienie pachną tak samo. Szyby pikapu zasnuwała mgiełka upału. Wycieraczki na przedniej szybie szeptały: „Głup...stwo, szu, szu, głup...stwo, szu, szu”.

Dzień rozplynął się w wilgotną szarugę, gdy zaparkowałam pikap na jednym z miejsc, które stykały się z szerokim chodnikiem na Peachtree Lane. Willowe ulice wokół mnie były ciche i puste, światła palące się w domach w ten powszedni wieczór jarzyły się w mgiełce. Niedaleko stąd w domu, który pomagałam Gregory'emu odnowić, on i jego nowa „ja” szorowali pewno zlew albo psikali środkiem odkażającym czystą skrzypiącą podłogę.

Parcela obok sklepów zamieniła się w krainę rozoranego betonu. Leszczyny i drzewa brzoskwiniowe zniknęły - tam, gdzie rosła brzoskwinia, była dziura, a po leszczynach zostały tylko niskie pniaczki przy chodniku. Obdrapane stare ceglane sklepy bez osłony zieleni wyglądały bezbronne i nago. Wysokie weneckie okna z nich wyjęto, a otwory zabito deskami.

Najgorsze ze wszystkiego było to, że cały kwartał ogrodzono wysokim, trzymetrowym płotem z mocnej siatki. Chwyciłam się tego niespodziewanego płotu i przycisnęłam do niego twarz, patrząc na swój sklep jak rodzic oddzielony od zranionego dziecka. Pragnęłam przecisnąć się przez druty niczym miękkie masło przez sito.

Wróciłam do pikapu. Pojechałam na tył sklepów, tam gdzie stawiano duże pojemniki na śmieci, wrzuciłam niski bieg, wjechałam przednimi kołami na krawężnik i zaatakowałam płot pomalowanym na różowo zderzakiem samochodu taty. Płot się pochylił. Najwyraźniej słupków nie wbito zbyt głęboko, a więc specjalnie nie obawiano się tego, że ktoś będzie

chciał tu wejść. Znak od Boga.

Nacisnęłam wolno pedał gazu. Fragment płotu ustąpił i odchylił się wystarczająco, po czym wymierzył w chłodnicę pikapu bojaźliwego klapsa, zanim rozpląszczył się pod jego kołami. Wsiadłam, wzięłam z szoferki małą lodówkę i weszłam po schodkach na ganek przy tylnych drzwiach mojej księgarni. Dopiero wtedy zobaczyłam, że firma rozbiórkowa umieściła na nich wielką kłódkę.

Walnęłam pięścią w drzwi, potem poszłam do tylnych okien i próbowałam oderwać z nich deski - przez sekundę myślałam nawet o rozbiciu samochodem tylnej ściany sklepu. Po twarzy płynęły mi krople ciepłego deszczu, wokół gęstniały ciemności.

Usłyszałam warkot silnika jakiegoś auta, które jechało wąską ulicą, sąsiadującą z parkingiem. Dęby przy chodniku i wysokie krzewy bzu zasłaniały mnie i pikap przed przypadkowym spojrzeniem. Po chwili jednak usłyszałam odgłosy nieomylnie wskazujące na to, że samochód objeżdża blok, zawraca, zwalnia i zbliża się do tylnej parceli. Pewno policyjny wóz patrolowy z potężnym silnikiem. Prawo - jak mówią starzy ludzie w górach. Ktoś zauważył przewrócony płot i mnie, i wezwał policję.

Otarłam twarz i wdrapałam się znowu na ganek, by stanąć wobec losu jako wandal i intruz, który wdarł się na obcy teren. Obiema rękami trzymałam się ozdobnej poręczy, którą z taką miłością co roku pociągałam czarną szelakową farbą, chroniąc przed rdzą. We krwi miałam umiłowanie żelaza, choć nigdy tak o tym nie myślałam. Chwyciłam się najmocniejszej konstrukcji, jaką mogłam znaleźć. Jeśli przyjechała policja, żeby mnie stąd zabrać, to będą mnie musieli siłą odrywać.

Ale to był Quentin. Patrzyłam na niego z prawdziwą ulgą.

- Urządza pani piekło jak dobry rebeliant?! - zawołał donośnym głosem bokserów z Brooklynu i gangsterów ze starych filmów. Głosem, który mógł sprawić, że z pobliskiej magnolii opadnie, niczym drżąca chusteczka, ostatni delikatny biały płatek jej letnich kwiatów.

Kiwnęłam głową.

- I kopię mały symboliczny samorządowy tyłek.

Torował sobie drogę przez uliczną dżunglę spląszczonego płotu i powyrywanych stalowych słupków. Zapaliła się żółta latarnia uliczna, a siąpiąca wieczorna mgiełka osiadła mu na ciemnych włosach drobnymi klejnocikami. Już sama jego obecność działała uspokajająco. Mogłam tylko myśleć: „Cieszę się, że tu jesteś”.

- Zawsze kręci się pani koło budynków, którym grozi zawalenie - zauważył.

- Pan też.

Wszedł na wąski ganek i stanął obok mnie.

- Liza mi powiedziała, dokąd pani pojechała. I o srebrze.

- Ona uważa, że potrzebuję czyjegoś ramienia, by się na nim wypłakać. Ale nie ma

racji.

- Nie przyjechałem tu, żeby wspomagać panią jakimiś częściami ciała. - Uniósł rękę i gdy nie dałam znaku, że się nie zgadzam, dotknął knykciem mojego policzka i chwycił na kości policzkowej kroplę deszczu, która mogła być łzą. Potem odwrócił się i nie patrząc już na mnie, zaczął oglądać drzwi zamknięte na kłódkę. Wpatrywałam się w niego bezwstydnie.

- Chce pani wejść do środka?

- Tak. Chcę po prostu jeszcze raz zobaczyć swój stary sklep.

- Proszę sekundę zaczekać. - Poszedł do swojej furgonetki i wrócił z potężną latarką i z parą cienkich narzędzi. Przyświecałam mu latarką, a on wsunął je w dziurkę od klucza w kłódce i za chwilę usłyszałam trzask zamka. Zdjął kłódkę, szarpnął klamkę, ja pchnęłam drzwi, które otworzyły się szeroko. Ze środka wionęło zastałą wonią starego drewna, papieru, skóry, wiedzy, książek. Wciągnęłam ten zapach głęboko w płuca.

- Dziękuję panu.

- Niech pani podziękuję facetowi o nazwisku Lockheed. On mnie tego nauczył, gdy miałem dwanaście lat. Mam zaczekać na dworze?

- Nie. Niech pan wejdzie. Ten sklep zamieszkują cudowne duchy.

Obrzucił zaciekawionym wzrokiem lodówkę u moich stóp, potem ją podniósł. Z lodówką w ręce wszedł za mną do przytulnego labiryntu małych pokoików, wciąż jeszcze wyposażonych w szafy na książki. Nawet z nich ogołocone miały w sobie pewne ciepło i osobowość. Skrzypiąca drewniana podłoga powtarzała echem nasze kroki. Pogłaskałam półki i wyblakłe tapety w róże. Quentin przeniósł światło latarki ze ściany na moją sukienkę w drobne różyczki.

- Kamuflaż księgarńiany - powiedział. - Bardzo inteligentny przy szukaniu książek w przyrodzie.

Stłumiłam śmiech. Skierował światło latarki na stary dębowy kontuar, który pamiętał sześćdziesiąt lat sprzedawania, recytacji, autorów, czytelników i radości.

- O ten kontuar opierał się Francis Scott Fitzgerald, gdy w roku czterdziestym piątym odwiedził pierwszą właścicielkę tej księgarni - poinformowałam. - Mam jej zdjęcie z nim. A w zeszłym roku opierał się o niego Francis Scott Shey, gdy odwiedził mnie. Dostał Nagrodę Nobla w dziedzinie fizyki. Zrobiłam sobie z nim fotografię. Tu jest takie spektrum, taka ciągłość.

Quentin pokiwał głową.

- Okej, zatem obejmuje Francisów Scottów. Proszę mi opowiedzieć także o wszystkich innych. A potem wyrzucić ich z głowy.

- To może chwilę potrwać.

- Ja się nie spieszę. - Oparł się o kontuar osnuty mrokiem, spokojnie dzieląc moje smutki. Deszcz mnie uspokajał i byłam zadowolona, że jesteśmy tu tylko we dwoje, on i ja,

schronieni w tej starej przystani w ostatnich kilku dniach jej istnienia.

- Zaplanowałam sobie małą ceremonię - poinformowałam. Uklękłam na podłodze obok lodówki, potem spojrzałam na Quentina, bo przyszedł mi do głowy pewien pomysł. - W tylnym pokoju zostawiłam starą drewnianą ławę. Poduszki od niej są porwane i niewarte zachowania. Zechciałby pan ją tu przyciągnąć? Ma ze dwa metry, jest długa i ciężka.

- Pani życzenie jest dla mnie rozkazem.

„Żeby tylko” - pomyślałam, gdy wychodził z pokoju.

Siedzieliśmy na ławie, dzieląc się butelką szampana i subtelnym kieliszkiem na długiej nóżce, zrobionym przez Lizę. Zalewało nas migotliwe światło dwóch wysokich i szerokich świec, które postawiłam na kontuarze. Teraz była kolej Quentina, popijał więc z kieliszka wychłodzonego szampana, a ja otworzyłam przyniesiony ze sobą tom poezji. Po kilku większych łykach szampana pozbyłam się sztucznego dostojeństwa. Żołądek mi się rozgrzał, mięśnie rozluźniły. Gotowa byłam przemówić do księgarni.

- Naprawdę nie mogłam się zdecydować, co ci zaoferować dla uczczenia twojego ducha - powiedziałam na głos, rozglądając się po pokoju. - Poszukałam więc czegoś w klasykach, żeby powiedzieli coś za mnie. Zaczerpnęłam to z Bena Jonsona. - Pochyliłam głowę nad książką. - „Lilia dnia w maju bywa/Piękniejsza i bardziej żywa./Choć więdnie i umiera tej nocy,/Jej kwiat światłem raduje oczy./Bo i w niewielkim rozmiarze/Piękno się nam ukaże./I skape życia wymiary/Mogą być doskonale”*.

* Przekład Ludmiły Marjańskiej.

Podniosłam głowę, wzięłam od Quentina kieliszek z szampanem, i uniosłam go w stronę pokoju pogrążonego w ciemności. W sklepie było tak spokojnie, nie naruszało w nim ciszy nawet brzęczenie jarzeniówek, słyszało się tylko deszcz bębniący o dach. Za oknami zabitymi deskami świat mógł w ogóle nie istnieć. Dziwna rzecz, ale wydawało się to miłe. Nawet Quentin wyglądał na zadowolonego. Skłoniłam głowę w stronę starego sklepu.

- Sprawileś, że w twoich murach życie wielu ludzi było doskonałe. Łącznie z moim. Dziękuję ci.

Głos mi zadrżał przy ostatnich słowach. Szybko upiłam łyk szampana z kieliszka, potem odwróciłam się i postawiłam go obok butelki na kontuarze za nami.

- Ja mam już dość.

- Mogę zobaczyć ten tom poezji? Podałam mu książkę.

- To wybór wierszy - wyjaśniłam. - Po trosze wszystkiego.

- A może coś z *Makbeta*? - Quentin przeglądał z dużą znajomością rzeczy fragmenty utworów Szekspira, po czym przeczytał melodyjnym barytonem: - „Życie jest tylko przechodnim półcieniem,/nędznym aktorem, który swoją rolę/przez parę godzin wygrawszy

na scenie/w nicość przepada - powieścią idioty./głośną, wrzaskliwą, a nic nie znaczącą"*.

Jęknęłam cicho.

- Och, jaki pan jest świetny. Jaki ponury. Uniósł ciemne brwi.

- Cała poezja jest ponura.

- Nie jest. - Przysunęłam się bliżej do niego i przerzucałam strony grubej książki w twardej oprawie, którą trzymał w ręce. - Tu. Ogden Nash. Bardzo piękne. - Przeczytałam: - „W pancerzu kryje żółw - prócz głowy -/Praktycznie także narząd płciowy./Ten spryciarz jest podziwu godny:/W takiej pułapce być tak płodnym!"**.

* Przekład Józefa Paszkowskiego.

** Ten wiersz i następny w przekładzie Ludmiły Marjańskiej.

- Hmmm. No dobrze, kompromis. Coś, co napisał Masefield. - Z błyskiem humoru w oczach Przekartkował książkę. - „Dajcie mi mądrość, piękno,/mądrość i pasję, dla duszy chleb,/deszcz tu, gdzie praży lato -/dajcie mi to, a choć się ciemność wynurza,/także i noc zakwitnie niby róża".

Przekład Józefa Paszkowskiego.

- Róże. Myśli pan o nich tylko z powodu tej tapety - dociełam mu.

- Nie, z powodu pani i tej sukienki. - Skinął głową, wskazując wyblakłe różyczki ułożone rządkami na moim ciele. - Jest pani piękna.

Umilkliśmy i wymieniliśmy spojrzenie, które sprawiło, że poczułam się odprężona, pewna, otwarta. Zajrzał znowu do książki.

- Wróćmy jeszcze do Szekspira - powiedział. Emanowało z niego wewnętrzne ciepło, któremu nie potrafiłam się oprzeć. Pochyliłam głowę przy jego głowie, przymknęłam na sekundę oczy, rozkoszując się zapachem jego ubrania, jego włosów, jego skóry. Dotknął ramieniem mojego ramienia, a ja się nie odsunęłam.

Odchrząknął i wyrecytował: - „Drwi z blizn, kto nigdy nie doświadczył rany./Lecz cicho! Co za blask strzelił tam z okna!/Ono jest wschodem, a Julia jest słońcem!"*

Gdy Quentin wygłaszał ten sławny monolog, jego głos pieścił mi uszy. Przedtem żaden mężczyzna niczego mi nie czytał. Przynajmniej od czasu, gdy robił to tata, kiedy byłam dzieckiem. Obserwowałam go oczarowana i poczułam się ożywiona i jakby odnowiona po raz pierwszy od wielu, wielu miesięcy. Nie, od lat. Upłynęły lata od chwili, gdy było tak łatwo po prostu coś czuć.

Quentin uświadamiał sobie żywo mój oddech na swoim policzku, mój zapach, pragnienie w moich oczach, tę bliskość, którą w nas wywołały wypowiedziane słowa i nie-

wypowiedziane pragnienia. Zrobił się twardy, zuchwalszy i łaknący. Skończył czytać, spojrzął na mnie badawczo, a oczy miał pełne żaru i ciemne przy świetle świec.

- Proszę nie patrzeć na mnie w taki sposób. Niech pani wstanie i natychmiast stąd wyjdźmy.

Potrząsnęłam głową przecząco.

- Nie mogę wyjść, kiedy sprawił pan, że tak się czuję. Po prostu chcę więcej. - I potem go pocałowałam z cichym westchnieniem, sama nie wiem, czy jego, czy moim. Drżałam, kiedy się odsunęliśmy od siebie. Popatrzyłam na jego twarz i ujrzałam na niej odbicie własnych odczuć - niebezpieczeństwo, popęd, żądzę. I być może miłość. Nie miałam pojęcia, czy było to tylko moje życzenie, czy też rzeczywiste jego odczucie.

- Daję ci jeszcze jedną szansę wyjścia stąd - powiedział. Pocałowałam go znowu i tym razem on przejął inicjatywę. Dotknął mojej twarzy, wsunął mi dłonie we włosy, wciągnął w usta mój język i smakował mnie własnym językiem. Nagle ogarnęło nas oboje szaleństwo, spleśliśmy się ze sobą i chłonęli nawzajem.

Zsunęliśmy poduszki z ławy na pokierszowaną drewnianą podłogę i zrobiliśmy sobie z nich materac. Działaliśmy szaleńczo, brutalnie, szybko, w milczeniu i w zgodzie. Zerwaliśmy z siebie ubrania, obnażając wilgotną skórę i wystawiając ją na dotyk w gorącym zmysłowym powietrzu. Czułam na piersiach jego ręce, potem usta. Głaskałam go, kiedy się na mnie położył. I wreszcie, gdy patrzyłam mu na twarz, bardzo delikatnie mnie pocałował - taka cisza podczas burzy - a ja wprowadziłam go w swoje ciało.

Połączyliśmy się i spłynęli tak łatwo jak deszcz po żyznej ziemi.

Gwiazdy już świeciły na niebie, gdy przyjechaliśmy do Niedźwiedziej Kotliny. Podczas długiej drogi do domu, którą odbyłam sama w swoim pikapie, wyklarowało mi się wszystko w głowie i poczułam się tak okropnie nieszczęśliwa, że ledwie mogłam skoncentrować uwagę na szosie. „Spędzisz resztę swojego życia, pragnąc go znowu”.

Quentina trapiły podobne myśli o mnie, ale ja tego nie wiedziałam. Przeszliśmy przez ciemne zamglone podwórko, nawet się nie dotykając. Zapaliłam lampę naftową na balustradzie ganku i usiadłam ostrożnie na skrzypiącej ławce huśtawce. On przysiadł na schodkach, parę metrów ode mnie. Z ciemności wyskoczył Hammer, machając ogonem. Sprawiał wrażenie speszzonego, gdy ani Quentin, ani ja nie pieściliśmy go zbyt.

- Musimy porozmawiać - powiedział Quentin.

- Wiem.

- Jestem od ciebie starszy o osiem lat.

- Tylko osiem lat? Będziesz musiał wymyślić sobie jakiś lepszy argument.

- Ciężko pozbyć się starych nawyków.

Zrzuciłam sandały i przyciskając palce nóg do podłogi ganku, kołysałam się lekko w tak zmysłowym rytmie, że po sekundzie przestałam.

- Ja też mam stare nawyki. Zawsze chadzam własną drogą. Za wszelką cenę staram się unikać poważnych związków.

- Jaki był ten twój doktor? Naukowiec. Liza trochę mi o nim opowiadała.

- Gregory? Bardzo przyzwoity. Można było na nim polegać.

- Ale cię zdradził.

- Wiedziałam, tak przynajmniej myślę, że kiedyś to zrobi. Wiedziałam, że nigdy nie wyjdę za niego za mąż.

- Musiałaś chyba jakoś go kochać. Robił coś, co sprawiało, że przy nim zostałam.

- Jeśli masz na myśli seks, to jesteś w błędzie. Co nie znaczy, że nie uważałam seksu za przyjemność, ale dla mnie to zawsze był popęd do opanowania. - Przerwałam na chwilę. - Aż do niedawna. Nigdy przedtem nie rzucałam się na mężczyznę.

- Myślałem, że to ja cię uwiodłem - powiedział z lekkim uśmiechem. - Kiedy mówiłem ci, żebyś przestała, kłamałem.

Te szarmanckie słowa rozkosznie mnie ogrzały.

- Masz umiejętność precyzyjnego określania związków i zależności. Myślę o konstrukcjach. Przestrzenie i połączenia, i systemy. Masz wycucie tych rzeczy. To instynkt twórczy. Zobaczyłeś, czego pragnęłam, i dałeś mi to.

- Rzecz nie w tym, że jest się twórczym. Tylko że jest się mężczyzną.

- Myślę, że w duszy jesteś artystą.

- Nie.

- Masz kogoś w Nowym Jorku, jakąś kobietę? - Zmusiłam się z dużym wysiłkiem do tego, żeby zadać mu to pytanie. - Na pewno. Przypuszczam, że więcej niż jedną.

Powiedział mi bez osłonek i szczerze o Carli Esposito, nie podkreślając, że to związek bez przyszłości.

- Przyjaźnimy się od dzieciństwa - dodał na zakończenie. - Ona przychodzi i odchodzi.

„Przyjaciele, którzy sypiają ze sobą przez większość życia” - myślałam, milcząc ponuro.

- To nie jest po prostu przyjaciółka. To kobieta, którą ty kochasz. - Z mojej strony to nie było oskarżenie, tylko stwierdzenie czegoś, co mnie wydawało się nader oczywiste.

- Nie.

- Co wobec tego nazywasz miłością?

- Jeśli bez tego kogoś nie mogę żyć.

Zapanowała dłuższa cisza i nic nie wskazywało na to, by pewnego dnia ten ktoś mógł być mną. Wpatrywałam się w ciemności ponad sadzawką światła lampy naftowej.

- Ja też tak określam miłość. Pewno dlatego zawsze od niej uciekałam i może nigdy nie przestanę uciekać. Moi rodzice tak bardzo się nawzajem kochali.

- Moi też.

- To zbyt bolesne.

- Tak. Zaczerpnęłam powietrza.

- Moje życie jest tu. W tym miejscu. Jestem z Powellów. Należę do tej ziemi. I Arthur. Arthur nie może żyć gdzie indziej.

- Potrzebujesz kogoś, kto kocha tę farmę tak mocno jak ty. - Quentin wyjął z kieszeni koszuli niedopalone cygaro, po czym wbił je w ziemię w donicy z posadzonym przeze mnie drzewkiem brzoskwiniowym. Wyglądało to tak, jakby mi mówił, że wychowywał się, mając bruk pod nogami, i nie uznaje świętości ziemi. Obserwowałam błyski światła na jego ciemnych włosach, zmęczony profil, coraz ostrzejszy wyraz oczu. Obserwowałam go w srebrnym milczeniu, bolejąc w duchu.

On nie czuł się lepiej, choć ja się tego nie domyślałam.

Hammer uniósł łeb i cicho zaszczekał. Quentin i ja popatrzyliśmy na leśną ścieżkę za forsycjami na bocznym podwórku. Początkowo słyszałam jedynie kumkanie żab z głębi kotliny, potem wyraźne trzeszczenie gałązek pod czyimiś stopami.

Wstałam i poszłam na skraj ganku.

- Arthur?

Wychynał z ciemności na plamę księżycowego światła. Trzymał coś w rękach.

- Bracie Niedźwiedziu! - zawołał.

- Jestem tu, Arthurze - odezwał się Quentin.

- A Siostra Niedźwiedzica?

- Tutaj - powiedziałam.

- Wiem, czego potrzebuje Mama Niedźwiedzica. Wreszcie to wykombinowałam.

Wstrzymałam oddech.

- Co to takiego, kochanie?

Wysunął się dalej na światło księżyca, które posrebrzyło mu brązowe włosy. Twarz miał białą jak śmietana. Zrobił krok do przodu i znowu się zatrzymał, chwiał się, jakby dopiero co przywrócono go do życia. Nieporęczny przedmiot, który trzymał w rękach, przechylał go na bok.

- Ona nie ma nikogo podobnego do siebie. Z jej własnego gatunku. Ty też tak myślisz, prawda, Bracie Niedźwiedziu? Pocałowałaś tamtego dnia Ursulę, żeby odgonić Międzysie, bo ona również jest samotna. Jak niedźwiedzica.

Quentin wstał.

- Pocałowałam twoją siostrę, po prostu dlatego, że ją lubię.

- Mama Niedźwiedzica potrzebuje przyjaciela, który ją pocałuje. Ona jest osamotniona... i jeśli nie poczuje się lepiej, to umrze! - Arthur stłumił płaczliwy dźwięk w gardle i wyciągnął w naszą stronę tajemniczy przedmiot. - Bardzo źle jest być samotnym.

Ona umrze, jeśli nie będzie szczęśliwa! Tak jak umarł tata! Ale ty jej możesz pomóc!

- Uspokój się, uspokój, Arthurze - powiedziałam, schodząc po schodkach. Arthur cofnął się i zatrzymał.

- Powiedz mi, co chcesz, żebyśmy zrobił, przyjacielu - namawiał go delikatnie Quentin.

- Ona potrzebuje przyjaciela! Jeśli on nie sprawi, że poczuje się lepiej, wówczas może pojechać i żyć z tobą.

- Naprawdę tak myślisz? Pozwolisz mi ją zabrać?

- Tak. Jeśli nie będzie szczęśliwa, gdy zyska przyjaciela. Najpierw musimy to sprawdzić. Dobrze?

- Dobrze, Arthurze. Bez względu na to, czego będzie to wymagać. Przekonamy się. - Quentin i ja wymieniliśmy zakłopotane spojrzenia.

- Przyniosłem ci pierwszą część jej przyjaciela! - oznajmił Arthur. - Znalazłem ją w stodole, gdzie pracowaliśmy.

Tata umieścił ją wysoko, ale spadła na ziemię. Bo ona chce, żebyśmy ją wykorzystali!

- Arthur ukląkł i położył ów przedmiot u stóp Quentina, potem odskoczył i zaczął się wycofywać.

- Kość! - wykrzyknął. - Jutro poszukam dalszych części! - Odwrócił się i pobiegł w noc.

Staliśmy tam oboje przez chwilę, próbując rozeznaczyć się w zawilosciach prośby mojego brata.

- Zobaczmy, co przyniósł - zaproponował Quentin. Poszłam do domu, żeby zapalić światła na ganku. Kiedy wróciłam, Quentin kucnął obok dwóch długich prostokątów dekoracyjnej żelaznej konstrukcji ze szpiczastymi nóżkami. Prostokąty były związane drutem, by łatwiej je przechowywać. - To wygląda jak podstawa stolika od starej maszyny do szycia - oznajmił.

- Bo i jest. Maszyny do szycia dawno już nie ma. Należała do babki, potem używała jej moja matka. Tata powiesił podstawę na górze w stodole. Zamierzał dorobić do niej blat. Ale nigdy do tego się nie zabrał.

- Co według Arthura mam z tym zrobić? - Oparł ciężkie żelazo o zgięte kolana i zeszkrobywał z nich rdzę. - Czego on chce?

Nagle zrozumiałam. Usiadłam na mokrej po deszczu ziemi, po prostu usiadłam i wzięłam na kolana dwa ciężkie kawały żelaza. Popatrzyłam na Quentina z goryczą - pokonana, zła, zagubiona. To, czego chciał mój brat, było niemożliwe - równie niemożliwe było pragnienie zdobycia Quentina. Skończyłoby się na tym, że wszyscy potracilibyśmy serca, nasze poglądy, nasze nadzieje.

- On chce, żebyś zbudował drugiego Żelaznego Niedźwiedzia - powiedziałam.

Rozdział 16

Po bezsennej nocy gorące ranne słońce paliło Quentina w oczy. Promienie przenikały przez wielką sosnę, oświetlając niewielką białą kaplicę katolicką w Tiberville. Gliniane donice z kolorowymi petuniami stały wzdłuż chodnika przed jej frontem. Niski, szpakowaty ksiądz, w koloratce, czarnej koszuli i dżinsach, zamiatał właśnie ten chodnik. Jego przysadzisty pies już dawno przestał obwąchiwać porządnie przystrzyżoną murawę przy kaplicy i teraz ujadał na Quentina, jakby co najmniej był lisem.

- Dzień dobry, Quentinie - przywitał go ksiądz, przeciągając samogłoski. - Dużo o tobie słyszałem. Wiem, kim jesteś.

Taka reakcja już przestała dziwić Quentina.

- Chciałbym, żeby mnie ojciec wypowiadał. Ale muszę ostrzec, że od lat nie chodzę do kościoła. Zardzewiałem.

- Och, no to najwyższy czas, żeby naoliwić twoje sumienie. Wejdz do środka. Jestem Roy. Ojciec Roy. - Wymienili uścisk dłoni.

Quentin upewniał się co do swojej decyzji, gdy szli ścieżką wśród staromodnych kwiatów. Nie potrafił sobie wyobrazić ojca Aleksandra, eleganckiego kosmopolity, hodującego petunie, ubranego w dżinsy, z biglem. I mającego na imię Roy. Wydawało mu się to zbyt uspokajające. Jednakże ksiądz to ksiądz, a tego ranka Quentin czuł się wewnętrznie jakiś pokręcony i szukał uspokojenia w tradycji swojego dzieciństwa.

- Skąd ojciec pochodzi?

- Z Missisipi. Wyrastałem w odległości kilometra od miejsca urodzenia Elvisa. Niemalże tam. To prawie tak jak ocierać się o świętego.

- Może święty Elvis to dla mnie najlepsza szansa. Ojciec Roy się zaśmiał.

Pojechałam do banku, a potem sennymi, ocienionymi lasami bocznymi drogami do następnego miasta. Czekałam w holu małego biurowego budynku z cegieł, patrząc bezmyślnie na Jerry'ego Springera w telewizji razem z dwoma innymi szemranymi „klientami” Instytutu Finansowego Donahue.

- Powinieneś porządnie złożyć jej małą dupcię - powiedział jeden z nich do bojowników na ekranie.

Życie jest zdominowane przez drobne nonsensy, rozczarowania i upokorzenia, i tylko niekiedy trafiają się rzadkie momenty transcendentnego zwycięstwa i radości. Ostatni wieczór, w ramionach Quentina, był jednym z tych nadzwyczajnych momentów. Teraz powróciła rzeczywistość.

Czy przez wszystkie te lata świat funkcjonował bez drugiego Żelaznego Niedźwiedzia, żeby nasze żywoty zmierzyły się z milczącym losem? Arthur tak uważał i teraz nie pozostawało nic innego jak go stworzyć - a tego zrobić się nie dało. Spędziłam większość

księżycowej letniej nocy w bujanym fotelu doktora Washingtona na jego frontowym ganku obrośniętym kapryfolium, obserwując mojego brata, który spał uśmiechnięty, bez snów, w hamaku.

- Arthurze, jesteś pewien, że potrzebny ci jest drugi niedźwiedź - spytałam, gdy się na chwilę obudził.

- Nie można mieć dzieci bez dwojga - mruknął i znowu usnął w chłodnej perkalowej pościeli i w głębokim spokoju swojej decyzji. Jak plemienny szaman przewidywał plony i zbiory, symboliczne bogactwa mające utrzymać nas i naszą ziemię.

Kiedy zjawił się Joe Bell Walker z pudełkiem lukrowanych pączków w upierścienionej ręce, poszłam za nim do jego biura i położyłam na biurku wypchaną kopertę.

- Pięć tysięcy w gotówce. Dwudziestkami. Przepraszam. Kasjer w banku nastawiony był sadystycznie.

- Jakoś mi smutno, że tak mnie pani potraktowała. - Potrząsnął głową i uniósł brwi. - Robi mnie pani w balona? Już mi zapłacono.

- Kiedy? Jak?

- Dostałem dziś rano telefon od jakiegoś faceta. Pani przyjaciela. Quentina Ricconiego. Spotkał się ze mną w sklepie z pączkami i wręczył mi pieniądze. Odbyliśmy małą pogawędkę. - Zerkał na mnie spod oka.

Spojrzałam na niego. W głowie miałam zamęt, prawie nie spałam, byłam obolała, czułam się otępiała. Quentin mnie spłacił. Dał mi do zrozumienia, że nasze zobowiązania można po prostu zamienić na pieniądze.

- Niezłe - powiedziałam i wzięłam z powrotem kopertę. Musiałam stamtąd odejść, zostać sama ze swoim cierpieniem.

Joe Bell odchrząknął.

- Chciałbym tylko jeszcze coś powiedzieć. Posłała pani faceta takiego pokroju, żeby się zobaczył z Joem Bellem Walkerem, zatem przekazała mi pani posłanie. Twarda z pani kobieta. Nie doceniałem pani. Ale ja też nie wypadłem sroce spod ogona. Wyjaśnijmy sobie tę rzecz. Bez urazy, okej? Nie chcę żadnych kłopotów z takimi jak on.

- Takimi jak on?

- Dobrze pani wie, o czym mówię. Włoch, z Nowego Jorku. My tutaj na Południu mamy swoje terytorium. Tamci faceci mają swoje. Te dwa terytoria nigdy się nie pokrywają. I niech tak zostanie. Jeśli pani ma tego rodzaju ochronę, to od teraz będziemy to respektować. Okej?

On myślał, że Quentin jest w mafii. Chciało mi się śmiać albo płakać. Powinnam powiedzieć mu prawdę, ale tylko pokiwałam głową, wyrażając zgodę, i wyszłam ze swoimi pieniędzmi. Zarobiłam tych pięć tysięcy dolarów na podłodze w pustej księgarni.

Poszliśmy we dwoje z Quentinem na pastwisko i staliśmy przed niedźwiedzicą.

- Kiedy wyjeżdżasz? - spytałam. Zachowałam kamienny spokój.

Przez chwilę przygnębiała mnie jego mina, z której niczego nie mogłam wyczytać. To pytanie było wyzwaniem - miał mi powiedzieć, że nie zamierza tak daleko ode mnie odjechać, i to najszybciej jak się da. Mężczyźni lubią dawać prezenty, gdy czują się winni.

- Dzisiaj.

„To już nadeszło. Nie jest takie bolesne. Przeciąłeś to szybko i czysto. Oddychaj”.

Pokiwałam głową.

- Proszę cię, nie dzwoń, nie pisz i nie przyjeżdżaj z nową ofertą. W ten sposób Arthur wcześniej się pozbiera. Wymyślę jakąś bajeczkę, żeby wytłumaczyć, dlaczego nie możesz zrobić tego, o co cię prosił.

- Przestań. - Quentin chwycił mnie za ramiona. - Wiesz, dlaczego nie mogę zrobić drugiej rzeźby. Do cholery, ja nie jestem artystą. Nigdy ci nie mówiłem, że jestem.

- Rozumiem. Zorientowałam się z twojej miny wczorajszego wieczoru, że nie masz zamiaru zrobić tego, o co prosił.

- Nawet gdybym chciał, to nie mógłbym. Nie jestem moim ojcem.

Spędził większość swojego życia, usiłując to udowodnić, a to był ostateczny test.

- Rozumiem - powtórzyłam.

- Przestań zgadzać się ze mną.

- Ja tylko chcę położyć kres tej fantazji, zanim wymknie się całkiem spod kontroli.

- Nadal zamierzam kupić Żelazną Niedźwiedzicę. Znajdę kogoś, jakiegoś wykwalifikowanego rzeźbiarza, który pracuje w metalu i będzie mógł zrobić jej kopię dla Arthura. Zlecę zrobienie takiej imitacji. I przywiozę ją tutaj. Spodoba mu się. I dogada się ze mną co do sprzedaży. Zobaczysz. Zrobię wszystko, co trzeba, żeby odzyskać oryginalną rzeźbę. Daję ci słowo, że doprowadzę do zrealizowania tej umowy. - Puścił mnie i cofnął się o krok.

Potrząsnęłam głową.

- Mój brat nie chce kopii oryginału. I nie chce, żeby ktoś obcy zrobił tę rzeźbę. On chce drugiego unikatowego niedźwiedzia. Dla niego tylko ty możesz go zrobić. I musi powstać tak jak ta pierwsza rzeźba, z rzeczy, które zbierzemy wśród nas, w naszej społeczności. Z naszych pamiątek. Z naszych talizmanów. Z naszego złomu. Z naszych odpadów. Z tego, co wyrzucamy. Nazywaj to sobie, jak chcesz. Lecz jedynie ty możesz wykonać to, o co on prosił. Wiem, że nie możesz albo nie chcesz tego zrobić. To dlatego musisz odejść z naszego życia teraz, zanim jeszcze bardziej go zranisz.

Spojrzał na mnie z tak wielkim zawodem, że chyba odczuwał ból. Założyłam ręce do tyłu, chcąc oprzeć się pokusie dotknięcia go, przywarcia do niego.

- Wypróbujemy najpierw mój sposób - wycodził przez zaciśnięte zęby.

Serce mi się ścisnęło, a potem ogarnęła mnie złość. Odeszłam na kilka kroków, zanim

znowu obróciłam się w jego stronę.

- Demolowanie i zbiórka materiałów to coś w twoim stylu. Żadnego stałego domu, żadnych stałych związków. Nigdy i niczego nie zbudowałeś w swoim życiu, prawda? Ty tylko burzysz.

- Każdy specjalista od demolowania i zbiórki materiałów potrafi rozwalić na kawałki budynek - powiedział wolno, wbijając we mnie wzrok. - A ja jestem jedynym człowiekiem w tej branży, który potrafi go rozmontować.

- Uważasz, że prace twojego ojca to szachrajstwo pozbawione znaczenia. Mówisz o jego rzeźbach tak, jakby były kawałkami metalu zmontowanymi po to, by wystrychnąć na dudków ludzi dopatrujących się w nich jakiegoś głębszego sensu. W porządku. Jeśli są czymś tak prostym, to wobec tego stworzenie jednej rzeźby powinno być dla ciebie zupełnie łatwe.

- Nie! Nie. Oto moja odpowiedź.

Zapanowało między nami milczenie. Quentin był spokojny, stanowczy i nieustępliwy. Ja uważałam, że wróci do Nowego Jorku i przekona się o bezowocności swojego planu. I na tym się skończy.

- Do widzenia - powiedziałam.

Podszedł do mnie, wyciągnął rękę i położył mi dłoń na włosach. Kiedy ją cofnął, na czubku palca siedział mu maleńki biały motylek. Quentin nie spuszczał ze mnie strapionego wzroku.

- One przyniosą ci wiadomość, jak tylko będę wiedział, co i jak.

A potem zostawił mnie po trzech tygodniach i sześciu dniach, trzynastu godzinach i dwudziestu siedmiu minutach, przez które był częścią mojego życia, by na zawsze je odmienić.

- Gdzie się podział Brat Niedźwiedź? - dopytywał się gorączkowo Arthur. Wiedziałam, że tak będzie. „On nie umarł, prawda? Jesteś pewna, że nie umarł?” Widziałam strach w jego oczach. Staliśmy na granitowym nawisie, który jak rondo kapelusza sterczał z grani nad Niedźwiedzią Kotliną. Tysiąc razy bawiliśmy się tu jako dzieci w niebieskawym cieniu najwyższych drzew. Granitowa grań była jednym z najpiękniejszych miejsc na farmie.

Zabrałam tam Arthura, żeby go okłamać, a przecież przysięgłam sobie więcej czegoś takiego nie robić.

- Pojechał do swojego domu, żeby popracować nad projektem twojego niedźwiedzia. Przyjedzie znowu, ale praca nad niedźwiedziem wymaga długiego namysłu. Nie potrafię ci dokładnie określić, kiedy znowu go zobaczymy.

Arthur chodził tam i z powrotem i załamywał ręce.

- On musi zrobić przyjaciela dla Mamy Niedźwiedzicy. Musi. Po prostu musi.

- Kochanie, postanówmy tak. Każdego dnia będziemy tu przychodzić i kłaść na skałę kamyczek na oznaczenie tego dnia. Nie przestaniemy liczyć dni, i w ten sposób dzień, w

którym wróci, będzie coraz bliżej. - Prawdopodobnie w taki sam sposób powstawały w starożytnych krajach kopce z kamieni, wznoszone ze smutku i nadziei.

Arthur wpatrywał się we mnie natarczywie.

- Dopóki mamy kamienie, to mamy dni? - Pokiwałam głową. Zeskoczył z nawisu, przez kilka sekund gmerał przy kruszącej się krawędzi, po czym wyciągnął ku mnie rękę z garścią małych kamyczków. - Ile ich jest?

Odliczyłam siedem kamyczków i powiedziałam, żeby resztę wyrzucił.

- To wystarczy na pierwszy tydzień.

Włożył sześć kamyczków do kieszeni szortów, starannie zmiotł liście z płaskiego miejsca na naszej granitowej scenie i uroczyście położył tam siódmy kamyczek.

- Liczę na ciebie, Bracie Niedźwiedziu - szepnął. - Wiem, że wrócisz.

Ja też pragnęłam w to wierzyć.

Następnego dnia po południu na podwórko zajechała brązowa pocztowa ciężarówka. Kierowca wyładował kilka wielkich paczek. Kiedy odjeżdżał, stałam tam, wpatrując się w adres nadawcy - sklepu z wyrobami ze srebra w Atlancie.

- To chyba nie jest w porządku - powiedziałam Lizie i Fannie Ledbetter, które przybiegły zaciekawione. Otworzyłam paczki i znalazłam w nich całe swoje srebro. Na koniec odkryłam ręcznie pisaną notatkę od właścicielki sklepu, mojej dystyngowanej i współczującej doradczynie, ekspertki od tego, jak może przeżyć elegancka dama na Południu: „Czasami jest rzeczą całkiem właściwą przyjęcie prezentu od dżentelmena. Twój przyjaciel to prawdziwy dżentelmen”.

- Quentin zrobił to dla ciebie - powiedziała Liza z respektem. - Och, Ursulo!

- To subtelny mężczyzna - zgodziła się Fannie Ledbetter.

Wniosłam paczki do domu, usiadłam między tymi wszystkimi chłodnymi pięknymi srebrami i gorzko zapłakałam.

Część III

Rozdział 17

„Potrafię odsunąć od siebie myśli o niej tutaj, w domu. O jej głosie, o jej oczach, o jej ciele, o jej poglądach. O tym, co ona czuje przy mnie i co ja czuję przy niej” - mówił sobie Quentin po powrocie do Nowego Jorku. Zawsze potrafił odpowiednio ustawić swoje codzienne życie, koncentrować się na określonych zadaniach i zacierać w pamięci kłopotliwe okoliczności. Działało to za każdym razem, gdy chciał zapomnieć o jakiejś kobiecie.

Ale tym razem się nie sprawdziło.

Nowy Jork i poszczególne jego dzielnice raptem wyglądały dla niego inaczej, góry były niewłaściwego rodzaju, już nie całkiem rzeczywiste, miasto pełne wynajętych przestrzeni i małych ogródków na dachach, dużo własności publicznej i mało intymności. Nie było tu leśnego królestwa. O ile pamiętał, żaden z Riconich w dziejach tej rodziny w Ameryce nie posiadał ziemi. Myślał o Ursuli i Niedźwiedziej Kotlinie, po czym odpychał od siebie te myśli.

- Dobra, Joe, powiedz mi, o co właściwie chodzi. Z rozmowy przez telefon wiem, że nie spodobał ci się ten plan. - Quentin i Joe Araiza siedzieli w zniszczonym drewnianym boksie w barze w centrum Manhattanu, tam gdzie Joe prowadził prestiżową galerię rzeźby.

Dawny uczeń jego ojca, teraz przysadzisty mężczyzna w średnim wieku, przyglądał sobie rzednące ryżawe włosy, zanim upił łyk szkockiej whisky. Stuknął szklaneczką w stół i zmierzył Quentina ostrym wzrokiem.

- Nie podoba mi się to, o co mnie prosiłeś. Chcę wiedzieć, co zamierzasz osiągnąć przez ten szaleńczy pomysł podrobienia pracy twojego ojca...

- Chcę towarzysza dla *Nagiej Mądrości*. Nie kopii, tylko podobnej rzeźby. Znajdź mi rzeźbiarza, który potrafi to zrobić. Ty nas skontaktujesz. Tylko tyle.

- Muszę wiedzieć, dlaczego tego chcesz.

- Mam swoje powody.

- Czy to dla Angele?

- Pośrednio. Nie chcę, żeby o tym wiedziała, póki nie będę gotowy.

Joe, skonsternowany, rozłożył ręce.

- Gotowy? Gotowy podsunąć jej kopię arcydzieła ojca? Chcesz ją przekonać, że *Naga Mądrość* nadal istnieje?

- Nie. Nie chodzi o to, żeby ją okłamać. Nie chodzi też o zrobienie fałszywej kopii. - Oskarżenia zirytowały Quentina i w jego oczach pojawiły się gniewne błyski. Czyżby miał reputację człowieka tak cynicznego, że nawet Joe Araiza uważa go za zdolnego do oszustwa?

Joe zauważył jego minę i odchylił się do tyłu, na oparcie.

- W porządku. Nie powinienem był się tak wyrazić. - Odetchnął głęboko, potarł ustępujące z czoła włosy, po czym nachylił się do przodu, opierając łokcie na stole. - Quentin, to, co myślę, sprowadza się do tego: nie wiesz, o co prosisz.

- Chcę, żeby wykwalifikowany rzemieślnik wykonał zamówienie. To wszystko.

- Twój ojciec był artystą. Możesz imitować jego prace, ale nie możesz odtworzyć tej magii.

- Porozmawiaj tylko z najlepszymi fachowcami i wybierz któregoś. Wynajmij go i prześlij mi rachunek.

Joe westchnął.

- W porządku. Ale czy wiesz, że to będzie ciężka robota dla każdego głupka, który zechce tego spróbować?

- W to nie wierzę. Konstrukcja jest już określona, podstawowa koncepcja też. To tylko kwestia obróbki metalu i montażu.

- Ty rozumiesz najwyraźniej jedynie to, co chcesz. Albo myślisz, że rozumiesz. Dlaczego sam nie zrobisz tej rzeźby?

- Muszę prowadzić swoje przedsiębiorstwo. Sierżant nie jest osobą, której można powierzyć kierowanie głównym biurem. Gdy ma do czynienia z kupcem handlującym antykami, odnosisz wrażenie, że nie wie, czy ma zaskłonić, czy wrzasnąć: „Padnij i zrób dwadzieścia przysiadów!”

Joe dumał nad tą wymówką, patrząc na Quentina z dezaprobatą. Potem westchnął.

- Twój ojciec mówił mi kiedyś, że wiele miesięcy strawił nad rzeźbą niedźwiedzicy i co najmniej pół tuzina razy rozbierał ją na części. Ponadto mamy do dyspozycji tylko kilka starych fotografii i szkiców, według których można by pracować. Znalezienie odpowiedniej osoby potrwa jakiś czas. Nie zdajesz sobie sprawy, jak zniechęcająca jest reputacja twojego ojca. Albo jak wiele krwi, potu i łez wkładał on w każdą rzeźbę.

- Pamiętam tę krew.

- Boże, nie powinienem był tego mówić. Przepraszam.

Ponury nastrój pogrzyżył ich w milczeniu. Quentin siedział oparty, pociągnął łyk ze szklaneczki napełnionej szkocką whisky i studiował tę małą sadzawkę bursztynowego płynu. Liza Deerwoman przyznała mu się, że wierzy, iż wpatrywanie się w wodę pozwala komunikować się ze zmarłymi. Mówiła, że tak właśnie rozmawiała z Tomem Powellem i on chciał, by Quentin zrobił drugą rzeźbę.

Quentin złapał się na tym, że zagląda głębiej do szklaneczki. „Co byś mi teraz powiedział, papo? Mam wracać do Niedźwiedziej Kotliny i spróbować? Kochać kobietę tak bardzo, jak ty kochałeś matkę? Czy też poddać się tak jak ty? Czy mam kroczyć twoimi śladami do grobu?”

- Nic ci nie jest, Quentinie?

Odstawił szklaneczkę i roześmiał się głośno.

- Wynajmij mi rzeźbiarza, Joe. Jeśli uzyskam rezultat, jakiego chcę, będziesz zadowolony, że przez to przeszedłeś.

- Powiedz mi coś. Nigdy ani trochę nie obchodziły cię prace twojego ojca, to dlaczego nagle teraz zaczęły cię obchodzić?

Quentin uśmiechnął się słabo.

- Nadal ani trochę mnie nie interesują.

*

Minął tydzień, potem drugi. Zaczął rozumieć, że upłyną miesiące, zanim rzeźba zostanie zaprojektowana i ukończona. Podniósł słuchawkę, żeby zatelefonować do Ursuli, potem się rozmyślił. Spóźnione wieści to żadne wieści. Pogorszą tylko całą sprawę. W nocy, leżąc w łóżku, wspominał ich zbliżenie na podłodze w starej księgarni.

„Zrezygnuj z tego. Ursula miała rację. Zniszczysz Arthura. Nie wtrącaj się do ich życia. Zapomnij o niej”. Źle sypiał, niepotrzebnie wystawiał się na niebezpieczeństwo podczas prac rozbiórkowych i przesiedział w zadumie przy biurku wiele upalnych, pełnych smogu letnich wieczorów. „Mógłbyś to zrobić, skonstruować rzeźbę dla niej. Dla Arthura. Dla siebie”.

Tylko że nie miał zielonego pojęcia o sposobie myślenia ojca, o tym, jak planował i rozpoczynał rzeźbę - które z jego wizji przemieniały zimny metal, nadając mu intrygujące życie. Jakiego rodzaju alchemii potrzebuje człowiek, żeby dokonać tego boskiego dzieła? „Nie mogę sięgać tak głęboko. Nie zniosę tak długiego zagładania w serce papy”.

Przekopał pudło ze starymi gratami, szukając kilku metalowych zabawek, jakby mogły zawierać jakieś wskazówki dotyczące mechanizmu myślenia ojca. Znalazł zamiast nich coś, co matka zapakowała przed wielu laty: garść gładkich niebieskawoszarych paciorków podobnych do ciemnych stalowych perełek. Papa wyborował w każdym paciorku małą dziurkę i nanizal je na mocny kordonek. Służyły mu jako różaniec.

Quentin tylko kilka razy w życiu znalazł się w sytuacji, której nie mógł sprowadzić do sumy składników. Ten rodzaj próżni był dla niego koszmarem i powodem, dla którego na przykład unikał latania samolotami, o czym nikt nie wiedział. Nie lubił wokół siebie tak dużej ilości rozrzedzonego powietrza.

Rozmyślając nad swoją decyzją, odwiedzał olbrzymie złomowiska, galary załadowane rozebranymi samochodami, wysypiska cuchnące odpadkami. Grzebał w śmieciach przemysłowego świata, usiłując postrzegać kształty i formy w taki sposób, jak to według jego wyobrażeń robił ojciec.

Próbował usłyszeć jego rady pośród zgrzytu stali i smętnego rozkładu. Nosił w kieszeni różaniec i często go dotykał. To jednak nie pomagało.

- Co się przydarzyło tam w Georgii? - dopytywał się Popeye. - Ktoś cię, do jasnej

cholery, odmienił.

- Zostaw mnie w spokoju - odparł Quentin, podnosząc kutą żelazną bramę ogrodową i wsuwając ją do klatki do przewożenia towarów, którą miano wyekspediować następnego dnia. Popeye patrzył na niego i wytrzeszczał oczy. W tonie Quentina wyczuwało się lekką groźbę, zabójczą pustkę, która przedtem pozostawała zawsze ukryta. Stary sierżant pełen był życzliwej troski.

- Kapitanie, upij się, weź sobie babę, zapłać jej i różnicie się, aż wióry polecą. To rozwiąże większość twoich problemów.

Quentin rozważał tę radę, zastanawiał się nad tym bardziej, niż się spodziewał stary Popeye. Znał jednak tylko jedno spolegliwe antidotum na wszelkie zmartwienia. Zadzwoił do Carli.

Carla promieniała, przekomarzała się i żartowała. Często dotykała ręki Quentina, gdy jedli kolację - homara i stek dostarczono z restauracji - w miejscu przeznaczonym na jadalnię, pod odrestaurowanym przez niego gazowym żyrandolem z przełomu stuleci. To wyjątkowe zaproszenie miało wszystkie cechy nowego początku, kolejnej intymnej fazy w ich związku. Carla spodziewała się, naturalnie, że spędzi tu noc. A Quentin, naturalnie, spodziewał się, że jej na to pozwoli.

Podczas kolacji przez cały czas mówiła o swoich córkach, jak dobrze dają sobie radę w prywatnej szkole podstawowej, że zaczęła zabierać je na balet i do opery - nie będą dorastać bez kultury, nie, nie utkną w Brooklynie.

- Nieustannie pytają mnie, kiedy znowu przyjdzie w odwiedziny wujek Quentin.

- Może w ten weekend. Zabiorę je do zoo.

Carla spojrzała na niego z uwagą. Nigdy przedtem nie wychodził na miasto z jej córkami.

- Czy... nic ci nie jest? Co ci się stało?

- Nie chcesz, żebym zabrał je do zoo?

- Nie, jestem wzruszona. To takie... dziwne. Nigdy nie pragnęłam, żeby cię lubiły.

- Dla ich własnego dobra. Może próbuję się zmienić.

- Quentin! - Wstała, uśmiechając się z niedowierzaniem, obeszła stół i usiadła mu na kolanach. - Ta podróż na Południe po zakupy doprawdy otworzyła przed tobą nowe perspektywy. To mi się podoba.

Przemknęła mu posępna myśl, ale kiwnął głową i trzymał Carłę w pasie, gdy obsypywała mu twarz pocałunkami.

- Zamierzam ubrać się w specjalny strój, który przyniosłam ze sobą - szepnęła. - Zaczekaj tu, póki cię nie zawołam.

- To brzmi interesująco.

Pocałowała go lekko w usta, poderwała się i zniknęła w jego sypialni. Siedział,

wpatrując się w przestrzeń. „Weź ją do łóżka i skończ z tym. Mogłoby to być całkiem dobre życie. Jeśli nie chcesz dłużej być sam, to masz Carlę. Proste”.

Usłyszał łomot i krzyk. Poszedł do sypialni. Było to obszerne, dobrze wentylowane pomieszczenie z wielkimi oknami w ceglany obramowaniu, których nie zasłaniano nawet w nocy. Zastał Carlę stojącą przed jednym z nich. Wysoka mosiężna lampa sprawiała, że cała jej wściekłość odbijała się w szybie. W ręce ścisnęła plik fotografii. Jedna z szuflad komody leżała na podłodze.

- Kim ona jest?! - spytała Carla, podsuwając mu zdjęcie, na którym klęcząc, obejmowała Hammera.

- Dlaczego grzebiesz w mojej komodzie?

- Bo wiem, że ukrywasz coś przede mną.

Wyciągnął rękę. Carla się cofnęła. Ciemne włosy opadły jej na twarz, gdy podrzuciła głowę. Oczy miała błyszczące.

- Musiała być jakaś przyczyna twojego tak bardzo dziwnego zachowania. I oto ona. - Potrząsnęła fotografiami. - Zrobiłeś tej babce kilkanaście zdjęć. To nie jest zbieg okoliczności. To nie jest przypadek. Nigdy przedtem nie robiłeś tylu zdjęć żadnej kobiecie. Włącznie ze mną.

- To nie ma sensu. Zaprosiłem cię, zaproponowałem, że spędzę trochę czasu z twoimi dziewczynkami. A ty mnie podejrzewasz, że spotykam się z inną kobietą.

- Tak! To ma jak najbardziej sens! Używasz mnie, żeby uniknąć jej. Sakramencki Quentinie! Wiem, to było zbyt dobre, żeby mogło być prawdziwe. - Klapnęła na szeroki parapet z opuszczonymi ramionami. Quentin siadł obok niej, wziął fotografie i odłożył je na bok.

- Z nią nie mam życia - powiedział cicho.

- Już masz.

- Nie. Ty i ja mamy. Mieliliśmy długą przeszłość. Może mamy długą przyszłość. Usiłuję podjąć pewne decyzje. Skończyłem czterdzieści lat.

Łzy płynęły po jej pięknej twarzy. Otarła je gwałtownym ruchem ręki.

- Skończyłeś czterdzieści lat i jesteś zmuszony wziąć pod uwagę fakt, że pewnego dnia będziesz samotnym starym człowiekiem jak Popeye. Ogarnia cię desperacja. Decydujesz się na wygodny układ ze mną.

- Powiedziałem prawdę, kiedy mówiłem, że to, co widzisz na zdjęciach, to nie jest moja przyszłość. Nic z tego nie będzie. Nie potrafię sprawić, żeby było. - Przerwał na chwilę.

- Jedyna rzecz, jaką mogę gwarantować, to jest to, że się do ciebie przywiązałem.

Jęknęła głośno i ochryple, obracając oczy ku niebu.

- Matko Boska, on się do mnie przywiązał. Czyż nie jest to najbardziej romantyczne określenie, jakie słyszałam w życiu? On mnie nie kocha, nie trzyma w swojej komodzie

tuzina moich zdjęć, ale może zechce ożenić się ze mną pewnego dnia, bo jestem tak cholernie dobrze mu znana.

Wstał, podszedł do drugiego okna, i wsadziwszy ręce do kieszeni spodni, spoglądał ponuro na stare przemysłowe budynki, teraz przebudowywane na mieszkania i poddasza, takie jak jego. Świat, który pamiętał, z wolna znikał. Matka starzała się i nadal nie mogła mu wybaczyć, choć nawet nie podejrzewała, co naprawdę zrobił. Carla, odrzuciwszy w końcu cień nadziei, którą podtrzymywał podświadomie przez te wszystkie lata, znajdzie sobie kogoś innego, zapewne tego bankiera, z którym wciąż się spotyka. Tym razem jej małżeństwo będzie trwałe.

Osuszyła oczy i podeszła do niego. Razem patrzyli przez okno na noc.

- Chcę, żebyś mnie kochał - powiedziała. - Chcę, byś wierzył, że nie możesz budzić się co dzień szczęśliwy beze mnie. Chcę, byś mi powiedział, że twoje życie nie będzie spełnione, jeśli nie będziemy mieli ze sobą dziecka. Chcę, byś mi powiedział, że nikt inny oprócz mnie nie może cię uszczęśliwić.

Po chwili Quentin objął ją ramieniem, przyciągnął do siebie i mocno przytulił. Płakała mu na ramieniu, potem się odsunęła.

- Do zobaczenia - szepnęła. Odprowadził ją do windy, ale odesłała go gestem ręki, gdy chciał zjechać z nią na dół i towarzyszyć do samochodu. - Jestem niezależna - powiedziała. - Wreszcie.

Minęły jeszcze dwa tygodnie. Popeye mruknął coś pod nosem, rzucając Quentinowi pomietą szarą kopertę wypchaną czymś miękkim.

- Znalazłem to pod torbą z karmą dla psa w tyle explorera. Nie zauważyłeś tej paczki, rozładowując samochód. Ostatnio jesteś roztargniony. To do ciebie niepodobne.

- Nie mam pojęcia, co to takiego. - Siedząc przy biurku, wyciągnął nóż, wysunął ostrze i przeciął sznurek, którym obwiązano paczkę. Kiedy ją otworzył, wysypały się z niej dwudziestodolarowe banknoty wraz ze złożonym papierem firmowym „Powell Press”.

Twoja Ursula.

Popeye przeczytał to nad jego ramieniem, zanim Quentin zdążył odłożyć list na bok.

- Nie wiem, co zrobiłeś tej damie, kapitanie, ale, do diaska, ona cię przekupuje, żebyś wrócił.

- Alfonse mówi, że ty i Carla posprzeczaliście się na dobre - oznajmiła mu matka. Quentin mruknął coś nieokreślonego, wieszając marynarkę na oparciu krzesła i siadając naprzeciwko niej. Zabrał ją na niedzielny śniadaniobiad, a teraz siedzieli razem w jej saloniku przy niewielkim stole nakrytym koronkową serwetą. Zawsze zapraszała go w niedzielę na herbatę, jakby odpowiednia ilość herbaty i dystynkcja mogły wymazać przeszłość.

- Alfonse mógłby zrobić karierę jako donosiciel - zauważył Quentin.

- Czy to prawda o Carli?

- Zaczekaj chwilę. Chcę ci coś powiedzieć. Alfonse mnie również donosi. Wiem więc, że nie poszłaś do doktora na badanie, jak obiecałaś.

- Biorę lekarstwo na ciśnienie. Czuję się doskonale. Na nic więcej się nie skarżam.

- Słyszałem, że rozmawiałaś z wydawcą o opublikowaniu jakichś wspomnień o papie.

- Tak, czegoś bardzo osobistego, bardzo ciepłego. Quentin odstawił filiżankę.

- Nie rób tego - powiedział cicho. - Nigdy nie uda ci się sprawić, żeby obcy ludzie zrozumieli, co się z nim stało.

- Kiedy sama wciąż tego nie rozumiem. To właśnie chcesz powiedzieć?

- Zostaw go w spokoju, mamó. Uderzyła ręką w stół.

- Jak mogłabym?! A ty mogłeś?

- Tak.

- Nie.

Quentin odsunął cierpką herbatę. Odczuwał gorycz w sercu.

- Opinia o nim jako o kimś, kto się zabił, jest faktem i nie możemy jej zmienić. Nie możesz przekreślić tego, w jaki sposób umarł.

Zacisnęła usta.

- Nie zamierzam z tobą o tym dyskutować. Jak zwykle próbujesz odwrócić uwagę od swojej żalosalnej sytuacji. - Angele czubkiem palca potarła linie pomiędzy zmarszczonymi brwiami. - Nie podoba mi się, że muszę się dowiadywać o twoim życiu z plotek.

- Przykro mi. Musisz po prostu pytać mnie. - Popatrzył na nią smutno, wspominając z żalem dawną atmosferę, która umożliwiała im prowadzenie długich rozmów.

Przycisnęła łyżeczkę do ciemnych drobnych listków earl greya, odcedzając resztki płynu do jednego z licznych czajników, które przez lata Alfonse przynosił jej w prezencie na urodziny. Po czym odłożyła srebrne sitko na jaskrawą jasnożółtą podstawkę z wymalowanymi na brzegu syrenami. Niezależnie od tego, ile stawiała na stole porcelany i sreber, zawsze używała tej podstawki z syrenami. Ojciec Quentina wygrał ją dla niej w lunaparku na Coney Island, kiedy ze sobą chodzili.

- Czy Alfonse ma rację, że macie kłopoty? - nalegała. Wlał sok cytrynowy do filiżanki.

- Owszem. Tak. Posprzeczaliśmy się z Carlą. Między nami koniec.

- Masz na myśli: „koniec”, jak zwykle na jakiś czas.

- Nie. Tym razem koniec na dobre. Carla nie będzie już więcej czekać.

W badawczym wzroku matki widział frasunek i szok.

- Nie mogę powiedzieć, żebym kiedykolwiek uważała Carlę za idealną partnerkę dla ciebie, ale nigdy nie wątpiłam, że ona cię kocha i byłaby ci oddana jako żona. Jesteś pewien, że chcesz z niej zrezygnować?

Uśmiechnął się.

- Zadowolili cię małżeństwo z rozsądku i jakieś wnuki? Usztywniła się.

- Czy kiedykolwiek zadowalałam się czymś gorszym od najlepszego? Zarówno wobec siebie samej, jak i wobec tych, których kochałam?

Quentin ujął kruchą filiżankę zgrubiałymi, stwardniałymi palcami i trzymał ją ostrożnie w dłoniach. Ledwie mógł wsunąć wskazujący palec w jej uszko. Czasami zastanawiał się, czy matka, patrząc na niego, nie myśli: „Nie miałyby problemu z palcami, gdyby został architektem”.

- Czy pamiętasz, jak mi mówiłaś, żebym przestał rujnować życie Carli? No to przestałem.

- Ona powiedziała Alfonse'owi, że masz inną kobietę. Poznałeś ją na Południu podczas tej wyprawy na zakupy. - Przerwała, zmarszczyła brwi. - To ktoś nadzwyczajny, jak mówi Carla. A przynajmniej szczególnie fotogeniczny.

Quentin zapisał sobie w pamięci tę małą zdradę Carli. Teraz musi zachować ostrożność. Żadnych szczegółów. Nie chciał, żeby matka powiązała ze sobą jakieś nazwiska czy możliwości. Miała wprost encyklopedyczną wiedzę, jeśli chodziło o najmniejsze nawet drobiazgi mające związek z rzeźbami ojca. Nazwisko Tiber, nazwa Tiberville, jakakolwiek wzmianka o nich czy o czymkolwiek związanym z nimi mogły ją zaalarmować. Póki istniała szansa na to, że będzie mógł przywieźć jej w charakterze niespodzianki *Nagą Mądrość*, nie chciał ryzykować.

- Spotkałem kogoś interesującego podczas mojej wyprawy. Wolałbym o niej nie mówić. To nie to, co ma na myśli Carla.

- Rozumiem. Ostatnio miewasz wiele sekretów. Ktoś ze znajomych widział cię w zeszłym tygodniu w biurze Joego. Czy to ma coś wspólnego z twoim ojcem? Ledwie mogłam w to uwierzyć, jako że przedtem nigdy nie przejawiałaś zainteresowania działaniami Araizy na rzecz ojca.

- Znam Joego od dzieciństwa. Nie jest to takie dziwne, że zjemy razem lunch. I to wszystko.

- Quentin, co się dzieje? Ta tajemnicza kobieta. Spotkanie z Joem. Powiedz mi prawdę.

- To nic groźnego. Nie możesz mi zaufać? - Przerwał, potem dodał: - Myślę, że na to zasługuję.

- A ty mnie nie możesz zaufać? - Patrzyła na niego ze łzami w oczach, potem odwróciła wzrok. - Kiedyś, jak mam nadzieję, może nawet mi powiesz, co takiego zrobił ojciec, że zasłużył sobie u ciebie na taki do niego stosunek.

Odchylił się do tyłu. Nigdy nie wkroczy w tę dziedzinę.

- Kobieta, którą poznałem - powiedział nagle - zna trochę łacinę, ukończyła wydział biznesu i zarządzania, miała księgarnię. Teraz prowadzi własne małe wydawnictwo. Ma miłego młodszego brata, który jest młodzieńcem autystycznym albo trochę opóźnionym w

rozwoju, to trudno powiedzieć. Zostali na świecie tylko we dwoje i ona się nim opiekuje. Mieszkają na farmie w górach, w najpiękniejszej krainie, jaką widziałem w życiu. Ona ma tam kilku lokatorów, artystów, rzemieślników. Przebudowali stare kurniki na mieszkania. To cudowne miejsce. Ona też jest cudowna.

Kiedy skończył, Angele nachyliła się ku niemu, zafascynowana.

- Nie możesz... nie możesz opowiadać mi o tej wspaniałej kobiecie i oczekiwać, bym uwierzyła, że nie ma na co liczyć. Nie słyszałam, żebyś kiedykolwiek przedtem mówił o kimś w taki sposób.

- Nie mam nic więcej do opowiedzenia.

- Och, Quentin. Powiedz mi chociaż, jak ma na imię. Daj mi przynajmniej tyle.

Wahał się. Potem rzekł bardzo cicho:

- Nazwałem ją Różą.

Rozdział 18

Czterdzieści dwa kamienie. Staliśmy z Arthurem na granitowym nawisie, spoglądając ze smutkiem na duży kopiec kamyków. Chłodny wrześnieowy deszcz mżył, zraszając wierzchołki drzew, i przemoczył nas, choć włożyliśmy płaszcze nieprzemakalne i duże słomiane kapelusze. Miałam takie uczucie, jakby drapało mnie coś w piersiach.

- Brat Niedźwiedź chyba umarł - jęknął cicho Arthur. - Bo inaczej już by wrócił.

- Nie, kochanie, nic mu się nie stało, jestem pewna. Jestem całkiem pewna. Zostało nam jeszcze mnóstwo kamieni. - Pokazałam na ziemię wokół.

- Jeśli on nie wróci, Mama Niedźwiedzica nigdy nie będzie miała kogo kochać. A ja nie będę wiedział, czy ona nadal chce tu zostać. Ona umrze. - Wstrząsnął się. - Boję się, że ja też umrę. Odejdę, żeby być z tatą i mamą. Myślisz, że mama mnie pozna?

- Nie umrzesz. Przysięgam. Chodź ze mną. - Zaprowadziłam go na skraj wielkiej płaskiej skały. - Napełnijmy nasze kieszenie kamykami. Zabierzemy je do domu, włożymy do dzbanka i codziennie jeden będziemy wyjmować. I kiedy dzbanek będzie już pusty, a Brat Niedźwiedź wciąż jeszcze nie przyjedzie, to wtedy ja pojedę do Nowego Jorku i przywiozę go tutaj.

Arthur popatrzył na mnie.

- Możesz to zrobić?

- Tak, ale dopiero jak dzbanek będzie pusty.

Chłonął wprost ten skomplikowany plan i nadzieja pojawiła się w jego oczach. Zyskałam dla niego i dla siebie trochę więcej czasu. Gdy wyjmujemy ostatni kamyk z dzbanka, będę musiała zdecydować, co robić. Kiedy szliśmy z powrotem do domu mokrą ścieżką, obciążeni twardą kamienną wiarą, Arthur rozłożył ręce i zataczał nimi szerokie łuki. Popatrzyłam na niego zaniepokojona.

- Co ty robisz, kochanie? Przymknął oczy.

- Lecę do Nowego Jorku - odparł.

Był jasny pogodny dzień, trochę tylko rześki. Liście dereni na skraju łąki dopiero czerwieniały, wszystko inne wciąż wyglądało jak w lecie.

- Ktoś jedzie drogą! - zawołała Fannie Ledbetter.

Podbiegłam do okna w pokoju i z sercem podchodzącym do gardła wyjrzałam przed dom. Ale to nie był Quentin. Zza zakrętu na drodze gruntowej wychynał wolno wózek golfowy. Mignęły mi delikatne jasne włosy i twarz w kształcie serca. Jęknęłam.

Esme Tiber.

Udało jej się w końcu pokonać bramę rezydencji Tiberów. Załadowała na wózek swoje rzeczy i portret Bethiny Grace. Kiedy ze zmierzwionymi włosami wygramoliła się z wózka, otoczyłyśmy ją w trójkę: Fannie, Liza i ja. Twarz miała zapuchniętą od płaczu i wyglądała okropnie.

- Naprawdę nigdy przedtem nie uciekłam - Wyjęczała i zaczęła się trząść.

Objęłam ją ramieniem.

- Wszystko będzie dobrze. Wejdz do środka i odpocznij. - Przedstawiłam ją Lizie i Fannie, a potem pociągnęłam Esme w stronę domu. Rozglądała się dokoła. Zaczęła się ożywiać. Kiedy dotarliśmy do ganku, ujrzała Żelazną Niedźwiedzicę na pastwisku.

- Niedźwiedzica! - wykrzyknęła. Wyrwała się z moich objęć i pobiegła przez podwórko na pastwisko i do rzeźby. Poszłam szybko za nią. Stała pod abstrakcyjnie przedstawionym niedźwiedzim pyskiem i pieściła go, jakby chodziło o wielkiego psa.

- Och, niedźwiedzico, niedźwiedzico - uśmiechała się i gaworzyła swoim śmiesznym głosikiem wróżki. - Kiedy byłam mała, wymyślałam opowieści o tobie. Zawsze jak czułam się osamotniona, byłaś ty. Zawsze kiedy ludzie śmiali się ze mnie, natychmiast ich pożerałaś. Zawsze kiedy się skaleczyłam, ty siadałaś obok mnie i mruzczałaś. - Spojrzała na mnie, drżąca i uśmiechnięta, po czym skrzyżowała ręce na piersiach. Po jej twarzy płynęły łzy. Prawie trzykilometrowa podróż z Grani Tiberów do Niedźwiedziej Kotliny po drogach publicznych z maksymalną prędkością siedmiu kilometrów na godzinę, wspierana odczuwanymi urazami, musiała wywołać u niej odpowiednio silną reakcję. - Niedźwiedzie potrafią mruzczyć - szepnęła.

Wyciągnęłam rękę.

- Wierzę, skoro mówisz, że tak jest.

- Nikt inny mi nie wierzy. Jestem rodzinną debilką. Niedawno wszyscy zjechali na przyjęcie i słyszałam, jak ktoś mówił: „Esme to ładna mała debilka”. Wiem, co to znaczy debilka.

Współczułam z całego serca temu ślicznemu wiecznemu dziecku.

- To jest specjalne miejsce - powiedziałam. - Tutaj niedźwiedzie naprawdę mruczą.

Roześmiała się. Zabrałam ją do domu.

Nie mogłam dodzwonić się do pana Johna, zostawiłam więc w zakładach „Drób Tiberów” wiadomość dla Janine. Tymczasem dałam Esme gorącej herbaty i zaproponowałam, żeby się zdrzemnęła na moim łóżku. Siedziałyśmy z Lizą w kuchni i zastanawialiśmy się, co z nią począć.

- Pan John na pewno pozwoli jej na te odwiedziny - powiedziała Liza. - Ostatecznie Quentina już tu nie ma.

Popatrzyłam na dzbanek z kamieniami na parapecie. Pozostało ich tylko kilka. Miałam wystarczająco dużo zmartwień i bez awantury z powodu ucieczki Esme. Do domu wbiegł Arthur. Wracał z jednej ze swoich leśnych wypraw. W długich włosach miał pełno liści. Rzucił na stół płócienną torbę w kwiaty. Wypełniona była jego codziennymi zbiorami - ciekawymi odmianami kawałków kory, białymi skorupami dawno zdechłych żółwi, ptasimi gniazdami i innymi przyrodniczymi pamiątkami. Wpatrywał się w sufit i sprawiał wrażenie zdumionego.

- Ktoś jest na górze - szepnął głośno. - Widziałem ze dworu.

- To gość - upewniłam go. - Nie zrobi ci krzywdy. To nasza kuzynka, która przyjechała tu tego lata z Karoliny Południowej. Ma na imię Esme.

- Widziałem ją przy oknie! Patrzyła na mnie!

- Musiała się obudzić - powiedziałam do Lizy. - Pójdę sprawdzić.

Kiedy szłam na górę, Arthur podążał tuż za mną. Przystanęłam.

- Kochanie, Esme miała dziś zły dzień i jest trochę smutna i zmartwiona. Nie chcemy jej przestraszyć. Wróć do kuchni i zaczekaj...

- Mickey! - wykrzyknęła radośnie Esme. Stała na ostatnim schodku i wpatrywała się w Arthura. Policzki jej się zaróżowiły, oczy błyszczały. Wskazywała palcem na koszulkę, którą miał pod niebieską bluzą. Uśmiechała się na niej Mickey Mouse w całej spłowiałej okazałości. Esme miała na sobie wciągany przez głowę sweter. Zawinęła go teraz do góry i pokazała na siebie. Ubrana była w koszulkę z wizerunkiem Minnie Mouse, którą widziałam w dniu, gdy ją poznałam.

- Mickey! - powtórzyła i wskazała palcem na Arthura.

- Minnie - odparł cicho Arthur. Z miną tak słodką jak jej odbicie w jego oczach jedną rękę położył na sercu, a drugą wskazał koszulkę Esme.

- Mogła zginać po drodze - złościł się pan John. - Mógł ją przejechać ciągnik z naczepą!

Janine, która stała obok niego na tylnym ganku, machała uspokajająco rękami.

- Tato, dojechała tutaj i nic się jej nie stało. Nie szukajmy dziury w całym. Popatrz na nią. Wygląda świetnie. Jest teraz najszcześniejsza od chwili przyjazdu do Tiberville.

Esme i Arthur siedzieli przy niedźwiedzicy. Śmiali się, pokazywali na siebie, potem

krążyli wokół rzeźby, jakby bawiąc się w chowanego. Byłam zdumiona, że Janine na mnie nie krzyczy.

- Esme mówiła mi, że bardzo cię kocha - powiedziałam. Janine uniosła dumnie brodę. W eleganckim czarnym żakiecie i wytwornej spódnicy wyglądała bardzo surowo.

- Nie trudź się ukrywaniem swojego zdziwienia. Widzę je bardzo wyraźnie. Tak, Esme i ja jesteśmy sobie bardzo bliskie. Zawsze byłam dla niej jak starsza siostra. Zabrałabym ją do siebie do domu, ale zbyt często wyjeżdżam w sprawach służbowych.

Tej strony Janine nie znałam. Prawdziwe współczucie. Czułość. Wielkoduszność. Kiedy rozmyślałam nad tym zdumiewającym odkryciem, pan John zwrócił się do mnie, nie kryjąc złości.

- Zachęcałaś ją, żeby tu przyjechała - oskarżył mnie. - To ty naopowiadałaś jej bzdur o niedźwiedzicy.

- Ona wyrastała, słuchając opowieści o pannie Betty i niedźwiedzicy.

- Tylko dlatego, że ciotka Dotty też to pochwałała. Co było dobre, póki Esme mieszkała w odległości stu pięćdziesięciu kilometrów stąd. - Machnął ręką w moją stronę. - Nie zamierzam pozwalać na to, żeby uciekała tu i czciła tę rzecz.

- Tato - westchnęła Janine. - Ona nie ma nic innego, czym mogłaby zająć sobie czas. Potrzebuje jakiegoś przyjaciela. Spójrz na nią i na Arthura. Arthur jest nieszkodliwy. Nic się nie stanie, jeśli Tricky przywiezie ją tu w odwiedziny.

- Córko - odparł pan John ostrym tonem. - Na razie jeszcze nie rządzisz naszą rodziną. Chciałbym z tobą porozmawiać na osobności. - Poszli na koniec podwórka.

Udawałam, że na nich nie patrzę, ale patrzyłam. Sądząc po zirytowanej minie Janine i gwałtownym wymachiwaniu rękami pana Johna, nadal się nie zgadzali.

W końcu on zwyciężył.

- Tata ma poważny kłopot z tą całą sytuacją - powiedziała mi, gdy szliśmy w stronę niedźwiedzicy. - I w ogóle jest ostatnio przygnębiony. Starzeje się. Przekazuje kierowanie przedsiębiorstwem rodzinnym i boi się, że ja wprowadzę zmiany, które nie będą mu się podobać.

- Mogłabym zaproponować pewne zmiany, które nikomu z was by się nie podobały.

- Nie próbuj wykorzystywać okazji.

- Posłuchaj, Esme jest tu mile widziana. Jeśli możesz to załatwić, niech Tricky przywiezie ją znowu. W przeciwnym razie ona może ponownie próbować ucieczki.

- Obawiam się, że ma we krwi skłonność do błąkania się i wymyślania dziwnych rzeczy. Z pewnością odziedziczyła to po Powellach.

- Widziałam, że nosi broń. We krwi ma też zatem strzelanie do ludzi. A to odziedziczyła po Tiberach.

Janine i ja wymieniliśmy bojowe spojrzenia. Przemówiła łagodnym tonem do Esme i

dziewczyna opuściła ramiona. Esme odwróciła się do mojego brata i koniuszkiem drżącego palca dotknęła jego koszulki.

- Do zobaczenia, Mickey.

Stał tam i patrzył na nią smutno.

- Nie zapomnij, co ci mówiłem o Międzysiach. Pokiwała głową.

- Będę w pogotowiu.

Kiedy już mieli odjechać luksusową limuzyną ze znakiem firmowym „Drób Tiberów” na przodzie, pan John zatrzymał się jeszcze na chwilę.

- Jak rozumiem - powiedział do mnie - Quentin Riconni opuścił cię na dobre, co?

Poczułam się śmiertelnie upokorzona.

- Tego bym nie powiedziała.

- Nie, ty nie, ale wszyscy inni w tym hrabstwie zastanawiają się nad tym. Moja droga, to obróci się na dobre. Riconni jest człowiekiem brutalnym i najwyraźniej nie należy do tych, którzy się przywiązują.

Kiedy odjechali, odwróciłam się i napotkałam zakłopotany wzrok Lizy, Fannie, Bartowa i Oswalda.

- On wróci - zapewniłam.

Ale sama w to też nie wierzyłam.

Dwa dni później Esme znowu uciekła, tym razem starym hatchbackiem Tricky, która zostawiła auto z kluczykami w stacyjce. Przejechała kilometr boczną drogą, zanim wjechała na skrzyżowanie, nie oglądając się na boki. Ciężarówka z zakładów „Drób Tiberów”, wioząca do hodowcy transport nowych piskląt, uderzyła w tylny zderzak samochodu i ten wyładował w rowie. Esme miała pęknięty nadgarstek, doznała lekkiego wstrząsu i dorobiła się licznych siniaków.

- Nie mówcie Arthurowi - ostrzegałam wszystkich lokatorów i pojechałam do świeżo otwartego szpitala w Tiberville. Esme leżała w skrzydle imienia Betty Tiber Habersham. Pan John stanął ze mną twarzą w twarz w holu.

- Nie wejdiesz i nie pójdziesz jej odwiedzić. Zabraniam ci! Ona mówi tylko o Arthurze i o niedźwiedzicy, o jakichś powietrznych duszkach czy elfach i o takich nonsensach...

- O Międzysiach - odpowiedziałam.

- Międzysie. Niedźwiedzica podtrzymywana jest przez Międzysie, jak twierdzi. I właśnie zdecydowała, że ona sama jest Międzysiem i musi iść wykonywać swoje zadanie przy podtrzymywaniu tej przeklętej rzeczy! Nie pozwolę, żeby ta przeklęta rzeźba rujnowała moją rodzinę! - Wrzeszczał na mnie, wrzeszczał, aż pielęgniarki i Tiberowie podążyli ku niemu z wyciągniętymi rękami. - Prosimy o ciszę, proszę się uspokoić! - Pan John nie zwracał uwagi na nich wszystkich. - Nikt nigdy nie przekona mnie, żebym nic nie robił i

wierzył w Międzysie! Człowiek musi ochraniać to, co jest mu dane! I ja będę pilnował, żeby moja bratanica trzymała się jak najdalej od tej rzeźby!

- Przykro mi, ale nie ma pan racji - powiedziałam. Potem obróciłam się na pięcie i wyszłam. Idąc przez hol, słyszałam, jak coś bełkoce pod moim adresem. Na biurku we frontowym westybulu zostawiłam złotą chryzantemę, którą ścięła mi Liza w ogródku taty.

- Założę się, że Esme lubiłaby lody - zauważył Arthur, liżąc wysoki czekoladowy stożek. - Kiedy ona wróci?

- Pracuję nad tym - odparłam. Jeszcze jedno niewielkie kłamstewko. Esme wróci. Quentin wróci. Albo ja go sprowadzę. Mama Niedźwiedzica przestanie czuć się taka samotna. Arthur będzie czuć się bezpieczny i szczęśliwy, odzyska poczucie bezpieczeństwa. Będzie nam się dobrze wiodło w Niedźwiedziej Kotlinie. Wiem, jak to osiągnąć.

Kłamstwa. Wszystko kłamstwa.

Tego chłodnego jesiennego popołudnia siedzieliśmy wokół piknikowego stołu razem z doktorem Washingtonem i wszystkimi lokatorami. Sobotnia wyprawa na lody stała się zwyczajem. Nabierałam waniliowych lodów z papierowego kubeczka. Mały, obrośnięty mchem betonowy budynek za nami pysznił się zardzewiałym żółtym szyldem „Big Mountain Sweets”. Stał w dębowym zagajniku w pobliżu domu gospodarza i obory na dziesięć mlecznych krów. Big Mountain Sweets od pięćdziesięciu lat dostarczał mieszkańcom Tiberville lody domowej roboty. Zafundowałam tę wycieczkę, żeby oderwać Arthura od nieustannego wypytywania, kiedy wróci Esme.

- Ach, istny raj - westchnął doktor Washington, sięgając do kubelka truskawkowych lodów. - Przywołuje wspomnienia z dzieciństwa.

Oswald zmierzył go wzrokiem i z taktem właściwym wieśniakom spytał:

- Pozwalano tu jeść kolorowym w czasach, gdy był pan chłopcem? - Nie była to z jego strony niegrzeczność.

- Tak, istotnie. Stał tu specjalny stół. - Doktor Washington kiwnął głową w stronę miejsca pod ścianą budynku. - Tylko dla nas. Mój brat Fred i ja myśleliśmy, że jesteśmy członkami rodziny królewskiej. Byliśmy za mali, żeby dostrzegać różnice.

- Jestem taka zadowolona, że atmosfera od tamtych czasów się poprawiła - odezwała się Liza.

Doktor Washington uśmiechnął się smutno.

- Czy rzeczywiście? Mój syn, który mieszka w Bostonie, mówił, że wyobraża sobie mnie w kombinezonie zbierającego bawełnę. Zadałem sobie trud, aby mu wyjaśnić, że nie uprawiamy bawełny w górach. On jednak twierdzi, że w taki sposób wyobraża sobie moje tutejsze życie. A córka jest przekonana, że kiedy przyjedzie w odwiedziny, zastanie mnie błakającego się po lasach z pętlą na szyi, którą zarzucił mi członek Ku-Klux-Klanu, mimo że Ku-Klux-Klan nie działa tutaj już od czterdziestu lat. Próbuję wciąż ich przekonać, żeby

zabrali dzieciaki i przyjechali w odwiedziny, ale oni nie chcą.

- Mówił im pan o tym, że pan John nalega, by pan został prezydentem Mountain State College?

- Och, mówiłem. Myślałem, że upiększam rzeczywistość, aby rozwiać ich wątpliwości. - Roześmiał się. - Czasami mam złośliwą ochotę posłać moim dzieciom swoje zdjęcie na bosaka, w kombinezonie, w słomianym kapeluszu na głowie, ze słomką w zębach, z krzyżem płonącym za mną na podwórku i z workiem bawełny na ramieniu. - Zaśmiał się głośniej. - Moje dzieci chyba by zemdlały.

- Dlaczego pan wrócił? Ale serio. Spoważniał.

- Bo byłem to dłużny Fredowi. Gdybym nie przywrócił tutaj naszej rodziny, w hrabstwie Tiber nie byłoby już więcej Washingtonów. To nasze rodzinne miejsce, nasza kolebka. To tutaj nasi przodkowie uświadomili sobie, że nasza rodzina miała prawdziwą wolność, mimo że byli niewolnikami. Ziemia to wolność. - Umilkł i uśmiechał się kpiąco z powodu własnego sentymentalizmu. Potem dodał z melodramatycznym irlandzkim akcentem z Tary: - Zawsze będziemy mieć tę ziemię, Katie Scarlett O'Hara.

Pokiwałam głową.

Kiedy tego dnia wiozłam do domu Arthura, poczułam, że coś jest nie tak. Działo się coś złego. Reszta towarzystwa pojechała jeszcze do „Piggly Wiggly”. Byliśmy więc sami, gdy skręciłam z drogi publicznej przy naszej skrzynce na listy, pomalowanej na kolorowo przez tatę. Marszcząc brwi, jechałam starym pikapem po zrytej koleinami drodze gruntowej. Arthur kręcił się niespokojnie obok mnie.

- Siostrzyczko, stań - powiedział. - Ziemia wygląda dziwnie.

Miał rację. Zaniepokoiła mnie droga. Zatrzymałam się, wysiadłam i oglądałam ślady szerokich opon, które odcisnęły się na ziemi i żwirze. Arthur wysunął głowę przez okno.

- Mamy duże towarzystwo - oznajmił. Rzeczywiście. Na starej drodze widniały podpisy odwiedzających jak odciski palców. Świeże ślady wskazywały na to, że jechał tędy jakiś duży, ciężki, podwójnokołowy pojazd. Odczułam nagły przypływ nadziei, po czym uświadomiłam sobie, że przecież Quentin nie jeździ pojazdem wielkości betoniarki.

- Kochanie, zabawię się w pewną grę - powiedziałam do Arthura. - Chcesz się bawić?

- Pewnie.

Pojechałam trochę dalej i stanęłam tak, żeby nie było nas widać z domu, zgasiłam silnik i wysiadłam.

- Zamierzam zrobić niespodziankę naszym gościom - oznajmiłam. - Ty zostań tutaj i zrób niespodziankę każdemu, kto pojawi się na drodze. Ale nie wysiadaj z pikapu. Tylko pomachaj ręką.

- Okej, ale to głupia gra.

- Wiem. Wrócę za kilka minut.

Kiedy patrzył w drugą stronę, wyciągnęłam spod siedzenia stary rewolwer. Nie miałam pojęcia, dlaczego zrobiłam się taka podejrzliwa. Chociaż ludzi na wsi uczy się od małego sięgać po broń, zanim wyjdą na dwór w ciemną noc albo gdy na ich podwórko wjedzie ktoś obcy. Powiedziałam sobie, że słyszałam zbyt wiele gadek Lizy o duchach przewodnich, które udzielają jej rad. Jeśli miałam jakieś duchy przewodnie, to pewno musiały zaśmiewać się i trzymać za nieziemskie brzuchy, widząc, jak skradam się przez mój własny las z rewolwerem kalibru czterdzieści pięć w ręce.

To, co ujrzałam, zakradłszy się na skraj polany, tak mną wstrząsnęło, że przez minutę nie mogłam się poruszyć. Ekipa czterech mężczyzn pracowała gorączkowo przy odcinaniu łba Żelaznej Niedźwiedzicy. W pobliżu ciężarówka wielkości wozu meblowego ustawili sobie zbiorniki z tlenem i acetylenem. Z ich palników leciały iskry. Odcięli już głowę rzeźbie. Leżała na ziemi.

Oni zabijają niedźwiedzicę. Zanim zdałam sobie z tego sprawę, już wybiegłam z lasu z uniesionym rewolwerem.

- Odejdźcie od niej, sukinsyny! - wrzasnęłam i strzeliłam w powietrze.

Podskoczyli i odsunęli w górę maski ochronne. Zbliżałam się, mierząc z rewolweru prosto w nich. Odrzucili maski i palniki i uciekli do lasu.

Dwa razy jeszcze wystrzeliłam w powietrze. Stałam, ciężko dysząc, na szeroko rozstawionych nogach, a wystrzały odbijały się echem w górach. Wpatrywałam się w rzeźbę pozbawioną głowy. Ekipa zabierała się dopiero do odcinania następnego segmentu. Widziałam nacięcia na metalowym szkielecie, ale dalszych uszkodzeń nie dostrzegalam.

Niemniej głowa niedźwiedzicy leżała na ziemi. Chciało mi się płakać.

- Nie! - Krzyk Arthura za mną zamienił się w przeciągłe zawodzenie. Obróciłam się w jego stronę. Przyszedł za mną z lasu. Teraz przebiegł koło mnie i padł na kolana obok głowy rzeźby. - Ona nie żyje! - wykrzyknął. - Dopadły ją Międzysie. - Wykrzywił usta w bezgranicznej rozpacz, oczy obrócił w słup i runął na ziemię.

Październikowy wiatr, który czochrał ocean, był lodowaty. Quentin stał na tym, co pozostało z piętra domu na plaży, niegdyś należącego do Vanderbilta, i podtrzymywał masywne mahoniowe obramowanie kominka. Stał na piętrze na resztkę portyku na wysokości dziewięciu metrów nad marmurowym patio. Robotnicy wdrapywali się na górę obok niego, wykrzykiwali i przeklinali. Spieszyli się, żeby wyrównać splątane łańcuchy bloku i wielokrążka, których używano do podnoszenia potężnego ozdobnego obramowania kominka, gdy obluźował się hak.

- Puszczaj, niech ta cholera spada! Niech zleci! Kapitanie! Rusz się! - krzyczał do niego z ziemi Popeye.

Pot ściekał Quentinowi po twarzy, mięśnie na karku się napięły; zgiął się wpół pod ciężarem drewnianego obramowania. Sprzączka parcianego pasa od narzędzi wbijała mu się

przez robocze spodnie w udo.

- Mamy go, szefie, mamy! - krzyknął brygadzysta i nagle ciężar uniósł się z jego pleców z furkotem i grzechotaniem krążków i łańcuchów. Quentin, ciężko dysząc, padł na kolana. Minutę później robotnicy zaczęli klepać go po obolałych ramionach.

Wstał, kaszląc, pokuśtykał do środka i zszedł na dół po kołyszących się drewnianych schodach, na wszelki wypadek trzymając się barierek ochronnych, bo nogi mu drżały.

Popeye czekał na niego na dole, tam gdzie kiedyś był przedsionek.

- Co ja mam z tobą! - krzyknął. - Nie chcę więcej oglądać takiego zasaństwa! Co się z tobą dzieje, synu? Usiłujesz się zabić?

„Tak. Owszem, myślę, że tak”. Te słowa wśliznęły mu się do głowy jak węże. Stary sierżant wdrapał się do ciężarówki i odjechał. Quentin wyszedł na dwór i usiadł na resztkach niskiego kamiennego murka. Tym razem sam był przestraszony.

Przenikliwy dźwięk dobiegł z zakurzonego telefonu komórkowego, który miał przyczepiony u pasa. „Odzywa się twoje sumienie” - zasyczały węże.

Ręka mu drżała, gdy przykładął telefon do ucha.

- Quentin? - spytał ktoś cichym nowoorleańskim głosem z drzeniem rozpacz. - Tu Liza Deerwoman.

Zerwał się na równe nogi.

- Co się stało?

Powiedziała mu. Dziesięć minut później jechał na najbliższe lotnisko.

Rozdział 19

Arthur leżał w łóżku w nowym szpitalu, uspokojony aż do stuporu. Ja miałam kilka szwów na palcu wskazującym, na którym konwulsyjnie zacisnęły mu się zęby. Staw mi spuchł do rozmiarów orzecha włoskiego. Wepchnęłam palec Arthurowi w usta, żeby się nie udławił. Mój brat dostał ataku.

W całym hrabstwie panowało poruszenie. Szeryf potrzebował zaledwie godziny lub dwu, by ustalić, do kogo należała ciężarówka porzucona w Niedźwiedziej Kotlinie. Odszukał nazwiska czterech mężczyzn pochodzących z Karoliny Północnej. Tam FBI złapała zaraz jednego z nich, a on, nie omieszkając, wszystko wyśpiewał.

Jego i pozostałą trójkę poinformowano, że wszyscy mieszkańcy farmy co sobotę jadą na lody i po prowiant. Nie spodziewali się, że ja i Arthur wrócimy wcześniej. Ostatecznie dostali informacje od kogoś, kto nas dobrze znał.

Wynajął ich pan John.

Siedziałam przy łóżku Arthura i wpatrywałam się w podłogę. Do pokoju wkuśtykała Fannie.

- Idź, dziecko, i napij się kawy - powiedziała, głaszcząc mnie uspokajająco ręką po

głowie. Dobrze wiedziała, że glina się pokruszy, gdy zbyt mocno ją wypalić. - Zostanę jakiś czas przy naszym biednym, słodkim chłopcu.

Kiwnęłam głową i wstałam. Przeszłam przez hol do poczekalni i stanęłam przy oknie. Lekarka Arthura chciała wezwać psychiatrę.

- Pani brat doznał tak wielu urazów w ciągu ostatnich dziesięciu miesięcy, że grozi mu poważna, długotrwała choroba - powiedziała mi. - Może zechce się pani zastanowić nad umieszczeniem go gdzieś na leczenie.

- Nie spuszczę oka z mojego brata - odparłam. - Jeśli będę musiała, to zamienię swój dom w zakład psychiatryczny i będę opiekować się nim przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Lekarka obserwowała mnie cierpliwie.

- To nie jest rozumne i pani o tym wie.

- W mojej rodzinie - odparłam z emfazą - bycie rozumnym to niekoniecznie musi być cnota.

Zatopiona w myślach przy oknie, nie słyszałam, jak podeszła do mnie Janine.

- Proszę cię, Ursulo, nie odmawiaj mi, porozmawiaj ze mną - powiedziała głosem tak roztrzęsionym, że ledwo go rozpoznałam. Obróciłam się wolno z nic niemówiącym wyrazem twarzy.

Z bocznej kieszeni w kraciastym blezerze wystawały jej papierowe chusteczki. Dżinsy miała poplamione kawą. Ściągnięte do tyłu włosy przytrzymała koślawa spinka, a oczy miały czerwone obwódki i były zapadnięte. Przez chwilę walczyła ze sobą.

- Tak mi... tak mi wstyd. Za tatę. Za naszą rodzinę. Za siebie. Nasi najstarsi, najlepsi przyjaciele odwracają się do taty plecami. Za jego przyczyną doznał uszczerbku szacunek, na jaki pracowały całe pokolenia w mojej rodzinie.

- Czy oczekujesz ode mnie współczucia?

- Nie. Nie. Doprawdy... nie potrafię wytłumaczyć tego, co zrobił, ale muszę spróbować. Wiem tyle: chciał pozbyć się tej rzeźby, żeby nie kusila Esme, żeby ona znowu nie uciekła. Podjął tę akcję z troski o nią. Tak, to był postępek szalony i zły. On to wie. Tak, to go nie usprawiedliwia. Ale, Ursulo, on zgłosił się do więzienia. Siedzi tam w celi jak zwykły przestępca i boleje nad tym, co stało się z Arthurem. Powiedział adwokatowi, żeby nie starał się zwolnić go za kaucją. Twierdzi, że chce ponieść karę.

Popatrzyłam na jej zboląłą minę.

- Nie chcę, żeby został oskarżony. Nie chcę, żeby wniesiono przeciwko niemu sprawę do sądu. Powiem im to.

Przyłożyła dłoń do gardła i wpatrywała się we mnie.

- Zrobiłabyś to dla niego?

- Czas, żeby ktoś z Powellów wyciągnął z więzienia jakiegoś Tibera.

Opadła na sofę, spuściła głowę. Ja nadal stałam. Rzeczą godną było zaoferowanie łaski, wkroczenie na najlepszą drogę, ale nie byłam aż tak szlachetna, żeby obok niej usiąść.

- Wszyscy mówią, że masz święte prawo domagać się sprawiedliwości.

- Oczekuję sprawiedliwości, ale nie w ten sposób. - Ogarnęło mnie w tym momencie przyjemne uczucie spokoju i celowości. Robiłam to, wiedząc, że postępuję słusznie, że tak zrobiłby mój tata.

- Nigdy tego nie zapomnę - powiedziała Janine. - Dziękuję ci.

- Muszę już wracać do Arthura.

- Zaczekaj. - Uniosła wzrok i spojrzała mi w oczy. - Możesz nie wierzyć, ale zamierzam poprawić warunki wszystkim naszym pracownikom. Lepsze płace, świadczenia, sprawiedliwsze traktowanie. Dotyczy to również kontraktowych hodowców. Teraz te potencjalne dobre perspektywy mogą zostać zmarnowane. - Przez chwilę zmagала się z własnym głosem. - Ta... okropna historia z niedźwiedzicą i Arthurem wzburzyła ludzi. Mówi się o strajku w zakładach.

Patrzyłam na nią. „Biznes i image przede wszystkim. Tiber pozostanie zawsze Tiberem”.

- Chcesz, żebym z nimi pogadała?

- Och, Ursulo, zrobiłabyś to?

- Oczywiście. - „Ale nie tak, jak myślisz”. - Pomogę im opracować listę żądań dotyczących tych nowych świadczeń i warunków. Będą mieć solidny grunt do negocjacji. Jej entuzjazm nieco się zmniejszył.

- Zachęcisz ich do tego, żeby domagali się gwiazdki z nieba.

- Możesz spotkać się z nimi w połowie drogi. Będziecie mieć mnóstwo przestrzeni do podziału.

Westchnęła.

- Jak sobie życzysz. W porządku.

Po raz pierwszy w życiu podałyśmy sobie ręce.

Odesłałam lokatorów ze szpitala do domu. Chciałam pozostać sama z bratem. Arthur patrzył na mnie zamglonymi, nieprzytomnymi oczami i w ogóle się nie odzywał. Czesalam go, śpiewałam mu kołysanki i zapewniałam, że nie będzie trudno naprawić Mamę Niedźwiedzicę. Zrobił płaczliwą minę i pokręcił wolno głową. Po czym odwrócił twarz w drugą stronę.

Kiedy zasnął, wyszłam bez zastanowienia do holu, zamknęłam drzwi do pokoju i oparłam się o nie plecami. „Co ja mam robić?” W głowie kłębiły mi się katastroficzne myśli. Byłam taka zmęczona i niemal bez pieniędzy, i przerażona. Nigdy w życiu nie czułam się tak bezradna. Ćmiła mnie zraniona ręka. Kołysząc ją, zamknęłam oczy.

W chwilę później usłyszałam mocne, energiczne kroki, ale nie otworzyłam oczu, żeby

zobaczyć, kto to idzie. Pewno jakiś posługacz albo woźny czy lekarz spieszący się na popołudniowy obchód. Nic mnie to nie obchodziło. Chciałam tylko, żeby ten intruz przeszedł jak najszybciej i zostawił mnie samą z ponurymi myślami.

Duża szorstka ręka dotknęła mojej twarzy, potem przesunęła się w bok i pogładziła mi policzek. Otworzyłam szybko oczy. Quentin spoglądał na mnie z wielką troską. Chwyciłam go za koszulę zdrową ręką i patrzyłam na niego tak, jakby nie mogło chodzić o kogoś rzeczywistego. Ubranie robocze miał zakurzone i brudne, ale twarz i ręce umył w toalecie na lotnisku. Cień zarostu przyciemniał mu dolną część twarzy. W stalowoszarych oczach malowało się napięcie ostatnich tygodni. Zbyt pięknie to on nie wyglądał. A jednak nigdy w życiu nie widziałam nic wspanialszego. „Wrócił”.

Nie powiedzieliśmy do siebie ani słowa. Władczo przycisnął palce do mojego policzka. Teraz, kiedy już tu był, brakowało mi słów, by wyrazić swoje uczucia, a przynajmniej takie uczucia, do których bym się przyznała. Nie rzuciłam się na niego. Udało mi się zachować godność. Uniosłam tylko zdrową rękę ku jego dłoni spoczywającej na moim policzku, nakryłam ją i uściśnęłam gorąco na powitanie. Wziął moją drugą rękę i oglądał ją, marszcząc brwi. Pozwoliłam, żeby leżała na jego dłoni jak zraniony ptak.

- Gdybym tu został, nic takiego by ci się nie przydarzyło. Arthurowi i rzeźbie też nic by się nie stało. - Zmierzył mnie gniewnym i pełnym determinacji wzrokiem.

Osunęłam się trochę.

- Arthur myśli, że Mama Niedźwiedzica nie żyje - powiedziałam.

Koniuszkami palców uniósł moją brodę. Nie odwracając wzroku, zajrzał we mnie, a ja w niego.

- No to przywrócimy ją do życia.

Stał samotnie przed okaleczoną rzeźbą, nieprzygotowany na nagły przypływ wściekłości i żalu, który go ogarnął. „Zmontuję ją na nowo. Nie zniszczono jej. Zatoszczę się o nią, papo, tak jak zatoszczyłem się o wszystko inne”. Prócz tej drugiej rzeźby. Ta druga - niewidoczna, oczekująca na stworzenie - czaiła się w miejscu, które sprzyjało nocnym koszmarom i niewysłowionemu żalowi. „Zatoszczę się też o nią, uzyskam to, czego chcę” - pomyślał. „Dla mamy. Dla Ursuli. Dla Arthura. Dla ciebie, papo, niech cię diabli! To już ostatni raz”.

Jeszcze jedna ostatnia wola, i długi dręczący go przez tyle lat zostanie spleacony.

Wszyscy mówili, że wrócił ze względu na mnie i honor swojej rodziny. Uznawano ogólnie, że musi dojść do jakiejś otwartej konfrontacji z panem Johnem.

Juanita, która od chwili, gdy ją poznałam, zamieniła ze mną może z dziesięć słów, wpadła do kafeterii szpitalnej, gdzie kupowałam ulubiony jogurt Arthura. Nieśmiała żona Oswalda, która przed ślubem pracowała w zakładach Tiberów, obciągnęła kolorowy sweter na dżinsowej bluzie i wyrzuciła z siebie rwący potok hiszpańskich słów.

- Wolniej - poprosiłam, tłumacząc sobie powoli. Pohamowała się.
- Moje znajome widziały, jak Quentin wjeżdża na parking przy fabryce.

Wcisnęłam jej do ręki jogurt i wybiegłam z kafeterii. Odległość między szpitalem a zakładami „Drób Tiberów” można było pokonać w ciągu dwóch minut. Oglądano się za mną na każdym rogu, gdy tam biegłam.

Zakłady przetwórcze znajdowały się za torem kolejowym i przypominały ceglany ul. Na szerokiej rampie z jednej strony budynku stały ciągniki widłowe z naczepami chłodniczymi. Na bocznicę czekał na załadowanie rząd wagonów - towarowych chłodni. Parking zastawiony był samochodami pracowników. Jęknęłam, przebiegając obok sedana wypożyczonego przez Quentina i stojącego na miejscu przeznaczonym dla gości.

- Wpuściłaś go?! - spytałam oskarżającym tonem recepcjonistkę przy wejściu, moją koleżankę ze szkoły średniej.

Uniosła bezradnie obie ręce.

- Pan John zapowiedział, żeby go wpuścić, jeśli się zjawi. Idź i przekonaj się sama.

To mnie zdumiało. Przeszłam przez główny hol budynku biurowego, zmierzając w stronę ciemnych podwójnych drzwi. Urzędnicy stali grupkami w otwartych drzwiach pokoi i popatrywali na biuro pana Johna.

- Nie słyszeliśmy, żeby doszło do czegoś gwałtownego! - zawołał ktoś do mnie. - Ale on tu nie jest długo.

Doszłam do drzwi i tam się zatrzymałam. Przez sekundę nasłuchiwałam, ale nic nie słyszałam. Zastanawiałam się, czy mam zapukać, po czym wkroczyłam do środka. Pan John siedział w rogu na fotelu przed dużym oknem, które ujmowało jakby w ramy pocztówkowy obraz Tiberville. Quentin stał naprzeciwko niego i też patrzył przez okno.

Obaj odwrócili głowy, gdy wtargnęłam do pokoju. Pan John wyglądał mizernie i staro, posiwiałe włosy były tylko białym cieniem na jego łysiejącej głowie. Zawsze ubierał się starannie, zawsze nosił jedwabne i płócienne koszule ozdobione dumnym logo Tiberów. A teraz był korpulentnym starym jegomościem w golfowej koszulce i wymiętych spodniach. Oczy, za grubymi dwuogniskowymi szklami okularów, które nosił w domu, miał podpuchnięte i w czerwonych obwódkach. Najwyraźniej płakał jeszcze przed kilkoma sekundami, zanim weszłam do jego biura. Kiedy mnie zobaczył, zakrył twarz dłońmi.

- Och, moja droga - jęknął. - Nie miałem zamiaru zranić ciebie ani Arthura.

- Za późno na żal - rzekł Quentin. Wyraz twarzy miał lodowaty i trochę smutny. - Doszliśmy do porozumienia - powiedział do mnie. - W Mountain State College, na miejscu gdzie stała rzeźba, zostanie umieszczona brązowa płyta pamiątkowa. Chcę, żeby informowała, jak zamówiono rzeźbę i komu ją zawdzięczamy: Betty Habersham, Tomowi Powellowi, Richardowi Riconniemu. - Zrobił przerwę. - I mam otrzymać list z przeprosinami skierowanymi do mojej matki.

Pan John uniósł głowę i spojrzał na mnie.

- Czy jest coś, cokolwiek, co mógłbym uczynić, żeby zrekompensować to tobie?

- Zmusił pan mojego tatę, by zapłacił dwieście dolarów za niedźwiedzicę. Chcę, żeby ofiarował je pan Towarzystwu do Walki z Chorobą Heine-Medina.

- Dobrze.

- I chcę, żeby pan pozwalał Esme odwiedzać Niedźwiedzią Kotlinę, kiedy tylko będzie miała na to ochotę.

Pokiwał głową.

- To wszystko. Twarz mu się ściągnęła.

- Oddałbym wszystkie swoje pieniądze, wszystko, żeby cofnąć zegar.

- Ja też - szepnęłam, sama bliska łez. - Cofnęłabym go o więcej niż dwadzieścia lat.

Niedźwiedzica stałaby na terenie kampusu. I ocaliłabym życie mojej matki. - Spojrzałam na Quentina. - A ty mógłbyś ocalić życie swojemu ojcu. - W jego oczach pojawiła się jakaś ostrość i gorycz, niepojęta krwawiąca rana. Kiwnął jednak głową.

Zostawiliśmy pana Johna z własnymi żałami. Nasze zabraliśmy ze sobą.

Arthur siedział apatycznie na leżaku, gdy Quentin, Oswald i ja staliśmy na drabinach, naprowadzając łeb Żelaznej Niedźwiedzicy na dawne miejsce. Doktor Washington i lokatorzy obserwowali to, pełni niepokoju. Abstrakcyjny żelazny łeb zwisał z podnośnika wielkiego ciągnika przeznaczonego do holowania zestawów naczepowych. Operator, syn sąsiadów, upierał się, że nam pomoże. Wyglądało na to, że w ciągu kilku dni od powrotu Quentina wszyscy mieszkańcy hrabstwa przyjechali nas odwiedzić i zaproponować swoją pomoc.

- Jeszcze parę centymetrów, o, dobrze, zatrzymać tutaj - komenderował Quentin z wierzchołka drewnianej drabiny opartej o ramię niedźwiedzicy. Zamachał na nas, żebyśmy się odsunęli, opuścił przesłonę na twarz i uruchomił palnik do spawania, który trzymał w ręce osłoniętej grubą rękawicą.

- Nie patrz na palnik, patrz tylko na te ładne iskry! - zawołałam do Arthura. Liza podbiegła do niego, kiedy na nią kiwnęłam.

- Patrz na te śliczne świetliki, Arthurze - powiedziała uspokajającym tonem i usiadła obok leżaka na zbrązowiałej trawie pastwiska.

Nie odzywał się ani słowem. Kiedy Quentin wszedł pierwszego dnia do jego pokoju w szpitalu, oczy mu rozblęły.

- Brat Niedźwiedź - szepnął. - Wiedziałem, że wrócisz. Jeszcze mam kamyki. - Potem opadł na poduszkę i zakwilił. - Ale za późno. Mama Niedźwiedzica umarła. - I nic, co mówiliśmy, ja i Quentin, nie mogło zmienić jego przekonania.

Quentin przytknął koniec palnika do jednej z kilkadziesiąt szczelin między korpusem a łbem niedźwiedzicy. Iskry tryskały wokół niego niczym małe fajerwerki. Świeże

metalowe blizny zaczęły z wolna zasklepić jej rany.

Arthur podciągnął wyżej lekki kocyk, którym go owinęłam, bo wrześnieowy dzień był całkiem ciepły. Podeszłam do niego, stanęłam z tyłu i odgarnęłam mu włosy z czoła.

- Przypomina mi się dzień, kiedy tata przywiózł tu niedźwiedzicę - powiedziałam. - Przyspawał jej łapy do metalowych prętów wpuszczonych w beton. Tego wieczoru mama i ja siedziałyśmy właśnie w tym miejscu i przyglądałyśmy się iskrom. To był przepiękny widok. Nie chciałbyś usłyszeć znowu tej historii, kochanie?

- Nie. Teraz napawa mnie smutkiem. - Drżał pod moją ręką. Obeszłam leżak i przyklękłam na jedno kolano.

- Dlaczego, kochanie?

Spojrzał na mnie tragicznym wzrokiem.

- Dlatego że Mama Niedźwiedzica nie może już do mnie mówić. Ona nie wróci. Musimy urządzić jej pogrzeb.

- Nie! Nie, nic jej nie jest. Popatrz na nią. Jest niemal taka jak dawniej. Dobre Międzysie pomagają Quentinowi ją zreperować. - Arthur zmarszczył brwi, zastanawiając się nad moimi słowami. Jego ręce spoczywały bezwładnie na kocu. Ujęłam delikatnie jedną z nich. - Kochanie, niedźwiedzica nie żyje według normalnych zasad. Pocięcie na części jej nie zabije. Ona żyje tutaj. - Pokazałam na swoją, a potem na jego głowę. - I nadal oczekuje, że Quentin da jej przyjaciela, takiego rodzaju jak ona. I będzie miała kogo kochać.

Słuchał z przejęciem, ale tylko westchnął.

Późnym popołudniem zaprowadziłyśmy go z Lizą do domu na małą drzemkę. Spał w swoim dzieciennym łóżku pod puchową kołdrą, którą pożyczyła nam pani Green, bo kiedyś Arthur podziwiał ją u niej w domu.

Quentin dokończył rekonstrukcję Żelaznej Niedźwiedzicy zaraz po zachodzie słońca. W chłodnym różowosinym półmroku sypnęły się na ziemię ostatnie iskry, olśniewający błysk palnika zgasł. Quentin zszedł z drabiny. Staliśmy tam tylko we dwoje w pełnym smutku półmroku nazywanym przez poetów i żałobników zmierzchem.

Niedźwiedzica spoglądała na nas i ponad nami tak samo wyniośle jak przedtem. Skrzyżowałam ręce na piersiach.

- W odróżnieniu od Arthura ja, kiedy tu dorastałam, pragnęłam móc rozmontować tę rzeźbę - wyznałam. - Myślałam, że zawsze będę sobie tego życzyć. Ale rada jestem, że widzę ją znowu w całości.

Quentin szedł obok mnie w milczeniu. Ramiona miał opuszczone i był śmiertelnie zmęczony. Rękawice spawalnicze niczym zapomniane rękawice rycerskie wetknął sobie za pas.

- Jestem gorszy od ciebie. Pragnęłam zawsze rozmontować wszystkie rzeźby mojego ojca. - Zakłopotany ton skłonił mnie, bym popatrzyła na niego ze smutkiem. - Teraz to już

wszystko jedno - ciągnął dalej - ale był taki czas, kiedy kochałem wszystko, czego dotknął.

„I nadal kochasz. To takie oczywiste” - pomyślałam. Obróciłam się twarzą do niego, wyciągnęłam rękę, po czym równie szybko ją cofnęłam. Niemal niedostrzegalne pochylenie jego ciała świadczyło, że odczuł tę niedokończoną pieśczętę. Utrzymałam dystans, a on mnie nie ośmielał. Dało się jednak wyczuć napięcie, głęboki i gwałtowny prąd świadomości, który zawsze nas opływał, kłębił się między naszymi ciałami, przenikał noc, nasze marzenia i zwykłe czynności, takie jak rozmowa i współpraca.

- Dlaczego wróciłeś? - spytałam. - Dlaczego zmieniłeś zdanie co do tej drugiej rzeźby?

- Ponoszę odpowiedzialność za tę sytuację. To ja ją sprowokowałem.

- Rozumiem.

- Nie ma innego wyjścia. - Mówił mi już o dawnym uczniu swojego ojca, Joem Araizie, i o tym, że nie udało mu się znaleźć odpowiedniego artysty, który zechciałby wykonać drugą rzeźbę. Odwrócił głowę w stronę niedźwiedzicy. - Nadal zamierzam odkupić tę rzecz. Jeśli to oznacza sklecenie czegoś w rodzaju kopii, którą Arthur mógłby pokochać, to pal sześc. - Ostatni błysk światła uwidocznił jego cyniczny uśmiezek, pomyślałam więc, że jak zawsze jest nieczuły. - Mogę nawet domagać się obniżki ceny - ostrzegł - teraz kiedy rzeźba została uszkodzona. Wróciliśmy więc do interesów. Udałam śmiech.

- Mowy nie ma. Pięknie ją zreperowałeś. Szliśmy w stronę domu. Zmarszczyłam brwi.

- A co będzie, jeśli Arthurowi już na tym nie zależy? Okoliczności się zmieniły. On jakoś nie nalega, żebyś teraz zrobił przyjaciela dla Mamy Niedźwiedzicy.

Quentin położył mi rękę na ramieniu i zmusił nas oboje do tego, żebyśmy się zatrzymali. Staliśmy na bocznym podwórku, zasłonięci wysokimi kameliami i mirtami, które swoim listowiem rozpraszały światło padające z okien. W tej niezupełnej ciemności mogłam widzieć twarde zarysy jego szczęki.

- Poddajesz się? - spytał.

- Podsuwam nam obojgu łatwe wyjście z sytuacji. Możemy z nim porozmawiać.

Niewykluczone, że teraz mógłbyś zabrać oryginał.

- Tak niemiło jest przebywać w pobliżu mnie?

- Nie, jeśli będziemy się trzymać z dala od siebie. To nie jest łatwe. - Zapadło milczenie. Wyraz, jaki pojawił się w jego oczach, a jestem pewna, że i w moich, niemal nas pogodził. Bojaźliwie cofnęłam się o krok. - Nie chcę, by Arthur sobie myślał, że będziesz tu zawsze. Nie mogę ryzykować, że dołączy tę fantazję do swojego repertuaru.

- Zgadzam się. Ale obiecałem twojemu bratu, że wykonam pewną pracę, i zamierzam to zrobić. Jeśli ta rzeźba wywiera tak potężny wpływ, jak wszyscy tutaj zdają się myśleć, to przyciągnie z powrotem Arthura.

- Wiesz, że niełatwo będzie zrobić drugą rzeźbę.

- To nie musi być dzieło sztuki.

Fakt, że wrócił i zdecydował się spróbować, uczynił z samego tego przedsięwzięcia rzadkie arcydzieło. Patrzyłam na niego z melancholią.

- Myślę, że zadziwisz sam siebie.

Powiedziałam mu „dobranoc” i poszłam do domu. Nie mieliśmy żadnej strefy bezpieczeństwa, żadnych reguł, żadnych znanych kwestii. Byliśmy elastycznym kokonem - zawierał on dwoje obcych sobie ludzi, którzy próbowali się nawzajem przeobrazić. Quentin tkwił w ciemnościach pod moimi oknami, osłonięty dobrymi, wiernymi krzakami, i wpatrywał się w światło.

Rozdział 20

Quentin zadzwonił do Popeye i powiedział mi, co zamierza zrobić. Poświęci jesień na wykonanie drugiej rzeźby, w nadziei na ubicie targu. Stary sierżant go zaszokował.

- Synu, powinieneś być to robić przez całe życie. Nie martw się o tutejsze interesy. Ja zrobię dobrą minę i wszystko będzie grać. - Przerwał na chwilę. - Tylko, do jasnej cholery, nie dźwigaj więcej, niż możesz unieść.

Potem Quentin zadzwonił do Joego Araizy i odwołał poszukiwanie odpowiedniego rzeźbiarza.

- Zmiana planów. - To było jedyne wyjaśnienie.

Joe sprawiał wrażenie bardziej zaintrygowanego niż rozgniewanego.

- Tajemnica robi się coraz głębsza.

- To sprawa dość skomplikowana, ale zrozumiesz ją w końcu.

- Gdzie jesteś?

- Mam pewną robotę poza granicami stanu.

- Znowu gdzieś na głębokim Południu? Kupujesz? Wykonujesz jakieś prace rozbiórkowe?

- Joe, zrób mi przysługę. Nie zadawaj pytań i jak przyjdzie do ciebie moja matka i będzie o mnie pytać, nic jej nie mów.

- Od tygodni balansuję na cienkiej linii. Udoskonaliłem swoją technikę.

- No to balansuj dalej.

Po tych telefonach Quentin odchylił się do tyłu na krześle w swoim pokoju w motelu. Trzymał nadal w ręce słuchawkę i myślał, że powinien zadzwonić do recepcji i zarezerwować pokój przynajmniej do końca miesiąca. Nie miał ochoty jak poprzednio przebywać przez dłuższy czas w malutkim mieszkanku w dawnym kurniku.

„Powiniennem zostać tutaj, w mieście. Traktować ten projekt jak pracę. Jeździć na farmę, tam pracować, po czym codziennie wracać tutaj. Stołować się w restauracji i wieczorami siedzieć w tym pokoju sam. Trzymać się z dala od pokus. Od Ursuli”.

Przez jakiś czas rozglądał się po aseptycznym pokoju motelowym, próbując sam siebie

przekonać, że jego wysiłki, by mieszkać tu, mają naprawdę znaczenie. Na oświetlonej tablicy na zewnętrznej ścianie miejscowego kościoła metodystów odczytał słowa, którymi wierni powinni się kierować w tym tygodniu: NIC NIE ZASTĄPI MOCNEGO DUCHA.

Odłożył słuchawkę, zapłacił rachunek i pojechał do Niedźwiedziej Kotliny.

Kiedy nadszedł październik i góry z zielonych zrobiły się złocistoczerwone, rozbił obóz w pobliżu Żelaznej Niedźwiedzicy. Rozstawił wielki zielony wojskowy namiot na platformie, którą zbudował na skraju dębowego zagajnika, i zainstalował w nim mały pękaty piecyk, wygrzebany przez doktora Washingtona z lamusa w jego szerokiej od góry stodole. Z otworu w dachu namiotu sterczała rura od piecyka jak srebrna wieżyczka na małym kościele. Pod sufitem powiesił latarnie, na ziemi rozłożył plecione dywaniki kupione na pchlim targu w Tiberville, gdzie również zaopatrzył się w stary drewniany stół, pomalowany na biało, i ciężki fotel, który trzeba tylko było na nowo polakierować. Nie zrobił tego, ale kiedy postawił go przy stole, oba meble świetnie do siebie pasowały. Na stole ulokował przenośny komputer i małą drukarkę, a obok położył wysoki stos podręczników z zakresu teorii sztuki i projektowania.

Ubrania i inne swoje przedmioty - które przysłał mu Popeye wraz z Hammerem, podnieconym z powodu powrotu tutaj - włożył do starej szafy, którą znalazł w mieście w „Składzie Mebli Nowych i Używanych”.

Przeciągnął kabel od obwodu elektrycznego w domu, podłączył miniaturową lodówkę i dwupłytkową maszynkę elektryczną. Wykopał też na dworze dół na ognisko i przygotował miejsce do ustawienia żeliwnej patelni i maszynki do kawy. Wszyscy byliśmy zafascynowani. Nawet Arthur wymknął się z domu, żeby popatrzeć. Widać było, że nadal adoruje Quentina. Chęć obserwowania go przy pracy stała się jedynym powodem, który przez większość dni skłaniał Arthura do wstania z łóżka.

Wszyscy oglądali eleganckie i praktycznie urządzone obozowisko Quentina. Bartow Ledbetter, oparty na lasce, taksował je uważnym wzrokiem dobrotliwego skrzata.

- Przypuszczam, że spędził sporo czasu w wojsku, ucząc się, jak żyć pod gołym niebem. Artystą to on może nie jest, ale posiadał sztukę życia pod gołym niebem.

- W wojsku nie pozwolą ci położyć dywaników na podłodze namiotu - prychnął Oswald. Odwrócił się do mnie: - Masz pewność, że nie jest gejem?

- Owszem - powiedziałam.

Potem z odrzuconych belek z mojej stodoły zbudował na środku namiotu wysoki stelaż pod duże łożo. Położył na nim luksusowy materac, a na nim flanelową pościel i kolekcję wypożyczonych ode mnie kolorowych kołder, które wyjęłam ze skrzyni z kołdrami Powellów. Na samym wierzchu tego łoża ułożył pół tuzina puchatych poduszek.

Na koniec wynajął przenośną ubikację i kazał ludziom, którzy ją przywieźli, ustawić dyskretnie za namiotem. Przed ciekawymi spojrzeniami osłonił ją parawanem zbudowanym

przez siebie z desek. Zamierzał chodzić do mieszkanca w dawnym kurniku i brać tam prysznic, a poza tym chciał być całkiem samowystarczalny w swoim obozowisku na skraju mojego pastwiska. Sam na sam z niedźwiedzicą.

- Chciałbym kupić używaną ciężarówkę - powiedział do mnie. Oswald i ja zawieźliśmy go na giełdę w hrabstwie Tiber, gdzie wmieszaliśmy się w tłum farmerów, kupców, plujących tytoniem motocyklistów i kobiet w strasznie obcisłych bluzkach z napisami: „Mamunia z tylnego siedzenia”, „Rób to w drodze na podłodze”, „Podreguluj mnie i nasmaruj”.

Kupił starą wojskową ciężarówkę Gwardii Narodowej, z której to ciężarówki zeszkrobano oliwkowozielony lakier i którą ładnie pomalowano czerwoną miniową farbą.

- Na co potrzebujesz pan czegoś tak wielkiego? - chciał wiedzieć Oswald.

- Do przewożenia blachy i starego żelastwa. - W głębi duszy Quentinowi podobało się po prostu panowanie nad tak potężnym silnikiem i jazda wysoko nad ziemią, jak również oglądanie jej z tej perspektywy. Następnie przystąpił do kupowania sprzętu spawalniczego, przewodów, kowadła, kleszczy, młotków, szlifierek i innych narzędzi, których nie potrafiłam rozpoznać. A także dużego radia jamnika. Powiesił je na dolnej gałęzi dębu i nastawił na stację dżezową w Atlancie.

Uporał się z całym tym kupowaniem, budowaniem i ozdabianiem w zdumiewającym tempie - w zaledwie dwa tygodnie. Potem wprowadził się do namiotu.

Któregoś ranka poszłam podzielić się z nim bułeczkami i bekonem. Był lekki mroźnik, wszystko się iskrzyło w promieniach porannego słońca. Z maszynki do kawy nad ogniskiem unosiła się para. Rura od piecyka pykała pachnącym sosnowym dymem.

Quentin siedział na fotelu przy ogniu z Hammerem śpiącym u jego nóg w pozie sfinksa. Ciemne włosy miał jeszcze zburzone po śnie. Dojrzałość malująca się na jego twarzy i lekka siwizna na skroniach dodawały mu tylko uroku. Ubrany był w stare dzinsy i flanelową koszulę na ocieplaczu. Wyciągnął przed siebie długie nogi i skrzyżował je w kostkach. Nie uniósł wzroku znad czytanej książki. Zerknęłam na nią i ze zdziwieniem stwierdziłam, że to jedna z tych, które ode mnie pożyczył. Książka jednej z moich autorek.

Moje zmysły rejestrowały rześkie, pachnące sosną powietrze, aromat kawy, dumę wywołaną tym, że widzę go czytającego książkę wydaną przez „Powell Press”, całą tę przyjemną scenerię, to, jak dobrze on tu pasuje, i rejestrowały jego - najbardziej ze wszystkiego jego. Poczułam, że go pragnę. Całą sobą zapragnęłam wśliznąć się w jego świat i do łóżka zrobionego przez niego własnoręcznie, pod kołdry, które ogrzewały kilka pokoleń mężów i żon w rodzinie Powellów.

Przystanąłam na środku ścieżki. Trzymałam zapomniane bułeczki z bekonem w blaszanej brytfannie, nakryte ściereczką. Czułam się jak pijana z emocji i pożądania. Kiedy podniósł głowę, zaczerwieniłam się i odwróciłam wzrok. Odłożył książkę i wstał.

- Przeszpiegi?! - zawołał.

- Taak, oczywiście. - Wróciłam do równowagi, zaczerpnęłam powietrza, weszłam do obozowiska i skinęłam głową w stronę książki.

- Powiedz mi, co naprawdę myślisz o *Zaduszonej wierzbie*. - Ostatecznie chodziło o zbiór trudnych esejów o uczuciowych związkach kobiet ze środowiskiem.

- Podobają mi się te partie o kobietach uprawiających seks z drzewami.

- To się nazywa realizm magiczny. To metafora przyrody.

- Nie, metaforą przyrody jest *Moby Dick*. *Zaduszona wierzba* to książka o kobietach trochę za bardzo interesujących się złymi rodzajami korzeni.

- Mężczyźni nigdy nie rozumieją sensu tej książki. Przestał żartować.

- To nieprawda. Odnoszę się do niej z szacunkiem. Szanuję twój gust w wyborze tej właśnie autorki i szanuję sposób, w jaki wydałaś te eseje. I tę drugą twoją książkę również. Jesteś bardzo dobra w tym, co robisz.

Wyciągnął rękę po bułeczki i gdy podawałam mu brytfannę, nasze ręce się zetknęły, a oczy spotkały. Nagle atmosfera zrobiła się tak gorąca, tak czuła, że moglibyśmy się wzajemnie uwieść, gdybyśmy chcieli. Codziennie kusiło nas tysiąc rzeczy - spojrzenie sobie w oczy, powolne przesunięcie jego ręki obok mojej podczas posiłków, sposób, w jaki z zadowoleniem odchyłał się do tyłu na krześle, gdy w chłodne wieczory siedział przed ogniem trzaskającym na moim kominku, sposób, w jaki koło niego chodziłam na palcach.

Odetchnął głęboko, a ja uświadomiłam sobie, że na chwilę wstrzymałam oddech.

- Będę musiał pogadać z twoim małym nastoletnim drzewkiem brzoskwiniowym - powiedział z melodramatyczną naganą. - I przekonać się, czy nie zakochało się w tobie. Albo vice versa.

Drzewko, z którego opadły na jesieni wszystkie liście, było teraz już krzepkie. Zasadziłam je w ziemi użyźnionej przez kurczaki obok ogrodu taty. Będzie olbrzymem.

Udałam oburzenie.

- Zostaw w spokoju moją małą przyjaciółkę.

- Przyjaciółkę? Małolatę. - Uniósł w górę brwi. - Amatorka maluchów.

Nie mogłam powstrzymać się od śmiechu. Nie mogłam przy nim w ogóle powstrzymać się przed niczym.

Pobiegłam do domu. Nie spuszczał ze mnie wzroku. W głowie kotłowały mu się myśli. Pragnął całą swoją istotą naruszyć reguły, które ustalił dla siebie przed wielu laty. Nigdy nie kochaj tego, co możesz stracić.

Zapytałam Janine o Esme.

- Ona jest niemal taka sama jak Arthur - przyznała ze znużeniem Janine. -

Przygnębiona wszystkim, co się wydarzy. Wiecznie się boi, że świat jej się zawali. Zraniona. Nosi wciąż gips na nadgarstku. Przywiozę ją w odwiedziny, kiedy będzie miała na to ochotę.

Teraz tylko płacze z byle powodu.

Pojechałam do rezydencji Tiberów, zabierając ze sobą pudełko ciasteczek z masłem orzechowym, które Liza upiekła dla Esme. Kiedy zadzwoniłam, ozdobne frontowe drzwi otworzyła Tricky, uśmiechając się i robiąc miny.

- Jak przypuszczam, wiesz, że pana Johna tu nie ma. Kiwnęłam głową.

- Słyszałam, że Janine wysłała go na morską przejażdżkę.

- Taak. Popłynął na wyspy Bahama. Nie chciał wyjeżdżać. Posłała z nim parę jego kuzynów. Jako kuratorów przy zwolnionym warunkowo, powiedział.

- Może zobaczę się z nim po powrocie. - Przysłał mi długi list z przeprosinami, a Quentinowi drugi, bardziej oficjalny, żeby doręczył go Angele. Na końcu listu do mnie napisał: *Czy przyjedziesz zobaczyć się ze mną?* Nie odpowiedziałam. Miłosierdzia z mojej strony już i tak było zbyt dużo.

- Powinnaś go odwiedzić, jak wróci - pouczyła mnie Tricky. - Taak, jest despotycznym starym palantem, ale też przez to, co zrobił, niemal zrujnował siebie i zepsuł opinię rodziny, i wie o tym. Janine mówi, że on jest teraz oficjalnie na emeryturze. Przejęła prowadzenie przedsiębiorstwa. Został ukarany.

Poczułam się nie najlepiej, ale nie chciałam współczuć panu Johnowi.

- Słuchaj, przyjechałam w związku z Esme. Janine powiedziała, że mogłabym ją odwiedzić.

- Pewno, tylko że ona nie wyjdzie ze swojego pokoju. Ma zszarpane nerwy, jak mówi doktor. Zażywa pigułki na uspokojenie, ale nic to nie pomaga.

- Wobec tego usiądę pod drzwiami jej pokoju.

- W porządziu, w porządziu, wchodź, Niedźwiedzi Pazurze. - Umilkła na chwilę i popatrzyła na mnie błyszczącymi oczami. - Słyszałam, że w przyszłym tygodniu masz spotkanie z zarządem grupy hodowców.

- To prawda. Opracowuję wraz z nimi nowy wzór umowy z zakładami „Drób Tiberów”. Już niemal kończymy. Na zebraniu w listopadzie przedstawimy wszystkim nową umowę.

Położyła mi spracowaną dłoń na ramieniu.

- Dla mnie i mojej rodziny to będzie wielka rzecz. Dla większości ludzi w tym hrabstwie. Dziękuję ci. Twój tata byłby dumny.

- Podziękuj jemu. I podziękuj Żelaznej Niedźwiedzicy - powiedziałam cicho. Popatrzyła na mnie zbита z tropu, ale poprowadziła mnie ładnymi schodami do pokoi sypialnych na piętrze. Zapukałam do białych drzwi.

- Esme! To ja, Ursula.

Usłyszałam ciche kroki i jakieś inne dźwięki. Esme odpowiedziała, stuknąwszy w drzwi od środka.

- Cześć. - Głos miała zmęczony.

- Przyniosłam ci trochę ciasteczek. Janine mówiła, że najbardziej lubisz te z masłem orzechowym. Liza je upiekła. Mogę wejść?

- Zaczynam się trząść, jak otwieram drzwi. Nie mogę.

- Dobrze, to siądźmy po obu stronach drzwi i pogadajmy.

- Jesteś... jesteś zabawna. Mamy siedzieć na podłodze?

- No tak. - Usiadłam po turecku i wytarłam ręce o nogawki dzinsów. - Zamierzam zjeść ciasteczko. - Zmięłam aluminiową folię, zaszurałam pudełkiem po wyfroterowanych sosnowych deskach i zaczęłam jeść, głośno chrupiąc. Cień Esme mignął w szparze pod drzwiami. Usłyszałam, że sadowi się na podłodze.

- Mogłabyś wsunąć ciasteczko pod drzwiami - powiedziała.

Tak też zrobiłam. Jadłyśmy w towarzyskim milczeniu.

- Co u Arthura? - spytała szeptem. - Słyszałam, że chorował.

- Tak. Tęskni za tobą. Potrzebuje jakiegoś przyjaciela.

- Słyszałam... - Głos jej się załamał. - Słyszałam, jak pewni znajomi stryjka Johna mówili, że nikt z mojej rodziny nie będzie mógł już nigdy wybrać się do Niedźwiedziej Kotliny.

Jęknęłam.

- Nie. Moja droga, to nieprawda.

- Stryjek John jest taki smutny. Wiem, co zrobił Żelaznej Niedźwiedzicy. Jest zupełnie zniszczona.

- Nie, wcale nie. Naprawiliśmy ją.

- Naprawiliście? - Głos jej poweselał.

- Jest jak nowa. Pragnęłabym tylko, żeby ktoś mógł naprawić Arthura.

Teraz jęknęła ona.

- Ja... ja mogłabym. Wiem, że mogłabym. Tylko że boję się wyjść na dwór. Ludzi się przejeżdża, gdy znajdują się na dworze.

- Arthur czuje się tak źle, że również nie może do wielu miejsc chodzić.

- Och, Arthur!

- Janine i ja mamy pomysł, jak mu pomóc. Myślę, że i ty mogłabyś w tym wziąć udział. - Zapoznałam ją z naszym planem, słuchała w milczeniu.

- Spróbuję - odezwała się potem drżącym głosem. - Ze względu na Arthura i niedźwiedzicę.

- Świetnie. - Wsunęłam jeszcze kilka ciasteczek pod drzwi i zapowiedziałam, że resztę zostawię na stole w holu. Kiedy wracałam do ciężarówki, usłyszałam lekkie stukanie.

Spojrzałam w górę. Esme machała mi smutno z okna.

Ubrana była w koszulkę z Minnie Mouse.

Quentin i ja staliśmy na pięknie przystrzyżonym trawniku za imponującym starym domem panny Betty, zajmowanym obecnie przez córkę jej bratanka, Luzanne. Luzanne patrzyła w okna. Najstarsza siostra pana Johna zaciskała pod podbródkiem pulchne dłonie z wątrobianymi plamami.

- Mam nadzieję, że to zadziała - szepnęła.

- Powiedziałybym, że już zadziałało - odrzekłam w odpowiedzi. Arthur usadowił się na obrzeżu fontanny na tylnym podwórzu i obrócił głowę w stronę domu. Nie poruszył się od pięciu minut.

- Kochanie, chodź! - zawołałam. - Pójdziemy teraz do szopy.

- Ja poczekam tutaj - odparł, nie spuszczając wzroku z tajemniczych okien.

- On ją widział - wyraził swoje przypuszczenie Quentin. - Chodź. Udawajmy dalej.

- Pójdę do domu i zobaczę, co mogłabym zrobić, żeby ją zachęcić - powiedziała

Luzanne i ruszyła po stopniach na tylną werandę z największą szybkością, na jaką pozwalały jej kolana.

Westchnęłam i podążyłam za Quentinem do mrocznego garażu panny Betty, obecnie zamienionego na szopę. Mówiliśmy Arthurowi, że może znajdziemy tam jakieś przedmioty, które dałoby się wykorzystać jako części do drugiego Żelaznego Niedźwiedzia. Miałam jedną taką rzecz na myśli, ale nie byłam pewna, czy jeszcze istnieje.

Szopa zastawiona była nowoczesnymi metalowymi półkami, a kamienną podłogę pokrywały zapleśniałe kwadraty chodnika. Na wysokość głowy piętrzyły się tam pudła i zapomniane skrzynie. W powietrzu tańczyły pyłki kurzu. Chwyciłam koniuszkami palców resztki pajęczyny i odsunęłam ją na bok.

- Luzanne mówiła, że jeśli to, czego szukamy, jest tu nadal, to pewno stoi w tamtym kącie.

Quentin przedzierał się przez płataninę niechcianych krzeseł i stojaków od lamp.

- Jak już tu jesteśmy, to poszukajmy też Atlantydy i zagubionych miast Inków.

Wszystko dałoby się tu ukryć.

Skierowałam się do kąta naprzeciwko okna i spędziłam kilka minut na metodycznym przesuwaniu z pomocą Quentina pudeł i starodawnych narzędzi ogrodniczych. Było tam ciasno i ciepło. Mogliśmy słyszeć nawzajem swoje oddechy i z trudem się poruszając, unikaliśmy kontaktu cielesnego.

- Jest tu - oznajmił w końcu Quentin z ulgą i z rozczarowaniem jednocześnie.

Patrzyliśmy na dziecienny wózek, w którym z czułością wożono wszystkie dzieci panny Betty we wczesnej fazie ich życia: jej zmarłe córki i ulubionego syna bratanka, pana Johna. Skórzana buda rozpadała się, metalowa rama była okropnie pocięta, brakowało dwóch kółek, satynowe wnętrze podarło się i pożółkło. Wózek miał już ponad sto lat, ale wciąż jeszcze zachował resztki swojej dawnej wspaniałości.

- Panna Betty jeździła w nim, kiedy sama była dzieckiem - wyjaśniłam. - Należał do jej matki. Bethiny Grace. Jest więc też zabytkiem Powellów.

Quentin oglądał rozpadający się wózek z niezadowoloną miną.

- Może mógłbym wykorzystać w jakiś dekoracyjny sposób kawałek ramy. - Wahał się.
- Nie mogę zbudować konstrukcji z takich przedmiotów jak ten. Liczę, że na szkielet korpusu kupię stalowy złom i lane żelastwo.

Widziałam niepokój Quentina. To jego ojciec, a nie on, miał talent do przemieniania starych gratów i złomu w eleganckie i inspirujące abstrakcyjne rzeźby. Dopiero teraz zaczął sobie uświadamiać, jak obsesyjna musiała być każda decyzja. Próbowałam ułatwić mu sytuację.

- Weźmiemy ten wózek na wszelki wypadek, bo może będziesz mógł go wykorzystać. Jeśli nie, to też nic się nie stanie, bo i tak wylądowałby na śmietniku. Ostatecznie jesteśmy tu tylko dlatego, że udajemy poszukiwania, a tymczasem Arthur i Esme wzajemnie będą się oswajać z wychodzeniem poza dom.

Quentin przejechał ręką po brodzie i potrząsnął głową.

- Myślisz, że to, co ich łączy, jest tak silne? Widzieli się przecież tylko raz.

- To para duchowa. Uniósł do góry brwi.

- Są przecież kuzynami.

- Dalekimi kuzynami. Tak dalekimi, że to nie przeszkadza. - Popatrzyłam na niego. -

Co ty masz przeciwko romansowi?

- Wymaga zbyt wiele naiwnej wiary.

- Czyżbyś twierdził, że ludzie, którzy pragną w swoim życiu mieć romans, są naiwni?

- Nie. To wymaga po prostu pełnego zaangażowania, na co większość ludzi, łącznie ze mną, nie ma ochoty.

- Twoja przyjaciółka Carla musi być zachwycona, kiedy mówisz jej takie rzeczy. -

Odwrociłam się do niego plecami w tej ścieśnionej przestrzeni, w tym zimnym i wyzywającym świetle, żeby nie mógł zobaczyć mojej miny. Zaczęłam grzebać wśród rupieci na półce. - Szukasz innych takich jak ona kandydatek? Zobaczmy. Ogłoszenie brzmiałoby tak: *Poszukuje się pani na długi okres, oddanej, niekłótliwej, pragnącej, by nazywano ją „przyjaciółką”*. - Trzaskałam starymi konewkami na wodę, odsuwałam na bok różne przedmioty. Na półce nade mną niebezpiecznie przechylało się jakieś pudło. Quentin podszedł bliżej i w porę je chwycił. - Czego ty szukasz? - Nie dawałam za wygraną. - Najwyraźniej nie serc i nie kwiatów.

Wsunął pudło z powrotem na miejsce. Przycisnął udo do mojego biodra.

- Zrezygnowałam z serc i kwiatów, gdy byłem na tyle dorosły, by zdać sobie sprawę z tego, że większość kobiet chce pieniędzy i samochodu.

- To nie jest prawda.

- Nie, ale to brzmi lepiej niż się zabawiać.

Zagniewana, bez ostrzeżenia, nawet wobec samej siebie, obróciłam się w jego stronę. Dzieliły nas zaledwie centymetry.

- Chcesz po prostu mieć kogoś do pieprzenia?

Ujął w swoje dłonie moją twarz.

- Chcę ciebie. - Nie była to do końca jasna odpowiedź, niemniej piekielnie skuteczna. Pocałował mnie, a ja go nie powstrzymałam. Przywarliśmy do siebie, napierając na pólki i gwałtownie, a jednocześnie delikatnie, walcząc o pełnię doznania. Wokół nas spadały pojemniki i pudła. Czułam na brzuchu jego twardość i wygięłam się w odpowiedzi. Przejechał rękami w dół po moim ciele, szukaliśmy nawzajem swoich ust.

Usłyszeliśmy krzyk Arthura na dworze i czym prędzej oderwaliśmy się od siebie. Kiedy wbiegliśmy do ogrodu, Arthur już zagnał Esme w ślepią uliczkę. Przykucnęła za dużym krzakiem hortensji i pobladła zerkając przez gałęzie, które mróz pozbawił już liści. Luzanne krążyła w pobliżu i załamywała ręce.

- Och, oni po prostu zdziczeli.

Arthur kucnął po drugiej stronie hortensji, jakby miał rzucić się na Esme albo jak najszybciej uciec.

- Co ci jest? - spytał zasmucony. - Boisz się mnie?

- Nie. Jestem po prostu debilką - jęknęła. - Nawet nie potrafię uciec. Zostałam przejechana.

- Ja też. Choć w inny sposób.

- Boję się wszystkiego.

- Ja też - powiedział ochryple. - Ale Quentin uczy mnie, jak być mężczyzną. A ty na pewno możesz się nauczyć, jak być kobietą. Mogłaby cię tego nauczyć moja siostra. Quentin mówi, że ona jest wcieleniem kobiecości.

- Jak mogę być kobietą? Nie wiem nawet, jak przejść przez drogę!

- To mnie nie martwi. Zostanę po tej samej stronie co ty.

- Czy Mama Niedźwiedzica nie żyje?

- Nie jestem pewien. Myślałem, że tak, ale może ona tylko śpi, póki nie zagoi jej się szyja. Jak byłem w szpitalu, bolała mnie szyja i w ogóle nie chciałem rozmawiać. Wiesz, upadłem i zraniłem ją sobie, gdy dostałem ataku. Ale teraz już mi nie dokucza.

- Może kiedy Mama Niedźwiedzica poczuje się lepiej, my też poczujemy się lepiej.

Kiwnął głową, po czym przesunął się wokół krzaka, nadal w kucki, i na próbę wyciągnął w jej stronę rękę. Esme niepewna, drżąca ruszyła ku niemu na czworakach. Potem wolno uniosła rękę i zetknęli dłonie czubkami palców. I jakby prysnął jakiś czar, szybko pokonali dzielącą ich przestrzeń, przytulili się do siebie i objęli ramionami.

Luzanne zaczęła płakać.

- Cuda się zdarzają.

Kiwnęłam głową, potem napotkałam strapiony wzrok Quentina. Doprowadziliśmy tylko do tego, że przepaść między nami stała się dotkliwsza. Wcielenie kobiecości - tak powiedział? Miał rację.

- Chcę tego, co właśnie widzieliśmy - oznajmiłam. - Serc i kwiatów.

Mina Quentina mówiła mi, że nigdy tego mieć nie będę, więc się odwróciłam.

Rozdział 21

Tricky zaczęła codziennie rano przywozić Esme na farmę i zabierała ją wieczorem. Czasami zastępowała ją Janine, ale wyraźnie nie lubiła przy mnie występować w tak podrzędnej funkcji. Umowa, jaką przygotowałam dla stowarzyszenia hodowców, wprawiła ją we wściekłość. Prowadziłyśmy negocjacje.

Arthur i Esme Ignęli do siebie i dodawali sobie nawzajem odwagi. Liza i Ledbetterowie starali się Esme zabawiać i pokazywali jej swoje prace, ale ona i tak większość czasu spędzała z Arthurem, przesiadując na skraju pastwiska i obserwując Quentina. Ja też go obserwowałam.

Wprawdzie czułam się zraniona, ale nadal znajdowałam się pod jego urokiem. Przeżywałam na nowo każdą chwilę i każdy niuans naszego niedawnego spotkania i karmiłam się za własną słabość.

Zakupił dużo złomu i żelastwa, potem zaczął dobieranie, kształtowanie, cięcie. Podziwiałam tę metodyczną pracę akordową. Czy potrafił sobie wyobrazić, jak będą pasować do siebie poszczególne kawałki? Czy spodziewał się, że złoży rzeźbę w taki sposób, jakby chodziło o gigantyczną składankę? Czy też tylko oddalał ten dzień, kiedy będzie musiał zacząć tworzyć całość o wiele trudniejszą do osiągnięcia i niestanowiącą jedynie sumy poszczególnych części?

Minęło kilka tygodni i ta chaotyczna praca trwała nadal. Potrzebna mi była ciężka harówka, żeby uwolnić się od narastającego napięcia. Wyciągnęłam łańcuchową piłę taty, naostrzyłam ją, wymieniłam olej i zabrałam się do cięcia olbrzymich topoli, które zwały się na stodołę.

Quentin nigdy przedtem nie widział kobiety przy takiej robocie.

Nieraz dostrzegałam, że usuwa konary albo układa pocięte kawałki pni. Tak więc unikanie go przynosiło odwrotny skutek.

- Mógłbym ci to zrobić - oznajmił, gdy siadłam na pieńku z piłą na kolanach i pilnikiem w ręce osłoniętej rękawicą i zabierałam się do ostrzenia.

Spojrzałam na niego z ukosa.

- Dlaczego? Sama potrafię to zrobić.

Inni mężczyźni, wśród nich i Gregory, wobec takiej znajomości rzeczy przygważdżali

mnie spojrzeniem, a Quentin pokiwał tylko głową.

- Potrzebujesz wobec tego lepszego pilnika - powiedział i przyniósł mi jeden ze swoich.

W nocy leżałam samotnie w łóżku jeszcze z czasów dzieciństwa, pod starą różową kordonkową kapą, ale niewinna już nie byłam. Dotykał moich piersi w marzeniach, rozsuwał mi nogi, szeptał coś do ucha, powodował mętlik w myślach. Jako gospodyni miałam obowiązki do wypełniania we własnym domu. Nie mogłam pozwolić sobie na to, żeby kochać mężczyznę, który ze mną nie zostanie. Dzwony na południe ostrzegały zgodnym chórem: „Potrzebny ci lojalny mąż. Lojalny wobec ciebie, lojalny wobec twojej rodziny i lojalny wobec twojej ziemi”.

Ja dodawałam w duchu: „Dobry w łóżku, mądry i romantyczny. Odpowiadający mi politycznie, społecznie i religijnie”. I musi lubić dzieci. Arthur i ja byliśmy ostatnimi Powellami w hrabstwie Tiber. Jedno z nas musi mieć potomstwo. Leżąc w łóżku w ciemnościach, rozplakałam się z tej przyczyny, gorzko bolejąc nad tym, że na mnie Powelowie się kończą, bo jestem ostatnia, jedyna.

I kocham niewłaściwego mężczyznę.

Pewnego popołudnia na moim progu stanął doktor Washington z laską w jednej ręce i wypakowaną płócienną torbą w drugiej.

- Przychodzę, żeby się spotkać z redaktorem i wydawcą „Powell Press” - powiedział uroczyście.

Zaprosiłam go do środka i usiedliśmy na krzesłach przed kominkiem w pokoju dziennym.

- Witam i mam nadzieję, że spędzi pan dalszy ekscytujący dzień w mojej firmie. - Machnęłam ręką w stronę najzupełniej zbytecznego wyposażenia biurowego. Na moim biurku siedziały wiewiórki i chrupały ziemne orzeszki z otwartego słoika.

Doktor Washington położył płócienną torbę na kominku i dotknął jej końcem laski.

- Mam dla ciebie propozycję.

- Och?

- Zainspirował mnie Arthur. - Uśmiechnął się. - Cieszę się, bo widzę go znowu w dobrym stanie.

- Niestety, dużo jeszcze czasu upłynie, zanim całkiem wydobrzeje.

Stary profesor cmoknął.

- Większość istot ludzkich na świecie nieustannie poszukuje drogi powrotu do dobrych stron. Wróciłem tu, żeby odnaleźć własną drogę, i ty też ją znajdziesz, i Quentin, i Arthur również. Chciałbym tylko, żeby moje dzieci również tego spróbowały.

Wpatrywałam się w torbę z tajemniczą zawartością.

- Wymyślimy coś, żeby skłonić pańską rodzinę do odwiedzin. Zmieniam zdanie, jak

tylko tu się zjawia.

- Łatwo pokochać te dzikie góry. Ale nie wiem, co zrobić, żeby ich tutaj ściągnąć.
- Wiem, że czuje się pan samotny na farmie. Pan Fred też tak się czuł.

Westchnął.

- Dlatego właśnie lubię mieć przy sobie Arthura. To miałem na myśli, mówiąc o inspiracji. Czy wiesz, co robię od zeszłej zimy? Opowiadam mu historyjki, które opowiadałem moim dzieciom, gdy były małe. Wymyślone przez siebie historyjki o dorastaniu tutaj. Arthurowi się podobają. Jest wspaniałym słuchaczem.

- Opowieści dla dzieci?

- Och, po prostu takie głupiutki opowiadki. - Poklepał torbę. - Jakiś czas temu wspomniałem o nich Quentinowi i on mnie przekonał, żebym nagrał je na taśmy. No i są tu. Mam nadzieję, że przesłuchasz kilka z nich i potem mi powiesz, czy nadają się do opublikowania.

Patrzyłam teraz na tę torbę żarłocznie, bardzo podniecona. Boże dopomóż mi, obudziły się natychmiast moje umiejętności marketingowe i już widziałam nagłówki w „Publishers Weekly” i „New York Timesie”, żeby wymienić tylko te dwa pisma: *Znany historyk pisze czarodziejskie historyjki dla młodych czytelników. Emerytowany profesor jest nową gwiazdą prozy dla dzieci. „Powell Press” sprzedał milion egzemplarzy „Opowieści z Niedźwiedziej Kotliny”.*

- Opowieści z Niedźwiedziej Kotliny - powiedziała na głos.

Oczy mu błyszczały.

- Ewentualny tytuł? Nie wiesz nawet, czy moje śmieszne opowiadki są coś warte.

- Tego jestem pewna. - Rozentuzjasmowana, zaczęłam gestykulować i zestawiałam niewidzialne listy pilnych czynności. - Najpierw muszę je spisać z taśm. Potem pošlę do znajomej księgarni, która specjalizuje się w książkach dla dzieci. To da dobre sprzężenie zwrotne. Och, i znam wspaniałego ilustratora w Atlancie, który poszukuje propozycji... - Przerwałam. Wkroczyła rzeczywistość i ręce mi opadły. - Doktorze, jeśli pańskie opowiadania są dobre, to zarekomenduję je redaktorom kilku najlepszych wydawnictw. Zasługuje pan na to, żeby pańską pracę odpowiednio dobrze zaprezentowano. Ja na to nie mam pieniędzy. To nie byłoby w porządku wobec pana i pańskich opowiadań. Zachmurzył się.

- Ale ja chcę, żebyś to ty właśnie je opublikowała. Jeśli będzie trzeba, sam pokryję koszty.

- Nie. Nie ma pan pojęcia, ile kosztowałoby dobre wydanie i odpowiednia promocja pańskiej książki. To nie wchodzi w rachubę. Potrzebny panu poważny wydawca, który może zainwestować duże pieniądze.

- Zakładam, że sfinansowanie tego nie powinno być dla ciebie problemem. Nie liczysz

na to, że sprzedasz Quentinowi Żelazną Niedźwiedzicę?

Siedziałam przez chwilę w milczeniu.

- Mam wątpliwości, czy ten plan zadziała.

- Wyjaśnij mi raz jeszcze tę skomplikowaną logiczną konstrukcję.

- Arthur nie zgodzi się, by Żelazna Niedźwiedzica pojechała do Nowego Jorku, jeśli nie nabierze przekonania, że bez mojego ojca będzie tu zawsze samotna. Uważa, że trzeba dać jej przyjaciela, to może skłoni się ją, by tu pozostała. Jeżeli nadal nie będzie szczęśliwa, mając „przyjaciela”, to wtedy może sobie jechać. Tak więc moje finansowe perspektywy zależą od fanaberii Arthura. O ile wiem, Quentin zrobi drugą rzeźbę, a mój brat powie: „Tak, to dokładnie to, czego potrzebuje Mama Niedźwiedzica, i teraz jest szczęśliwa”. Czyli zostanie tu i do sprzedaży nie dojdzie.

- Czy naprawdę chcesz, żeby rzeźba stąd wyjechała? Zgarbiłam się.

- Nie.

- W porządku, wobec tego przyznam się do czegoś. Kiedy Quentin namawiał mnie na te nagrania - wskazał na torbę z taśmami - zgodziliśmy się, że musi to być książka wydana przez „Powell Press”. Ursulo, ty i ja jesteśmy w pewnym sensie rodziną. Nie wiemy, co się stało z Nathanem i Bethiną Grace, ale ta więź między Powellami i Washingtonami pozostanie na zawsze. Kiwnęłam głową.

- I jestem z niej dumna.

- Ja też.

Było to ciche uznanie wzajemnej akceptacji po więcej niż stu pięćdziesięciu latach milczenia. Oboje, on i ja, odwróciliśmy na chwilę wzrok, mrugaliśmy, chrząkaliśmy.

- Jeśli okaże się, że moje opowiadania nadają się do druku, to po prostu muszą być wydane przez ciebie. Poczytywałbym to sobie za zaszczyt.

- A ja byłabym zaszczycona, gdybym je wydała. Jeśli miałabym pieniądze.

Pokiwał głową.

- Na razie dajmy temu spokój.

Tego wieczoru poszłam do obozowiska Quentina z torbą pełną taśm.

- Zaczęłam je przesłuchiwać - powiedziałam. - Popatrzył na mnie sponad kopącego rożna, na którym leżały steki - dwa dla niego, dwa dla Hammera.

- Są wystarczająco dobre? - zapytał.

- Są cudowne. Wiem, że to ty podsunąłeś doktorowi Washingtonowi ten pomysł.

Dziękuję ci.

- Będziesz mieć pieniądze na ich opublikowanie. Na opublikowanie każdej książki, jaką zechcesz. Daję ci słowo.

Ostatni samotny motylek, który jakimś cudem uchwalił się przy tej zimnej pogodzie i jesiennych mroźkach, poleciał ospale w stronę Żelaznej Niedźwiedzicy i siadł między jej

zebrami.

„Jak tam z hojnością tego człowieka?" - zapytałam go w skrytości duszy.

„Łatwo dawać zbyt późno, gdy już nie można odlecieć" - odpowiedział motylek.

Quentin Ricconi, syn rzeźbiarza Richarda Ricconiego i artysta, przebywa tej jesieni w Niedźwiedziej Kotlinie i pracuje nad drugą rzeźbą do kompletu dla Niedźwiedzicy! Mamy nadzieję przeprowadzić z nim wywiad.

Taką notatkę opublikował lokalny biuletyn „Na odwrót", reklamujący się jako miesięcznik ludowego rzemiosła i sztuki amatorskiej. Tata pomagał go zakładać.

Kiedy Quentin przeczytał, że namaszczone go jako artystę, oznajmił mi bardzo spokojnym tonem, że nie życzy sobie, by publikowano jakiegokolwiek informacje o nim lub o jego planach. Zadzwoiłam do redaktora, który był serdecznym przyjacielem mojego ojca, i wyjaśniłam mu to, najlepiej jak umiałam.

- Czy on jest skromny? - spytał ten człowiek.

- Nie, on po prostu nie jest artystą. To inżynier. Nie chce wprowadzać ludzi w błąd.

- Jak wobec tego zamierza zrobić rzeźbę, twór tak kreatywny jak dzieło jego ojca?

- Nie wiem - przyznałam.

„Jak ci ludzie mogą zakładać, że ja wiem, co robię?" - myślał Quentin. Spuścizna jego ojca była tak imponująca, oddziaływanie Żelaznej Niedźwiedzicy tak wielkie, że nieznajomi ludzie gotowi byli na wyrost obdarzyć Quentina uznaniem. Obawiał się, że lokalny rozgłos wzbudzi zainteresowanie innych mediów i wiadomości te mogą dotrzeć do Nowego Jorku.

Kiedy pojechał do miasta, ludzie zostawiali mu na przedniej szybie ciężarówki kartki i fotografie swoje lub swoich rodzin z Żelazną Niedźwiedzicą.

- Niech Bóg błogosławi pana i Ursulę za kontynuowanie dobrego dzieła - mówili.

Wielbiciele przyjeżdżali na farmę tak często, że zaczął umykać do lasu, a Arthur za nim, gdy tylko na podwórko wtaczał się jakiś samochód. Przypinali szpilkami do dużego wojskowego namiotu karteczki adresowane do Quentina. A potem nieoczekiwanie starzy znajomi i sąsiedzi Powellów zaczęli pojawiać się w Niedźwiedziej Kotlinie z różnymi przedmiotami na nową rzeźbę - starymi osiami od samochodów, wyrzuconymi narzędziami, porzeczonymi żeliwnymi garnkami. Każdemu darowi towarzyszyła osobista opowieść.

Arthur i Esmé codziennie bacznie oglądali stertę złomu na pastwisku, często całymi godzinami siedzieli obok niej po turecku. Quentin patrzył na ten galimatias z rosnącym zaniepokojeniem.

Kiedy analizował rzeźbę swojego ojca, to oczywiście widział, że jej kościec został zrobiony z tuzina różnych odpadów. Niemniej każdy kawałek został przycięty, uformowany i obrobiony w sposób jedyny w swoim rodzaju - stanowił ekstrakt swojej oryginalnej formy.

„Jak papa to wszystko dopasowywał do siebie, żeby powstało coś tak logicznie powiązanego?"

Rozkładał poszczególne kawałki zebranego złomu wokół obozowiska i Żelaznej Niedźwiedzicy. Odkładał na bok jedne, inne rozmontowywał, wybierał to i owo, kładł na odrębne sterty, po czym przerzucał na inne. Poszukiwał systemu w dziwnych kościach niczym naukowiec kontemplujący projekt jakiegoś Frankensteina albo paleontolog rysujący szkielet zwierzęcia, którego nie widziało oko współczesnego człowieka. Zarekwirował nawet któregoś dnia mojego rozbitego sedana i ściągnął go do obozowiska.

Przystąpił do robienia szkiców - stale coś rysował w grubym żółtym bloku, który nosił ze sobą wszędzie. Przyjęłam za punkt honoru wystrzeganie się jakiegokolwiek bezwstydnego zagładania mu przez ramię, gdy znalazł się w pobliżu. Rzadko przychodził do domu i na stojąco jadł to, co mu zanosilałam, mój honor więc nie był zbyt często wystawiany na próbę.

- Musimy pójść i poszukać więcej niedźwiedzich części - oznajmił Arthur. Chwycił Esme za rękę i powędrowali przez las do doktora Washingtona. Zaciekawiona udałam się za nimi godzinę później.

- Siedzą w starej skrzyni na kukurydzę i zastanawiają się nad beczką gwoździ - oznajmił mi z powagą doktor Washington, gdy staliśmy pod stodołą.

- Może Quentin zdoła zrobić jeżozwierza.

Roześmiał się. Zajrzałam do stodoły, gdzie ledwie majaczyły głowy Arthura i Esme schylonych nad górą zardzewiałych gwoździ.

- Przyjdę później i sprawdzę, co się z nimi dzieje. Jest pan bardzo dobry dla mojego brata i wysoko sobie cenię wszystko, co pan zrobił.

- Arthur poszukuje swojego miejsca w świecie bez ojca powoli, ale pewnie, tak jak Quentin i jak ty. Nic mu się nie stanie.

Miałam co do tego wątpliwości.

Nie mógł już dłużej tego odkładać. Musiał przystąpić do robienia rzeźby.

Żelazna Niedźwiedzica rzucała dziwne cienie na pastwisko przy świetle ogniska. Quentin wstał w środku nocy zlany potem. Śnił mu się ojciec z zakrwawionymi rękami. Liczył na to, że jak rozpali ognisko, to odegna wspomnienia, ale tak się nie stało. „Otaczają mnie duchy” - pomyślał, spoglądając na sterty złomu i wyrzuconych przedmiotów, otaczające kręgiem obozowisko. W świetle wysoko strzelających płomieni wszystkie zmieniały kształt. Niektóre wydawały się poruszać albo spoglądać na niego pustymi oczodołami, tak jak to zawsze robiła Żelazna Niedźwiedzica. „Na co ty czekasz? Znam cię” - mówiła. „Należysz do mnie. Dopóki będziesz znajdować siebie we mnie, zawsze będziesz moją własnością”.

Rzeźba ojca wreszcie do niego przemówiła, tak jak się tego zawsze obawiał. Zgasił ogień, pociągnął porządny łyk szkockiej whisky z butelki i resztę nocy przesiedział w nieprzeniknionych ciemnościach, ryzykując, że przyjdą po niego postrzępione widma przeszłości i przyszłości.

Obudziłam się o świcie, serce biło mi mocno. Sypiałam przez większość nocy przy

otwartym oknie, nawet przy chłodach jesieni. Spoza siatki dobiegał jakiś dźwięk, który mnie zbudził. Podbiegłam do okna i wyjrzałam. Domyślałam się, że to hałasuje Quentin.

Miałam rację.

Wykopywał na pastwisku dół na postument pod swoją rzeźbę. Rozpiął sznur, starannie wyznaczając pod betonową podstawę kwadrat o bokach trzy i pół metra. Linie przebiegały idealnie równoległe do ziemi. Przyczepił sznur z chirurgiczną precyzją do małych sosnowych palików. Obok stały głębokie metalowe taczki pożyczone z farmy, z przerzuconym ogrodowym węzłem, i szara sterta kruszywa w kostkach, czekającego na rozrobienie. W pobliżu leżała ciesielska poziomnica i ciężarek pionu. Quentin wszystko dokładnie wymierzył, bo każdy szczegół musiał być idealnie dokładny.

Narzuciłam coś na siebie, zajrzałam do pokoju brata, żeby sprawdzić, czy jest, potem zesłam na dół zrobić kawę. Wiewiórki Arthura, teraz już brązowawe nastolatki, skakały wokół mnie i wyciągały orzechy z miski na kontuarze.

Kiedy kawa była gotowa, wybiegłam na dwór, niosąc dwie filiżanki. Za mną podążały wiewiórki, które powitały na przednim podwórku Hammera nieustraszonym popiskiwaniami. Potem razem z nim pobiegły za mną przez oszronioną trawę - jak orszak niosących kawę.

- Dzień dobry! - zawołałam do Quentina. - Jak mogłabym ci pomóc? Jestem dobra w betonowaniu. Pomagałam ojcu przy budowie pierwszego postumentu, choć, szczerze mówiąc, przyjęte przez niego standardy inżynierskie nie były tak wysokie jak twoje.

- Nie możesz mi pomóc. - Nie przestał kopać. Patrzyłam na niego z troską.

- Może zrobiłbyś sobie przerwę na kawę? A potem następną na bułeczki?

- Nie. Muszę to zrobić. Nie chcę tu tłumy. Skończę wylewać beton, zanim zejda się tutaj wszyscy inni. - Uniósł głowę i zmierzył mnie złym wzrokiem. A mnie niemal zatkało.

Wyglądał mizernie. Nawet już budowanie postumentu wywołało w nim jakiś odmienny stan, otworzyło jakieś drzwi, których nie chciał nigdy otworzyć. W roztargnieniu wbił łopatę ukośnie w ziemię. Trafiła na sznur wyznaczający linię i rozcięła go na pół. Końce sznura odskoczyły do tyłu jak przestraszone kociaki. Quentin zaklął głośno i wulgarnie, co zupełnie do niego nie pasowało. Wiewiórki uciekły. Hammer skamlał. Stałam tam, oceniając tę ciemną stronę jego osobowości, i widziałam tak wielki ból, jakiego nigdy sobie nie wyobrażałam.

- Nie musisz przy tym pracować w samotności - odezwałam się. - Cokolwiek tobą powoduje, możesz mi o tym powiedzieć. Przysięgam, że nigdy nikomu tego nie powtórzę, cokolwiek mi powiesz.

- To nie twój problem.

- Och, i owszem. To wszystko ma związek z moją rodziną i jej przyszłością, podobnie jak i z twoją rodziną. I jeśli mi nie ufasz, to nie łączy nas nic. Nawet przyjaźń.

- Zatem nic nas nie łączy - odparł.

Po chwili zaskoczenia po prostu odwróciłam się i poszłam z powrotem do domu.

Dwa dni później Arthur wbiegł do kuchni. Przygotowywałam właśnie lunch.

- On zrobił łapę! - wykrzyknął. - Pierwszą łapę!

Poszłam na pastwisko. Quentin podniósł się z betonowego postumentu z palnikiem w osłoniętej rękawicą ręce. Przesunął w górę osłonę maski, odsłaniając twarz ze smugami brudu i strugami potu mimo zimna. Na postumencie stał osadzony na pręcie zbrojeniowym konglomerat metalowych kawałków w kształcie łapy.

- Jest żywa - powiedział.

Nie zaoferowałam mu pomocy, choć z każdym dniem wyglądał gorzej, a ja się martwiłam.

- Możesz dostać lunch, jeśli chcesz - oznajmiłam i zostawiłam go własnym zmartwieniom.

„Chciałeś, żeby się od ciebie odwróciła, i tak się stało” - powiedział sobie ze smętną satysfakcją. Z trudem skoncentrował znowu uwagę na składającej się z wielu elementów łapie. „Teraz może prześladować mnie, tak jak papę jego rzeźby. Zobaczymy, kto przeżyje”.

Od tego dnia Quentina pochłonęła całkowicie tajemnica samotnej pracy jego ojca. Nikt nie mógł mu pomóc i nikt nie mógł przeszkodzić. Pracował jak najbardziej metodycznie i pilnie nad nową rzeźbą - ciął metal, klepał, nadawał odpowiednią formę, dopasowywał, spawał, znowu dopasowywał. Rzeźba nabierała kształtu - prócz pazurów miała już całe łapy.

Nagle zdecydował, że żadna z nich nie wygląda tak, jak powinna. Wziął palnik i pociął je na kawałki. Niedźwiedź Dwa zniknął, pozostawiając po sobie jedynie pusty betonowy postument z paroma sterzącymi jak anteny prętami zbrojeniowymi, które czekały na osadzenie następnej wersji.

- Dokąd poszedł Niedźwiedź Dwa? - spytał zmartwiony Arthur.

- Z powrotem do nieba Żelaznej Niedźwiedzicy - podsunęła Esme.

To go bardzo zaniepokoiło. Niedźwiedź Dwa, jak go nazwał, jeszcze nie przemówił, a zatem nie wiedział, czy jest to odpowiedni przyjaciel dla Mamy Niedźwiedzicy. Za to wiedział tyle: Quentin nie dał mu nawet szansy.

Rozdział 22

Poprosiłam Lizę, żeby pomogła mi przy spisywaniu z taśm opowiadań doktora Washingtona, bo dowiedziałam się, że dzięki umiejętnościom nabytym w przeszłości potrafi pisać z szybkością trąby powietrznej. Zasyłyśmy się w domu na cały dzień i wspólnym wysiłkiem wklepywałyśmy tekst do komputera. Lubiłam mieć Lizę w swoim biurze dla towarzystwa. Zdawała sobie sprawę, że między mną a Quentinem stało się coś strasznie złego, ale się nie wtrącała. Jej ekstrawagancka blond fryzura i osobliwe stroje - tego dnia luźny biały kombinezon i różowa trykotowa koszulka - stały się dla mnie widokiem przyswojonym i kojącym.

Podczas przerwy, którą sobie zrobiłyśmy, nie mogłam jej znaleźć, posłam więc szukać na piętro. Była tak zatopiona w myślach, że mnie nie słyszała. Zajrzałam do pokoju taty. Stała przy jego łóżku z opuszczoną głową. Cofnęłam się, ale stąpnęłam na skrzypiącą deskę, i wtedy mnie usłyszała. Kiedy się obróciła, ujrzałam na jej twarzy łzy. Szybko je otarła.

- Przepraszam.

Podejrzanie, które żywiłam od miesiący, wprost uderzyło mnie w oczy.

- Sypiałas z nim? - spytałam. Kiwnęła głową.

Coś irracjonalnego zakotłowało się we mnie. „Do jasnej cholery, chciałabym tylko mieć trochę spokoju w swoim własnym domu”.

- Jak długo to trwało?

- Więcej niż dwa lata.

- Powinien był mnie w to wtajemniczyć. Miałam prawo wiedzieć. - Naprawdę to nie miałam takiego prawa, ale tak mi się powiedziało w złości i z bólu.

- Chciał to zrobić. Oboje chcieliśmy. Ale ty mnie nie znałaś ani niczego o mnie nie wiedziałaś. Tego byś nie zaakceptowała. A on sądził, że jeszcze bardziej się odsuniesz.

- To żadne tłumaczenie. - Podniosłam głos. - Mam prawo wiedzieć, kto się pieprzy z moim ojcem w łóżku mojej matki!

Twarz jej pobladła.

- Ursulo, proszę...

Ale ja już schodziłam na dół. Wybiegłam przez drzwi kuchenne, złapałam kurtkę i plecak, który czasami nosiłam podczas spacerów. Musiałam uciec od wizji mego taty z Lizą, jaka stała mi przed oczami.

Siedziałam nad Niedźwiedzim Potokiem na ziemi grubo zasłanej jesiennym listowiem, tam gdzie strużka wody sączyła się wśród odsłoniętych korzeni drzew i gładkich otoczków. Quentin odnalazł mnie tutaj i siadł obok. Trzymałam na kolanach blok, udając, że coś robię. On jednak niewątpliwie domyślił się, że tylko siedzę i płaczę.

- Wszyscy się obawiali, że pożarł cię jakiś niedźwiedź - powiedział.

- Tu od dziesięcioleci nie ma żadnych niedźwiedzi. A czarne niedźwiedzie ludzi nie pożerają.

- Obiecałem wszystkim, że jednak sprawdzę.

- Jak Liza?

- Przygnębiona. I martwi się o ciebie.

Patrzyłam na spokojny nagi las, poprzecinany jedynie kępami wiecznie zielonych wawrzynów i kilkoma wysokimi sosnami.

- Byłam okrutna. Teraz już się uspokoiłam. To był po prostu szok. Ta myśl, że ona i mój ojciec sypiali ze sobą w tym samym łóżku, w którym się urodziłam.

- Nie musisz się tłumaczyć. Jestem specjalistą od okrutnego zachowania, gdy wszystko mnie rani.

- Posłuchaj, Quentinie, nie musisz mówić...

- Nienawidziłem sposobu życia mojego ojca. Nie było go od czasu, gdy miałem osiem lat. Życie matki koncentrowało się na popieraniu jego ambicji. Nigdy nie mieliśmy pieniędzy, a kiedy on przyjeżdżał do domu, to nigdy nie przyjrzał się niczemu na tyle uważnie, żeby dostrzec, jak źle się nam powodzi.

Zrobiłam głęboki wdech.

- Ja też dorastałam w taki sposób, jedynie z tą różnicą, że mój ojciec nie opuścił domu w pogoni za swoimi marzeniami. Gonił je tu na miejscu. - Spojrzałam w dół, na papierowy blok trzymany na kolanach. - Przypuszczam, że wcale nie jestem mądrzejsza. Jeśli mowa o fantazji. Przyszłam na to miejsce, żeby naszkicować dom, którego zapewne nigdy nie zbuduję. Ale mogę go przedstawić na obrazku. - Gestem ręki pokazałam za siebie. - Tam w górze, na szczycie grzebienia, z widokiem na to miejsce.

- Mógłbym obejrzeć twoje rysunki?

- Nie śmieję się z nich. - Wręczyłam mu blok. Otworzył go, nie spiesząc się zbytnio. Studiował moje ołówkowe szkice przedstawiające ładny dom z dużymi werandami i szerokimi oknami, staromodny, swojski i ciepły.

- Dobrze by wyglądał z podmurówką z polnego kamienia, obłożony gontami - powiedział z wyraźną aprobatą. - Co to jest? - Pokazał palcem miejsce, gdzie nabazgrałam: WIDOK NA MORZE.

- Miejsce na specjalne wykuszowe okno z widokiem na ten potok. Wiesz, potok wpływa do rzeki, a rzeka do morza. Tak więc jest to widok na morze. - Czułam, że zaczyna mnie palić twarz.

- To mi się podoba. Znam idealnie do tego nadające się okno. Mam takie jedno w swoich zasobach. Pochodzi z willi nad oceanem. To wielki owal w obramowaniu z barwionego szkła od Tiffany'ego.

Zdobyłam się na śmiech.

- Myślę, że jego cena przekroczyłaby znacznie cały mój budowlany budżet.

- Stawiaj sobie ważne cele, Rose. Wpatrywałam się w niego w ciszy.

- Rose?

Wyglądał na zmieszanego.

- Moja matka zebrała wystarczająco dużo informacji, żeby intensywnie rozmyślać o tobie. Podąłem jej to imię, żeby łamała sobie nad nim głowę. Przepraszam.

- Nie szkodzi, mnie się podoba. W porządku. Spojrzał znowu na rysunki.

- Jeśli chcesz szkiców projektowych, to mogę ci je zrobić.

- Możesz?

- Jestem inżynierem budowlanym. To architektura bez splendoru.

Pewnego dnia wyjedzie do Nowego Jorku i nawet się nie obejrzy za siebie, ale oboje chcieliśmy udawać, że pozostaniemy w kontakcie.

- Zastanowię się nad twoją propozycją.

Złamał gałązkę i wysunął między palcami dwa jej końce.

- Ciągnij. Krótszy kawałek to znak, że oboje osiągniemy to, czego chcemy.

Wyciągnęłam koniec gałązki z jego palców. Uniósł swój kawałek w górę.

- Krótszy - oznajmił. - Zwyciężymy. Wyrzuciłam swoją gałązkę.

- Nigdy nie lokuj wiary w drewnie, ono butwieje.

- Lokuję swoją wiarę w tobie. Ty wiesz, co tu masz. Trzymasz raj za krótszy koniec i wiesz o tym, i jeśli nawet będziesz musiała zebrać, pożyczać, zabijać czy kraść, to nigdy go nie wypuścisz. Liza zmała dzisiaj twoją wizję domu, ale to nadal dom.

Chłodne powietrze nad potokiem, mech i resztki paproci, i przesycone spokojem jesienne tempo życia, urok Quentina, ta chwila, jego płynące z serca słowa - wszystko to nappełniło mnie nadzieją na nieznaną przyszłość.

- Czasem myślę, że tobie też się tu podoba.

Przez chwilę milczeliśmy, jego zimne srebrne oczy świdrowały mnie, ja też się w niego wpatrywałam, a twarz mi pałała.

- Wierzysz w to za nas oboje - oznajmił półgłosem. - Podoba mi się sposób, w jaki wierzysz w różne rzeczy.

- Porozmawiaj ze mną - poprosiła Liza, gdy spotkała mnie na tylnym ganku.

Powiesiłam plecak na haku wbitym w ścianę.

- Wszystko w porządku. Po prostu mnie zaskoczyłaś. Przykro mi, że uraziłam twoje uczucia.

- Nikt nie mógł zająć miejsca twojej matki. Twój ojciec to wiedział. On i ja nigdy nie rozmawialiśmy o małżeństwie. Nie roszczę sobie żadnych praw, ale ja go kochałam... i nadal Kocham... i wierzę, że on kochał mnie. Przyzwyczaiałam się myśleć o tej farmie również jako

o moim domu.

Wzięłam głęboki oddech i nic nie odpowiedziałam. Tata powinien był umieścić ją w swoim testamencie, wyraźnie sformułować swoje życzenia. Gdyby tylko ojcowie robili tak ze wszystkim, co ich dzieci powinny wiedzieć i słyszeć:

Droga Cóрко, oto wszystkie instrukcje, których zawsze zamierzałem Ci udzielić, i wszystkie rzeczy, które powinniśmy między sobą ustalić, tak byś mogła dawać sobie radę w życiu i przestać żałować, że nie rozmawialiśmy ze sobą chociaż o jeden raz więcej.

Liza przyglądała mi się zafrasowana.

- On nigdy nie wybaczył sobie tego, co się stało z twoją matką. Ja nie zajęłam jej miejsca. Ona zawsze tu była z nami. Wiedziałam to. - Usiadłam na ławce huśtawce na ganku, a Liza obok mnie. - On cię tak bardzo kochał. Rozumiał twoje uczucia.

- Nie mogłam go zmienić. Nie powinnam była próbować. Jeśli kochasz kogoś, a on się zmieni, dostosowując do twoich gustów, to co w takim razie kochałaś w nim na początku?

- To jest właśnie pytanie, prawda? - Głos się jej załamywał. - Kiedy go poznałam, wiedziałam, że znalazłam człowieka, który jest naprawdę wierny sobie. Nie było w nim fałszywej dobroci. Ani fałszywej dumy. Wierz lub nie, był to człowiek o najczystszej duszy, jakiego kiedykolwiek poznałam. Pracuję tak blisko ognia, że jestem wrażliwa, jeśli chodzi o drobne oparzenia. Mam też blizny, które tego dowodzą. - Twarz ściągnęła jej się w smutku. - Thomas był jedynym mężczyzną, jakiego znałam, który nie pozostawił mi najmniejszego brzydkiego znaku.

- Zawsze będziesz miała tutaj dom. Jestem pewna, że on tego chciał. Ja też tego chcę.

Łzy płynęły jej po policzkach. Otarła je i obróciła twarz, a ręce opuściła na kolana.

- Jestem ci winna opowieść o sobie.

- Nie, nie ma potrzeby...

- Pochodzę z Nowego Orleanu. Nie byłam tam przyzwoitą osobą. W młodości byłam rozrywkową damą i brałam narkotyki. Dwukrotnie wychodziłam za mąż, w obu wypadkach za mężczyzn bogatych, którzy źle mnie traktowali, musiałam więc od nich odejść. Z drugim mężem miałam dziecko, ale zmarło z powodu komplikacji po urodzeniu, bo byłam alkoholiczką i narkomanką. To mnie odmieniło. Zerwałam ze wszystkim. Zrezygnowałam nawet z prawdziwego nazwiska. Chciałam stać się kimś zupełnie innym.

- Jak dawno to było? - spytałam po chwili.

- Dziesięć lat temu.

- Czy mój ojciec znał całą twoją przeszłość?

- Tak. Mówiłam mu o niej. A on powiedział... - głos jej się łamał - ...powiedział, że to była tylko stara warstwa mojego życia, którą wiele lat temu zamalowałam. „To uczyniło cię taką osobą, jaką jesteś dzisiaj - powiedział. I ja kocham tę osobę”. - Zawahała się przez sekundę. - Dziękuję ci za to, że dałaś szansę mnie i innym lokatorom.

Siedziałyśmy w milczeniu przez minutę, zastanawiając się nad tym wszystkim. Ja myślałam też z nieprzyjemnym uciskiem w dołku o Quentinie. „Gdybyśmy tylko mogli pośpieszyć do ludzi, którzy są nam drodzy, i powiedzieć im, co nas w nich zdumiewa i jak bardzo się mylą, wierząc w najgorsze. Gdyby tylko zechcieli słuchać”.

- Zadowolona jesteś, że wiesz o mnie? - spytała Liza. - Czy też wolałabyś nadal się zastanawiać?

- Wiedziałam już, kim jesteś.

- Co masz na myśli? - Popatrzyła na mnie z obawą. Wstałam.

- Jesteś drugą kobietą, którą kochał mój ojciec. Nie wybierał lekkomyślnie swoich miłości. I tylko to ma znaczenie.

Uszczęśliwiony wyraz jej twarzy mówił: dziękuję ci.

Nazajutrz zapukałam do sinoróżowych drzwi Oswalda. Zaryzykowałam. Próbowałam zaufać ludziom wokół siebie, jakbym mogła w ten sposób zyskać energię i pomóc Quentinowi.

Oswald pilnował się chyba tak samo jak ja. Siedzieliśmy naprzeciwko siebie na kraciastym tapczanie pod jednym z jego obrazów - wielką nagą kobietą stojącą na polu kukurydzy. Kolby kukurydziane wyraźnie przypominały penisy. Udawałam, że tego nie zauważam.

- Mam dla pana maszynopis. - Trzymałam w rękach porządnie przepisane opowiadania doktora Washingtona. Wyjaśniłam, o czym są. - Chciałabym, żeby pan przeczytał te opowiadania i dał mi znać, czy mógłby je pan zilustrować. Proszę zacząć od kilku próbnych rysunków, żebyśmy się zorientowali, czy zdołamy wymyślić coś odpowiedniego.

Niemal go zamurowało.

- Och, do diaska, spróbuję - powiedział w końcu. O ile wiedziałam, to rysował monstra z krucyfikami, nadziewające na szpikulce nagie berbecie. Jednakże następnego dnia wręczył mi plik rysunków, na których pełne wdzięku czarne dzieciaki bawiły się w scenarii malowniczych farm z opowieści z Niedźwiedziej Kotliny doktora Washingtona. Kiedy pokazałam te wspaniałe rysunki doktorowi i wszystkim pozostałym, popatrzyliśmy na siebie zdumieni, jakby ten nowy Oswald wyłonił się niczym langusta z jakiejś kruchej skorupy.

Świat się zmieniał.

Nadszedł czas, by podzielić się sekretem z Esme - zdecydował Arthur - i przekonać się, czy ona go zaaprobuje. Pewnego ciepłego popołudnia wkrótce po Święcie Dziękczynienia siedzieli we dwoje na samym dole kotliny na wielkim pniu, kopiąc nogami sterty leżących na ziemi liści.

Na jednej z wyblakłych, ręcznie wyszywanych ściereczek mamy, ułożonej pomiędzy nimi, leżało ostatnie ciasteczko z masłem orzechowym, które piekła Liza na ich codzienne wędrówki na łono przyrody. Esme rzucała kokietyjne spojrzenia na Arthura, wiedząc, że

kiedy oboje po nie sięgną, ich ręce się spotkają.

Nagle usłyszała głośne, rytmiczne stąpanie. Spojrzała zmartwiona na Arthura.

- To moje serce tak bije dla ciebie - oznajmił z całą powagą kiepskiego aktora recytującego linijkę wiersza. Quentin poinstruował go, że kiedy nie będzie mógł wymyślić, co jej powiedzieć, ma mówić, iż jego serce bije dla niej. Podekscytowany mającym nastąpić ujawnieniem tajemnicy, wstał, niczego się nie lękając. Nie obawiał się żadnego zwierzęcia w swoich lasach ani one nie bały się jego. Wiedział z legend, kto zawsze żył w Niedźwiedziej Kotlinie.

Wysokie, wiecznie zielone wawrzyny gwałtownie zafalowały. I nagle zza zasłony gęstych krzewów wyszła duża czarna niedźwiedzica z niedźwiedziątkiem i przystanęła, wpatrując się w Arthura. Arthur wziął z drżącej ręki Esme ciasteczko, bez wahania podszedł do niedźwiedzi, przełamał je na dwie części i położył na kamieniu. Matka i jej młode żarłocznie pochłonęli ciasteczko. Niedźwiedzica ważyła dobrych kilkaset kilogramów i z łatwością mogła rozszarpać Arthura. Zamiast tego polizała mu rękę. A on poskrobał ją za uszami, po czym zrobił to samo małemu niedźwiadkowi.

Następnie wrócił na pień i usiadł obok Esme, która miała oczy szeroko rozwarte ze zdumienia.

- To jest babcia Annie i jej mały synek - wyjaśnił najspokojniej. - Odnalazła go. - Dla niego niedźwiedzie duchy i niedźwiedzie rzeczywiste to było to samo. Wszystkie należały do rodziny Powellów. - Przestraszyłaś się? - spytał Esme.

Spojrzała na niego oczami pełnymi ufności.

- Nie, jeśli ty mówisz, że wszystko jest w porządku. Piers napęliła mu duma. Usiadł na posłaniu z liści,

Esme obok niego. Objął ją i pocałował.

- W ten sposób odgania się złe Międzysie - powiedział. - Złe Międzysie dopadły Mamę Niedźwiedzicę. Nie możemy pozwolić, żeby dopadły babcię Annie i jej synka.

Esme wpatrywała się w niedźwiedzicę i małego misia.

- Co masz na myśli? Co może im się stać?

- Właściwie nie wiem. Wiem tylko, że niedźwiedziom przydarzają się złe rzeczy, gdy znajdują się w pobliżu ludzi. Żelaznym Niedźwiedzicom i żywym niedźwiedziom też. Musimy wymyślić, jak je uratować.

Gorliwie pokiwała głową.

- Ja pomogę. Pochylili głowy ku sobie.

Zatem niedźwiedzie powróciły do Niedźwiedziej Kotliny - albo też nigdy z niej nie odeszły. Przygotowywaliśmy się na najostrejszą zimę w ostatnich dziesięciu latach, przepełnioną cierpkością końca i zmian nawet bardziej niż normalne zimy. Szukałam na nocnym niebie moich imienniczek, Wielkiej i Małej Niedźwiedzicy. Konstelacje przesunęły

się na swoje miejsce i tak oto wiele ścieżek, dawno zapomnianych albo wyśnionych jedynie w najtwardszym śnie, zaczęło zbiegać się w jedną drogę.

Nadszedł grudzień. Niedźwiedź Dwa miał już cztery łapy i znowu nogi, po czym zniknął raz jeszcze. Quentin z każdym dniem robił się coraz bardziej milczący i zły, coraz bardziej sfrustrowany.

Arthur nie przestawał czuwać, przebywał w pobliżu, gdy Quentin pracował, słuchał gorliwie tego, co mówił o kobietach, życiu, o tym, jak należy spawać. Quentin skonstruował znowu nogi, potem raz jeszcze je rozmontował. To był już piąty komplet. Wszyscy byliśmy teraz rozdrażnieni - ja, Arthur, lokatorzy, a Quentin najbardziej ze wszystkich. Spadł wczesny śnieg, niewielki, zaledwie kilkucentymetrowa warstwa, ale zrobiła się z niego obrzydliwa lodowa breja. Quentin pracował bez przerwy, twarz i ręce miał popękane, w powietrzu z jego oddechu tworzyły się białe obłoczki, błotnista breja oblepiała wysokie gumki, które nosił.

Cztery łapy, cztery nogi, następnie pojawiły się zaczątki podbrzusza, jakkolwiek nic z tego ani trochę nie przypominało niedźwiedzia. Janine, kiedy któregoś dnia przyjechała zabrać Esme, patrzyła z nieszczęśliwą miną przez pole na scenę, która zaczęła wyglądać jak widowisko z jakiegoś osobliwego lunaparku. Iskry leciały, gdy Quentin kończył rozcinanie tego, co pozostało z osi mojego sedana.

- Czy on to robi po prostu po to, by udowodnić, że potrafi?

- Nie sądzę, żeby miał inną możliwość. To stało się jego obsesją.

- Ale to wciąga wszystkich innych w czarną dziurę. - Westchnęła, obserwując Esme i Arthura siedzących razem w kabinie ciężarówki Quentina. - Co oni robią?

- Esme uczy się prowadzić auto. Jeżdżą w górę i w dół po drodze gruntowej. Ktoś z nas jeździ z nimi. Ona naprawdę zrobiła duże postępy. Potrafi przerzucać biegi jak zawodowy szofer.

- Nie rozumiem, skąd się u niej bierze taka fascynacja mechanizmami, ale przypuszczam, że to nie jest niebezpieczne.

- Lepsze od bawienia się bronią.

- Och, nigdy nie damy jej żadnych naboii.

- Czyż to nie słodkie? - powiedziałam z kamiennym wyrazem twarzy.

Zmarszczyła brwi.

- Do diabła z tobą i tą twoją umową dla hodowców!

- Nie jesteś zadowolona, że została zawarta? To był sympatyczny kompromis. Przyznaj to sama.

- Przestań. Tata nie cierpi tej umowy, ale musiał ugiąć się wobec zaistniałej sytuacji.

- Jak on się czuje?

- Niezbyt dobrze. Gra dużo w golfa. A nienawidził golfa.

- Powinnaś znaleźć mu jakiś inny sposób na zabicie czasu.

Odwróciła się ku mnie zirytowana.

- Nie udzielaj mi żadnych rad w sprawach mojej rodziny czy mojego przedsiębiorstwa. Karmiono mnie pochwałami na twój temat od czasu, gdy byliśmy małymi dziewczynkami, a kiedy umarła mama, tata stał się twoim największym entuzjastą. Matka była snobką, prawda? On dla niej był tylko bogatym małomiasteczkowym zerem i zachowywała się zawsze tak, jakby popełniła mezalians. Tata ją uwielbiał, a mama zadrezczała go pretensjami o mnóstwo rzeczy... między innymi o jego związki z twoją rodziną. On chce zrekompensować ci to, że przez wszystkie te lata utrzymywał waszą rodzinę poza obrębem naszego kręgu towarzyskiego. Ale wiesz co? Gównu mnie to obchodzi!

- To samo ze mną, kuzynko. Ale słuchaj, powinniśmy umieć naprawić jakoś nasze płoty i skierować twego tatę z powrotem na dawne tory.

- Postaram się o to na swój sposób.

Pomaszerowała do wojskowej ciężarówki, otworzyła drzwiczki szoferki i spojrzała na Esme.

- Halo, halo! - zawołała w przesadny sposób, jakby była szoferem wielkiej ciężarówki i mówiła przez CB radio. - Czy to moja kuzynka Esme siedzi za kółkiem tego wielkiego wozu? Nie chce mi się wierzyć. Koniec.

Esme mrugała powiekami w zażenowaniu.

- Potrafię prowadzić tę ciężarówkę wszędzie - oznajmiła potem radośnie. - Zdziwiłabyś się.

Uśmiechali się oboje z Arthurem.

Pewnego wieczoru tuż przed Bożym Narodzeniem zaraz po zachodzie słońca zaczęłam wieszać w oknach pokoju dziennego starodawne świąteczne łańcuchy. Bolały mnie ramiona od układania na tylnym ganku trzymetrowego stosu drewna do kominka. Zamówiłam więcej propanu do grzejników pokojowych i powyciągałam wszystkie kołdry. Dom przepełniał zapach kukurydzianego chleba piekącego się w piecyku. W naczyniu na kuchence gotowała się kapusta, a obok w rondlu dusiły się jabłka. Patelnia do omletów wisiała na kołku kuchennym obok żelaznej brytfanny mojej babki. Liza nakrywała do kolacji. Starałam się ochronić swoje gniazdo nie tylko przed zimą, lecz także przed jakimś niewidzialnym zagrożeniem, które prześladowało mnie w myślach.

- Chodź szybko! - zawołał Arthur. Oczy miał przerażone, gdy wpadł do domu. - Quentin bije swojego niedźwiedzia!

Liza i ja wybiegłyśmy na dwór. Quentin uderzał młotem kowalskim w na wpół dokończoną rzeźbę. W szarzącym świetle widać było, że w powietrzu latają małe kawałki metalu, ale większe segmenty przyspawane były zbyt mocno. Nie mógł rozbić czegoś, co zbudował tak, by oparło się wszystkiemu, prócz jego własnej frustracji. Wyglądał dziko i był rozwścieczony.

- Przestań - rozkazałam. - Powiedziałam: przestań!

Ustał, słaniając się na nogach jak bity bokser. Zlany był potem, aż buchala od niego para w zimnym powietrzu. Długi młot zwisał mu z rąk.

- Zaczynam od nowa. Nie wtrącaj się w moje sprawy. Arthur zaczął płakać.

- Zabijasz go. Zabijasz. A ja go lubiłem. Miał dobre nogi.

Objęłam brata.

- On go nie zabija. Porozmawiam z nim i wszystko będzie dobrze. Idź do domu z Liza, dobrze? Lizo, zaprowadź go do domu i zrób mu kolację. Nie pozwól, żeby tu wrócił dzisiejszego wieczoru.

- Chodź, kochanie - powiedziała Liza i zabrała Arthura. Pobiegłam do Quentina i wyciągnęłam obie ręce.

- Daj mi ten młot.

- Ten i tak nie działa. Zostaw mnie w spokoju, a rozbiję tę rzeźbę tak jak poprzednie.

- Nie masz żadnej perspektywy. Ta rzeźba jest dobra. To ty jesteś rozbity. - Wsunęłam ręce pomiędzy jego dłonie i chwyciłam długą rączkę młota. - Proszę cię, żebyś się uspokoił i omówił to wszystko ze mną. Proszę.

Ramiona mu opadły. Odrzucił na bok ciężki młot, po czym zmęczony przysiadł na betonowym postumencie. Przykucnęłam przed nim i ścisnęłam w swoich rękach jego zabrudzone i pełne pęcherzy dłonie.

- Doprowadzisz się do choroby przez tę rzeźbę. Wychudłeś. Nie śpisz jak należy, nie jesz jak należy, na rękach masz pełno niezagojonych pęcherzy od spawania. Wyglądasz okropnie i od tygodni nie widziałam, żebyś się uśmiechnął.

Oczy miał zmęczone, usta lekko skrzywione.

- Próbujesz polechtać moją próżność?

- Żałuję, że w ogóle zgodziłam się na ten pomysł. On cię niszczy.

- Jeszcze przez tę przekłętą rzeźbę nie zginąłem. Na razie.

- Nie mów tak! - podniosłam głos. Patrzyłam na niego, nagle coś zrozumiał. - Ty chcesz, żeby ci zaszkodziła. Dlaczego? Co według ciebie zrobiłeś swojemu ojcu, żeby zasłużyć na taki los? Co się z tobą dzieje?

- Z każdym dniem pamiętam lepiej swojego ojca. - Mówił wolno, z wysiłkiem. - Każdy cholerny dzień tutaj w tym zimnie, każdy bąbel od oparzenia, każda kropla potu... przybliżają mi go coraz bardziej. Przypominają, co mówił, co robił, gdy odwiedzałem go w tym magazynie. Jak uczył mnie grać w karty, tłumaczył, co trzeba mówić dziewczętom, uczył zasad honoru i dyscypliny wewnętrznej, pokazywał, jak być takim, jakim jego zdaniem powinien być mężczyzna.

- To dobrze. To są wspaniałe wspomnienia. Potrząsnął głową.

- Pamiętam również, jak pewnego upalnego dnia zlany potem siedział przy

wentylatorze z głową w dłoniach. Na rękach miał pełno nacięć i pęcherzy. I siedział tam, jakby zabrakło mu energii, żeby się poruszyć. To nie była tylko kwestia fizycznego wyczerpania, ale jego serca, jego duszy.

Mówiąc to, opisywał też siebie z ostatnich czasów.

- Nie zdawałeś sobie nigdy sprawy z tego, jak bardzo wyczerpywała go ta praca?

- Nie do tego stopnia jak teraz, gdy się o tym przekonałem, próbując go naśladować. - Przejechał dłonią po włosach i wtedy ujrzałam wypaloną pręgę na skraju jego czoła. Na dłoniach i całych rękach też miał liczne pręgi i zadrapania.

- Zaraz wracam - zapowiedziałam. Pobiełam do domu i wróciłam z bańką balsamu. - Potrzebna ci maść na wymiona.

Spojrzał na mnie, potem zaśmiał się ponuro.

- Ty myślisz, że ona goi wszystko.

- To na początek. - Wzięłam jego rękę, jedną po drugiej, i wmasowałam w nie gęste smarowidło. Udawałam, że studiuje jego dłoń.

- Potrafisz wróżyć z ręki? Co tam widzisz? - spytał kwaśnym tonem niedowiarka. Ja też nie wierzyłam w takie wróżby, ale skorzystałam z okazji, żeby wbić mu szpilkę.

- Strach przed odpowiedzialnością. Strach przed angażowaniem się. Strach przed sypianiem do końca życia tylko z jedną kobietą. Zwykle rzeczy.

- Nie. - Obrócił dłoń, chwycił moją rękę i spokojnie popatrzył mi w oczy. - Strach przed śmiercią - skorygował.

Upłynęła chwila w milczeniu.

- Powiedz mi, dlaczego - powiedziałam w końcu.

- Mężczyźni w mojej rodzinie umierają młodo. Zawsze tak było. Ginęli na wojnach albo w pracy... - Zawahał się, jego usta nabrały cynicznego wyrazu. - Być może Ricconi życzą sobie śmierci. Mój ojciec oszczędził sobie kłopotu z zastanawianiem się, jak umrze. Trzeba docenić to, że zajął się tym sam.

Popatrzyłam na niego.

- Gdybym wierzyła... - Musiałam przerwać i pozbyć się ucisku w gardle, a potem powiedziałam głośno: - Muszę wierzyć, że istnieje szansa na zmianę tradycji rodzinnej czy fatum, czy głupiego złego losu, czy błędnego sądu, jakkolwiek zechcesz to nazwać. Ja zamierzam zmienić przyszłość mojej rodziny. A ty zmienisz swoją.

- Dopóki pracuję nad tą rzeźbą, mam szansę zrozumieć, kim był mój ojciec. Za każdym razem rozbijam rzeźbę i zaczynam ją od nowa, ponieważ nadal tego nie wiem.

- Może nigdy nie zrozumiesz, dlaczego on się zabił. Uniósł głowę. Jego wzrok przepalał mnie na wskroś.

- Mylisz się. - Wahał się. Tajemnicy, którą nosił w sobie od osiemnastego roku życia, nikt dotąd z niego nie wyciągnął. „Ona zasługuje na to, by wiedzieć, kim jestem” - pomyślał.

- Złamałem mu serce. To ja go zabiłem.

Znieruchomiałam.

- Powiedz mi, jak.

Z jego ust popłynęła opowieść. O kobiecie, która stała się drapieżną mentorką jego ojca. O cudzołóstwie ojca. O niezapłaconych rachunkach, borykaniu się, kradzionych samochodach. O tym, jak wszystko to doprowadziło do tamtej konfrontacji na cmentarzu, do brutalnego ujawnienia utraty wiary u syna i do tragedii ojca. Skończył mówić i siedział ze zwieszoną głową. Odczułam ulgę. Mogłam zrozumieć jego winę. Mogłam mu pomóc.

Ujęłam twarz Quentina w swoje dłonie i uniosłam do góry.

- Tyle razy płaczę z powodu ojca. Cierpię na myśl o tych wszystkich rzeczach, których nigdy nie będę mu mogła powiedzieć. Liczę się z tym, że jeszcze przez wiele lat będę cierpieć. Podobnie było z moją matką. Nawet teraz, a upłynęło już ponad dwadzieścia lat, czasami podnoszę słuchawkę telefonu w kuchni i myślę: „Powinnam była zadzwonić po doktora”. To coś, z czym będę musiała żyć. Pytałam kiedyś o to panią doktor L-J, a ona mi na to rzekła: „Kto ci powiedział, że będziesz iść przez życie bez żadnych pytań bez odpowiedzi i bez żadnych żalów? Połowiczną odpowiedzią jest nauczyć się żyć z pytaniami”. Starasz się ze wszystkich sił, Quentinie, robisz błędy, uczysz się, stajesz się silniejszy niż przedtem, nie popełnisz więc znowu tego samego błędu. Sęk w tym, iż dorastając, obiecujemy sobie, że nigdy nie popełnimy błędów naszych rodziców, a potem przekonujemy się, że popełniamy całą kupę naszych własnych błędów. Nikt nas przed tym nie ostrzegł.

Potrząsnął głową.

- Mam wobec niego dług.

- On wobec ciebie też. Nie chodzi o to, kto popełnia błędy, tylko o to, kto rani tego drugiego. Tak po prostu się stało.

- Nie mogłem przyznać się do tego matce. Nigdy jej nie mówiłem, co mi powiedziałem. I nie chcę, żeby wiedziała o tamtej kobiecie. Ale z tej przyczyny ona nie może pojąć, dlaczego nie wielbię ojca tak jak ona. Ta tajemnica niczym mur oddziela nas od siebie, od czasów, gdy byłem chłopcem.

- Musisz jej tylko powiedzieć, że wielbisz swojego ojca. Bo to prawda. - Dojrzałam sprzeciw w jego oczach. Dodałam więc czym prędzej: - Wszystko, co tutaj robisz, robisz dla niego.

- Nie - oznajmił ze spokojem. - Dla ciebie.

Pocałowałam go. Było to szybkie i łatwe - lekko dotknęłam wargami jego ust i odsunęłam się. Przymknął oczy, potem wolno je otworzył, delektując się mną. Nie dostrzegłam niczego, co by zapowiadało, że jedno wypowiedziane przeze mnie słowo zmieni jego uczucia, ale pocałowałam go znowu.

- Nie masz racji - szepnęłam. - Podoba mi się jednak to, że w to wierzysz.

Wstaliśmy. Przy świetle wschodzącego księżycy Żelazna Niedźwiedzica i jej zmalretowany, na wpół ukończony towarzysz rzucali tajemnicze cienie, a ich kształty wydawały się tak niezgłębione jak przeznaczenie, które zetknęło nas dwoje ze sobą. Istniała tylko jedna droga do tego, żeby Ricconi i Powellowie spotkali się kiedykolwiek na tym świecie, i staliśmy przed nią. Nasza przyszłość miała się ułożyć pomyślnie albo zakończyć. Tej nocy nie mogliśmy wiedzieć, co się stanie.

Padliśmy sobie w ramiona i po chwili razem udaliśmy się do namiotu. Quentin rozpałił ogień w pękatym piecyku. Ja ściągnęłam z jego łóżka narzuty. Nadciągała noc, miało być zimno, ale nie między nami. Podszedł do mnie. Położyłam mu ręce na ramiona, jego ręce znalazły się na mojej talii, po czym sunęły w dół po moim ciele. Nie rozwiązałam jego dylematu, otworzyłam jedynie drzwi do odpowiedzi, które mogły nigdy nie nadejść. Wiedziałam o tym.

- Spraw, żeby łatwiej było zapomnieć - polecił przyciszonym głosem.

- Ty zrób to samo dla mnie - szepnęłam.

Kochaliśmy się jak złodzieje - rozkosz stała się swego rodzaju kradzionym dobrem. Położył się na mnie, potem ja na nim, nasze ręce się splotły, nasze oddechy były gwałtowne i słodkie, niekiedy zapadała intensywna cisza, a kiedy indziej rozlegały się szeptane polecenia i komplementy. Przez całą tę burzliwą noc łatwo było zapomnieć o trudnych decyzjach.

Druga rzeźba nigdy nie zostanie dokończona. Nie pozwolę Quentinowi więcej próbować. Nie wiedziałam, co powiem Arthurowi ani jak on zareaguje.

W czasie całej tej nocy wiedziałam tylko, że kocham Quentina Ricconiego i będę go kochać zawsze, nawet wówczas, gdy mnie opuści.

Rozdział 23

Niedźwiedzica i niedźwiadek jakoś porozumiały się z Arthurem, który im mówił, że najwyższy czas, by przeniosły się w miejsce, gdzie będą bezpieczne. Udręka Quentina i to, że użył siły wobec drugiej rzeźby, utwierdziły go w tym przekonaniu. Nie było tu miejsca dla niedźwiedzi.

I tak przy świetle księżyca przez ten krótki czas, gdy spaliśmy z Quentinem przy trzaskającym ogniu w piecyku, okutani kołdrami po uszy jak w kokonie tłumiącym wszystkie dźwięki, Arthur zwabił niedźwiedzicę i jej młode do nakrytej budą wojskowej ciężarówki Quentina. Wkrótce nadjechała drogą gruntową Esme w wózku golfowym wyposażonym w maleńkie jak w zabawce reflektorki. Ucałowała Arthura, po czym z plecakiem, do którego zapakowała broń i paczkę ciasteczek, wdrapała się, cała drżąc, na siedzenie kierowcy. Arthur siadł obok niej i uścisnął jej rękę.

- To daleka droga - powiedział. Z trudnością przełknęła ślinę.

- Ale nic nam się nie stanie. I niedźwiedziom też. A jak to zrobimy, wszyscy będą wiedzieć, że ty jesteś mężczyzną, a ja kobietą. Że nie jesteśmy debilami.

Ruszyli bardzo wolno, wywożąc z Niedźwiedziej Kotliny swój drogocenny ładunek.

Quentin wydawał się nie tym samym człowiekiem. Wiedział to, choć zmiana okazała się zbyt świeża, by zdołał ją zanalizować. Fundamenty zostały położone, trzeba było tylko więcej czasu, żeby stwardniały i uzyskały pełną moc. Był głęboko skupiony i nieoczekiwanie zyskał wycucie odpowiedniej struktury. „Chciałbym tak budzić się każdego ranka” - pomyślał. „Z nią”.

- Powinam pójść do domu, zanim wstanie Arthur - szepnęłam. Byłam już na pół ubrana, kiedy Quentin poruszył się i otworzył oczy. Świt zaczynał się sączyć przez płótno namiotu przepuszczające światło. - Jeśli pójdę tam teraz, nie zorientuje się, że spędziłam całą noc z tobą. Przyjdź do domu za jakiś czas. Zjesz z nami śniadanie. Dobrze?

Usiadł, eksponując znaczną część klatki piersiowej, zarośniętej ciemnymi włosami, i brzucha. Widokowi temu trudno było się oprzeć. Wysunęłam rękę, on ją uchwycił i pociągnął mnie do siebie.

- Wchodź z powrotem do łóżka i daj mi jeszcze pół godzinki - powiedział tym ochryłym, uwodzicielskim głosem, jaki miewają mężczyźni, kiedy są rozespiani i podnieceni.

Siostrzane obowiązki walczyły we mnie z kobiecym pożądaniem. Zwyciężyło i jedno, i drugie. Rozpinałam flanelową koszulę, patrząc, jak Quentin przygląda się ruchom moich palców.

- Daj mi kwadrans - odparłam uwodzicielskim głosem - i postaraj się, żeby upłynął tak przyjemnie jak pół godziny.

Kiedy w końcu poszłam do domu, znalazłam na stole w kuchni dwie rzeczy, które pozostawił tam specjalnie Arthur w charakterze wiadomości. Jedną z nich była fotografia z czasopisma z kilkoma czarnymi niedźwiedziami, a drugą *Cudowna podróż*. Leżała otwarta na stole, tak jak ją zostawił na początku roku w Atlancie.

Pobiegłam na górę, żeby się upewnić, czy Arthur leży w łóżku, potem z gorzkim smakiem w ustach otworzyłam okno w jego sypialni i zaczęłam wołać Quentina, lokatorów, cały świat, by przyszedli mi pomóc go znaleźć, zanim znów stanie się coś strasznego.

- Ślady niedźwiedzia. Wielki niedźwiedź. Mały niedźwiedź. Przypuszczam, że to mama i młode. - Tropiciele szeryfa przykucnęli nad śladami łap, które prowadziły na gruntową drogę i zniknęły za odcisniętymi śladami tylnych kół ciężarówki. - Arthur zaprowadził niedźwiedzie tutaj i jakoś wsadził je do ciężarówki.

- Potem Esme odjechała stąd z ciężarówką pełną niedźwiedzi - powiedziała głośno i z rosnącym przerażeniem Janine.

Zastępcy szeryfa, strażnicy leśni, Tiberowie i sąsiedzi tłoczyli się wokół nas na drodze. Pan John, odkrywca, że Esme zniknęła w środku nocy, dostał bólu w klatce piersiowej i zemdlął. Odwieziono go do szpitala. Janine wyglądała tak, jakby za chwilę miała eksplodować. Odwróciła się w moją stronę.

- Moja kuzynka jest gdzieś w tutejszych górach i jedzie po drodze publicznej czterotonową ciężarówką, w której są niedźwiedzie.

Popatrzyłam na nią ze znużeniem.

- Quentin i ja przeszukaliśmy główne drogi prowadzące na północ natychmiast po zawiadomieniu szeryfa. Esme i Arthur jak dotąd nie wpadli w żadne kłopoty. Jestem pewna, że jadą ostrożnie, i chodzi tylko o to, by ich wytropić.

- Dlaczego myślisz, że pojechali na północ?

- Arthur zabrał te niedźwiedzie na wyższy teren. To jedyny kierunek, w którym mogli pojechać.

- Ale ty nie masz pojęcia, kiedy oni wyjechali. Mogą już teraz być w połowie drogi do Wirginii! Albo na dnie jakiegoś wąwozu, i, jak dotąd, nikt nie zauważył wraku!

Pod wpływem takiej wizji, której starałam się unikać, ugięły się przede mną kolana i krew odpłynęła mi z mózgu. Quentin chwycił mnie za łokieć i wyprowadził z tłumu.

- Szeryf organizuje własne poszukiwania. Poprosił już o pomoc inne okręgi. Nie możemy tutaj nic więcej zrobić. Musimy znowu wyruszyć na drogę i szukać na własną rękę.

- Nie mam pojęcia, Quentinie, gdzie on zabrał te niedźwiedzie.

- Jakoś to wykombinujemy. Twój brat postępuje metodycznie. On ma swoje własne sposoby, Esme też. Chodź.

Wsiedliśmy do pikapu taty.

- Jedziemy szukać Arthura! - zawołałam do Lizy przez otwarte okno od strony

pasażera.

Podbiegła do nas.

- Jak?

Potrząsnęłam głową.

- Sposobem.

W ciągu kilku godzin przejechaliśmy wzdłuż dwóch głównych tras przecinających dzikie góry między Tiberville a Karoliną Północną, ale nie zauważyliśmy ani śladu wojskowej ciężarówki.

- Esme nigdy nie jechałaby główną szosą ani szosą międzystanową - powiedział Quentin. - Nie jest taka odważna. - Skręcił na parking pod całodobowym sklepem spożywczym i napełnił bak pikapu benzyną. Wysiadłam.

Oparłam się o maskę samochodu i studiowałam rozłożoną na niej mapę gór, popijając jednocześnie z pudełka mleko, do czego zmusił mnie Quentin. On też pochylił się nad mapą i zaczął jeździć końcami palców po trasach. Mrużył oczy, starając się skoncentrować. „Jak rozumuje Arthur? Co scala w jedną całość jego świat? Co łączy według niego przestrzenie?”

Uderzyłam pięścią w mapę.

- Za dużo polnych dróg prowadzi w te góry. Odsunął na bok moją rękę i umieścił palec na Tiberville.

- Pomóż mi znaleźć na tej mapie Niedźwiedzią Kotlinę. Czy w ogóle jest tu zaznaczona?

- Nie, ale mam mapę hrabstwa, a tam jest. - Wyjęłam mapę spod siedzenia w pikapie i rozłożyłam na masce. Quentin pochylił się nad nią, wyjął z kieszeni spodni swój nóż, wysunął ostrze i używał go jako wskazówki.

- Ta niebieska linia to potok?

- Tak. Dlaczego?

- Wszystkie znaki rozpoznawcze, jakie ustalił sobie Arthur, kierowały go do tego potoku. Pokazał mi swoją metodę, gdy łaziliśmy po lesie. Dlatego nigdy nie zabłąkał się na terenie farmy. Mógł zgubić się wszędzie indziej, ale nie tam. Posługiwał się tym potokiem jak kompasem.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi.

Pociągnął palcem wzdłuż krętej linii na północ na sam koniec mapy.

- Niedźwiedzi Potok nie ma źródła w hrabstwie Tiber?

- Nie, wypływa ze źródła w... - Zamilkłam i zaczęłam się zastanawiać. Serce biło mi gwałtownie. Odsunęłam mapę hrabstwa na bok i gorączkowo przeglądałam tę większą. W końcu wykrzyknęłam i umieściłam palec w punkcie odległym od miejsca, w którym się znajdowaliśmy. - Ze źródła wysoko w Ridge Mountains. - Spojrzałam na Quentina. - I Arthur już tam kiedyś był.

Pocałował mnie w czoło.

- To są właśnie sposoby. Jedziemy.

- Taak, zauważyłem wielką wojskową ciężarówkę w lesie, kiedy dziś rano tu przyjechałem - powiedział nam siwy właściciel Ridge Mountain Grocery. Mówił przez walek tytoniu do zucia, taszcząc na ladę pudło z płytami kompaktowymi. Jego laptop stał na starej beczce z wciąż widocznym na boku napisem: „Kasza kukurydziana firmy »Lula Stone Ground«", a na jego ekranie widniał krwawy fragment jakiejś gry wideo z czasów średniowiecza. - Zamierzałem dać znać policji, żeby ją skontrolowała - dodał, sortując swoje CD-ROM-y - ale nie miałem jeszcze czasu. Człowiek jest zbyt zajęty grą Poszukiwanie Smoka z siecią old bojów w Kanadzie.

Powiedzieliśmy mu, że ciężarówka należy do Quentina i że potem po nią wrócimy.

- Myślałem, że to jakieś manewry wojskowe! - zawołał za nami, gdy wychodziliśmy. - Bo wojsko przywozi tu na szkolenia komandosów. - Zaśmiał się rubasznie. - Dostałem ich harmonogram od kumpla z Florydy, który zerknął na pocztę elektroniczną komendanta obozu.

Wskazałam wąski, pełen kolein szlak prowadzący z boczem góry.

- Jedź po śladach tego dżipa - powiedziałam Quentinowi. Skierował stary, opierający się pikap taty na drogę, która pozostawiła w tyle bruk i zrezygnowała z roszczenia sobie pretensji do miana normalnego traktu podróznego. Wspięliśmy się na płaskowyż i tam droga zanikła. Dokoła nas był tylko las. Jelenia ścieżka nie szersza od naszych ramion prowadziła wzdłuż grzbietu gór.

- Dalej już jechać nie da rady. Teraz czeka nas mniej więcej trzykilometrowa wędrówka na wschód do źródła. Zabierze nam to ze dwie godziny z okładem.

- No to chodźmy.

Ruszyliśmy na wschód. Grudniowy dzień był zimny i pogodny, temperatura, jak wskazywał termometr na zewnętrznej ścianie sklepu, nie przekraczała siedmiu stopni. Znajdowaliśmy się też na jednym z najwyższych łańcuchów górskich w stanie Georgia i kiedy przechodziliśmy przez odsłonięte grzbiety, smagał nas ostry wiatr. Oboje mieliśmy grube kurtki i rękawice, ale ja musiałam zakrywać sobie uszy rękami. Roztaczające się stąd widoki ostro kontrastowały z naszym ponurym nastrojem i pośpiechem, tak pełne były pogody i oszałamiającego piękna. Góry zapadały w sen zimowy pod opończą szarych i wiecznie zielonych porostów.

Ranek minął i słońce wędrowało ku zachodowi, gdy dotarliśmy do głębokiej doliny górskiej, którą dobrze pamiętałam. Na środku pomiędzy rozrzuconymi otoczkami bulgotało źródło osłonięte baldachimem z pięknych, wysokich, zielonych jodeł. Powietrze tu było wilgotne, czyste i zimne. Gdy szliśmy, paprocie, osłonięte przed mrozem, delikatnie smagały nas po nogach. Dolinę ze wszystkich stron otaczały strome górskie pasma, jakby była

centralną sceną jakiegoś teatru. Było to idealne miejsce dla elfów i niedźwiedzi.

Arthur i Esme zeskoczyli ze skały i biegli do nas uśmiechnięci. Niedźwiedzica podążała za nimi razem ze swoim młodym.

- Dlaczego to zrobiliście? - spytałam, gdy zarzucili nam ramiona na szyje.

- Chcieliśmy pokazać ludziom, że potrafimy zrobić coś pożytecznego - wyjaśniała Esme. - Ja prowadziłam i odczytywałam mapę, a Arthur zapamiętał, jak znaleźć szlak prowadzący tutaj!

Zdumiewające było to, że mój brat, choć wypuścił się na taką wyprawę, wyglądał na rozluźnionego, a przecież znajdował się tak daleko od domu.

- Jestem człowiekiem światowym - oznajmił. Po czym z radością, którą znają jedynie łazęgi, dodał z ręką na sercu: - Nigdy już się nie zgubię.

Poczułam dreszcz dumy i podniecenia. „Babcia Annie znalazła w końcu swojego synka i sprowadziła go do domu. Po tylu latach”.

Siedzieliśmy we czwórkę na skale obok źródła, obserwując niedźwiedzicę i jej młode. Arthur westchnął.

- Babcia Annie będzie dalej żyć tutaj przy Niedźwiedzim Potoku. To jej dom. I będzie bezpieczna, bo nie zagrażą jej złe Międzysie.

- Bracie Arthurze, wiem, że wczoraj cię przestraszyłem - odezwał się Quentin.

Arthur popatrzył na niego smutno.

- Budujesz niedźwiedzicę i nawet go nie lubisz. Ale nie wolno ci go zabić.

- Wiem. Może nie powinienem zbudować towarzysza dla twojej Mamy Niedźwiedzicy

- Może i nie. - Arthur umilkł, wargi mu drżały. Chwycił rękę Esme i ścisnął ją kurczowo, szukając u niej wsparcia. - Potrafię żyć bez Mamy Niedźwiedzicy, jeśli musi jechać do Nowego Jorku.

No i już. Po tym wszystkim, co przeszliśmy, siedział dumnie u źródła Niedźwiedziego Potoku, uratowawszy na własną rękę nasze niedźwiedzie dziedzictwo, i kładł kres miesiącom niepewności. Teraz Quentin mógł wyjechać, kupić Żelazną Niedźwiedzicę i zabrać ją do Nowego Jorku. I nigdy nie wrócić. Zmroziło mnie to wewnątrz i nie mogłam się zmusić, żeby spojrzeć Quentinowi w twarz.

- Czy jestem nadal Bratem Niedźwiedzim? - spytał cicho Quentin.

Arthur kiwnął głową.

- Zawsze będziesz Bratem Niedźwiedzim. Niedźwiedzica z niedźwiadkiem położyły się na dole koło źródła.

- To dobre miejsce dla niedźwiedzi, prawda? - odezwała się Esme.

Opanowałam się na tyle, aby tak się zachowywać, jak gdyby to najdziwniejsze zwycięstwo nie miało smaku porażki.

- Będzie im tu dobrze. Mają tu mnóstwo wody, mnóstwo dębów z żołędziami i łąki

pełne jeżyn. W pobliżu są też jaskinie.

Arthur popatrywał na nie ze smutkiem.

- Chciałbym, żebyśmy mogli je odwiedzać.

- Nie musisz tego robić. Babcia Annie będzie nas już zawsze pilnować. Tata tak mówił i miał rację.

W oczach zakręciły mu się łzy, ale pokiwał głową.

- I gdy jest się samotnym, łatwo wzdłuż potoku trafić do domu.

W przejmującej ciszy, która potem zapadła, Quentin popatrzył na mnie.

- To jest to, co powinniśmy czasami robić - powiedział. - Po prostu wracać do domu. -

Nie miałam pojęcia, o co mu chodzi. Umierałam w głębi duszy. Quentin objął ramieniem Arthura.

- Wracajmy do pozostałych na świecie, zanim dojdą do wniosku, że wszyscy się zgubiliśmy.

Esme potrząsnęła głową.

- Próbowaliśmy odejść, ale niedźwiedzie nam nie dały. Arthur gorliwie potakiwał.

- One wciąż za nami idą! Próbowiałem przez dłuższy czas przekonywać je, by tego nie robiły, ale jak dotąd nie rozumieją, że ich dom teraz jest tutaj.

- Mówiłam im, że zjadły już wszystkie ciasteczka z mojego plecaka - dodała Esme. - I nawet położyłam go tam, na szczycie tej wysokiej skały, żeby przestały o nich myśleć. - Pisnęła, bo niedźwiadek nagle wgramolił się na tę skałę i zmierzał prosto do jej plecaka. A potem spadł z hukiem na ziemię, ale plecaka z łap nie wypuścił, i zaczął ogryzać jakiś duży przedmiot, który znajdował się w środku. - To moja broń! - wykrzyknęła Esme. - On może się zranić!

- Nie jest nabita - uspokajałam.

- Owszem, jest! Nie sądziłam, żebym musiała do kogoś strzelać. Ale pomyślałam, że może mi się przydać kilka kulek.

- Chryste Panie - powiedział Quentin. Niedźwiadek leżał na skale dokładnie na wprost nas. Mocował się z plecakiem i ogryzał naładowany rewolwer. Quentin wolno się podniósł. - Wstańcie wszyscy, tylko nie przestraszcie niedźwiadka i usuńcie się poza linię strzału.

Podciągnęłam Esme na nogi, Quentin tymczasem poganiał Arthura.

- Biegnij tam - powiedział, pokazując mu, gdzie. Arthur złapał za rękę Esme i pobiegli. Quentin odwrócił się w moją stronę, świadomie stając między mną a niedźwiadkiem, i zamierzał chwycić mnie za rękę. Za późno. Los, przeznaczenie czy po prostu fatum wpisane w nasze wspólne dziedzictwo dopadło nas w końcu.

W tym momencie niedźwiadek zatopił zęby w broń, a ta wypaliła.

Quentin zachwiał się, ale nie upadł. Usłyszałam świst kuli koło mojego lewego ramienia i zobaczyłam, że prawa strona kurtki Quentina uniosła się, jakby jakaś ręka uderzyła

w nią od środka.

Esme krzyknęła. Ona i Arthur klapnęli na ziemię i trzymali się jedno drugiego. Quentin i ja wymieniliśmy spojrzenia pełne niedowierzania i oszołomienia. Początkowo jego mina wyrażała zdumienie. „A więc tak to się miało stać”. Sięgnął pod bluzę i wyciągnął rękę uwalaną krwią.

- Powiniennem być wiedzieć, że zostanę postrzelony przez jakiegoś niedźwiedzia - powiedział.

Rzuciłam się na niego, rozchyliłam mu kurtkę i wydałam zduszony okrzyk, widząc dziurę i flanelową koszulę zakrwawioną poniżej żeber. Kula trafiła go w plecy i przeszła na wylot.

- Siadaj - rozkazałam i przeraziłam się, gdy zrobił to bez protestów, bo ugiął się pod nim kolana.

Objęłam go ramieniem, nie chcąc, żeby upadł. Razem osunęliśmy się na ziemię. W głowie miałam pustkę, kołatała mi się jedynie myśl: „Uciśnij ranę” - dobra rada zapamiętana z wszystkich powieści o strzelaninach, jakie czytałam. Rozpięłam mu koszulę i zaniemówiłam na widok niewielkiej pulsującej rany w prawym boku. Na plecach też zobaczyłam krew i kiedy tam popatrzyłam, znalazłam po prawej stronie ranę wlotową. Przypominała dziurkę wyborowaną w metalu. Nachyliłam się nad nim i przycisnęłam mocno dłonie do obu ran.

Przymknął oczy. Odczuwał ból. Arthur podpełzł do nas. W oczach miał śmiertelne przerażenie.

- Bracie Niedźwiedziu - szepnął. Z tyłu jęczała i szlochała Esme. Quentin spojrzął na niego groźnie.

- Bracie Arthurze! Wstań z klęczek. Wstań. Nie zapominaj tego, czego cię uczyłem. Musisz być mężczyzną, pamiętasz? - Arthur chwiejnie stanął na nogach. Trząsł się i patrzył na mnie mętym wzrokiem.

- Wracaj do sklepu, gdzie zostawiliście ciężarówkę - powiedziałam. - Idź najszybciej, jak potrafisz, ale nie zapomnij trzymać się szlaku. Nie zgub się. Powiedz właścicielowi sklepu, że potrzebujemy pomocy, i pokaż mu na mapie, gdzie jesteśmy. Esme, ty mu pomożesz. Wiem, że we dwoje potraficie tego dokonać. Ja zajmę się Quentinem. Teraz idźcie. Idźcie!

Arthur obrócił się na pięcie i podbiegł do Esme, pomógł jej wstać i po chwili, puściwszy się klusem, zniknęli na szlaku prowadzącym w dół. W uszach wciąż huczał mi wystrzał, a teraz dołączył się jeszcze elektryzujący dreszcz strachu. Quentin i ja byliśmy tu sami. Upłynęły ledwie sekundy w tym spazmatycznym momencie.

- Powinnaś była pójść z nimi. Oni się zgubią - wyszeptał Quentin, oddychając z trudem.

- Nie. On znajdzie drogę powrotną i sprowadzi pomoc. Jeszcze sześć miesięcy temu nie potrafiłby tego zrobić, ale teraz ty go nauczyłeś, jak troszczyć się o siebie. A teraz udaje, że jest tobą, i ta jego częśćka zatroszczy się o ciebie.

- Mówię ci: lepiej zostaw mnie tutaj i idź mu pomóc...

- Nie zostawię cię. Miej trochę wiary.

- Nie podoba mi się teraz to, że wierzysz w różne rzeczy - odparł.

Za nic nie przyznałabym się, że oczami duszy widzę, jak Arthur wpada w panikę, Esme dostaje ataku hysterii, oboje błakają się zagubieni, Quentin leży u źródła, z którego bierze początek Niedźwiedzi Potok, jego krew spływa tą drogą do oceanu, a jakieś niewyobrażalne fatum sprawia, że wykrwawia się na śmierć, i w ten sposób zapewnia kres losów Ricconnich i Powellów. Czułam, jak jego krew już sączy mi się między palcami, i zaczęłam go całować w rozpaczy.

Nawet niedźwiedzie gdzieś zniknęły.

Rozdział 24

Pomagałam mu przenieść się na pobliską łąkę, gdzie mogłam rozpalić ogień. Położył się na posłaniu z liści, które zgarnęłam, i zdobył się na zademonstrowanie, jak wygodnie mu się na nim leży, podciągając jedno kolano i kładąc lewą rękę na brzuchu. Niewiele do siebie mówiliśmy. „Uznaj, że nic gorszego nie może się wydarzyć, a nie wydarzy się nic”.

- Trochę piecze - skłamał, gdy spytałam, czy bardzo go boli. Twarz miał białą jak kreda, zęby mu szczękały, kiedy z nagłą na niego spojrzałam, jego skóra sprawiała wrażenie zimnej przy dotyku.

Zdjęłam kurtkę, a potem wełnianą koszulę, którą pocięłam scyzorykiem. Kiedy obwiązywałam go długimi pasami materiału, udawał, że podziwia mój cienki podkoszulek.

- Następnym razem, jak mnie postrzelą, bądź bez stanika. - Głos miał nienaturalny.

- Rozbiore się i będę tańczyć nago, jeśli taki widok powstrzyma u ciebie krwawienie.

- Upomnę się o to, jak poczuje się lepiej. Przyciągnęłam spróchniały pień do jego nóg.

- Oprzyj na nim stopy. To dobrze robi na cyrkulację krwi. Nie mogę sobie przypomnieć, dlaczego. - W tym momencie ledwie mogłam przypomnieć sobie własne nazwisko.

- Ułatwia przyływ krwi do serca - podpowiedział. - Dlaczego nie mogłabyś zostawić ognia, niech się pali, a sama stąd odejść? Będzie mi dobrze. Spróbuj, może zdołasz dogonić Arthura i Esme.

- Dlatego, że ogień się nie utrzyma, jeśli nie będę go pilnować. - „I ty też możesz nie wytrzymać” - pomyślałam, ale tego nie powiedziałam.

Nakryłam go swoją kurtką, on jednak ją odrzucił.

- Zamarzniesz. Włóż ją na siebie.

- Ja się poruszam i jest mi całkiem ciepło. Kto tu jest pielęgniarką?

- Za to ja wiem, dlaczego krew płynie w dół. Teraz włóż na siebie kurtkę, rozpal ogień i zabieraj się stąd.

Uklęknęłam obok niego, ujęłam w dłonie jego twarz.

- Do cholery, przestaniesz już to mówić? Chcesz, żeby cię tu zostawić samego?

- Nie chcę, żebyś patrzyła, jak będę umierał.

Mogłam dostrzec w jego oczach wspomnienie ojca w kałuży krwi. Ricconni mieli skłonność do umierania w boju, do umierania w wypadkach, do przystawiania w rozpaczce broni do własnej piersi. Powellowie mieli skłonność do odchodzenia w cichości. Znikania, zablakania się, śnienia z otwartymi oczami, aż po nicłość. Lecz nie teraz - ani on, ani ja. Pochyliłam się nad nim.

- Nie zamierzam na ciebie patrzeć, jak będziesz umierał. Bo ty wcale nie umrzesz. Nie umrzesz.

Cofnęłam się.

- To, że chcę, byś mnie zostawiła, nie oznacza, że ja chcę cię zostawić.

Chwyciłam obiema rękami kołnierzyk jego koszuli i całowałam go, zapinając jednocześnie guzik.

- Nie oglądaj się w przeszłość ani nie patrz w przyszłość - rozkazałam. - Bądź tu i teraz.

Okryłam go swoją kurtką, potem zgarnęłam na kupkę liście, gałązki i opadłe gałęzie drzew. Quentin dał mi zapalniczkę do cygar, którą wygrzebał z kieszeni spodni. Roznieciłam mały ogieniek i biegałam wokół pobliskich drzew, znosząc leżące na ziemi konary, odłamując mniejsze gałęzie i zbierając wszystko, co nadawało się do spalania.

- Zrobię ognisko na dziesięć hrabstw - obiecałam. - Będzie cię ogrzewać i wysyłać sygnały. Wkrótce zauważą je strażnicy leśni. A ty tylko leż spokojnie.

Zamknął oczy. Obserwowałam go przez dłuższą chwilę, potem spojrzałam na niebo. Liczyłam, że dotarcie do drogi i sklepu zabierze Arthurowi i Esme co najmniej dwie godziny. Jakiś czas poświęcę na wyjaśnienie sytuacji zaabsorbowanemu grami komputerowymi sklepikarzowi, do tego trzeba dodać czas, jakiego on będzie potrzebował na przywołanie pomocy, i czas na jej zmobilizowanie. A potem upłyną następne dwie godziny, zanim ratownicy dotrą do nas na piechotę. W sumie co najmniej pięć godzin. Będzie już wtedy ciemno. Pięć godzin Quentin będzie krwawić w zimnie i być może wykrwawi się na śmierć.

I on to wiedział.

Memento mori. Pamiętaj, że jesteś śmiertelny.

- Muszę ci pewne rzeczy powiedzieć - szepnęłam. Skuliłam się obok niego, oparłam mu głowę na ramieniu i jedną ręką opasałam klatkę piersiową, żeby ogrzać jego i siebie.

Chciałam go uspokoić, odwrócić niebezpieczeństwo, nie dopuszczając po prostu myśli o takiej możliwości. Obrócił głowę. Jego wargi poruszały się tuż przy mojej twarzy.

- Kocham cię - powiedział.

Perełki zimnego światła słonecznego, które zniknęło na horyzoncie, gromadziły się w moich żyłach. Wypowiedziane słowa i zawarta w nich obietnica sprawiły mi radość, jakiej nie zaznałam w życiu. Nie istnieje w świecie sprawiedliwość, jeśli dotarliśmy do tego punktu na sam koniec. Objęłam Quentina mocniej ramieniem i przycisnęłam twarz do jego twarzy.

- I ja ciebie kocham. Kocham cię od tamtego dnia, gdy wyniosłeś mnie ze stodoły.

- Chciałbym, żebyśmy mieli czas kochać się dłużej.

Uniosłam głowę i popatrzyłam na niego błagalnym wzrokiem.

- Nie mów tak. Wyjdiesz z tego. Są pewne rzeczy, których od ciebie nie chcę słyszeć.

- Patrzę przed siebie i widzę tam ciebie. Patrzę za siebie i widzę ciebie. Jesteś we mnie, jesteś wokół mnie. Nigdy z nikim innym tak nie było. - Przerwał i spojrzał mi w oczy. -

Wyszłabyś za mnie?

- Tak. - Pocałowałam go z płaczem. - I wyjdę za ciebie. Wyjdę.

- Powiedz mojej matce, że ją kochałem. Ona była moją opoką. Nigdy tak się od niej nie oddaliłem, żeby nie mogła mnie sprowadzić z powrotem. Nie chcę, żeby tego nie przeżyła. Powiedz jej, powiedz jej, żeby żyła. Żeby wyszła za Alfonse'a. Tak. Ona musi wyjść za mąż za Alfonse'a. To moje ostatnie życzenie. On się nią zaopiekuje.

- Powiesz jej to sam.

- Powiedz wszystkim innym, że ich kochałem. Powiedz to temu staremu sierżantowi Popeye, o którym ci opowiadałem. Powiedz to wszystkim, którzy według ciebie powinni to usłyszeć. Powiedz im, nawet jeśli nie jesteś pewna, że ja bym to zrobił. Kieruj się własnym rozeznaniami. Zaopiekuj się Hammerem. Chcę, żeby został z tobą. I traktuj Arthura jak mężczyznę. Nie zapomnij.

- Nie mogę już dłużej tego słuchać. - Przysunęłam się bliżej do niego.

- Powiedz im - nalegał i całował moje oczy, mój nos, moje usta, gdy obróciłam twarz na jego pieszczoty. - Jak dobrze poznałem teraz, co to jest miłość.

Kilka godzin później niemal przestał mówić, otwierał oczy tylko od czasu do czasu, gdy nalegałam, robił się coraz bledszy, a skórę miał bardzo zimną, chociaż pilnowałam, żeby ogień się palił. Marzłam, potem się pociłam w udreće i strachu, powalałam sobie ubranie krwią Quentina, ręce miałam podrapane, twarz osmaloną, bo nieostrożnie i ze zbytnim ferworem przegrzebywałam za każdym razem ognisko.

Zbliżał się zmierzch, a ja przeszukałam już każdy dostępny skrawek ziemi w pobliżu nas, próbując znaleźć gałęzie, które można by spalić. W pewnym momencie po zmroku, jeśli nie nadejdzie pomoc, ognisko zgaśnie. Położyłam się znowu obok Quentina, wślizgując się pod swoją kurtkę i obejmując go ramionami.

- Ursulo - powiedział tak słabym głosem, że ledwo go słyszałam. Pochyliłam się nad nim z trwogą.

- Jestem tu - zapewniłam. - Jestem tutaj. - Otworzył oczy. Spoglądał gdzieś daleko, po czym z wysiłkiem skoncentrował wzrok na mnie. Wprawilo mnie to w przerażenie. Na jego twarzy pojawił się wyraz zdumienia.

- Zrozumiałem, dlaczego on to zrobił.

Łzy ciekły mi po twarzy. Słyszał teraz głos ojca, który szeptał do niego w gasnącym świetle dnia. Nie chciałam, żeby słuchał, nie chciałam, żeby poszedł za tym głosem.

- Proszę, trzymaj się, Quentinie. Proszę cię, nie poddawaj się. Proszę. On ci nie mówi, żebyś przestał walczyć, tak jak zrobił to sam. Nie mógłby tego zrobić. On chce, żebyś żył.

- On myślał, że... nas wyzwoli. Nie będziemy go więcej kochać i nie będziemy cierpieć.

Zdusiłam szloch.

- Mylił się. Miłość nigdy się nie kończy. Słyszysz mnie? Miłość nigdy się nie kończy. Teraz już to wiesz.

Zamknął oczy, zmarszczył brwi, potem się odprężył. Przyciskałam, zrozpaczona, dłoń do jego serca. Ręce zgrabiały mi z zimna. Nie mogłam wyczuć bicia serca, a może mogłam. Tu. Nie? Nie byłam pewna. O Boże! Mógł umrzeć, odejść, zanimbym to sobie uświadomiła.

Zaczynała mnie ogarniać panika. Strach wkradał mi się do mózgu i przybierał ponurą postać. Zaczęłam mówić na głos, żeby odegnać lęk - obiecywałam Quentinowi, że jeśli umrze, to go wprawię w zakłopotanie specyficznymi obrzędami żałobnymi, i wyliczałam je po kolei i ze szczegółami. Potem zaczęłam opisywać dzieci, które nigdy się nie urodzą, jeśli nie będzie żył.

- Pierwsze dziecko to będzie dziewczynka - mówiłam. - Nazwiemy ją Angela Grace, nie, poczekaj, to brzmi jak z litanii, ale spróbuję użyć imienia twojej matki. Nasza druga córka będzie nosiła imię po mojej matce, Victoria. Okej, to może być jej drugie imię, jakkolwiek nie miałabym nic przeciwko temu, żeby nazywać ją Vick. Vick, nie Vicki. No, ale wróćmy do Angeli Grace. Będzie miała temperament. Będziemy musieli ją uczyć, żeby nie atakowała swoich kuzynów Tiberów. Będzie mądra. Zaraz zacznę jej czytać. A ty nauczysz ją, jak widzieć podstawowe cechy u ludzi, w różnych miejscach. Jak dorośnie, zostanie inżynierem. A co do Vick, Vick Ricconi będzie cicha i spokojna, bardzo wrażliwa, będzie artystką jak obaj jej dziadkowie...

Pięcioro dzieci. Dziesięcioro. Piętnascioro. Zęby mi szczękały. Wypowiadałam słowa skrzeczącym głosem starej kobiety i w końcu umilkłam. Dotknęłam lodowatych ust Quentina. Twarz miał taką spokojną. Słońce zachodziło, niebo mieniło się różnymi kolorami, głębokim złotem, fioletem i błękitem, iskry z ogniska strzelały ku pierwszym gwiazdom nocy.

Skoncentrować się, skoncentrować! - trzymać go tu za pomocą magnetycznej pasji, ciężaru łez, siły miłości, połączyć mój puls z jego pulsem, być w nim i zasklepić rozszarpane miejsce. Tysiąc przodków poświęciło się, żeby doprowadzić nas do tego miejsca. Nasi ojcowie musieli na nas patrzeć i słuchać, i nie mogli pozwolić, żeby tak się to skończyło. Ja nie pozwolę mu umrzeć. Skoncentrować się!

Usłyszałam coś i podniosłam głowę. Ujrzałam jakby dwoje jarzących się oczu, które wychynęły zza skraju świata, znajdowały się obok siebie i w mroku wpatrywały się w nas, w Quentina. A wokół nich jakiś kształt, okrągły i ziemski, ciemny i wznoszący się w górę na tle zachodzącego słońca. Widmo czy coś realnego. Duch, przed którym uciec się nie da. Annie wciąż poszukująca swoich? Życie czy śmierć? Osłoniłam własnym ciałem Quentina i patrzyłam przez ramię z okropnym przerażeniem, bo może ta tajemnicza zjawia była czymś rzeczywistym. „Nie pozwolę mu odejść. Zawsze wiedziałam, że tu jesteś, i on też wie. Ale teraz jest inaczej, bo razem jesteśmy inni”.

Wykrzyczałam wyzwanie i usłyszałam w odpowiedzi ryk. Ciemny niedźwiedzi łeb i złowieszcze oczy wznosiły się coraz wyżej, ponad horyzont, stały się wielką Żelazną Niedźwiedzicą. Konstelacja nosząca takie samo imię jak ja, Wielka Niedźwiedzica, ożyła, żeby polować na życie, opuszczała się w dół z zachodzącego słońca, krążąc, mruczając, śpiewając pieśni na firmamencie nieba.

A potem się przeobraziła.

Uświadomiłam sobie stalowe łopatki, warkot potężnego silnika, wolne opuszczanie się maszyny. Helikopter usiadł na ziemi delikatnie niczym motylek. Arthur znalazł anioły z metalowymi skrzydłami.

- W samą porę - powiedzieli potem. - W samą porę.

Stałam jak posąg w poczekalni oddziału intensywnej opieki medycznej. Pielęgniarka dała mi fartuch, który włożyłam zamiast powalanego krwią ubrania, a Liza przyniosła sweter, zanim pospieszyła na farmę, żeby zająć się Arthurem i Esme. Przeżyli wstrząs, ale nic im się nie stało. Tiberowie urządzili prawdziwy najazd ni Niedźwiedzią Kotlinę. Wszyscy wysławiali mężne serca Arthura i Esme - nazywali ich słodkimi świętymi, wybawcami, strażnikami całego niedźwiedziego rodzaju. Modlili się za Quentina.

Usłyszałam kroki za rogiem na korytarzu od strony windy. Dwie pary nóg szły szparko. Zza rogu wychynął wysoki, postawny, białowłosy mężczyzna w garniturze i w palcie. Trzymał pod ramię szczupłą, prosto się trzymającą siwiejącą brunetkę. Ciężki czarny płaszcz rozchylił jej się na boki, gdy manewrowała laską z mosiężną rączką, by zrekompensować fakt, że utyka. Quentin kiedyś mi wspominał, że jego matka nigdy nie pozwalała, by kulawa noga spowolniła jej chód.

Spojrzałam w jej zrozpaczone przenikliwe oczy, gdy szła do mnie z wyciągniętą ręką. Natychmiast się poznałyśmy. Ujęłam jej rękę w swoje dłonie.

- Jeszcze nie odzyskał przytomności. Mówią, że będzie można z nim porozmawiać dopiero rano.

- Muszę go zobaczyć.

- Zaprowadzę panią do niego.

- Zaczekam tutaj - oznajmił ze spokojną godnością towarzyszący jej mężczyzna.

To musi być Alfonse Esposito - pomyślałam. Obróciła się do niego.

- Nie, ty też chodź. Jesteś członkiem rodziny. On ciebie potrzebuje. I ja... ja też ciebie potrzebuję.

W oczach mężczyzny pojawił się błysk. Towarzyszył nam, gdy przechodziłyśmy przez hol i podwójne drzwi prowadzące na oddział intensywnej opieki medycznej. Jedną z moich kuzynek z Tiberów, tamtejsza siostra oddziałowa, dała mi dyskretnie znak, że oficjalne godziny odwiedzin wśród swoich nie obowiązują. Weszliśmy do małego pokoju, gdzie leżał Quentin podłączony do całej sieci rurek i aparatów. Był już po operacji i teraz znajdował się w stanie półprzytomności.

Wiedziałam, że wygląda strasznie. Błady jak śmierć, z rurką z tlenem pod nosem i ze wszystkimi tymi aparatami rejestrującymi funkcje życiowe, jakby zupełnie we władzy technologii. Angele zacisnęła swoje drobne dłonie na moich, po czym je puściła. Wydała cichy jęk rozpaczy. Stałam z tyłu z Alfonse'em.

Oparła łaskę na łóżku, gdy zbliżyła się do Quentina. Drżącymi rękami dotknęła jego twarzy i pogładziła go po włosach.

- Czy ty wiesz, jak bardzo cię kocham? - powiedziała. - I jakim jesteś dobrym synem? Nie, nie wiesz, bo nie mówiłam ci tego od czasów, gdy byłeś chłopcem. Wybacz mi, wybacz mi. - Pocałowała go w czoło, potem przyłożyła tam swój policzek. Przytłumionym głosem zaczęła szeptać żarliwie: - Będziesz żyć. Jesteś synem swojego ojca, a on wie, co usiłowałeś dla niego zrobić przez kilka ostatnich miesięcy. Taki jest z ciebie dumny. I ja też, Quentinie. - Uniosła głowę i patrzyła na niego, popłakując. - Twoja matka i twój ojciec cię kochają. Znowu jesteście rodziną.

- Nienawidzi mnie pani za to, że go w to wciągnęłam? - zapytałam ją w czasie tej długiej nocy, gdy siedziałyśmy w poczekalni.

- Wciągnął go w to jego papa - odparła ze spokojem. Potem wzięła mnie za brodę, obróciła moją twarz do siebie i cicho dodała: - Ty go wyciągnęłaś. - Oczy napełniły jej się łzami, ale uśmiechnęła się. - Witaj, Rose.

Zamknęłam oczy, a ona przyciągnęła moją głowę do swojego ramienia. Podkuliłam nogi pod siebie i siedziałam tam jak dziecko. Niedługo potem do poczekalni wszedł pan John. Angele i ja wyprostowałyśmy się i patrzyłyśmy na niego z niedowierzaniem. Miał na sobie szpitalną granatową piżamę, białe skarpetki i cienki szlafrok z logo „Drób Tiberów”. Jeden z odłączonych drutów aparatu do monitorowania serca zwisał mu na kołnierzu. W ciągu

minuty czujne siostry trafią na jego ślad.

Przedstawiłam pana Johna Angele. Uścisnął jej rękę i skłonił się szarmancko.

- Jak się ma Quentin? - spytał mnie grzecznie.

- Czekamy, aż się obudzi, a to zapewne nie nastąpi wcześniej niż jutro rano.

- Będzie żył. Jest silny. Bez wątpienia jak jego ojciec. - Odchrząknął. - Zabiera mi dużo czasu nauczenie się czegoś nowego. Nie mogę powiedzieć, że nie zrobił na mnie wrażenia zwrot, do jakiego doszło u naszej Żelaznej Niedźwiedzicy w kategoriach wartości pieniężnej. Ale nie tylko to. Ludzie są przywiązani do tej rzeźby, a ja chyba znalazłem się po złej stronie. Nie mogę obiecać, że pokocham kiedyś tę rzeźbę, ale kocham to, co ona reprezentuje dla tych, którzy są mi drodzy. - Wyciągnął znów rękę do Angele. - Mam nadzieję, że wybaczy mi pani wszystkie złe uczynki, jakich się dopuściłem wobec tej rzeźby i pamięci pani męża. I modłę się, żeby Quentin wyzdrowiał.

Wzięła w swoje dłonie jego rękę, uniosła ją lekko i mocno uścisnęła na znak zgody.

- Przyjmuję przeprosiny skierowane do Richarda. I do naszego syna.

Pan John zwrócił się w moją stronę:

- Żałuję, że dzisiejszej nocy nie ma tu twojego taty.

- Tata wie, co pan chce mu powiedzieć, i ja też. - Wstałam, żeby go uściskać. -

Wszystko w porządku.

Pan John popatrzył na mnie z melancholijnym uśmiechem i łzami w oczach.

- Robię się mądrzejszy - oznajmił. - Niektórzy ludzie widzą światło, ale dla mnie to było za mało. - Przerwał. - Musiałem zobaczyć tę niedźwiedzicę.

Uśmiechnęłam się. Słyszeliśmy, że siostry z kardiologii biegną przez hol. Dwie z nich przemknęły koło drzwi poczekalni, zauważyły pana Johna i wpadły do środka.

- Panie Tiber! - powiedziała jedna z nich srogim tonem. - Przypniemy pana kajdankami do łóżka!

- Został pan poskromiony - zauważyłam.

- Och, dobrze. - Pan John spojrział na mnie z resztkami wyniosłej wolności. Chichotał, gdy siostry go chwyciły.

Kiedy Quentin obudził się następnego popołudnia, byłam przy nim i czekałam. Schyliłam się, pocałowałam go w czoło, w nos, w usta i potem jeszcze raz w usta, ale lekko. Mrugał powiekami w sennym oszołomieniu, przymknął oczy, oczekując następnego pocałunku, i otworzył je z niezadowoloną miną i mieszanymi odczuciami. Wymruczałam jego imię, pogłaskałam po twarzy, powiedziałam, gdzie jest i co mu było, co się wydarzyło na tej górze. Nie spuszczał ze mnie wzroku, ale widziałam, że krąży kanałami pamięci tam i z powrotem, usiłując zrekonstruować utracone godziny. Lekarze ostrzegali mnie, że ludzie, którzy byli tak blisko śmierci, mogą zostać głęboko naznaczeni takim przeżyciem.

- Jeśli się zgubiłeś, to pomogę ci znaleźć drogę powrotną do domu - obiecałam. Byłam

przestraszona, ale starałam się zachować spokój.

- Do domu - szepnął. Z oczu zniknęło mu bielmo niepamięci i nagle powrócił, serdeczny i pełen życia, i spoglądał na mnie, jakbym była jakimś cudem. - Ludzie nie będą plotkować - mruknął. Chodziło o to, jak sobie uświadomiłam, że nie będę mogła wprawić go w zakłopotanie, jak mu to obiecywałam tam przy ognisku. Żył i zamierzał pozostać przy życiu.

- Och, oni i tak będą o tobie mówić - zapewniłam ze łzawym wyrzutem, potem zaśmiałam się, rozplakałam i na koniec go pocałowałam. Tym razem oddał mi pocałunek. W jego słabym uśmiechu ujrzałam odbicie swojego oddania, a na obliczu dobroć. Twarz miał wychudzoną, bladą i znękaną, ciemny zarost na brodzie, sine kręgi pod oczami, które mówiły, że odbył daleką i ciężką podróż, ale wrócił do domu mądrzejszy. Raz jeszcze zachwyił mnie. Teraz i zawsze bym go przyjęła.

Rozdział 25

Błogosławieństwem jest wiedzieć, kogo się kocha i gdzie się należy, a także za co chce się umrzeć. Ze zniszczonych nadziei można uratować piękne fragmenty, a nowe fundamenty zbudować nawet z najsmutniejszych wspomnień.

Quentinowi śnił się pewnej nocy ojciec. Widział go w sklepie Gootsa, młodego i uśmiechniętego. Richard ożył znów w duszy i w pamięci. Quentin ściągnął go z powrotem z owego wierzchołka góry.

Zabrałam Angele na farmę i szłyśmy przez pastwisko.

- Och, Richard - powiedziała uszczęśliwiona, spoglądając na Żelazną Niedźwiedzicę. - Quentin powraca do zdrowia w szpitalu, w pokoju pełnym kwiatów i kartek z pozdrowieniami od poznanych tu ludzi. Przynoszą mu prezenty i jedzenie. Zasypali go wyrazami miłości. I opowiadali mi, w jak krótkim czasie zyskał sobie u nich szacunek. Opowiadali mi też historie o *Nagiej Mądrości* i co dla nich znaczy. Ona jest tu na miejscu, Richard. To prawdziwy fenomen. Reprezentuje to wszystko, czym chciałeś, żeby było twoje dzieło. Zmieniło ludziom życie. Tu jest jej miejsce. Zdecydowałam, że musi tu pozostać. - Zawahała się, po czym wzięła moją rękę. Obdarzyła mnie pełnym uczucia spojrzeniem, zanim znów popatrzyła na rzeźbę. - I nasz syn też tutaj pozostanie. Znalazł kogoś, kogo kocha, kogoś nadzwyczajnego. I teraz jego miejsce jest tutaj.

Tej ostrej, pięknej zimy, obfitującej w większe śniegi niż zwykle, odpoczywaliśmy przed kominkami i pod grubą pokrywą białego puchu. Do mojego pokoju na farmie wsta-
wiłam duże łóżko, które, sięgając od ściany do ściany, zapewniało przytulne ciepło, wygodę i miłość w tym niewielkim pokoju. Rany Quentina wyglądały teraz jak różowe dołki na prawym boku, z przodu i z tyłu poniżej klatki piersiowej. Nie mogłam się uwolnić od myśli, że chwycił go w zęby jakiś duży zwierz, popróbował, po czym wypuścił.

Quentin zadomowił się na farmie równie łatwo jak wszyscy Powellowie, a i odwiedzający patrzyli na niego z przyjemnością. Dom go polubił, z wzajemnością zresztą.

Podobnie jak moja patelnia do omletów wisząca obok babcinego żelaznego rondla, on też prosperował z duchem postępu. Stary sierżant, Popeye, zjawił się z walizami i skrzyniami, włącznie z oknem Tiffany'ego, które wstawiliśmy na tylnym ganku, by móc je podziwiać.

- Co ja pocznę w Nowym Jorku bez ciebie, kapitanie? - zapytał Quentina. - I do diabła, masz jakiś pomysł, co zamierzasz zrobić ze sobą tu, na Południu?

- Myślałem o wynajęciu magazynu w budynku Johna Tibera za miastem. Może zbiorę trochę jakichś ozdób z rozbiórek i będę je odsprzedawał.

- Zamierzasz rozkręcić na nowo interes?

- Nie, chyba że będę miał jakiegoś asystenta, który pomoże mi go poprowadzić i będzie na mnie ryczeć, jak spróbuję udźwignąć zbyt wielki ciężar.

- Wynajmuj ten magazyn, bo ja jestem takim facetem, jakiego szukasz, i zostałem już zatrudniony.

Popeye wrócił do Nowego Jorku, by przez resztę zimy zajmować się dawną fabryką i jej lokatorami. Quentin pragnął zatrzymać ten budynek i znaleźć dla niego jakiegoś administratora. Za nic nie opuściłby swoich lokatorów borykających się z trudnościami, młodych artystów, którzy nie mieli odpowiedniego miejsca do życia i pracy. Chciał umieścić na budynku płytę. *Ars gratia artis*. Sztuka dla sztuki. A poniżej te słowa: *Richardowi Ricconniemu in memoriam*.

Quentin znów odzyskał siły, a i ja zrobiłam się mocniejsza. Rozpakowałam pudła z wekami mamy, które stały w spiżarni. Kiedy otworzyłam słoje z zielonym groszkiem, który tata ugotował tego lata przed śmiercią, zanurzyłam w nim palce i ze łzami i uśmiechem jadłam miękkie, delikatne zielone groszki. Tata i mama byli wciąż ze mną, serdecznie tulili mnie w kuchni, mądrze szeptali do ucha. Teraz gdy wreszcie powróciłam do domu duszą i ciałem, zapewniali mi znów strawę.

Pewnego pogodnego marcowego dnia wybraliśmy się znowu do źródła na Ridge Mountain i zabraliśmy ze sobą Arthura i Esme. Widzieliśmy ślady, ale niedźwiedzica i jej młode nie znalazły nas ani my ich.

- Myślisz, że boją się ludzi po tym, co wydarzyło się z bronią? - spytał Quentin.

Kiwnęłam głową.

- Mam taką nadzieję, ze względu na nie.

- Będą bezpieczniejsze, bo się nas przestraszyły? - zapytał Arthur, a minę miał smutną.

Objęłam go ramieniem.

- Będą bezpieczniejsze, bo ty i Esme zatroszczyliście się o nie. I dzięki wam wiedzą, co jest dla nich najlepsze.

- Czasami trudno być mężczyzną - powiedział, ale Esme uśmiechnęła się do niego,

więc szybko się uspokoił.

Zostawiliśmy ich, gdy zastanawiali się nad gniazdem wiewiórki wysoko na sośnie. Quentin wziął mnie za rękę i poszliśmy na łąkę, na której wtedy czekaliśmy na ratunek. Przykucnął i rozgrzebał resztki zwęglonych gałęzi z mojego ogniska.

- Wydaje się jakby wieczne - powiedział.

- I takie było.

Pociągnął mnie ku sobie i siedzieliśmy spleceni ramionami, patrząc na góry.

- To było cudowne miejsce, żeby zaproponować małżeństwo - rzekł. - Dlaczego nie miałbym ponownie tego zrobić?

Obserwowałam zimowe słońce, oślepiona jasnością dnia, po czym obróciłam twarz w jego stronę i podzieliłam się z nim tym słonecznym światłem w swoich oczach.

- Czekam.

- Ursulo Powell, wyjdiesz za mnie?

Otrzymał taką samą odpowiedź jak przedtem, ale tym razem uśmiechał się od ucha do ucha.

Kiedy pod koniec lutego pierwsze fioletowe krokusy wyjrzały z ziemi, Quentin zamówił dostawę drewna i zbudował wysoki, sześciometrowy parawan wokół na pół ukończonego Niedźwiedzia Dwa.

- Dokończę go, ale nie chcę mieć widowni - oznajmił.

Włożył maskę spawalniczą i zaczął pracować bardzo wolno i metodycznie nad rzeźbą, a potem ją przerabiał, tym razem jednak schowany za jasną ścianą z sosnowych desek.

Z Nowego Jorku przyjechała Angele. Zdecydowałyśmy, ona i ja, nic nie mówić, po prostu czekać i przekonać się, jak sobie poradzi. Na jej lewej ręce ujrzałam pierścionek zaręczynowy.

- Też coś, zaręczać się w moim wieku - powiedziała ponuro, potrząsając głową nad potwornością tego czynu. - Co ja sobie wyobrażam?

- Pewnego dnia będzie pani babcią - obiecałam. - Trzeba dawać dobry przykład.

- Opowiem swoim wnukom, że ich dziadek mówił: „Nigdy nie rezygnuj z tego, co kochasz. Z niczego. Nigdy nie rezygnuj”.

- Umowa stoi - rzekłam cicho.

Spędziłam resztę zimy z Angele, Lizą, Arthurem i Esmę i wszyscy pilnowaliśmy Quentina. Przez większość dni przesiadywaliśmy przy Żelaznej Niedźwiedzicy albo trzęśliśmy się z zimna pod dębami, słuchając syczenia palnika i szczęku metalu dochodzących zza postawionego przez niego parawanu. W dni, kiedy siedziałam tam sama, spędzałam czas, czytając i robiąc uwagi do opowieści doktora Washingtona o dzieciach z Niedźwiedziej Kotliny.

Posłałam egzemplarz tych opowieści do Bostonu jego synowi i córce. I pewnego

kwietniowego dnia, gdy doktor Washington pił poranną kawę, ujrzał dwie limuzyny z lotniska, którymi przyjechały do niego dzieci i wnuki. Niesłychanie podniecony, nazajutrz po południu przyprowadził całą czeredę do nas na farmę i razem wypiliśmy herbatę.

- Co to jest?! - wykrzyknęło jedno z jego wnucząt na widok Żelaznej Niedźwiedzicy na pastwisku.

- Chodźcie, Esme i ja pokażemy wam rzeźbę - zaproponował Arthur i wkrótce on, one i Esme bawili się w berka pod spokojnym spojrzeniem niedźwiedzicy.

- Niedźwiedzica pobudziła ich wyobraźnię - powiedziałam do Johna Washingtona. - Oni tu wrócą.

Oczy mu błyszczały. Pokiwał głową.

Tej wiosny moi lokatorzy i ja otworzyliśmy w mieście Galerię Niedźwiedziej Kotliny. Fannie i Bartow zaofiarowali się prowadzić przy naszej pomocy sklep, spokojny i kolorowy. Wizja taty zrealizowała się na Main Street. Oprawione zdjęcia jego, Żelaznej Niedźwiedzicy i panny Betty ozdabiały ścianę za ladą. Na półkach stały szkła Lizy i ceramika Ledbetterów. W tylnym pomieszczeniu wystawiano kontrowersyjne prace Oswalda, a w niewielkim, lecz przyjemnym frontowym, w kącie w pobliżu drzwi, wczesne szkice jego ilustracji do książki doktora Washingtona. Sprzedał w pierwszym tygodniu pięć małych obrazków rozkosznych dzieci z Niedźwiedziej Kotliny. Miałam uczucie, że w jego karierze artystycznej dokonuje się zwrot, jakiego nigdy się nie spodziewałam.

- Skończone - oznajmił Quentin pewnego ranka w połowie maja. Stał w kuchni spocony i ubrudzony, z maską spawalniczą w jednej ręce, z wyrazem bolesnego zadowolenia na twarzy. Podbiegłam do niego i ucałowaliśmy się. Rzucił maskę i podniósł mnie do góry. Ujęłam jego twarz w swoje dłonie i mocno go uściskałam.

- Chcę to uczcić - powiedziałam. Roześmiał się radośnie.

Któregoś wieczoru Quentin zwałił sosnowe ogrodzenie, po czym z pomocą Arthura nakrył rzeźbę. Niedźwiedź Dwa zasłonięty był teraz grubym płótnem. Arthurowi oczy błyszczały, cieszył się z zaintrygowania i przyjemnej dyskrecji. Mój brat i ja staliśmy pomiędzy nowym a starym - Żelazną Niedźwiedzicą a jej ukrytym potomkiem.

- Mama Niedźwiedzica jest wciąż samotna? - spytałam. Arthur wziął mnie za rękę.

- Tęskni za tatą i nigdy nie przestanie. Ale teraz ma przyjaciela i wie, że czasami dobrze jest odczuwać samotność. Powiedziała mnie i Esme, że jest szczęśliwa.

- Ostatnio dużo ci mówi, prawda?

- Ona mówi zawsze. Czasami tylko ja nie wiem, jak słuchać. - Przyłożył moją rękę do swojego policzka i popatrzył na mnie bez cienia wahania. - Kocham cię, Mamo Niedźwiedzico.

Otworzyliśmy szeroko bramę. W tę majową niedzielę ludzie napływali na farmę przez cały ranek. Przyjechali Angele i Alfonse, i Harriet Davies, i więcej Tiberów, niż kiedy-

kolwiek przedtem widziałam. Pan John występował w charakterze gospodarza i witał swoich krewnych, zupełnie tak jakby nigdy nie było takich czasów, gdy Tiberowie nie postawili stopy na ziemi Powellów. Doktor Washington zajmował honorowe miejsce w cieniu pod drzewem i towarzyszył mu najstarszy wnuk, nastolatek, który zamierzał przyjechać w odwiedziny do dziadka w lecie. Mieli razem uczęszczać na kurs kowalstwa w college'u. Washingtonowie będą kuć żelazo i odkryją na nowo swoje korzenie w górskim podłożu.

- Jak wyglądam? - spytał Quentin na górze, w mojej sypialni, w naszej sypialni.

Przyglądałam kłapę eleganckiego ciemnego garnituru, który sobie sprawił, i poprawiłam jedwabny krawat.

- Nieodpowiednio - odparłam. - Wyglądasz zbyt modnie i po prostu nieodpowiednio do ducha tego pomysłu.

Uśmiechnął się.

- Ty też.

Włożyłam ładną jedwabną sukienkę, pończochy i odpowiednie czółenka. Rozebraliśmy się czym prędzej, włożyliśmy dzinsy i trykotowe koszulki. Potem, gdy ruszyliśmy do drzwi, Quentin wręczył mi małe, pięknie zapakowane pudełeczko. W środku znajdował się pierścionek z rzucającymi błyski brylancikami. Schyliłam się i oparłam mu głowę na ramieniu, gdy wsuwał mi go na palec lewej ręki.

Na pastwisku pod gołym niebem i w blasku słońca przygrywała ludowa kapela, a tłum - kolorowy jak tamten zgromadzony na pogrzebie taty - jadł mięso pieczone na rożnie w długim wynajętym namiocie. Arthur i Esme siedzieli w kucki pod dębami, przypatrując się wszystkiemu jak podekscytowane dzieci i szepcząc coś do siebie. Na podwyższeniu, na którym stał mikrofon, wygłaszano mowy, ody do Żelaznej Niedźwiedzicy, improwizowano wiersze, pieśni, parodie Elvise i płakano. Ojciec Roy odmówił modlitwę.

- Quentin odwiedzał parokrotnie jego kaplicę - szepnęła z dumą Angele Alfonse'owi. - A Ursula chodzi razem z nim. Kościół niewątpliwie będzie obecny w życiu moich wnuków.

Alfonse wsunął jej rękę pod ramię i uśmiechnął się melancholijnie. Od lat pragnął, żeby Quentin, którego niemal uważał za syna, ożenił się z Carlą. Rezygnacja z tego beznadziejnego pomysłu przyniosła mu ulgę. Jego córka poślubi swojego bankiera i będzie szczęśliwa. A on, Alfonse, będzie szczęśliwy z Angele Ricinni Esposito, i Quentin stanie się jego pasierbem.

Janine stała przy mnie od jakiegoś czasu, przyglądając się z boku.

- Mam tyle planów na ulepszenie zakładów „Drób Tiberów”. Może powinnaś zacząć pracować u mnie.

Zaśmiałam się.

- Och, raczej będę pracować nad tobą.

- Tego się obawiam. - Rzuciła mi smutne spojrzenie. - Czy Quentin zamierza robić

więcej niedźwiedzi?

- Nie sądzę. Będzie oczywiście zajęty swoją firmą. I chcemy zbudować dom na grani z widokiem na potok.

- Co zrobicie z domem na farmie?

- Zamieszka w nim Liza.

- Rozumiem.

- Ona będzie zarządzać pracownikami artystów. Poszerzymy działalność. Zbudujemy galerię i tak dalej. Będziemy dużo budować. Ale już żadnych Żelaznych Niedźwiedzi.

Janine patrzyła na pomalowany na kolorowo pikap taty, teraz stojący na honorowym miejscu na środku ogrodu niedaleko drzewka brzoskwiniowego. Zbladła.

- Poszerzenie projektów artystycznych? Roześmiałam się.

- Jestem córką swojego ojca.

Kiedy nadeszła owa wielka chwila, Quentin podszedł od frontu do jednego z rogów płótna, które zakrywało Niedźwiedzia Dwa. A ja do drugiego.

- To dla ciebie, papo - powiedział tak cicho, że tylko ja mogłam to usłyszeć.

- I dla ciebie, tato - szepnęłam. - Ściągnęliśmy do tyłu płótno, które opadło na ziemię, potem podeszliśmy do siebie i wzięliśmy się za ręce.

Tłum gapił się na Niedźwiedzia Dwa, klaskał, wzdychał, prychał, kręcił głowami - były to wszystko typowe reakcje, jakie wywołuje pięciotonowa rzeźba skonstruowana ze złomu.

- Cholera - powiedział pan John, ale kiedy Janine objęła go ramieniem, westchnął zrezygnowany.

Angele, która stała w pobliżu, przycisnęła dłonie do mokrych oczu i uśmiechnęła się do rzeźby.

- On nie zbudował kopii - zwróciła się do Alfonse'a. - Zbudował syna.

Quentin i ja spoglądaliśmy na wystające żebra zrobione z pręta zbrojeniowego, na łeb z bloku silnika, na splecione boki z żelaznego ogrodzenia i tyłu jeszcze innych rzeczy. W środku przejrzystego szkieletu Niedźwiedzia Dwa wisiał dar Lizy - iskrzące się szklane serce, kruche, ale piękne, kontrastujące ostro z otaczającym je twardym żelazem, a przy tym całkowicie chronione i ufne, bijące bez ruchu w rytm swojej przyszłości. Niedźwiedź Dwa był żywy i miał się dobrze - szpetny, ładny, niezgrabny, wdzięczny, słodki, przerażający, dobry, okrutny, wyraźnie prowokacyjny i totalnie oszalamiający.

- Co myślisz? - spytał Quentin.

- Jest doskonały - odparłam.

Tego wieczoru zaraz po zachodzie słońca poszłam do Żelaznej Niedźwiedzicy i usiadłam w samotności u jej stóp. Otaczały mnie żółte zonkile i nisko snująca się srebrna mgła, unosząca się z głębi kotliny. W końcu zrozumiałam. Nikt nigdy nie mówił, że życie

będzie łatwe. Tata, mama, Richard sprawili, że wydawało się takie przez jakiś czas - cud tworzenia - życie było jednak trudne, wymagało poświęcenia i wiary.

- To ja decyduję, jak z tobą postępować - powiedziałam na głos do Żelaznej Niedźwiedzicy - a nie ty, jak postępować ze mną. Nie będę już cię więcej nienawidzić.

Usłyszałam, że otworzyły się i zamknęły tylne drzwi. Quentin wyszedł na podwórko i szukał mnie. Jego sylwetka rysowała się w złocistym blasku światła padającego z domu. Uniosłam rękę i pomachałam. Szedł w moją stronę we mgle, krokiem spokojnym i pewnym. „Jestem szczęśliwy” - myślał. Szczęśliwy. Tak po prostu dało się to podsumować.

Mały biały motylek, spiesząc w jakieś spokojne miejsce, przefrunął koło mnie i wleciał do środka Żelaznej Niedźwiedzicy. Potem poleciał na drugą rzeźbę i do jej środka, i tam siadł delikatnie na metalowej listwie. Złożył skrzydełka na noc. Przyglądałam się temu ze zdumieniem, po czym spojrzałam na Quentina i pomyślałam o naszej przyszłości. Położyłam rękę na sercu. Wiadomość została odebrana. Obdarzona byłam teraz talentem rozpoznawania małych cudów.

Wieści z nieba i ziemi były dobre.

Wstałam i poszłam spotkać się z Quentinem w połowie drogi.

